

Klaus-Peter Wolf



# GRÓB

WE FRYZJI WSCHODNIEJ

Media Rodzina

Klaus-Peter Wolf

# GRÓB

WE FRYZJI WSCHODNIEJ

Tłumaczyła Eliza Pieciul-Karmińska

**Media Rodzina**

# Spis treści



WŁAŚCIWIE — pomyślała Ann Kathrin Klaasen — powinnam być wdzięczna mordercy. W przeciwnym razie nigdy nie przyjechałabym tutaj o tej porze roku.

Oczywiście znała ten bajeczny park przy zamku Lütetsburg. Jej przyjaciółka Ulrike brała tutaj ślub. To właśnie wtedy postanowiła sobie, że postara się częściej nawiedzać tę oazę spokoju, by oddawać się kontemplacji pośród stuletnich drzew i szukać wewnętrznej harmonii.

Przejazd z jej domu przy ulicy Distelkamp w Norden do parku zamkowego zajmował raptem kilka minut. Ale gdy człowiek długo mieszka nad morzem, to przyzwyczajają się do szumu fal i w jakimś momencie przestaje je słyszeć — pomyślała zasmucona faktem, że trzeba było aż zbrodni, by wróciła do tego cudownego miejsca.

A teraz stała tutaj oszołomiona przepychem barw kwitnących rododendronów i azalii. Na krótką chwilę zamknęła oczy i głęboko odetchnęła. Aromat kwiatów był niemalże obezwładniający. Jak ktoś mógł zabić człowieka w tej oazie spokoju i wytchnienia?

W tym miejscu nie było słyszeć szumu Morza Północnego. Park miał swoje własne dźwięki. Brzęczenie owadów opitych nektarem tworzyło jakby podkład muzyczny. Na to nakładał się szelest gałęzi i liści poruszanych przez wiatr, który przybywając ze swej długiej wędrówki ponad morzem, zapomniał już niemal, jak pięknie może być na stałym lądzie.

JEJ PRZYJACIÓŁKA Ulrike brała tu niegdyś ślub w drewnianej Kapliczce Nordyckiej. Ann Kathrin Klaasen była głęboko wdzięczna staremu arystokratycznemu rodowi z Fryzji Wschodniej — rodzinie zu Innhausen und Knyphausen, że stworzyli to miejsce. Postanowiła, że przyjdzie tu ze swoim synem Eike. Przecież to niedopuszczalne, żeby chłopiec, który dorasta w tej okolicy, znał lepiej kino CineStar w Emden niż ten park. Możliwe, że jest tu więcej do zobaczenia niż w kinie — pomyślała Ann Kathrin.

Otworzyła oczy i poddała się inwazji barw. Ta delikatna zieleń, która mieszała się z łososiową czerwienią i słoneczną żółcią, przypomniła jej wrażenia z wczesnego dzieciństwa, gdy po raz pierwszy poszła do muzeum z ojcem, a on próbował jej objaśnić namalowane plamka przy plamce obrazy impresjonistów. Była wówczas zachwycona tymi obrazami, a jeszcze bardziej tym, że ojciec poświęcał jej tak wiele uwagi. Starał się poszerzyć jej rozumienie świata. „Człowiek musi się też nauczyć widzieć piękno” — mówił.

Tyle że to, co teraz na nią czekało, z pewnością nie było piękne. Nie widziała jeszcze ciała ofiary. Stała nadal przy wejściu do parku zamkowego.

Paul Schrader, jej kolega w policyjnym mundurze, nie wydawał się zainteresowany urodziwym krajobrazem. Ann Kathrin zauważyła, że jest przygnębiony jak ktoś, kto przechodzi kryzys małżeński lub ma coś na sumieniu. Gdy tak stał, oglądając swoje buty, przypominał przestępcę, który właśnie ma zamiar przyznać się do winy. Przygryzając dolną wargę, całkowicie zatopiony w myślach, wyglądał na kogoś, kto sam musi sobie jeszcze z czymś poradzić, zanim będzie o tym mógł powiedzieć reszcie świata.

Weller, stojący obok niej, przeciągnął się i głęboko westchnął.

— Wiesz, o czym właśnie myślę, Ann?

— Wiem. O tym, że powinniśmy wziąć urlop.

— Właśnie tak — skłamał.

W rzeczywistości myślał o czymś zupełnie innym. Gdy słońce oświetliło twarz Ann, jej włosy zajaśniały jak anielska aureola, a ona zamknawszy oczy, zatopiła się w myślach i wspomnieniach, Weller niemalże boleśnie odczuł, jak bardzo jej pragnie. Najchętniej zaraz by się z nią kochał — tutaj, pośród tego kwitnącego przepychu natury, w którym życie celebrowało samo siebie. Być może aromat kwiatów działał na niego jak afrodyzjak. A może to właśnie Ann Kathrin tak na niego działała. Było mu to obojętne. Miał ochotę zajmować się teraz tylko nią i jej pięknym ciałem. Ale nie mógł tego powiedzieć, bo przyjechali tutaj z powodu zgłoszenia morderstwa, a technicy kryminalni już pracowali nieopodal, w tylnej części parku.

Idąc wzdłuż strumyków, w ich kierunku zmierzał właśnie Abel z sekcji zabezpieczania śladów. W rękę niósł statyw aparatu fotograficznego, a trzymał go jak kij bejsbolowy, jakby chciał się w ten sposób przed czymś obronić. Wbrew swoim przyzwyczajeniom aparat miał zawieszony na szyi. Wskazał ręką na potężny buk o drobnych listkach przypominających paproć i zawołał:

— Dlaczego nie zostałem ogrodnikiem albo kwiaciarzem, albo... — rozłożył ręce. Z jego słów przebijała rozpacz. — Albo dlaczego nie fotografuję czegoś takiego jak to? Myślisz, że jest już jakiś album ze zdjęciami z tego parku?

Abel wiele razy widział już w swoim życiu zwłoki. Zdaniem Ann Kathrin był starym wyjadaczem. Czasem miała go wręcz za kogoś zupełnie wyzutego z emocji. Najwyraźniej to, co przed chwilą fotografował, musiało nim wstrząsnąć. Stracił cały swój profesjonalny dystans i bliski był rzucenia pracy. Takim go nie znała.

Przygotowując się w duchu, że za chwilę zobaczy coś przerażającego, zwróciła się jeszcze do Paula Schradera:

— Gdzie jest świadek, który do nas zadzwonił?

Świadek siedział na ławce przed Świątynią Przyjaźni i patrzył z tego miejsca na Wyspę Zmarłych, miejsce pochówku członków rodziny Innhausen i Knyphausen.

— To redaktor z telewizji ZDF — powiedział Schrader. Nie wyglądał przy tym na zachwyconego.

Weller, gdy tylko usłyszał „ZDF”, przerwał mu:

— Znowu media były szybsze od nas?

— To on znalazł ciało.

— Ale co tutaj robi telewizja? — dopytywał się nieufnie Weller.

— Ma urlop! — zawołał Gunnar Peschke <sup>1</sup>.

Podniósł się z ławki i podszedł do funkcjonariuszy. Zdziwili się, że dosłyszał ich rozmowę. On dostrzegł ich zmieszanie i się uśmiechnął.

— Jestem redaktorem muzycznym. Moja działka to piosenki dla dzieci, na przykład w programie Musikboxx. Moja praca wymaga dobrego słuchu.

Mężczyzna spodobał się Ann Kathrin. Imponująca postać. Najwyraźniej nie można go było łatwo wyprowadzić z równowagi. Musiał przecież zobaczyć to samo, co tak rozstroiło Abła, a był przy tym zupełnie sam — bez asysty funkcjonariuszy policji i kolegów z pracy. To on zadzwonił na policję, a potem czekał tutaj.

— Czy jest pan przyzwyczajony do widoku zwłok? — zapytała Ann Kathrin Klaasen.

— Nie. — Mężczyzna się uśmiechnął. — To nie wchodzi w zakres moich kompetencji. W programach dla dzieci nie zajmujemy się takimi sprawami. To domena kolegów z programów wieczornych. Ja mam raczej do czynienia z piratami, wiedźmami i upiorami. Rozumie pani...

Wyjaśnił potem, że ma pokój w hotelu Fährhaus w Norddeich i co rano wyrusza rowerem na długie

wycieczki. Dzisiejszego ranka był pierwszym gościem w parku zamkowym Lütetsburg. Nie było jeszcze w kasie nikogo, komu mógłby zapłacić za bilet wstępu, więc przy wejściu wrzucił jedno euro do skarbonki. Teraz właśnie zastanawiał się, jak jest możliwe utrzymanie takiego rajy przy cenie wstępu w wysokości jednego euro.

Weller poczuł ukłucie zazdrości, bo zauważył, że ten cały Gunnar Peschke wyraźnie spodobał się jego Ann Kathrin. To nastroiło go jeszcze bardziej krytycznie do mężczyzny.

— Dlaczego nie jest pan nad morzem, tak jak inni turyści? Dlaczego nie jeździ pan rowerem po grobli?

Gunnar Peschke z łagodnym uśmiechem wskazał szerokim gestem na cudowne otoczenie, w którym się znajdowali.

— Proszę się rozejrzeć. Czy muszę to jeszcze jakoś specjalnie uzasadniać?

Ann Kathrin pokiwała głową i spojrzała z przyganą na Wellera. Ale to go tylko jeszcze bardziej rozwścieczyło.

— Czy znał pan zmarłą? — zwrócił się do redaktora z ZDF.

— Nie — odpowiedział Gunnar Peschke. — Nie sędzę. Chociaż...

— Chociaż co? — wszedł mu w słowo Weller.

— Ach, niech pan sam zobaczy! — Gunnar Peschke machnął ręką jakby w geście obrony.

— Czy koledzy już spisali pańskie personalia? — zapytał Weller.

— No jasne! — zirytował się Schrader. — Myślicie, że myśmy tu kwiatki zrywali?

Ann Kathrin jeszcze raz głęboko odetchnęła. A potem powiedziała:

— W porządku. Teraz zobaczmy miejsce zbrodni.

Kiedy stanęła przed zwłokami, przestraszyła się sama siebie. Przyłapała się na myśli: „Mój Boże, jakie to piękne!”.

Kobieta nie wyglądała na martwą. Nie wyglądała nawet jak kobieta, lecz raczej jak anioł, który przeskakiwał między kwitnącymi krzewami i zaplątał się w gałęziach. Jej stopy nie dotykały ziemi, a prawo grawitacji zdawało się nie obowiązywać, bo inaczej ciało musiałyby przecież spaść na ziemię.

Ann Kathrin otrząsnęła się. Musiała uwolnić się od takiej wojerystycznej perspektywy i musiała zacząć patrzeć oczami komisarz policji kryminalnej. Kobieta była naga. Morderca pozostawił jej tylko lśniąca blond włosy na głowie, w innych miejscach była ogolona. Gładkie pasma okalały jej twarz jak aureola.

Kimkolwiek był — myślała Ann Kathrin — poświęcił wiele czasu, by ułożyć tę fryzurę. Dlaczego wiatr jeszcze nie zniszczył jego pracy?

Nie spodobało się jej, że dwóch młodych policjantów z Norden wpatrywało się w nieżywą kobietę z wyrazem zdumienia na chłopięcych twarzach. Ale nie miała im za złe, że się tak gapili. Chyba na każdym ten widok musiał zrobić wrażenie i właśnie to napawało Ann Kathrin strachem. To nigdy nie może trafić do prasy.

Nogi kobiety były szeroko rozłożone, ale nie tak, jak to się dzieje w przypadku przestępstw na tle seksualnym, lecz raczej jak u łyżwiarki figurowej, która skacze lekko niczym elf, by pokazać się sędziom od najlepszej strony. Jedna ręka kobiety była wyciągnięta na całą długość i wskazywała na słońce. Całe jej ciało było jakby skupione na jednym punkcie, do którego pragnęło dotrzeć: na niedostępnym punkcie, gdzieś wysoko w górze, ponad chmurami.

— Ona wygląda, jakby chciała wskoczyć na korony tamtych drzew za nami — odezwał się Weller.

Ann Kathrin pokiwała głową.

— Zadzwoń po Abła. Chcę, żeby sfotografował tu wszystko centymetr po centymetrze. Wszystko. Niech odejdzie na tyle daleko, by całość uchwycić w jednym kadrze. Muszę to mieć jak na mapie. Bo myślę, że zabójca chce nam coś powiedzieć.

Przez chwilę Weller miał poczucie, że padli ofiarą głupiego żartu. A może naprawdę uczestniczyli w jakimś programie typu „Uwaga, kamera!”. I możliwe, że właśnie dlatego zawiadomił ich ten typek z telewizji. Czyżby ostatnio wzięli się też za nabieranie policji kryminalnej? Obszar parku był na tyle duży i miał tyle zakamarków, że można było tutaj zainstalować dowolną liczbę kamer. Czy ta rzekomo nieżywa kobieta za chwilę się poruszy i roześmieje, jak te żywe rzeźby przed dworcem głównym w Hanowerze?

— Czy jesteście pewni, że ona nie żyje? — zapytał Weller stojących obok funkcjonariuszy.

— Nie oglądałeś jej jeszcze od tyłu — odpowiedział Paul Schrader.

Ann Kathrin podeszła bliżej i przeszył ją dreszcz, gdy zauważyła, że paznokcie u nóg kobiety są polakierowane na ten sam kolor, jakie miały kwiaty rododendronów i azalii, pomiędzy którymi zdawała się unosić zmarła.

Tymczasem Weller stanął z tyłu zwłok i zrozumiał, dlaczego Abel chciał rzucić pracę. Kobieta była nadziana na dobry tuzin stalowych prętów, które przytrzymywały ją w tym położeniu. W jej głowie, plecach, łokciach i zgięciach kolanowych — wszędzie tkwiły te srebrzyste włócznie.

Weller odwrócił się i potrząsnął pięścią w kierunku rododendronów, jakby to one były winne zbrodni.

Ann Kathrin podeszła do niego.

— Myślę, że wcale nie chcesz tego zobaczyć — powiedział i próbował ją powstrzymać, ale ona odsunęła go na bok.

— Nikt nie chce widzieć takich rzeczy. Ale taki mamy zawód — powiedziała.

Od kiedy mieli romans, nieustannie próbował ją chronić. Z jednej strony wzruszało to Ann Kathrin, z drugiej strony napawało lękiem, że Weller kompromituje ją przed kolegami z pracy.

Ale już po chwili musiała przyznać, że czegoś tak wstrząsającego rzeczywiście jeszcze nie widziała. W przeciwieństwie do swych kolegów nie poczuła się słabo, lecz zaczęła chłodno analizować całą sytuację, starając się zapisać w pamięci każdy szczegół. Obawiała się, że zdjęcia nie oddadzą tej sceny we właściwy sposób.

— Prokurator Scherer już dawno powinien tu być — odezwała się. — Chcę, by to zobaczył.

— Obawiam się — powiedział Weller — że nie możemy pozwolić, by ona dłużej tak tutaj wisiała, Ann...

— Park trzeba oczywiście zamknąć dla zwiedzających — powiedziała z naciskiem Ann Kathrin — ale niestety nie możemy jej teraz stąd zdjąć. Potrzebujemy specjalistów. Tutaj mogą być tysiące śladów, których nie widzimy. Materiał genetyczny i...

Jeśli chodzi o te wszystkie włócznie w plecach ofiary, Ann Kathrin odkryła, że jest tam zastanawiająco mało krwi. Całe miejsce zbrodni wydało się jej wręcz klinicznie czyste.

— Kimkolwiek był — zaczął snuć wnioski Weller — to po pierwsze, albo miał siłę niedźwiedzia, albo kilku pomagierów, a po drugie, miał bezgranicznie dużo czasu.

Ann Kathrin przyznała mu rację.

— Tak, sprawca z pewnością się nie spieszył. Przeznaczył mnóstwo czasu na każdy szczegół. Chciał nam ją zaprezentować właśnie w taki sposób. To było dla niego ważne. I niczego nie pozostawił na pastwę przypadku. Nawet światło słoneczne współgra z tą inscenizacją.

— Sądzisz, że w czasie deszczu cały ten wysiłek poszedłby na marne? — zapytał Weller i klepnął się w czoło. — Co to za morderca, który najpierw sprawdza prognozę pogody i zabija wyłącznie w przeddzień słonecznego dnia, żeby chmury nie popsęły policjantom estetycznych przeżyć, gdy ci już znajdą zwłoki.

— Nie wiem, co się dzieje w jego głowie — powiedziała Ann Kathrin — ale on ma jakiś plan. I nie będzie szczędził wysiłków, by go urzeczywistnić.



Ann Kathrin nigdy w życiu nie miała problemu z katarem siennym, ale nagle dostała napadu kichania, którego nie mogła powstrzymać. Wszystko ją rozboleło, tak gwałtowny był ten atak.

I właśnie wtedy Weller odkrył coś na drzewie, na które martwa naga kobieta zdawała się wskakiwać, wyłaniając się z krzewów rododendrona. W górze wisiała jakaś paczka opakowana w papier o łososiowym odcieniu, obwiązana złotą wstążką.

Weller skierował tam jednego z funkcjonariuszy, który zaczął się wdrapywać na drzewo na tyle niezgrabnie, że Weller najchętniej sam by tam wlaźł.

Paczka była wielkości aktówki — niezbyt ciężka i zapakowana jak prezent pod choinkę. Gdy Abel obfotografował ją ze wszystkich stron, znaleźli w środku odzież zmarłej — porządnie wypraną, wyprasowaną i złożoną. Poza tym portmonetkę z kwotą czterdziestu trzech euro dwudziestu jeden centów, kartę do banku Sparkasse Aurich-Norden i dowód osobisty. Kobieta nazywała się Mareike Henning, miała dwadzieścia cztery lata i mieszkała w Dornumersiel.

Ann Kathrin Klaasen dostrzegła reakcję Schradera na dowód osobisty i wykorzystując przerwę między kolejnymi napadami kichania, zapytała:

— Znasz zmarłą?

— O, tak.

— Służbowo?

Pokiwał głową.

— Tak. I obawiam się, że to nie będzie dla nas szczególnie przyjemna sytuacja.

— Dlaczego? Nie rozumiem — powiedziała Ann Kathrin. A potem kichnęła tak gwałtownie, że w oczach popękały jej naczynka, a Schrader zrobił krok w tył. Ann Kathrin zapytała:

— A co z nią jest nie tak?

Schrader przełknął ślinę, jakby szukał jakiejś wymówki. Ann Kathrin natychmiast zaczęła go odpytywać:

— Od razu poznałeś zwłoki, zgadza się? Dlatego stałeś przy wejściu jak ktoś, kto właśnie zaliczył kopniaka w podbrzusze.

Paul Schrader kiwnął głową.

— Tak, ale miałem nadzieję... miałem po prostu nadzieję, że się mylę.

Ann Kathrin pomyślała, że Schrader wygląda tak żałośnie, jakby właśnie narobił w spodnie.

— Co przez to rozumiesz? — zapytała.

— Ja... ja przyjąłem zgłoszenie, ale się nim nie zająłem. Ona twierdziła, że ktoś ją zastrasza... to znaczy, najpierw to była jakaś drobna słuczka, a potem... no właśnie...

— Co to ma znaczyć? Czy była to tylko słuczka, czy też ktoś jej groził?

— Najwyraźniej i jedno, i drugie. Muszę przyznać, że ona okropnie nas wkurzała. Cieszyłem się, że mam to wreszcie z głowy, bo tymczasem sprawa trafiła też do prokuratury.

— Dlaczego cię tak wkurzała?

— Ciągle do nas wydzwaniała, a potem przyszli jej facet i jej ojciec, i ech... — Schrader machnął ręką, jakby odganiał się od uciążliwej muchy.

Nie musiał już nic więcej mówić. Ann Kathrin domyślała się, w jakim kierunku zmierza ta opowieść. Ktoś groził Mareike Henning. Kobieta zwróciła się o pomoc do policji w Norden, pomocy jej nie udzielono, a teraz nie żyła.

Ann Kathrin Klaasen rzuciła Wellerowi tylko jedno spojrzenie, a on już trzymał w ręku komórkę i żądał od prokuratury dostępu do akt.

Gdy prokurator Scherer odziany w błękitny garnitur o połysku łazienkowych kafelków zjawił się na miejscu przestępstwa, Ann Kathrin i Weller byli już w drodze do Dornumersiel, by poinformować

krewnych ofiary.

WELLER NERWOWO skubał brodę. Prowadził samochód jedną ręką i walczył z coraz bardziej dręczącą potrzebą, by natychmiast zapalić papierosa. Zupełnie wykańczała go myśl, że zaraz będzie musiał wyjaśnić jakiemuś ojcu czy mężowi, co stało się z Mareike Henning. Nie pierwszy raz powiadał krewnych o śmierci ukochanej osoby. Ale ta sprawa to było jednak coś szczególnego. Przełknął ślinę.

— Ann, ale przecież nie chcesz chyba... chodzi mi o to... co my właściwie mamy im powiedzieć?

— Prawdę — powiedziała. — A co innego?

— Ja tego nie potrafię, Ann.

— No, unikając tych wszystkich drastycznych szczegółów, ale ponieważ ktoś zamordował Mareike Henning, naszym zadaniem jest dowiedzieć się, kto to zrobił i dlaczego. Z uwagi na ofiarę i jej krewnych możemy spróbować zataić szczegóły przed prasą i na pewno możemy zapobiec publikacji zdjęć. Nie uda się nam jednak przemilczeć faktów.

Weller poczuł się nieco urażony. Mówiła do niego jak do żółtodzioba. Czuł, że to on miał za zadanie przekazać wiadomość o śmierci. Musiał uważać, żeby w ich związku Ann Kathrin nie weszła mu na głowę. Nie chciał w jej oczach wyjść na słabeusza. Tak bardzo chciałby odgrywać rolę jej opiekuna, ale nie wiedział, jak zdobyć tę pozycję. Sprawiała wrażenie o wiele bardziej opanowanej od niego.

RODZINA HENNINGÓW mieszkała w nowym domu jednorodzinym niedaleko nadmorskiej grobli. Na wypielegnowanym klombie przed domem co najmniej setka tulipanów wyciągała do słońca swoje białe, fioletowe, czerwone i żółte główki. Górna połowa drzwi wejściowych wykonana była z mlecznego szkła. Ann Kathrin od razu zauważyła, że niedawno ktoś zamontował na nich dodatkowo żeliwną kratę. Nie zdążyła jeszcze zadzwonić, gdy w środku zaczął ujadać pies. Zanim przekręcono klucz w zamku, usłyszała, jak z drzwi zdejmowane są co najmniej trzy zabezpieczające łańcuchy. Najpierw dostrzegła tylko niewyraźny zarys potężnej sylwetki.

Drzwi uchyliły się, a wtedy zobaczyła Petera Henninga, ojca ofiary — mężczyznę o byczym karku. Niedawno dobił pięćdziesiątki, ale był już prawie łysy. Przytrzymał za obrożę owczarka. Pies szczekał i odsłaniał zęby. Ann Kathrin ani sekundy nie wątpiła, że pies rzuciłby się na nią, gdyby jego pan go teraz wypuścił.

Mężczyzna nieufnie przyglądał się Wellerowi i Ann Kathrin. Jedną nogą blokował drzwi, by nie wpuścić do środka żadnego niepożądanego gościa. Za jego plecami, na ścianie w przedpokoju, wisały lustra, w których Ann Kathrin dostrzegła, że obok drzwi stoi kij bejsbolowy.

— Nazywam się Ann Kathrin Klaasen. Jestem nadkomisarzem policji kryminalnej w Aurich. To mój partner, komisarz Frank Weller.

Peter Henning odezwał się, prawie nie otwierając ust, ale mimo to w jego głosie pobrzmiwała agresja.

— Aha, wreszcie się za to zabraliście? No, najwyższy czas!

Ann Kathrin zupełnie nie miała ochoty powiadać mężczyzny o śmierci córki, stojąc na dworze, w drzwiach domu, a równocześnie nie miała ochoty wchodzić do środka. Cała ta sytuacja mocno ją deprymowała.

Zastanawiała się właśnie, co powiedzieć, gdy Peter Henning wysyczał:

— Tylko nie myślcie, że wycofam skargę o niedopełnienie obowiązków! Płacimy uczciwie podatki i przestrzegamy prawa. Wolno nam chyba oczekiwać ochrony od państwa? Ostatnie tygodnie to był dla nas jeden wielki koszmar!

Pies zaczął drapać drzwi łapami. Pan Henning przyciągnął psa i mocniej chwycił obrożę, przyduszając

go.

— Kupiliśmy nawet tego agresywnego kundla, a ja najbardziej na świecie nienawidzę owczarków — złorzeczył.

— Proszę, niech pan zamknie psa w jakimś pomieszczeniu, żebyśmy mogli porozmawiać w spokoju — powiedziała Ann Kathrin.

Pan Henning kiwnął głową i zamknął drzwi, by spełnić prośbę Ann Kathrin. Zaprowadził psa do kuchni, gdzie ten nadal hałasował, ale przynajmniej Ann Kathrin i Weller byli teraz w bezpiecznej odległości od jego zębów.

Gospodarz powtórnie otworzył drzwi, a potem odwrócił się i poszedł do salonu. Teraz także Weller dostrzegł kij bejsbolowy stojący obok drzwi wejściowych oraz owe trzy łańcuchy, które zabezpieczały drzwi. Ktoś tutaj czuł się naprawdę zagrożony...

Ann Kathrin miała wrażenie, że meble w salonie były stanowczo za duże w stosunku do pomieszczenia. Trzy klockowate fotele i monstrualnie wielka pięcioosobowa kanapa otaczały drewniane koło od wozu, na którym zamocowana była szlifowana płyta z grubego, hartowanego szkła. Nad samym stołem wisiało jeszcze jedno koło od wozu, które z kolei przerobiono na lampę. W masywnej rustykalnej komodzie z litego dębu stały porcelanowe figurki, które służyły za podpórki do książek. Były to wyłącznie małe elfy i uskrzydłone aniołki o jasnych włosach. Wszystko tu lśniło czystością. Liście dwóch fikusów w rogu pokoju błyszczały jak polakierowane. Ann Kathrin wywnioskowała, że ktoś sprzątał tu bardzo porządnie i dbał o rośliny. Czyżby Mareike?

— Macie tego gnoja? — zapytał Peter Henning. — Czy ten koszmar już się skończył?

Ann Kathrin potrząsnęła głową.

— Nie, proszę pana. Bardzo mi przykro. Muszę przekazać panu smutną wiadomość...

Nie musiała nic więcej mówić. Mężczyzna od razu zrozumiał. Przez chwilę zachwiał się jak powalony ciosem bokser. Machając rękami, próbował złapać w powietrzu równowagę.

— Słabo mi — wydyszał, a potem nogi się pod nim ugięły.

Ann Kathrin i Weller podtrzymali tego stukilowego mężczyznę, starając się, by łagodnie osunął się na dywan i uniknął gwałtownego kontaktu z podłogą. Jego powieki drgały, a z ciastowatej twarzy odpłynęła cała krew.

Mężczyzna natychmiast chciał się podnieść i uparcie odrzucał pomoc Ann Kathrin i Wellera, ale zaraz znowu padł na kolana.

W kuchni pies z ujadaniem uderzył całym ciałem o drzwi.

Ann Kathrin dostrzegła uchylone drzwi do łazienki.

— Przyniosę panu szklanę wody — powiedziała i zniknęła w łazience.

Tylko na kilka sekund zostawiła Wellera samego z Peterem Henningiem. Weller podtrzymywał wtedy głowę mężczyzny.

Ann Kathrin przetarła oczy i dwa razy gwałtownie kichnęła. Mam ostatnio jakąś alergię — pomyślała i prawie się zawstydziła, jak gdyby alergja w tej sytuacji była zupełnie nie na miejscu.

Gdy wróciła z łazienki, Peter Henning klęczał właśnie na Wellerze i dusił go.

— Macie ją na sumieniu, bydlaki! Wszystkich was wykończę! Mnie i tak jest wszystko jedno! — rzeził Peter Henning.

Wellerowi było głupio, że Ann Kathrin musiała interweniować. Chwyciła Petera Henninga za prawą rękę, oderwała ją od szyi Wellera i wykręciła ją za plecami mężczyzny. Potem założyła mu kajdanki. Jeszcze nie zdążyła go skrupować, a już poczuła niesmak. Jak będzie wyglądało w raporcie, że oto musiała założyć kajdanki ojcu ofiary morderstwa w celu poinformowania go o śmierci córki?

Od razu przypomniała sobie słowa Paula Schradera: „Obawiam się, że to nie będzie dla nas

szczególnie przyjemna sytuacja”. Najwyraźniej wyraził się nazbyt oględnie.

Na prośbę Ann Kathrin komisarz Weller wyszedł przed dom, żeby ochłonać, i zapalił tam papierosa. Nie zamknął drzwi za sobą i przysłuchiwał się, jak Ann Kathrin pozwala na siebie wrzeszczeć. Była cierpliwą kobietą. Żaden policjant nie zniósłby tego. Ale Weller dokładnie znał jej metodę. Pozwalała się ludziom wygadać, a oni w ataku wściekłości zwykle bardzo się odsłaniali. Teraz, tak krótko po morderstwie, emocje się gotowały i były duże szanse, że ktoś wypaple rzeczy, które tak naprawdę wolałby zataić.

Jeśli tylko połowa informacji, którymi Henning zaatakował Ann Kathrin, była prawdziwa, to miał powody, żeby się wściekać. Podobno już na początku maja złożył zawiadomienie na komisariacie policji w Norden, że ktoś grozi jego córce.

— Już myślałem, że pracujecie dla rosyjskiej mafii! — wrzeszczał. — Komu z was smarują? Kto z was jest na ich liście płac?

— Ja w każdym razie nie — odpowiedziała Ann Kathrin tak spokojnie, jak tylko potrafiła — i mój współpracownik Weller też nie. Za niego mogę ręczyć głową. Którego z naszych pracowników pan podejrzewa? Komu smarują, jak ładnie się pan przed chwilą wyraził?

Henning parsknął i zaszurał stopą jak byk, który zaraz rzuci się do ataku. Przycisnął brodę do piersi i zezował na Ann Kathrin spode łba.

— To była wspaniała dziewczyna, moja Mareike. Anioł! A wy, wy rzuciliście ją na pożarcie! Złożyliście ją w ofierze!

— A co pana zdaniem powinniśmy byli zrobić?

Henning wybuchnął gorzkim śmiechem. Kępki włosów na skroniach odstawały mu teraz od głowy jak naelektryzowane.

— Powinniście ich zapuszkować! Przecież wszystko mieliście! Nazwiska, adresy, wszystko! Czego wam jeszcze było trzeba?

Weller przyglądał się barankom na niebie, które wiatr popychał w kierunku Holandii. Potem na chwilę przymknął oczy. Słońce przyjemnie grzało mu twarz, a on zastanawiał się, dlaczego właściwie pracuje w tym fachu. Co mu kazało zostać komisarzem policji? Dlaczego musi codziennie zajmować się takimi świństwami? Albo ludzkie brudy, albo papierkowa robota, niczego innego tu nie znajdziesz.

Roztarł sobie miejsce na szyi, na którym przed chwilą Peter Henning zacisnął palce, próbując go udusić. Gryzło go, że nie udało mu się samemu uwolnić z tego chwytu. A przecież Ann Kathrin bez większego wysiłku zapanowała nad Henningem. Straci dla mnie cały szacunek, jak tak dalej pójdzie — myślał Weller. Muszę jakoś przejąć inicjatywę w tym śledztwie.

Rzucił papierosa na ziemię i rozdeptał go na kamiennych płytkach. Zanim wrócił do środka, pochylił się i podniósł niedopałek. Nie chciał mieć do siebie pretensji o to, że na dodatek jest brudasem. Od kiedy miejsca dla palaczy także we Fryzji Wschodniej stały się coraz rzadsze, zaczął nosić przy sobie małą popielniczkę, w której chował niedopałki. Głupio się z tym czuł. Całe lata, a nawet dziesięciolecia bezmyślnie rozrzucał wokół siebie popiół i niedopałki — jak mewy, które rozrzucają swoje odchody na plaży. W ostatnim czasie palił papierosy z nieczystym sumieniem i czuł się winny, gdy ktoś trafił na dowody jego nałogu. Pojął, że tak właśnie czują się przestępcy, gdy usuwają ślady na miejscu zbrodni, by nikt ich nie nakrył.

Gdy wrócił do środka, Peter Henning, ciągle jeszcze z kajdankami na rękach, siedział w ogromnym fotelu obitym skórą, podczas gdy Ann Kathrin chodziła przed nim po pokoju. Trzy kroki, zwrot w tył, trzy kroki. Ten jej charakterystyczny chód dawał jej w czasie przesłuchania poczucie pewności.

— Wie pan, co mnie trochę dziwi? — powiedziała Ann Kathrin. — Jeśli pańska córka otrzymywała groźby od rosyjskiej mafii, to dlaczego nie zgłosił pan na policji faktu, że przez całą noc nie wróciła do

domu? Czy w ogóle martwił się pan o nią? Gdyby ktoś groził mojemu synowi, ja zawsze bym wiedziała, gdzie w danej chwili przebywa i...

Teraz sama uznała swoje porównanie za niestosowne i połknęła końcówkę zdania.

Henning podskoczył na fotelu jak ryba wyrzucona na brzeg i próbował przybrać wygodniejszą pozycję. Ale za każdym razem, gdy próbował wstać, Ann Kathrin nakazywała mu gestem, że powinien z powrotem usiąść. Jej energiczny sposób bycia deprymował go. Wobec Wellera był gotowy wpaść w szal, ale coś w pani komisarz przypominało mu jego matkę, której nigdy nie potrafił się sprzeciwić. To chyba właśnie jej surowe spojrzenie sprawiało, że czuł się jak uczeń podstawówki.

— Byłem przekonany, że jest bezpieczna — zajęczał. — Ona już tutaj nie mogła wytrzymać. Przecież bez swoich tabletek nie potrafiła zasnąć. W nocy gwałtownie się wybudzała, krzyczała ze strachu i... odwieźliśmy ją do jej przyjaciółki Silke.

— Odwieźliśmy? Czyli kto?

— No, Markus i ja. Markus to jej chłopak. Nie są małżeństwem, ale mieszkają razem, tutaj na górze.

— A gdzie teraz jest Markus?

Pytanie Ann Kathrin zaskoczyło Petera Henninga. Przygarbił się.

— On... on pojechał do Berlina, żeby... chciał sprawdzić, czy te typki faktycznie tam mieszkają.

— Jakie typki?

Henning zajęczał.

— Pani faktycznie nic nie wie o sprawie, prawda? Jest pani kompletnie ślepa. Chyba będzie lepiej, jeśli zadzwonię do mojego adwokata Hinrichsa. Musimy ratować Markusa, żeby i jego... — Głos zamarł mu w gardle.

— Zdejmę teraz panu kajdanki, a pan opowie wszystko po kolei. I nie będzie robił numerów.

Teraz odezwał się Weller:

— Stoję tutaj — powiedział z groźbą w głosie — i przy pierwszym fałszywym ruchu...

— Nie, proszę się nie martwić, ja... ja... O, Boże, niech mnie pan zrozumie! Nie chciałem pana skrzywdzić. Tylko w pierwszej chwili...

— Już dobrze — uspokoiła go Ann Kathrin. — Komisarz Weller nie złoży zawiadomienia o czynnym oporze stawianym funkcjonariuszom władzy państwowej czy coś w tym rodzaju. Po prostu zapomnimy o tym incydencie. Ale teraz porozmawiajmy rozsądnie. Niezależnie od tego, kto zabił pańską córkę, wszyscy chcemy go znaleźć.

Peter Henning zgodził się z tym i robił wrażenie, że podchodzi poważnie do tej prośby. Ale najpierw chciał zadzwonić do swojego zięcia *in spe*.

Ann Kathrin nie zgodziła się.

— Takiej wiadomości nie przekazuje się przez telefon. Jeśli teraz zadzwoniłby pan na jego komórkę, a on by akurat prowadził samochód, to nietrudno sobie wyobrazić, do czego by to mogło doprowadzić.

— On... on powinien już niedługo być z powrotem. Chciał tylko zerknąć, czy przy Markgrafenstrasse 13 rzeczywiście mieszka niejaki Piotr Sidorow.

— I z tego powodu pojechał do Berlina? — zapytał z niedowierzaniem Weller.

Peter Henning zacisnął prawą pięść. Knykcie na jego dłoni zbieleły. Weller stanął w pozycji, w której w razie konieczności mógł odparować cios. Ale Peter Henning tylko kilkakrotnie uderzył pięścią w podłokietnik fotela.

— No jasne! Gdybyście nam pomogli, wszystko byłoby prostsze.

Potem głos Petera Henninga załamał się od płaczu.

Ann Kathrin dobrze to знаła. Niektórzy ludzie na wiadomość o nagłej śmierci bliskiej osoby stawali się agresywni. Inni zaczęli się śmiać albo opowiadać o jakichś codziennych sprawach lub wręcz

włączali telewizor. Kiedyś była nawet świadkiem tego, jak ktoś wyjął swój sprzęt treningowy i zaczął ćwiczyć. Musi minąć czas, żeby wiadomość tego typu przeniknęła do ludzkiej duszy. Niektórzy dopiero po kilku dniach uświadamiają sobie stratę. A ojciec Mareike Henning właśnie teraz poczuł ten ból.

GDY CZYTAŁO SIĘ potem akta sprawy, wszystko wydawało się chłodne, rzeczowe, nieszczególnie spektakularne. Emocje już wyparowały, wszystko wchłonął papier. Ann Kathrin cieszyła się, że jest z powrotem w biurze z dala od nabrzmiałych emocji i że może teraz poświęcić się śledztwu w bardziej wyrównanym nastroju. Jej nos nadal wariował. Zużyła już drugą paczkę chusteczek higienicznych. Oczy jej łzawiły, a Weller dał jej do zrozumienia, że powinna już skończyć pracę.

— Masz tego po dziurki w nosie, Ann. — Uśmiechnął się. — Czas na fajrant. Bo inaczej, przez te setki nadgodzin, znowu będziesz musiała brać przymusowy urlop.

Zrobił podwójne *espresso*, ale Ann Kathrin odmówiła. Wypiła zamiast tego szklankę gorącej wody. Miała przeczucie, że to jej teraz dobrze zrobi.

Zgodnie z tym, co zawierały akta sprawy, wszystko zaczęło się zupełnie niewinnie. Mareike Henning wraz ze swoją przyjaciółką Silke Beewen w pewien niedzielny poranek pojechały na wycieczkę do Norddeich. Zaparkowały bezpośrednio przy grobli w pobliżu kawiarni Diekster Köken, żeby pospacerować nad morzem. Obok nich na parkingu stał czarny samochód marki Porsche. Gdy Mareike Henning wysiadała z samochodu, pojawił się właściciel porsche, niejaki Meuling, i zaczął krzyczeć na Mareike, że otwierając drzwi, uszkodziła jego samochód. Mareike Hennig zaprzeczyła, wskazując, że jego samochód nie ma żadnych widocznych uszkodzeń, że przecież nawet go nie dotknęła. Silke Beewen wszystko to poświadczyła. Obydwie kobiety odniosły wrażenie, że Meuling zachowuje się dość agresywnie, i zaproponowały w końcu, by wezwał policję, jeśli czuje się poszkodowany. Powiedziały, że policja bez wątpienia stwierdzi, że nie doszło do żadnego uszkodzenia. Po tych słowach Meuling odjechał.

Obydwie przyjaciółki poszły na spacer wzdłuż grobli, a gdy po niecałej godzinie wróciły na parking, na samochodzie Mareike Henning przyklejona była kartka z informacją, aby zadzwoniła do Dietera Meulinga z Duisburga i przedstawiła mu propozycję, w jaki sposób zamierza zapłacić za zaistniałą szkodę. Na kartce znajdował się numer komórki Meulinga.

Mareike Henning nie potraktowała tego poważnie. Tydzień później pojawiło się u niej dwóch funkcjonariuszy z Norden, gdyż Dieter Meuling zdążył już powiadomić o sprawie policję. Zgłosił, iż jego samochód został uszkodzony, pani Henning uciekła, ale on zapisał jej numer rejestracyjny. Policjanci przyszli do Mareike, gdyż złożono na nią doniesienie, że uciekła z miejsca zdarzenia.

Na szczęście tego wieczoru w domu przebywała także jej przyjaciółka Silke Beewen. Również Peter Henning był na miejscu.

Mareike Henning nieco rozbawiona stwierdziła, że ucieczkę z miejsca zdarzenia ma na sumieniu ten, kto odjeżdża, a nie ten, kto zostaje. Taka jest przecież definicja ucieczki. Powiedziała policjantom, że czarne porsche odjechało, a ona sama zostawiła na parkingu auto i poszła na spacer po grobli. A zatem nie może być mowy o ucieczce z miejsca zdarzenia.

Funkcjonariusze przyjęli jej wyjaśnienia do wiadomości i poprosili, by skontaktowała się z panem Meulingiem. Mareike Henning napisała więc do niego list, w którym raz jeszcze oświadczyła, że nie spowodowała żadnych uszkodzeń i dlatego nie ma zamiaru płacić odszkodowania. Wyraziła też oczywiście zdumienie, że pan Meuling nasłał na nią do domu dwóch funkcjonariuszy policji.

Kilka dni później Mareike Henning otrzymała z Duisburga list od pana Meulinga, w którym żądał on, by wpłaciła na jego konto dwieście sześćdziesiąt euro, co załatwi kwestię odszkodowania.

Kobieta odmówiła. Następnie otrzymała z Berlina list polecony, którego nadawcą był niejaki Piotr

Sidorow zamieszkały przy Markgrafenstrasse 13, w dzielnicy Berlin Mitte, kod pocztowy 10117. W liście pan Sidorow określił się mianem windykatorka i napisał, iż w razie nieuiszczenia wpłaty Mareike Henning może „z niezbitą pewnością” oczekiwać, iż dalsza komunikacja między nimi będzie przebiegać w języku, który ona wreszcie zrozumie. Wpłata miała zostać uiszczona do piętnastego kwietnia. W liście podany był numer konta pana Meulinga z Duisburga. Charakterystyczne było to, że Sidorow nie napisał swojego listu na papierze firmowym biura windykatorkyjnego, a także i to, że się nie podpisał.

Z tym listem poleconym pani Henning udała się natychmiast na komisariat policji w Norden przy Am Markt 10. Zawiadomienie o groźbach karalnych i próbie wymuszenia przyjął wówczas komisarz Schrader. Kilka dni później Schrader przekazał sprawę koledze Jürgenowi Harmsowi z biura śledczego. On z kolei skierował ją do prokuratury w Aurich.

Z wewnętrznej notatki policyjnej wynikało, że Mareike Henning, jej narzeczony oraz jej ojciec w regularnych odstępach czasu dzwoniли na komisariat, żeby dowiedzieć się od Schradera, jak toczy się postępowanie. Schrader nie reagował na ich prośby, informując tylko, że jeśli chcą się czegoś dowiedzieć, muszą wziąć adwokata, bo tylko on może zażądać wglądu w akta.

Szczególnie pani Henning pragnęła się dowiedzieć, czy w Berlinie rzeczywiście mieszka rzeczony pan Sidorow i czy jest to jakiś notowany zabijaka. Kobieta próbowała ocenić, do jakiego stopnia ta sytuacja jest dla niej groźna.

Tymczasem minął wyznaczony termin piętnastego kwietnia, a śledztwo nie ruszyło do przodu. Prokuratura w Aurich przekazała sprawę do Berlina do dalszego rozpatrzenia.

W dokumentach znajdowało się sprawozdanie z odbytych czynności opatrzone nagłówkiem komendanta policji z Berlina z dnia dwudziestego pierwszego kwietnia. Wtedy termin, jaki otrzymała pani Henning, był już niemal przekroczony o tydzień. Ann Kathrin potrząsając głową z niedowierzaniem, odczytała Wellerowi sprawozdanie z Berlina:

— „W dzielnicy Berlin-Mitte (kod pocztowy 10117) nie odnotowano adresu Markgrafenstrasse 13. W dzielnicy Berlin Kreuzberg (kod pocztowy 10969) znajdują się numery od 12 do 14 rzeczonyj Markgrafenstrasse, która rozpoczyna się w dzielnicy Berlin-Mitte. Zgodnie z przeprowadzonym w dniu wczorajszym dochodzeniem chodzi tutaj o budynek biurowy. Nie znaleziono w nim żadnych śladów działalności biura windykatorkyjnego czy osoby o nazwisku Piotr Sidorow. Zgodnie z zebranyj wywiadem zarządcą budynku jest firma Delta-Lloyd-Immobilien z siedzibą przy Lietzenburger Strasse 51 (10789 Berlin). Z powodu urlopu upoważnionej referentki osobą kontaktową firmy jest pracujący na miejscu dozorca. Pan Bauer w rozmowie telefonicznej poinformował funkcjonariusza, że w rzeczonym budynku nie działa żadne biuro windykatorkyjne i żaden pan Sidorow nie jest mu znany. Także w biurze meldunkowym aglomeracji berlińskiej nie udało się znaleźć osoby o nazwisku Piotr Sidorow. W tej sytuacji całą dokumentację sprawy ponownie skierowano do prokuratury w Aurich”.

Weller sączył swoje *espresso*.

— No, tak. A czego się spodziewałaś? Oczywiście, że ten Sidorow nie istnieje. Albo Meuling go wymyślił, żeby wyrzucić presję na panią Henning, albo...

Ann Kathrin przetarła twarz ręką i ciężko westchnęła.

— ...albo też ci panowie robią to regularnie. Tylko pomyśl. To jest naprawdę dochodowy interes. Jeżdżą drogim sportowyj wozem do miejscowości obleganych przez turystów, zaczajają się w pobliżu i tylko czekają, aż ktoś koło nich zaparkuje. Wdają się z nim od razu w kłótnię i oskarżają go o uszkodzenie samochodu. Kto nie jest gotowy zainwestować parę euro, żeby mieć taki kłopot z głowy? Gdy ludzie chcą zadzwonić po policję, on oczywiście zaraz znika, bo przecież auto nie ma żadnych uszkodzeń i cała sprawa nie powinna być odnotowana przez policję. A kto nie zapłaci na miejscu, dostaje

od niego list. Znam mnóstwo ludzi, którzy przeleją pieniądze, dlatego że ktoś im zagroził pobiciem. To wszystko to nic innego jak zwykły szantaż, a wszczynanie spraw o rzekome uszkodzenia samochodu służy temu, żeby tego Meulinga nie można było od razu aresztować za szantaż i wymuszenie. Chce po prostu zrobić wrażenie, że dochodzi swoich praw.

Weller odstawił filiżankę i podjął tok myślenia Ann Kathrin:

— Wyobraź sobie — powiedział — że oni to robią dziesięć razy dziennie. Przy kwocie dwieście sześćdziesiąt euro robi się z tego suma dwa tysiące sześćset. To więcej, niż ja zarabiam w miesiącu.

Ann Kathrin wstała i zaczęła chodzić tam i z powrotem.

— To całkiem cwane z ich strony, że nie żądają kilku tysięcy euro, bo wtedy każdy wzięłby sobie adwokata i zaczął walczyć. A tak jest to kwota, którą można jeszcze przeboleć. I najważniejsze, że ma się kłopot z głowy.

— A potem? — zapytał Weller. — Myślisz, że ona została nadziana na pręty w parku zamkowym, bo nie zapłaciła? Miała służyć jako odstrasżający przykład dla innych? Dlaczego po prostu jej nie pobili?

Ann Kathrin ściągnęła wargi i spróbowała oddychać nosem. Słyszała już wcześniej o brutalnych metodach tak zwanych moskiewskich windykatów. To są zwykłe bandziory. Ale jak to się ma do sprawy z parku?

— Nie możemy lekceważyć faktu, że otrzymywała groźby i wpłynęło do nas zawiadomienie. Myślę, że na pierwszy ogień pójdzie ten cały Meuling z Duisburga.

Weller już sięgał po telefon, żeby zadzwonić do kolegów w Duisburgu, ale prawidłowo odczytał spojrzenie Ann Kathrin. Chciała tego uniknąć.

— Nie powtórzymy znowu tego samego błędu i nie będziemy się teraz bawić w formalności.

Weller odłożył telefon i przysunął do siebie akta z biurka Ann Kathrin.

— Koledzy z Duisburga na pewno już byli u Meulinga i przesłuchali go. Gdy okazało się, że w Berlinie nie ma żadnego Sidorowa, musieli przecież zająć się Meulingiem. Najwyraźniej to on sam napisał ten list. W każdym razie, jeśli ktokolwiek zna miejsce pobytu Sidorowa, to musi to być on.

— I właśnie — odpowiedziała Ann Kathrin — nic w tej sprawie nie zostało zrobione.

— Teraz już rozumiem, dlaczego Schrader był taki rozbity. Jeśli ktoś to odkryje, wyjdziemy na ostatnich...

— Jest jeszcze gorzej — przerwała Wellerowi Ann Kathrin. — Musisz przejrzeć końcówkę dokumentacji. Pani Henning wzięła adwokata. Na marginesie — znam go. Nazywa się Hinrichs. Trzykrotnie zażądał wglądu do akt i w swoich listach do prokuratury wyraża głębokie zdziwienie, dlaczego ta nie podejmuje już żadnych działań. Prosi także, by potraktowano poważnie obawy jego klientki.

Ann Kathrin stanęła teraz za Wellerem i kartkowała leżące przed nim akta. Zatrzymała się przy żółtym papierze opatrzonym nagłówkiem firmy Kirsch & Hinrichs i niebieską pieczętą „Odpis”.

— „Na polecenie naszej klientki raz jeszcze próbowaliśmy otrzymać informację, czy doszło do przesłuchania pana Meulinga, o które zabiegaliśmy. Nasza klientka jest bardzo zainteresowana, czy prokuratur z należytą starannością poświęca uwagę sytuacji, którą ona odczuwa jako zagrażającą jej życiu, czy też złożone przez nią zawiadomienie o przestępstwie nie jest traktowane poważnie. Niniejszym uprzejmie prosimy albo o kontynuację dochodzenia, albo o krótką informację, jakie środki zostały podjęte. Nasza klientka uległa tymczasem wywieranej na nią presji i przesłała czek do pana Meulinga, który on już zrealizował. Uczyniła to nie dlatego, że uznała, iż ma on podstawy prawne, lecz wyłącznie po to, by uniknąć zagrożenia dla zdrowia i życia”.

— Cholera — powiedział Weller i zatrzasnął akta. — Tkwimy w tym po uszy, Ann.

Spojrzała na niego, walcząc z przymusem kichnięcia.



— I co teraz?

— Teraz najpierw zrobimy fajrant. Dziecko już wpadło do studni. Już go stamtąd nie wyciągniemy — chyba że martwe.

Ann Kathrin rozpoznała po jego minie, co miał na myśli. Chociaż sytuacja wydawała mu się okropna, jedna rzecz cieszyła go w całej tej historii — to prokurator Scherer był odpowiedzialny za całe partactwo.

Między Schererem a Wellerem od wielu lat narastał konflikt. Nikt już nie był w stanie dokładnie powiedzieć, jak się to zaczęło. Może przyczyną był nazbyt mentorski sposób bycia Scherera, który budził rozdrażnienie Wellerera. Bo Scherer przypominał Wellerowi jego ojca, a Weller zbyt długo cierpiał z powodu prymitywnych metod wychowawczych. W jego aktach była nawet notatka, że ma problem z uznawaniem autorytetów.

Ann Kathrin i Weller właśnie mieli wychodzić z biura, gdy otrzymali zawiadomienie, że mają gości. Markus Sassen, partner życiowy Mareike Henning, zgłosił się na dole w recepcji, prosząc o rozmowę z komisarz prowadzącą postępowanie.

Weller nie miał ochoty na to spotkanie. Nalegał, by Ann Kathrin przełożyła rozmowę na późniejszy termin.

— Wszystko w swoim czasie. W ciągu dnia jest czas pracy i jest czas, który ludzie nazywają „czasem wolnym”. Te dwa czasy zasadniczo się od siebie różnią.

A potem rzucił jeszcze kilka mądrości w stylu: „Co się odwlecze, to nie uciecze”.

Ann Kathrin obiecała mu, że jej rozmowa z Markusem Sassenem będzie krótka.

W restauracji Backstube w Norden przypadał akurat dzień pizzy. Można było kupić wielką pizzę w cenie małej. A pizzę mieli tam naprawdę pyszną, podobnie jak poncz na bazie Altbier<sup>2</sup>. Weller uwielbiał atmosferę tego starego, powszechnie znanego lokalu.

Chciał zabrać tam dzisiaj Ann Kathrin. W tej restauracji mogli spokojnie zajrzeć głębiej do butelki, bo stamtąd było niedaleko do tak zwanej Dzielnicy Zbożowej, w której Ann Kathrin mieszkała przy Distelkamp 13.

Weller na dobrą sprawę już się do niej przeprowadził. Swoje mieszkanie w Aurich trzymał jeszcze tylko *pro forma* i w gruncie rzeczy każdego miesiąca wściekał się, że musi za nie płacić czynsz. Te trzysta pięćdziesiąt euro mógłby spożytkować inaczej. Ale Ann Kathrin nie była jeszcze gotowa na oficjalne ogłoszenie ich związku. A może, jak obawiał się Weller, ciągle jeszcze miała nadzieję, że wróci do niej jej mąż Hero. Weller miał Hero Klaasena za kompletnego idiotę. Trzeba być naprawdę nienormalnym, żeby zostawić taką kobietę — myślał.

Ann Kathrin uznała, że rozmowa z Markusem Sassenem w biurze czy też wręcz w pokoju przesłuchań byłaby niestosowna. Na górze w budynku inspektoratu policji mieli specjalne pomieszczenie do przesłuchań dzieci. Wyglądało ono jak zwykły pokój z kącikiem do zabawy. To tutaj dzieci opowiadały o wypadkach molestowania, a zgwałcone kobiety znajdowały bezpieczną przestrzeń, by złożyć zeznania. Było to z pewnością najlepsze miejsce w inspektoracie policji, gdy chciało się porozmawiać z krewnymi ofiar przestępstw. Mimo to Ann Kathrin nie czuła się tu dobrze wśród wielu ludzkich dramatów, które jakby wsiąknęły w tapety na ścianach. Łzy maltretowanych żon, bezgłośnie łkanie skrzywdzonych dzieci — wszystko to zasnuwało pomieszczenie jak pajęczyna czy mgła. Za każdym razem wchodząc do tego pokoju, mimowolnie otwierała okno.

Na czerwonym dywaniku z wzorkiem w znaki drogowe leżała lalka. Na jej widok Ann Kathrin przypominała sobie dziewczynkę, która dusząc tę lalkę, pokazywała policjantce, jak zabito jej mamę.

Dziwne, ale w tym pomieszczeniu na ostatnim piętrze budynku Ann Kathrin przestał męczyć katar sienny. Niezależnie od tego, jaki czynnik wywołał u niej reakcję alergiczną, tutaj go nie było. Doszła do

wniosku, że na pewno nie jest uczulona na kurz, bo dywany w tym pokoju już dawno nie widziały odkurzacza.

Markus Sassen miał krótkie włosy i mądre oczy. Jego usta wydały się Ann Kathrin nieco za duże, prawie dziewczęce. Jabłko Adama cały czas podrygiwało nerwowo w górę i w dół. Miał na sobie dżinsy, bawełnianą koszulę i brązową skórzaną kurtkę.

Poinformował panią komisarz, że dopiero co wrócił z Duisburga. Chciał tam dopaść tego bydlaka. Jego głos prawie przeszedł w falset, a wszystkie emocje teraz znalazły ujście. A Ann Kathrin nawet nie zdążyła mu się jeszcze przedstawić.

Weller położył nowy cyfrowy dyktafon na stole i włączył urządzenie. Zapaliło się czerwone światełko. Ten czuły sprzęt nagrywał wszystko, co zostało powiedziane w tym pomieszczeniu, i wcale nie trzeba było mówić prosto do mikrofonu.

Właściwie to Weller najpierw powinien poprosić o zgodę na nagrywanie Markusa Sassena, ale wiele z tych rozsądnych reguł czy przepisów okazywało się kompletnie nieprzydatnymi w konkretnej sytuacji.

Markus Sassen dopiero co dowiedział się o śmierci swojej przyjaciółki i natychmiast przyjechał do Aurich. Petera Henninga nazywał swoim teściem i oświadczył, że swojego smutku nie utopi jak tamten w alkoholu.

— Czy już go aresztowaliście? — zapytał.

— Kogo? — odpowiedziała pytaniem Ann Kathrin, ale oczywiście domyślała się odpowiedzi.

— No, Meulinga, tego bydlaka! A kogo innego? Właśnie u niego byłem. Chciałem wziąć go na spytki, ale nie zastałem go w jego willi.

Słowo „willa” Markus Sassen wymówił z taką pogardą i drwiną, że przed oczami Wellera stanął tandetny luksusowy budynek, którym jakiś nowobogacki chce szpanować przed całym światem. Do tego Weller wyczuł w tych słowach zawiść, jakby Sassen zazdrościł temu typkowi pieniędzy. Zapewne sam marzył, że będzie kiedyś bogaty, ale nie miał na to żadnych widoków.

Ann Kathrin zupełnie inaczej zinterpretowała drwinę w słowach Sassena. Najwyraźniej Dieter Meuling mieszkał w czymś, co było całkowitym przeciwieństwem willi. Ann Kathrin wyobraziła sobie podupadłe mieszkanie socjalne w okolicy, w której czarne porsche było zupełnie nie na miejscu.

— Ale proszę mi wierzyć — groził Markus Sassen — że ja go dopadnę. I wtedy go rozwalę! Powinienem był to zrobić już kilka tygodni temu. Co za idiota ze mnie...

Mężczyzna stał zwrócony plecami do ściany i kilka razy uderzył w nią potylicą. Rozległ się głuchy dźwięk i już na sam widok można było poczuć ból. Ale jemu było to najwyraźniej obojętne.

— Po co pojechał pan do Duisburga? Pański teść powiedział nam, że pojechał pan do Berlina, żeby sprawdzić, czy istnieje tam Markgrafenstrasse.

Sassen machnął ręką.

— Ale gdzie tam! Tam byłem już dwa tygodnie temu. Wasi koledzy nie byli przecież w stanie czegoś takiego sprawdzić. Gdy od waszych dzielnych kolegów z Berlina dowiedzieliśmy się, że nie istnieje adres Markgrafenstrasse 13, już dawno o tym wiedzieliśmy. Myśli pani, że cztery tygodnie siedzieliśmy beczynnym sparaliżowani śmiertelnym strachem? Wie pani, ile rzeczy próbowaliśmy zrobić? Najpierw zadzwoniłem na pocztę. Pomyślałem, że powiedzą mi, skąd wysłano ten list — z Berlina czy Duisburga. Ciągłe mieliśmy nadzieję, że list z groźbami wyszedł z Duisburga i był to tylko bluff Meulinga. Ale na poczcie powiedzieli mi... — Sassen klasnął ze złością w dłonie — że to wbrew ustawie o ochronie danych osobowych. I że oni muszą chronić swoich klientów, bo mają zobowiązanie wobec nadawcy, a nie wobec odbiorcy. Tak, tak to właśnie sformułowali. Czy to nie śmieszne? Przecież wcześniej na znaczkach pocztowych przystawiano pieczętkę i wtedy można było dokładnie zobaczyć, gdzie nadano list. I to nie było wbrew ustawie o ochronie danych. Teraz przecież też naklejają na listach taki cyfrowy

znaczek, więc można odczytać kod i dowiedzieć się, gdzie to nadano. Te typki z poczty zupełnie mnie olały.

— Ale — wtrącił się Weller — przecież w Internecie można sprawdzić, gdzie jest przesyłka.

— Tak, tak. — Sassen pokiwał głową. — Można to zrobić jako nadawca. Bo wtedy zna się ten kod. Czy myśli pan, że nie próbowałem tego zrobić? Wszystkiego próbowałem, żeby uspokoić Mareike. Przecież wtedy myśleliśmy, że ona po prostu panikuje, i nie chcieliśmy, żeby się za bardzo denerwowała. Byliśmy takimi samymi dupkami jak wy. A to ona miała rację. I teraz nie żyje...

— A pan myśli, że to był Meuling albo Sidorow? — dopytywał się Weller.

— A kto inny? — zapytał Markus Sassen z takim szaleństwem w oczach, jakby za chwilę miał się rzucić na Wellera.

Weller cofnął się o krok i mimowolnie przysunął rękę do swojej broni służbowej. Nie umknęło to Ann Kathrin, która spojrzała na Wellera z naganą. Ten zawstydził się i poczuł jak durny młokos. Nie wiedział, gdzie podziąć ręce. Być może ten Sassen kłamie i rzeczywiście wrócił z Berlina, tak jak mówił im wcześniej jego teść *in spe*. Może odkrył już prawdziwą tożsamość tego Sidorowa, a przynajmniej miejsce jego pobytu, i już go załatwił?

Ta myśl niemalże ucieszyła Wellera. Człowiek, który zabił Mareike Henning, nie powinien ani minuty dłużej przebywać na wolności. A Sassen z pewnością dostałby nadzwyczajne złagodzenie wyroku, jeśli Sidorow już nie...

Ann Kathrin zapraszającym gestem wskazała Sassenowi wygodny fotel, ale on zamiast tego chwycił dziecięce krzeselko i usiadł na nim okrakiem.

Bała się, że zaraz wyłamie cienkie oparcie, bo tak mocno zaciskał na nim palce, gdy mówił.

— Gdy w końcu dowiedzieliśmy się, że w Berlinie nie ma adresu Markgrafenstrasse 13 i że nie ma tam ani Sidorowa, ani jego biura windykacyjnego, pomyśleliśmy, że wszystko będzie dobrze, a ten Meuling to zwykły piniacz. Ale potem...

Jego twarz wykrzywił grymas, a wydatne wargi zaczęły drżeć. Skoczył na równe nogi i znowu stanął pod ścianą, jak gdyby chciał wpełznąć pod tapetę.

Ann Kathrin miała ochotę przytulić tego młodego człowieka, ale powstrzymała się. Przypominał trochę jej syna Eike. Bo gdy tamten też nie wiedział, jak sobie z czymś poradzić i wpadał w rozterkę, to właśnie tak samo wyglądał — bezradny, zrozpaczony i wściekły.

— ...ten bydlak usiłował ją uprowadzić.

Weller był jak rażony prądem. Spojrzał na Ann Kathrin, ale ona nie odwzajemniła jego spojrzenia. Była całkowicie skoncentrowana na Markusie Sassenie.

— Nic o tym nie było w aktach.

— W aktach? Ciągle jeszcze pani wierzy w akta?

Ann Kathrin wykonała pojednawczy gest i powiedziała rzeczowym tonem, który zarazem był delikatny:

— Proszę, niech nam pan o tym opowie! Co się wtedy wydarzyło?

— Wracala z zajęć tańca jazzowego. Nie wyjechałem po nią. Nigdy sobie tego nie wybaczę. Na drodze Accumer Riege w Dornum wyprzedził ją volkswagen bus. Kierowca nagle zahamował, stanął w poprzek drogi, próbował ściągnąć ją z roweru i zaciągnąć do busa. Ale źle trafił, bo ona potraktowała go gazem pieprzowym. — Markus Sassen sięgnął do kieszeni swojej skórzanej kurtki i wyjął z niej puszkę sprayu. — Kupiłem jej taką. Nie wychodziła bez niej z domu. Nawet nie podchodziła bez niej do drzwi, gdy ktoś dzwonił.

— A potem? Zadzwoiła na policję? Zna pan numery rejestracyjne busa?

— Nie. — Sassen potrząsnął głową. — Wpadła w panikę i uciekła stamtąd. Na piechotę. Potem pojechałem z nią w to miejsce i zabraliśmy rower.

— I wtedy postanowił pan pojechać do Duisburga i złożyć wizytę Meulingowi?

— Najpierw zawieźliśmy ją do przyjaciółki, żeby była bezpieczna. Napastnik musiał ją wcześniej obserwować. Wiedział przecież, że wracała z treningu, i domyślał się, którędy będzie jechać. Napadł ją niecałe pół kilometra od domu. Wtedy postanowiliśmy porozmawiać z Meulingiem, ale nigdy nie można się było do niego dodzwonić, ciągle włączała się automatyczna sekretarka. Nagrałem mu wiadomość i napisałem list. Co to ma być, do cholery, napisałem. I dlaczego nie zostawi jej pan w spokoju? Przecież już zapłaciliśmy ten haracz.

— To rzeczywiście jest dziwne — odezwał się Weller. — W końcu ten przyjemniaczek już dostał to, co chciał. Dlaczego próbował ją uprowadzić? Po co?

Ann Kathrin rzuciła mu gniewne spojrzenie. Nie lubiła, gdy wchodził świadkom w słowo. Przecież Markus Sassen tak czy tak powie im wszystko, czego chcą się dowiedzieć. Muszą mu tylko pozwolić mówić. Miał przecież ogromną potrzebę wygadania się, a ona nie chciała, żeby Weller przerywał mu pytaniami i wybijał go z rytmu.

Weller od razu zrozumiał. Zawsze popełniał ten sam błąd. Trzeba dać się ludziom wygadać. Ile razy Ann Kathrin wbijała mu to do głowy: „Daj im mówić! Świadkom, sprawcom, ofiarom. Oni wszyscy chcą mówić. I nawet jeśli będą kłamać, to za tym wszystkim kryje się prawda. A jeśli będzie się bardzo uważać, to można tę prawdę wyłuskać”.

Sassen popukał się w czoło. Weller nie oburzył się, że tamten ma go za głupka. To też było częścią gry. Świadek musiał dać upust swoim emocjom.

— Mogę panu powiedzieć po co! — ryknął. — Bo złożyliśmy na niego donos! On oczywiście bał się prokuratury! — Teraz Markus Sassen gorzko się roześmiał. — A tymczasem ci w Aurich grali sobie w mikado dla urzędników.

— A jak się w to gra? — zapytał Weller i od razu poczuł się głupio, że znowu przerwał świadkowi.

— No, przegrywa ten, kto pierwszy wykona jakiś ruch — wyjaśnił drwiąco tamten. — Na sto procent chodziło o nasze zawiadomienie. Powinniśmy je byli wycofać. — Teraz Markus Sassen rozłożył ręce i wyciągnął dłonie przed siebie, jakby na dowód swojej niewinności. Potem wzniosł ręce, jakby chciał błagać bogów o wybaczenie. — Przecież ona chciała wycofać to zawiadomienie. Chciała tylko, żeby wszystko się wreszcie skończyło. Ale mój teść i ja — my nie chcieliśmy tego tak zostawić. Uważaliśmy, że przecież tak nie można. Gdzie my żyjemy? Czuliśmy się kompletnie zlekceważeni. Po prostu nie chcieliśmy robić za ofiary. Ale gdybyśmy jej posłuchali i wycofali to zawiadomienie...

— Uważa pan, że pana przyjaciółka teraz by żyła — dokończyła Ann Kathrin.

Markus Sassen kiwnął głową, a potem się rozpłakał.

— Ja też przecież chciałem, żeby to się skończyło, żebyśmy znowu mogli prowadzić normalne życie. Wcześniej wszystko było naprawdę super. Dobrze nam było razem, a teraz wszystko kręciło się wokół tego gówna. Mareike nie mogła normalnie spać, brała tabletki, zapuściła się. O seksie w ogóle już nie było mowy. Chodziło tylko o Meulinga i Sidorowa. Czy ten drugi istnieje? Co robi ten pierwszy? Czego od nas żąda? Co zrobiliśmy źle? Dlaczego policja nic nie robi? Myśleliśmy wręcz, że wy wszyscy jesteście w zмовie. Ale to przecież bez sensu. I wtedy pojechałem do Duisburga, żeby z nim porozmawiać. Ale go nie zastałem. Albo mi nie otworzył. Mam nadzieję — powiedział Markus Sassen, a w jego wielkich ustach widać było nitki śliny — mam nadzieję, że dostanie dożywocie.

GDY WELLER I ANN KATHRIN weszli do restauracji Backstube, znaleźli tylko jeden wolny stolik, przy piecu. Pachniało pizzą, piwem i mocnym sznapsem.

Ann Kathrin zjadła tylko pół pizzy z tuńczykiem, a Weller zamówił sobie *quattro stagione* z dodatkową cebulą. Pocił się i dopijał właśnie trzecie piwo Altbier, podczas gdy ona ciągle jeszcze popijała

pierwsze. Połówka jej pizzy uśmiechała się do niego zachęcająco. Ann Kathrin podsunęła mu swój talerz:

— Proszę. Ja już naprawdę nie dam rady.

Weller co chwilę spoglądał na zegarek. Spodziewał się kogoś. Zaczęło to śmieszyć Ann Kathrin.

— Zwykle o tej porze już tu jest — odezwał się Weller. — Też lubi pizzę i potrafi bez trudu zjeść dwie duże.

— Ale kto taki?

— Kolega z klasy. Jest malarzem.

— Ma takie siwe włosy do ramion? — zapytała Ann Kathrin. — I brodę?

— Tak, właśnie tak. — Weller pokiwał głową.

Ann Kathrin uśmiechnęła się.

— I czy wygląda jak człowiek, który właśnie skończył strajk głodowy? I ma takie bardzo długie, cienkie palce?

— Tak — powiedział Weller — ale skąd go znasz?

Ann Kathrin postanowiła jeszcze trochę potrzymać Wellera w niepewności.

— I pali skręty? Z takiego perfumowanego czarnego tytoniu o zapachu palonych opon...

— Tak, Ann, ale...

Dziwiła się, że Weller sam na to nie wpadł. Ale najwyraźniej w chwili, gdy wszedł do lokalu, tożsamość komisarza policji zostawił w szatni i zatracił zdolność dedukowania i wyciągania logicznych wniosków.

— Siedzi na dworze — powiedziała Ann Kathrin — w ogródku piwnym. I maluje jakiegoś grubego, pyzatego jegomościa, z którego radość życia wręcz tryska.

Weller natychmiast się podniósł i wyszedł do ogródka. Obaj mężczyźni przywitali się serdecznie, ale Zimmermann rozmawiając z Wellerem, dalej malował. Węgiel szybko przesuwiał się po papierze. Weller przyglądał się z fascynacją, jak z tych szybkich kresek wyłania się twarz. Była podobna do twarzy modela, a równocześnie wyglądała bardzo dla niego pochlebnie.

— Zaraz będę gotowy — zaśmiał się Zimmermann, a własnoręcznie skręcony papieros w rozmiarze jointa zachybotał między jego wargami.

Podpisał portret i pokazał go swojemu klientowi. Ten bardzo się ucieszył i był gotowy nie tylko zapłacić umówione trzydzieści euro, lecz również uregulować rachunek za czerwone wino i wodę mineralną Zimmermanna.

— Masz to? — zapytał Weller.

— Oczywiście — odpowiedział Zimmermann i przewrócił oczami na znak, że wyszło świetnie.

— Chodź, możesz jej to zaraz pokazać — powiedział Weller, ale Zimmermann się wahał.

— Jeśli ona jest tutaj, to może powinienem ją raczej narysować z natury?

— Ale przecież dostałeś zdjęcie?

Zimmermann wstał i pociągnął Wellera za sobą w kierunku toalety. Potem schował się z nim w kącie i szepnął:

— Myślałem, że chcesz całkiem specjalny portret. Sam przecież powiedziałeś: to ma być coś specjalnego!

— No tak, żeby uchwycić jej charakter i jej...

Zimmermann otworzył swoją teczkę i Weller zamarł. Malarz nie tylko sportretował twarz Ann Kathrin, lecz namalował ją całą. Tyle że naga.

Obraz był cudowny i bardzo pochlebny dla portretowanej, ale Weller nie miał wątpliwości, że Ann Kathrin zareaguje oburzeniem. Serce zaczęło mu bić coraz mocniej, a on sam szukał odpowiednich słów.

Zimmermann zauważył, że Weller ma zastrzeżenia, i próbował go uprzedzić.

— Otoczki brodawek na jej piersiach są za duże, prawda?

— N...nie — wyjąkał Weller, ale Zimmermann obstawał przy swoim.

— Od razu tak sobie pomyślałem. Powiedziałaś, że są trzy razy większe niż u Renate. I wydało mi się to mocno przesadzone. A w końcu twoją była malowałem kilka razy. I w przeciwieństwie do twojej nowej kobiety pozowała mi do obrazu. Zresztą uwielbiała to robić...

— Nie chodzi o piersi — odparł Weller. — Nie możemy jej pokazać tego obrazu w takim kształcie. Nie zamawiałem czegoś takiego.

Zimmermann od razu podniósł ręce w obronnym geście.

— Nie ma sprawy. Naprawdę. Nie musisz za to płacić. Nie zrozumieliśmy się. W końcu mnóstwo facetów zamawia u mnie portrety swoich ukochanych. I naprawdę nie wszyscy zamawiają akty.

— Portret jest naprawdę wspianiały, ale...

— Czy chodzi o to, żebym ją w coś ubrał?

— Tak — odpowiedział Weller — tak będzie lepiej.

— Nie ma sprawy. — Zimmermann wyszczerzył zęby w uśmiechu, sięgnął po węgiel i zamalował ciało Ann Kathrin. Już miała na sobie czarną bluzkę i pasującą do niej spódnice.

— Teraz wygląda, jakby wracała z pogrzebu — zaprotestował Weller.

— A jej nogi są naprawdę takie piękne jak na obrazie, czy powinienem je trochę pogrubić?

— Nie, nie, tak jest bardzo dobrze.

Weller odchrząknął.

— Czy pokazywałaś komuś ten obraz? Zrobiłaś jakieś kopie?

— Nie, oczywiście, że nie.

— A może pokazałaś to temu facetowi, którego właśnie malowałaś? Temu grubasowi?

— Ejże, przecież jesteście kumplami, prawda?

Weller lubił Zimmermanna, ale nie zdziwiłby się, gdyby się okazało, że ten sprzedał już kilka kopii portretu. W końcu z tego się utrzymywał.

— Trzymam cię za słowo. Czyli mogę być spokojny, że jej portrety nie kursują gdzieś między ludźmi?

— Nigdy nie oszukałbym kumpla!

A potem obydwaj w dobrych humorach wrócili na salę. Ann Kathrin wykorzystała ten czas na wykasowanie niepotrzebnych esemesów ze swojej komórki. Zimmermann przysiadł się do ich stolika, a Weller od razu zamówił dla niego lampkę wytrawnego wina. Potem pokazał Ann Kathrin portret. Podobizna przypadła jej do gustu. A gdy wdała się w pogawędkę z Wellerem i Zimmermannem, ten zaczął ją rysować od nowa. Tym razem wspólnie z Wellerem. Obraz sprawiał wrażenie, jakby ich włosy spletały się ze sobą. Tych dwoje wyglądało jak para syjamskich bliźniąt zrosniętych głowami. Albo jak jedna osoba z dwoma twarzami.

Weller i Zimmermann zaczęli opowiadać o wspólnych czasach w szkole i o tym, jak bardzo Weller zazdrościł swojemu koledze.

— On od zawsze wiedział — snuł wspomnienia — że zostanie artystą. Chciał prowadzić życie wolnego człowieka, podczas gdy na mnie czekała zwyczajna praca.

— A jak myślisz, ile razy zazdrościłem ci, że w twojej pracy dostajesz trzynastki? — roześmiał się Heiner Zimmermann.

— I on poszedł na Akademię Sztuk Pięknych, a ja... no tak, co stało się ze mną, wszyscy już wiemy.

Wracając do domu, Ann Kathrin i Weller szli, trzymając się za ręce. Zatrzymali się przy budynku szkoły zawodowej i się pocałowali.

— Dlaczego chciałaś, żeby on mnie namalował? — zapytała Ann Kathrin.

— Bo jesteś przepiękną kobietą — odpowiedział.

Dobrze jej to zrobiło, ale czuła, że kryje się za tym coś jeszcze.

— Dlaczego nic o tym nie wiedziałam? Przecież mogłeś nas sobie przedstawić. I wtedy on mógłby mnie sportretować. Dlaczego dałeś mu moje zdjęcie?

— Przecież świetnie wiem, jaki z niego podrywacz. Myślisz, że zostawiłbym z nim moją ukochaną samą na samą? Przecież to byłoby tak, jakbym posyłał owcę między wilki.

Dała mu kusańca pod żebro. Roześmiał się.

— Ale to prawda! Jak się już ma u boku taką cudowną kobietę jak ty, to dzień i noc człowiek boi się, że przyjdzie jakiś uwodziciel i ją zabierze.

— Nie bój się. Tacy chudzielce nie są w moim typie. — Uszczypnęła go w zarysowujący się już brzusek. — Moim zdaniem, mężczyzna powinien mieć trochę ciała.

A potem chcieli jak najszybciej wrócić do domu, żeby się ze sobą kochać.

Już w przedpokoju wzajemnie zdjęli z siebie ubrania, a gdy wreszcie stanęli nadzy naprzeciw siebie, Weller uświadomił sobie, że Ann Kathrin jest w naturze o wiele piękniejsza niż na swoim nagim portrecie. A otoczki wokół brodawek jej piersi były jeszcze większe, niż namalował je Zimmermann, jego kumpel ze szkoły. Ale Weller nie powiedział tego na głos. Uśmiechnął się tylko pod nosem, a ona nie wiedziała dlaczego.

OD RAZU POCZUŁ, że podniosła się z łóżka, ale udał, że śpi. Domyślał się, co zamierzała, i napawało go to przerażeniem. Wiedział, że ona z pewnością nie zabrałaby go ze sobą. Chciała być sama w miejscu przestępstwa. Chciała poczuć zapachy, chciała otworzyć się na wszystkie doznania.

Ale to miejsce przestępstwa nie było podobne do innych. Postanowił, że pojedzie w ślad za nią. Wiedział, że może go za to zniechęcić, więc nie powinna się o tym dowiedzieć.

Nie mógł jej tak po prostu śledzić — na to była zbyt cwana, ale też nie było to potrzebne, bo dokładnie wiedział, dokąd się wybierała — do parku zamkowego Lütetsburg.

Gdy zamknęła za sobą drzwi wejściowe, Weller odczekał jeszcze minutę w łóżku, wciąż zastanawiając się, czy naprawdę powinien za nią jechać. Ale potem ubrał się i wziął służbową broń. W przeciwieństwie do niej będzie musiał poruszać się po ciemnym parku bez latarki. Na szczęście była pełnia, niebo było bezchmurne, a gwiazdy błyszcząły, jakby jakiejś bogini rozsypał się drogocenny naszyjnik z diamentów.

Z zachodu nadciągał chłodny wiatr i Weller wyobrażał sobie, że niesie on ze sobą delikatny zapach haszyszu z holenderskich *coffee shops*.

Wydał się sobie bardzo przebiegły, biorąc rower Ann Kathrin, by ruszyć jej śladem. Jednak już na wysokości poczty w Norden pożałował swojej decyzji. Jazda rowerem kosztowała go zbyt dużo czasu, a ona pewnie od dawna była już na miejscu.

Zatrzymał się przy restauracji Minna przy rynku. W środku siedzieli jeszcze goście i pachniało pieczoną jagnięciną z mięsa zwierząt wypasanych na nadmorskich łąkach zwanych solnymi. Weller spojrzął w kierunku postoju taksówek i zaczął się zastanawiać, czy nie byłoby mądrzej pojechać do Lütetsburga taksówką. Ale potem postanowił po prostu mocniej naciskać na pedały.

Jeszcze zanim skręcił w lewo przy dworcu w Norden, poczuł w płucach każdego wypalonego papierosa. Przysięgł sobie, że od jutra rzuci palenie. I postanowił również więcej ćwiczyć oraz jeść mniej pizzy. Pozazdrościł swojemu staremu kumplowi, Heinerowi Zimmermannowi. Ten to dopiero był wysportowany. Heiner byłby już prawdopodobnie przy niej — pomyślał Weller.

Już nawet nie siedział na siodełku. Stał na rowerze, żeby naciskać pedały z większą siłą.

Naprzeciwko wejścia do parku, ukryty za drzewami i krzewami, znajdował się niestrzeżony parking.

Tam, w ciemnym rogu zaraz przy krzakach, Ann Kathrin Klaasen ukryła swoje zielone twingo. Gdy Weller to zauważył, od razu zaczął się zastanawiać, dlaczego to zrobiła. Czy liczyła się z tym, że ktoś może ją śledzić? Czy sądziła, że zostanie tutaj mordercą? Czy też był to tylko jeden z jej zwykłych środków ostrożności?

Weller nie zostawił roweru na tym parkingu, lecz przejechał przez ulicę na drugą stronę w kierunku zamku i tam oparł rower o bramę. Zakradł się na teren parku jak włamywacz i był pewien, że Ann Kathrin zrobiła dokładnie to samo. W świetle księżyca park wyglądał zupełnie inaczej. Rozkwitłe pąki pozamykały się na noc. Niektóre z nich wznosiły się jak spiczaste ostrza, inne zwiesiły główki. Krzaki stroszą igły jak jeż — pomyślał Weller.

Zatrzymał się w cieniu rozłożystego buka i obserwował teren. Tam, po drugiej stronie, znaleziono ciało. Ale gdzie jest Ann? Czy gdzieś tutaj po prostu spaceruje? Nie bardzo mógł to sobie wyobrazić. Z pewnością jest na miejscu zbrodni. Na sto procent.

Wiatr igrał z liśćmi, a gdzieś w oddali szcekał pies. Weller zszedł ze ścieżki i ruszył przez trawę, żeby stłumić odgłos kroków. Łąka była wilgotna i już po kilku metrach Weller przekonał się, że pilnie musi dać do podzelowania swoje buty. Ponuro zaczął rozmyślać nad tym, od jak dawna nie kupował już sobie nowych ubrań. Potrzebował pary nowych butów, marynarki, kilku koszul. Z pewnością Ann Kathrin nie sprawiała przyjemności prowadzenie się z facetem, który wyglądał, jakby ubierał się w lumpeksie.

Próbował teraz odgonić od siebie myśl o swoim rozwodzie i o związanej z nim finansowej katastrofie. Ale mokre skarpetki w butach nie ułatwiały mu tego.

Nagle zaczął się zastanawiać, czy wtedy Zimmermann jedynie malował jego żonę, czy też przy okazji ją przeleciał. Renate z pewnością nie miałyby nic przeciwko temu. Choćby tylko po to, by mu zrobić na złość. Niemalże z rozbawieniem stwierdził, że niewiele go to już obchodzi. Wcześniej zdarzało mu się być nieprzytomnie zazdrosnym. Renate wiedziała o tym i świadomie wykorzystywała tę jego słabość, by zadawać mu cierpienie.

Odetchnął głęboko i poczuł się uskrzydłony wolnością. Wolnością od Renate.

A potem ujrzał Ann Kathrin i natychmiast pojął, że ona nigdy mu nie wybaczy, jeśli wyjdzie na jaw, że ją szpiegował. To, co się tutaj działo, było czymś na wskroś intymnym.

Siedziała po turecku w trawie bez ruchu, jak gdyby medytowała. Łatwo można ją było pomylić z pniem drzewa lub kawałkiem skały. Siedziała zwrócona twarzą ku krzewom rododendrona, w których nadziano na pręty Mareike Henning. Ann Kathrin nie poruszała się, siedziała tylko i oddychała, a Weller domyślił się, że próbuje poczuć jedność z miejscem przestępstwa. Minał ciągnący się w nieskończoność kwadrans, Weller marzył i walczył z potrzebą zapalenia papierosa. Ale ona z pewnością wyczuje zapach dymu, nieważne, jak daleko od niej stoi. Park zamkowy właśnie teraz w ciemności miał oszałamiający aromat, jak gdyby w kuchni natury gotowano nieznaną potrawę. Zapach przywodził mu na myśl indyjską herbatę yogi, w której ktoś zamoczył bożonarodzeniowy pierniczek. Czuł ten smak na języku, chociaż całość miała słony posmak.

Weller aż się skulił, bo nie mógł uwierzyć w to, co właśnie zobaczył. Poprzysiągł sobie, że nigdy nikomu tego nie opowie. Ann Kathrin rozebrała się i zupełnie naga przemaszerowała do rowu z wodą, który znajdował się naprzeciwko krzewów rododendrona. Tam położyła się na zboczu w trawie. Weller nie widział dokładnie, co tam robiła, bo był zbyt daleko, a miejsce, w którym leżała, było dla niego niewidoczne. Na czworakach, pod osłoną krzaków, zbliżył się do niej.

Co my tutaj robimy — zastanawiał się. Co my tutaj robimy? Tego nie da się wyjaśnić normalnym ludziom.

Na ścieżce siedziały dwa króliki i patrzyły w jego stronę. Ubranie mam już na pewno dokumentnie zniszczone — pomyślał.



Leżał teraz na płask na ziemi i sunął do przodu jak żołnierz, który musi przeczołgać się pod drutem kolczastym. A potem ujrzał Ann Kathrin, która ułożyła się w świetle księżyca w pozycji, w jakiej znaleziono zwłoki. Podobna do elfa, jakby szykując się do skoku. Nawet włosy wokół jej głowy wyglądały jak aureola. Wzrok miała skierowany ku drzewu, z którego zdjęli paczuszkę z ubraniami Mareike, a nie odwracając głowy, mogła stąd także widzieć to miejsce wśród rododendronów, w którym tkwiły stalowe pręty.

Boże — myślał Weller — dlaczego ona to robi? Jednak w dziwny sposób dla niego jej zachowanie nie miało w sobie nic szalonego. Przeciwnie. Coś w tym wszystkim wydawało mu się logicznym rytuałem. Być może wiele śledztw pozostaje nierozwiązanych, bo po prostu nie wczuwamy się naprawdę w sytuację ofiary i przestępcy — zastanawiał się Weller.

Ann Kathrin przez dłuższą chwilę leżała w trawie. Co rusz przesuwała się nieco w prawo. Nie szukała wcale wygodniejszej pozycji, lecz poży jak najbliższej nieznanemu ciału.

Weller mógłby jeszcze godzinami tak leżeć i się jej przyglądać. Miał wrażenie, że jeszcze nigdy nie był jej tak bliski — nawet w czasie seksu. To, co się działo tutaj, było zupełnie inne, o wiele bardziej intymne niż ich cielesne obcowanie, bardziej fundamentalne.

Ze strachu, że jednak go nakryje, postanowił wracać. Miał jeszcze przed sobą drogę z Lütetsburga na północ Norden. Był brudny i wyblocony i miał nadzieję, że jego koledzy nie są gdzieś w okolicy na patrolu i nie zobaczą go w takim stanie.

Weller miał szczęście. Na rondzie skręcił w prawo i pojechał drogą obok Kliniki im. Ubbo Emmiusa. Potem na wysokości Domu Seniora, obok cmentarza, zobaczył rowerzystę. Z sylwetki podobny był bardzo do tego redaktora telewizyjnego, Gunnara Peschke. Ale człowiek ten miał na głowie kaptur i przy tym świetle Weller nie mógł dostrzec jego twarzy.

Do domu przy Distelkamp 13 Weller wszedł przez garaż. Tam zdjął buty, żeby nie zostawiać błotnistych śladów. Wcisnął zabrudzone ubranie do pralki, potem wszedł pod prysznic, a na koniec wysuszył włosy suszarką. Wyobrażał sobie, że ona ciągle jeszcze tam leży w pozycji zmarłej Mareike, czekając na jakieś odkrycie.

Weller poszedł do pokoju, w którym jej były mąż, psychoterapeuta Hero Klaasen, przyjmował wcześniej swoje pacjentki. Teraz na ścianach wisiały tu zdjęcia z napadu na bank, w czasie którego zastrzelono ojca Ann Kathrin. Wszystko było tu udokumentowane ze szczegółami. Ann ciągle jeszcze szukała mordercy swojego ojca, ale ten znikł bez śladu. Gdzieś w świecie cieszył się swoim łupem, a to nie dawało jej spokoju. Weller zastanawiał się, co się stanie, gdy Ann Kathrin stanie pewnego dnia naprzeciw mordercy ojca. Czy to zmieni jej życie? Czy przestanie być tak opętana tą sprawą? Czy jeszcze w ogóle będzie chciała z nim być? Czy osiągnie wówczas cel swojego życia? A może wreszcie, wolna od demonów przeszłości, będzie mogła być szczęśliwa?

Dobiegł go z domu jakiś dźwięk i wzdrygnął się. Nie chciał, by Ann Kathrin zastała go w tym pokoju. Bardziej niż wszystkie inne pomieszczenia w tym domu ten pokój należał tylko do niej. Był czymś na kształt świątyni poświęconej pamięci jej ojca, a równocześnie muzeum niewyjaśnionej zbrodni.

Panowała między nimi niepisana umowa, że on nie wchodzi do tego pokoju — przynajmniej bez jej wyraźnego zaproszenia lub zgody. Od czasu do czasu chowała się tutaj. A gdy potem stąd wychodziła, była inna niż zwykle. Poważniejsza. Zatopiona w myślach. Niekiedy trochę zapłakana. Weller starannie zamknął drzwi za sobą, ale to, co wziął za kroki na schodach, było jedynie skrzypieniem długich drewnianych belek pod sufitem. Ten dom zawsze wydawał nocą jakieś dźwięki, jakby nadal nie mógł znaleźć swojego prawidłowego kształtu.

Jeszcze raz wrócił do tego muzealnego pomieszczenia, żeby sprawdzić, czy wyłączył światło. Zobaczył zdjęcie ojca Ann Kathrin z lufą przystawioną do głowy. Na pewno był z ciebie dobry policjant

— pomyślał Weller — i byłbyś dumny z córki, gdybyś ją dzisiaj mógł zobaczyć.

Weller położył się do łóżka, ale nie mógł zasnąć. Kilka razy przewrócił się z boku na bok, po czym wstał i podszedł do regału z książkami. Musiał coś poczytać, żeby ochłonać. Ann Kathrin miała tak na oko co najmniej tysiąc książek dla dzieci. Ale Weller nie miał teraz ochoty na lekturę Astrid Lindgren, Corneli Funke czy Paula Maarera. Przesunął palcem po co najmniej trzech metrach książek z obrazkami, książek o czarownicach, duchach i piratach. Szukał jakiegoś kryminału albo thrillera, żeby przestawić myśli. Ale po chwili znalazł się na dywanie w salonie ze stosem obrazkowych książek — w świetle Ann Kathrin. Poza nią nie znał żadnego dorosłego, który zbierałby książki dla dzieci. Gdy tylko zaczął przerzucać strony, natychmiast zanurzył się w magicznym dziecięcym świecie, w którym elfy i wróżki walczą o władzę ze złymi czarnoksiężnikami.

Było wpół do czwartej nad ranem, gdy Ann Kathrin wróciła do domu. W ogóle nie wyglądała na zmęczoną, lecz w irytujący sposób była wręcz pełna energii. Oparła się o regał i uśmiechnęła do niego:

— Czytasz moje książki?

— A ty wracasz z dyskoteki, czy co? — zapytał żartem.

— Byłam na miejscu przestępstwa.

Weller zastanawiał się, w jaki sposób udało jej się w ogóle nie ubrudzić. Przecież, jakkolwiek by patrzeć, leżała nago na ziemi. Może wykąpała się w sztucznym kanale w parku. Albo w morzu. Po niej można się było wszystkiego spodziewać. Przykłęknął i poukładał książki z powrotem na półkach. Na podłogę wypadła *Anna w kraju na opak*<sup>3</sup>. Ann Kathrin schyliła się, podniosła książkę z czułością i powiedziała:

— Anna ciągle wypada ze schematów. Rzeczywiście nigdzie nie pasuje. — Włożyła książkę pod pachę, jakby chciała ją ochronić. — Miejsce, gdzie znaleźliśmy zwłoki — odezwała się — nie jest miejscem morderstwa. On gdzieś przygotował ciało, a potem przywiózł do Lütetsburga.

— Mordercy zwykle próbują szybko pozbyć się swoich ofiar — odpowiedział Weller — w rzece, na wysypisku śmieci, na jakiejś samotnej ścieżce w lesie. On tego nie zrobił. To wygląda jak jedna wielka inscenizacja. Abel z zabezpieczenia śladów uważa, że to jakiś rytuał.

— Błąd! — Ann Kathrin potrząsnęła głową. — To, co widzieliśmy, nie ma nic wspólnego z rytuałem.

— A z czym w takim razie?

— Widzimy tylko to, co mamy zobaczyć. On zadał sobie niesamowity trud, żeby wszystko było w idealnym porządku, gdy już dotrzemy na miejsce. Pomyśl tylko o jej ubraniach. Nie leżały porzucane byle gdzie. Były spakowane jak prezent pod choinkę.

Poszła do kuchni, nalała sobie szklankę wody i wypila ją jednym haustem. A potem powiedziała:

— On musi się znać na zwłokach.

— Na zwłokach? Skąd ten pomysł?

— Musiał liczyć się z tym, że nastąpi stężenie pośmiertne. W tej pozycji bożonarodzeniowego aniołka, w której ją zastaliśmy, nie zmieściłaby się do żadnego bagażnika. On musiał ją powyginać już na miejscu.

— Może wstrzyknął jej jakąś substancję, która opóźnia stężenie zwłok i sprawia, że mięśnie znowu są plastyczne?

— Tak, obawiam się, że dokładnie tak zrobił. Paznokcie u rąk i u stóp miała polakierowane na dokładnie ten sam kolor, jaki mają kwiaty rododendronów, pomiędzy którymi ją znaleźliśmy. Wiesz, co to znaczy?

Weller mógł zgadywać, ale się nie odzywał. Wpatrywał się tylko w Ann Kathrin. A ona podrapała się w kolano i mówiła dalej:

— Ten człowiek najpierw dokładnie obejrzał sobie to miejsce. A ponieważ jest perfekcjonistą, to prawdopodobnie zabrał ze sobą kilka płatków, żeby móc dokładnie dobrać kolor lakieru.

— Myślisz, że pomalował jej paznokcie, zanim przywiózł ją do Lütetsburga?

— Tak. Albo ją zmusił, żeby sama to zrobiła.

Weller prawie zaczynał się bać Ann Kathrin, gdy tak mówiła. Jej spojrzenie skierowane było gdzieś w dal, jak gdyby spoglądała przez ścianę w jakiś inny, odległy świat.

— Nie sędzę — mówiła beznamiętnie — by to on ogolił ciało zmarłej i polakierował jej paznokcie. Po jej śmierci miał ważniejsze sprawy do załatwienia.

— Ale spróbuj ogolić żywej osobie włosy na nogach, gdy ta się broni... — przerwał jej Weller.

— Otóż to. Byłyby zranienia. A on w żadnym razie nie chciał dopuścić, żeby miała jakieś widoczne uszkodzenia. Jej ciało miało pozostać idealnie piękne.

— No bez przesady. Przecież wbił jej w plecy z tuzin prętów!

— Tak, ale te pręty nie były widoczne z przodu. Tu chodzi o wrażenie piękna, rozumiesz?

— To by znaczyło...

— Dokładnie tak! Ona przygotowała siebie sama. Albo przynajmniej pomogła mu w tym w ten sposób, że się nie broniła.

Weller wziął Ann Kathrin w ramiona. Między nimi była tylko książka *Anna w kraju na opak*. Wiedział, że Ann ma rację.

— Co ktoś taki teraz robi? — zapytał. — Jedzie w to miejsce, aby jeszcze raz się wszystkim napawać, czy może podnieca go nasze przerażenie? Czy nie może już się doczekać, aż ukażą się pierwsze gazety, które o tym napiszą? Czy cały czas ogląda teraz wiadomości? Będzie jutro pierwszy przy kiosku z gazetami?

— Założę się — odezwała się Ann Kathrin — że zrobił zdjęcia. Teraz napawa się wspomnieniami. A równocześnie rozkoszuje naszą bezradnością.

Potem przez chwilę milczeli, ciągle trzymając się w objęciach. Żadne nie chciało wypuścić drugiego. Aż w końcu Weller dostał skurczu w plecach, co bardzo go zawstydziło. Ale musiał o tym powiedzieć na głos, bo nie mógł dłużej tak stać.

Zaoferowała mu masaż pleców. Jednak gdy spojrzeli na zegarek — a był już kwadrans po czwartej — postanowili po prostu położyć się do łóżka i przytulić do siebie. Budzik zadzwonił o wpół do siódmej.

O GODZINIE 7.47 przez Norden przejeżdżał pociąg Intercity do Duisburga, który zgodnie z rozkładem jazdy miał być na miejscu po niecałych czterech godzinach. Weller zaproponował, by pojechali dopiero po południu, bo Ubbo Heide zapowiedział naradę służbową. Ale Ann Kathrin się sprzeciwiła:

— Nie mam ochoty uczestniczyć w tej awanturze. I tak już straciliśmy dużo czasu. Chcę zobaczyć tego Meulinga.

— Dlaczego nie mamy go po prostu kazać aresztować i przywieźć do nas? — zapytał rozdrażniony Weller i poczłapał na bosaka do kuchni, żeby zaparzyć kawę. — W końcu próbował uprowadzić Mareike Henning swoim bussem.

Na parterze domu wszystkie drzwi były otwarte. Używali teraz wszystkich pomieszczeń jednocześnie, rozmawiali ze sobą, przechodząc z jednego pokoju do drugiego. Ann Kathrin myła akurat zęby i zjawiała się w kuchni ze szczoteczką w dłoni i ustami pełnymi białej piany.

— Nie mamy na to żadnych dowodów, Frank.

— Chcesz jajka? — zapytał.

Kiwnęła głową.

— Jajecznicę czy sadzone?

— Dwa sadzone.

Wbił jajka na patelnię, ale przy tym wpadło mu też kilka kawałków skorupki. Próbował wyłowić je

z pomocą widelca, ale bez skutku. Gdy Ann Kathrin znowu zniknęła w łazience, by wypłukać usta, Weller wyciągnął kawałki skorupki z patelni palcami. Poparzył sobie przy tym opuszki, więc odkręcił kran i trzymał palce pod strumieniem zimnej wody.

Ann Kathrin znowu zjawiała się w kuchni i stanęła za nim. Rozpoznał po odgłosie, że szczotkuje włosy. Nie odwracając się do niej, zapytał:

— A zatem sądzisz, że ona mu pomogła?

— Tak, w pewien sposób na pewno. Może nie wiedziała, co on zamierza z nią zrobić.

Weller spojrział na jajka. Tłuszcz pryskał z patelni. Chciał, żeby brzegi były chrupiące, białko twarde, ale to miękkie żółtko stanowiło ukoronowanie całości. Wycisnął przecier pomidorowy na razowy chleb i grubo go rozsmarował.

— Ona nie była osobą, która rozbierze się dla faceta, ogoli dla niego całe ciało i polakieruje sobie paznokcie u rąk i u nóg na określony kolor...

— Ale to zrobiła, Frank.

— Jakoś w to nie wierzę, patrząc na to, jak żyła. Z przyjacielem i ojcem pod jednym dachem. Cały dom wyczyszczony na błysk. To wszystko jest przecież dostępne tylko w dziale „szczęście dla drobnomieszczan”.

Jajka były już gotowe, ale Weller potrzebował jeszcze kilku sekund, żeby pokroić pomidory na plastry i położyć na kromkach chleba.

Potem spróbował zdjąć jajka z patelni zręcznym ruchem, ale nie udało się. Jedno jajko ześlizgnęło się i chlapnęło z powrotem na patelnię. Misterna konstrukcja z czterech jaj się rozpadła.

Najchętniej zdjąłby patelnię z kuchenki i cisnął nią o ścianę. Ann Kathrin zauważyła to. Jego rozczarowanie z powodu takiego drobnego niepowodzenia wydało się jej przesadzone i było jasnym dowodem na to, pod jak wielką presją się znajdował. Uśmiechnęła się, żeby dodać mu otuchy, przesunęła go na bok, wyjęła patelnię z rąk i powiedziała:

— Właśnie tak najbardziej lubię jeść sadzone.

— Od razu mogłem zrobić jajecznicę.

Rozdzieliła jajka w miarę równo na kromki chleba. A potem usiedli po obu stronach stołu. Weller nieogolony i w bokserkach. Ann Kathrin w podkoszulce i figach. Uniosła stopy nad zimne płytki posadzki i łąpczywie pochłaniała jedzenie. Potrzebowała teraz energii. Zanim Weller zjadł połowę, jej talerz był już pusty. Piła kawę, głośno siorbiąc. Być może było to związane z jego wczorajszymi obserwacjami, ale Ann Kathrin wydawała mu się teraz dziwnie zwierzęca.

— Morderca czuje się bardzo pewnie — odezwała się nagle. — Chce wzbudzić sensację. Chce, by o nim mówiono i pisano. To nie jest zły pomysł, jeśli chce się robić wrażenie i zastraszać ludzi.

— Myślisz, że to rosyjskie biuro windykacyjne potrzebuje prasy, by pokazać, jakie jest skuteczne?

— Ludzie, którzy się boją, płacą.

ZA DZIESIĘĆ ÓSMA stali już przed nowo wybudowanym dworcem kolejowym w Norden i próbowali kupić dwa bilety do Duisburga w automacie, bo okienko było jeszcze zamknięte. W Burger Kingu siedziało już kilku wagarowiczów i jadło śniadanie. Automat biletowy stał dokładnie obok dużego okna wystawowego, przez które Ann Kathrin mogła zaglądać do Burger Kinga, a z kolei młodzież siedząca w środku mogła się przypatrywać, jak ona zмага się z urządzeniem. Przy samym oknie siedziała trójka dzieciaków z colą, kawą i podwójnym whopperem z serem.

Ann Kathrin poczuła, że ta cała sytuacja jest absurdalna. Gdy jeden z nich, rudzielec, pochylał się nad swoim hamburgerem, to wyglądało to tak, jakby chciał ugryźć Ann Kathrin w pupę, bo dzieliła ich tylko szyba okienna.

Wsunęła wreszcie kartę kredytową do automatu i wystukała numer PIN. Dziewczyna obok rudzielca wyciągnęła szyję, żeby odczytać cyfry.

Korzystanie z tego automatu obciążone jest wysokim ryzykiem — uznała Ann Kathrin. Jeśli ktoś usiądzie sobie przy stoliku i spokojnie zaczeka, będzie mógł przyglądać się ludziom, jak wstukują swoje kody PIN. I wyobraziła sobie, jak jakiś gangster, odczytawszy w ten najbanalniejszy sposób tajny kod, rusza za jakąś starszą panią, wsiada razem z nią do pociągu, krótko przed Bremą kradnie jej torebkę i wyskakuje na dworcu. W ciągu kilku minut będzie mógł wyczyścić jej konto, by po chwili wsiąść w pociąg jadący w przeciwnym kierunku.

Weller poznał po jej minie, o czym myślała.

— Wiem, wiem, Ann. Ten automat jest jak zaproszenie dla bandytów. Człowiek stoi przed nim wystawiony na pokaz. Jak na talerzu. Ale prawdopodobnie przez całe lata nic się tutaj nie zdarzy. My przyzwyczailiśmy się do takiego podejrzliwego myślenia, ale to niedobrze. Widzimy świat oczami kryminologa, jak gdyby wszędzie roiło się od przestępców.

— Jestem pewna, że Mareike Henning miałaby odmienne zdanie — obruszyła się. — Przecież dopiero co znaleźliśmy ją nadzianą na pręty. Wcześniej jej grozono. Być może dałoby się tego uniknąć, gdyby więcej ludzi patrzyło na świat czujnymi oczami kryminologa.

O rety, ale ma podły humor! — pomyślał Weller. To może być bardzo interesująca podróż pociągiem. I postanowił zmienić temat.

— Myślisz, że zdążę jeszcze kupić nam kawę?

Mógł ciągle pić kawę i w ciągu dnia wychylał mnóstwo filiżanek *espresso*. Ann Kathrin nie sądziła, by smakowała mu kawa z baru szybkiej obsługi. Sama nie wpadłaby na pomysł, by zamówić sobie kawę w Burger Kingu czy McDonalddie.

Wzruszyła ramionami. A on pobiegł do baru i ustawił się w kolejce za uczniami.

Dziewczyna obok rudzielca wyszczerzyła zęby do Ann Kathrin.

Ona zna moją tajemnicę, pomyślała Ann Kathrin. Mój kod PIN. I teraz czuje, że ma nade mną przewagę, jakby mi coś odebrała.

Weller zdążył na czas z dwoma kubkami kawy. Ann Kathrin ogrzewała sobie dłonie tekturowym kubkiem i piła kawę małymi łyčzkami. Była zaskoczona, bo bardzo jej smakowała — w zasadzie bardziej niż kawa w domu.

Weller próbował ją rozweselić i zażartował:

— I jak? Smakuje ci ta kawa z Togo? Ja raczej wolę mieszanki z Brazylii i kawę z Nikaragui.

Ann Kathrin zupełnie nie zrozumiała żartu.

— Ale jak? Kawa z Togo? To ona jakoś inaczej smakuje?

I w tej chwili pojęła grę słów. Na papierowym kubku był napis: *coffee to go*.

INTERCITY O ÓSMEJ wypadł z rozkładu z powodu awarii lokomotywy. Następny pociąg do Duisburga jechał dwie godziny później, ale mieli szczęście. O godzinie 8.48 odchodził ekspres regionalny do Leer. Tam mogli się przesiąść na pociąg do Münster, w Münster do Dortmundu, a w Dortmundzie do Duisburga. Coś, co miało być wygodną podróżą bez przesiadek, trwającą trzy i pół godziny, przerodziło się w skakanie z pociągu na pociąg i zajęło w sumie cztery i pół godziny. Ann Kathrin znosiła to ze stoickim spokojem i wykorzystała czas, by przez komórkę odpytać Ruperta, czy przyszły już wyniki z laboratorium.

— Chcę wiedzieć wszystko o tych prętach, na które ją nadział. Gdzie zamawia się takie rzeczy? Jak i gdzie są rozprowadzane? Potrzebuję wykaz sklepów. Potrzebuję też listę wszystkich, którzy odwiedzali ostatnio park.

— Wielkie nieba, Ann Kathrin, jak niby mam zdobyć taką listę? Nikt nie podaje tam przecież swojego adresu i nie podpisuje się na żadnej liście, gdy przychodzi na spacer do parku.

— Morderca był w parku wcześniej. Tyle wiemy. I był tam w czasie kwitnienia rododendronów. Przynajmniej jeden raz, a przypuszczam, że nawet kilka razy. Być może został sfotografowany? Wcale nie jesteśmy bez szans. Wszyscy ludzie, którzy odwiedzają park o tej porze roku, robią zdjęcia, bo większość z nich nigdy jeszcze nie widziała czegoś tak pięknego. Być może nasz morderca trafił przypadkiem na jakieś zdjęcie. Zadzwoń do Holgera Bloema z „Kuriera Wschodniofryzyjskiego”<sup>4</sup>. Zapytaj, czy mógłby zrobić dla nas taką akcję. Niech urlopowicze, którzy odwiedzili park, przysła nam swoje zdjęcia.

Nieźle, całkiem nieźle — myślał Weller. Na jakiejś fotce z urlopu rzeczywiście może znaleźć się wizerunek mordercy. Ale skąd będziemy wiedzieć, że to właśnie on?

— Dlaczego nie mielibyśmy od razu zrobić tego przez agencję DPA? — zapytał Rupert, ale zaznaczył, że tak w ogóle byłoby to zadanie dla rzeczniczki prasowej, Rieke Gersemy. Rupert nie krył się ze swoją niechęcią do dziennikarzy, z którymi nie potrafił się dogadywać.

Weller przyglądał się Ann Kathrin i miał wrażenie, że dokładnie wie, co teraz dzieje się w jej głowie. Oczywiście byłoby to całkiem logiczne, gdyby wszystko wzięła na siebie Rieke Gersema i od razu nagłośniła sprawę. Ale Ann Kathrin nie szukała rozgłosu. W gruncie rzeczy jej praca zawsze miała w sobie coś ze spisku. Najbardziej lubiła pracować z grupą kilku zaufanych osób. Miał szczęście do nich należeć, ale i jemu nie wyjawiała wszystkiego.

Weller poczuł dreszcz na plecach, gdy pomyślał o nocy. Zobaczył ją, jak leży naga w trawie, naśladując pozycję zmarłej.

w DUISBURGU wzięli taksówkę i pojechali do Meulinga. To nie była akurat najlepsza dzielnica w mieście. Przewrócony kontener na śmieci blokował ścieżkę rowerową. Paru chłopaków z wyraźną przyjemnością objało kontener piłką. Kobiety w chustach na głowach niosły torby pełne zakupów do swoich mieszkań w wieżowcach.

Na parkingu nie stało żadne porsche, zobaczyli jednak volkswagena busa stojącego obok srebrnoszarego golfa z regulowanym zawieszeniem. Za tylnym siedzeniem widać było głośnik, który z powodzeniem mógłby obsłużyć dyskotekę o powierzchni dwustu metrów kwadratowych.

Meuling mieszkał na szóstym piętrze. Ann Kathrin zadzwoniła do domofonu. Gdy nikt się nie odezwał, stojący za nią Weller zaczął się denerwować.

— To był głupi pomysł, żeby przyjeżdżać bez przygotowania. Teraz stoimy tutaj bez sensu, a w Norden czeka na nas praca.

Ann Kathrin podjęła jeszcze dwie próby, a potem zadzwoniła piętro wyżej do niejakiej Katji Krause. Guzik dzwonnka pomalowany był czerwonym lakierem do paznokci. Z głośnika dobiegł ich damski głos:

— Najdroższy, mam właśnie gościa. Przyjdź za kwadrans. Wtedy będę miała czas dla ciebie.

— Nie ma sprawy, najdroższa — odpowiedziała Ann Kathrin. — Mam tylko paczkę dla ciebie, to po prostu zostawię ją pod drzwiami.

Drzwi otworzyły się, a Ann Kathrin i Weller weszli do budynku.

Przy windzie wisiła kartka z napisem: „Nieczynne”. Ann Kathrin i bez tego nie wsiadłaby do windy, która kompletnie nie budziła jej zaufania. Bez jednego jęknięcia i bez jednego krzywego spojrzenia Weller pomaszerował za nią po schodach.

Na szóstym piętrze na drzwiach Meulinga wisiła karteczka: „Poszedłem na bilard”.

— No świetnie — odezwał się Weller — i znowu podeszła nam superkarta.

— Jako gracz w skata — odpowiedziała mu Ann Kathrin — powinieneś wiedzieć, że karta może w każdej chwili obrócić się na twoją korzyść lub niekorzyść.

— Owszem, nigdy nie wiadomo, czy ma się dobre karty czy złe, póki nie pozna się kart w banku.

Weller zagadnął paru młodzieńców na ulicy o najbliższy salon gier. Po ich minach zorientował się, że od razu rozpoznali w nim policjanta. Wzdrygnęli się, gdy zaczął do nich mówić. Z wielką gotowością udzielili mu uprzejmej odpowiedzi, aby za chwilę, gdy tylko odwrócił się do nich tyłem, pokazać mu środkowy palec.

Nad wejściem do budynku świecił neonowy napis: „Fair Play Saloon”. Lokal znajdował się w dawnej pralni. Okna wystawowe zakryte były czarnymi zakurzonymi zasłonami. Dziewczyna z rozkładówki marcowego „Playboya” ubrana w same pończochy miała prawdopodobnie przydać lokalowi nieco obscenicznego charakteru, ale dolne rogi plakatu już się zawijały, a zdjęcie wyblakłe od słońca robiło raczej smętne wrażenie. Przy wejściu wisiała karteczka: „Potrzebny pracownik do obsługi”.

— Och, jakie urocze miejsce! — zakrzyknęła radośnie Ann Kathrin.

— I spora gęstość zaludnienia przestępców na metr kwadratowy — skonstatował Weller. — Założę się, że gdy nasi koledzy z Duisburga muszą zatrzymać kilku rozrabiaków, to jest to jedno z tych miejsc, do których przychodzą najpierw.

— I prawdopodobnie z dobrym skutkiem — zgodziła się Ann Kathrin.

O ile lokal z zewnątrz wyglądał na zapuszczony i mroczny, o tyle w środku wszystko było jaśniejsze, a do tego świecące i kolorowe. Scenografia musiała pożerać mnóstwo prądu. Sześć automatów do gier stało rzędem, a każdy z nich próbował przyćmić pozostałe swoimi migoczącymi i pulsującymi światłkami. Po drugiej stronie wisiało na ścianie kilka automatów do gry na pieniądze. Siedziały tam dwie kobiety. Jedna z nich przytrzymała koło fortuny, jak gdyby chciała w ten sposób wpłynąć na jego bieg. Druga grała jednocześnie na dwóch jednoręcznych bandytach. Miała zaciętą, zniszczoną życiem twarz. Ann zastanawiała się, czy te dwie to matka i córka.

Ann Kathrin przeszła dalej, na tył pomieszczenia. Weller szedł za nią, trochę się ociągając. W pomieszczeniu obok stały dwa stoły bilardowe. Dwóch mężczyzn opierało się o ścianę, przyglądając się trzeciemu, który właśnie miał zamiar wygrać frame’a. Był wytrawnym graczem. Każde uderzenie było skuteczne i wbijało do łuzы kolejną bilę.

Ann Kathrin zorientowała się od razu, że wszyscy trzej trenują na siłowni i zależy im, żeby to było widoczne. Jeden z nich, a może i wszyscy trzej zażywali sterydy lub inne niedozwolone specyfiki powiększające mięśnie.

Ponieważ Weller trzymał się z tyłu, Ann Kathrin od razu przyciągnęła uwagę mężczyzn. Jeden z nich pocierał właśnie kredą koniuszek swojego kija bilardowego i w tym samym rytmie oblizywał wargi. Mężczyzna przy stole wyprostował się i zagruchał:

— Dokąd to idą te dwie piękne nogi?

— Do domu, o ile nic ich nie rozdzieli — zaśmiał się obleśnie jego kumpel.

— Ma pan chyba przechłapanie u wszystkich kobiet — odpowiedziała Ann Kathrin. — Jeśli czasem się pan zastanawia, dlaczego żadna kobieta nie chce tego robić z panem za darmo, a pan zawsze musi za to płacić, niech pan do mnie zadzwoni. Ja znam odpowiedź na to pytanie.

— Ona to robi zawodowo? — zwrócił się do kumpli ten z wystającą brodą.

— Zamknij się, człowieku!

— Nazywam się Ann Kathrin Klaasen. Jestem komisarzem policji kryminalnej. Który z panów to Dieter Meuling?

W jej kierunku ruszył mężczyzna stojący przy stole.

— Ja. A bo co?

Miał na sobie obcisłe czarne spodnie ze skóry i marynarkę w biało-granatowe paski, która bez wątplenia była kiedyś częścią raczej drogiego garnituru. Pod spodem miał biały jak śnieg T-shirt, który



świetnie uwydatniał muskulaturę brzucha. Na koszulce niewielkie błękitne litery układały się w napis: „Ironman”. Weller miał nadzieję, że nie dojdzie do fizycznej konfrontacji. Był pewien, że ani on, ani Ann Kathrin nie poradziliby sobie z żadnym z tych facetów. Podczas gdy my siedzimy na tyłku w biurze i przekładamy dokumenty, oni w siłowni trenują mięśnie na wypasionych sprzętach, o których istnieniu tacy jak my w ogóle nie mają pojęcia — myślał Weller.

Ann Kathrin była stanowczo bardziej wysportowana od niego. Do niedawna regularnie odwiedzała studio fitnessu Butterfly i w miarę możliwości raz w tygodniu chodziła do sauny. Miała też zielony pas w judo, ale Weller w podbramkowych sytuacjach wołał zdawać się na zastrasżające działanie swojej broni służbowej.

— Czy mam wezwać posiłki? — zapytał rzeczowo, mając na uwadze obydwu mężczyzn, którzy wykonywali podejrzone ruchy bilardowymi kijami. Każdy z nich mógł stać się śmiertelnie niebezpiecznym.

— Muszę z panem pomówić — powiedziała Ann Kathrin — a obydwu pańskich znajomych poproszę o personalia.

Meuling odłożył kij na stół bilardowy i raz jeszcze przyjrzał się ustawieniu bil. Potem wskazał ręką na stół i powiedział do pozostałych graczy:

— Biada, jeśli ktoś coś zmieni.

Mężczyzna z wystającą brodą pokiwał głową. Najwyraźniej obawiał się gniewu Meulinga.

— Czy jestem aresztowany? — zapytał Meuling.

— Jeszcze nie. — Ann Kathrin potrząsnęła głową.

Gdy Weller sprawdzał dowody osobiste Gregora Paulsena i Torstena Meistera, niezdecydowana Ann Kathrin stała z Meulingiem obok dużego automatu do gier.

— Może napijemy się kawy przy barze? — zapytał.

Zgodziła się. Kawa z ekspresu była obrzydliwa, ale Ann Kathrin i tak nie miała zamiaru opróżnić swojego plastikowego kubka.

— I jak pan myśli, dlaczego tu przyszliśmy? — zapytała.

Tym pytaniem od razu zdeprimowała Meulinga, który zaczął pocić się pod swoją marynarką i zaciskać pięści.

— No chyba nie ma pan aż tak dużo na sumieniu, prawda? Zwykle ludzie dokładnie wiedzą, dlaczego do nich przychodzę. Bo mają w swoim życiu jedną lub dwie sprawy, którymi może interesować się policja kryminalna. A jak to jest z panem?

— Myślę, że nie powinienem odpowiadać na takie ogólne pytania, pani komisarz. Musi pani mówić bardziej konkretnie...

Ann Kathrin z uznaniem ściągnęła wargi.

— Oho, ktoś ma tutaj doświadczenie. Brawo! Studiował pan prawo, czy bywał już pan w takiej sytuacji?

— Mogę też zadzwonić do mojego adwokata — zagroził Meuling.

Ann Kathrin uśmiechnęła się zachęcająco.

— Tak, bez wątpienia może pan to zrobić. Mogę też pana zabrać na komisariat i tam przesłuchać, jeśli pan woli. Czy mówi coś panu nazwisko Mareike Henning?

Trafiony. Meuling udał, że musi się namyślić, ale wcale tego nie potrzebował.

— Mareike Henning, tak, znam ją. Zrobiła mi wgniecenie w samochodzie, a potem odjechała. Można powiedzieć, że to była ucieczka z miejsca wypadku.

— Jeździ pan czarnym porsche?

— Nie, niezupełnie... to samochód mojego znajomego. Tylko go pożyczyłem i właśnie dlatego cała ta sprawa była dla mnie tak przykra.



— Jak nazywa się pański znajomy?

— Nie wiem, czy to rzeczywiście pani sprawa.

Weller wrócił z sali bilardowej. Po stukocie bil Ann Kathrin poznała, że obydwaj mężczyźni rozpoczęli nową grę.

Meuling był teraz zaklinowany między Ann Kathrin a Wellerem i czuł się coraz bardziej nieswojo. Jego lewa stopa nerwowo podrygiwała. Niespokojnym wzrokiem błędził po pomieszczeniu, jakby szukał możliwości ucieczki.

— A kim jest Sidorow? — zapytała Ann Kathrin.

— Znam go przelotnie.

— Przelotnie. A to dość dziwne. W końcu to on napisał do pani Henning list z pogrózkami.

— Ach, nie traktowałbym tego aż tak poważnie... Ludzie dzisiaj mają tak słabe morale i nie chcą płacić, więc trzeba trochę na nich nacisnąć, bo inaczej...

— Panie Meuling, Mareike Henning nie żyje. Obawiam się, że nie do końca jest pan świadomy powagi sytuacji. Jest pan podejrzany o morderstwo.

Weller wyjął kajdanki i zaczął się nimi bawić.

— Ale ja jej przecież nie zabiłem! Ja...

Oczy Ann Kathrin się zwęziły.

— Ale jej pan groził, i to nie przebierając w środkach. A teraz nie żyje.

— Co pan robi zawodowo? — zapytał Weller ostro.

— O...optymalizuję finanse.

— Och, a co to znaczy?

Pytania Weller'a nie spodobały się Ann Kathrin. Tym samym Meuling zyskał zbyt dużo przestrzeni. Poczł znowu, że może zyskać przewagę, i łaskawie wyjaśnił Wellerowi:

— A jak pan myśli, ile kapitału jest dzisiaj ukrytego w zwykłym gospodarstwie domowym? Na przykład u pana — mogę się założyć, że jeśli zrobię kontrolę pana finansów, uda się panu zaoszczędzić sto euro miesięcznie. A to daje tysiąc dwieście euro rocznie. Całe rodziny uratowałem przed bankructwem, studiując razem z nimi wszystkie ich wydatki. — Zaczął wyliczać na palcach: — Ubezpieczenia, kredyty, rachunki za prąd, wodę. Te wszystkie bzdury z kosztami ubocznymi. Umowy na telefony komórkowe — roześmiał się. — Nawet pani nie wie, jaką żyłą złota są te umowy. A w której kasie chorych jest pan ubezpieczony?

— W AOK — odpowiedział Weller, a Ann Kathrin miała ochotę walnąć go za to w gębę. Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

Meuling załamał ręce i się roześmiał.

— W AOK! Mój Boże, pan musi być bogaczem! Jeśli tak bardzo gniewa się pan na swoje pieniądze, że ma pan ochotę po prostu wyrzucić je za okno, to niech pan je lepiej przekaże na jakiś szczytny cel. Albo przepije. Dobrze by panu zrobił abonament w siłowni, ale i tutaj trzeba bardzo uważać. — Meuling podniósł palec wskazujący. — Albowiem są umowy i umowy!

— Niech pan nieco spuści z tonu — syknęła Ann Kathrin. — Nie jesteśmy na akcji promocyjnej. Nie interesuje nas pańska optymalizacja finansów. Za to interesuje nas pański przelotny znajomy Sidorow. W każdym razie nie mieszka on przy Markgrafenstrasse 13 w Berlinie.

Meuling wzruszył ramiona i ściągnął usta.

— A co ja mogę wiedzieć? Znam go tylko... z widzenia. Po prostu z knajpy.

— Z jakiej knajpy?

— Spotkałem go w Berlinie przy Ku'dammie. Poszedłem zaszaleć do Big Eden i wyrwałem tam sobie taką ostrą Rosjankę. Ona chyba była... No tak, w każdym razie tam się spotkaliśmy. Oczywiście

interesowałem się bardziej moim nowym podbojem niż Sidorowem.

— Ale dał mu pan zlecenie i numer konta, bo inaczej nie mógłby przecież napisać listu do Mareike Henning.

— Może tak było. Nie wiem. Wypiłem wtedy parę szklanek whisky z colą, a potem zniknąłem z tą rosyjską laską. Tylko niech mnie pani nie pyta, jak ona się nazywała.

Ann Kathrin odchrząknęła, a potem wrzasnęła na Meulinga:

— Wie pan, co ja myślę? Myślę, że nie ma żadnego Sidorowa! Sam pan napisał ten list, żeby napędzić strachu pani Henning.

— Gdzie był pan w nocy z czwartku na piątek? — zapytał ostro Weller.

Meuling szybko odwrócił głowę w jego stronę i spontanicznie odpowiedział:

— Tutaj. Z kumplami. Przez całą noc.

Weller szybko skontrolował.

— Na drzwiach lokalu jest napisane: „Otwarte do godziny 22”. Gdzie był pan później?

— Tutaj. Jesteśmy stałymi gośćmi. Ja nawet podjąłem się doradztwa ekonomicznego, gdy otwierano ten lokal. Byliśmy tu prawie do drugiej nad ranem i graliśmy w bilard. Turniej. Możecie zgadnąć, kto wygrał.

— Nie obchodzi nas to — prychnęła Ann Kathrin.

Weller postanowił teraz przejąć pałeczkę, żeby zatuszować swoją wpadkę z kasą chorych. Przysunął bardzo blisko swoją twarz do twarzy Meulinga, żeby mu pokazać, że wcale nie czuje się od niego słabszy fizycznie. Ale kiedy się odezwał, miał przytłumiony głos i nagle zaczął mówić z wyraźną chrypką:

— Gdybym zamierzał popełnić morderstwo, to pierwsze, o co bym zadbał, to nie byłaby broń, tylko alibi. Trzeba mieć w rękawie kilka asów, jeśli chce się grać tak ryzykowną kartą.

— Ale ja nikogo nie zabiłem.

Ann Kathrin odchrząknęła. Patrzyła w dół i drapała nogą dywan w miejscu, w którym przykleiła się guma do żucia.

— Jeśli jest pan taki niewinny, to chyba nie będzie miał pan nic przeciwko temu, jeśli złożymy krótką wizytę w pańskim mieszkaniu...

— Czego pani tam chce szukać?

Weller poczuł, jak pot spływa mu po plecach. Nie mieli przecież nakazu przeszukania.

— Chcielibyśmy się trochę rozejrzeć. Za pańskim pozwoleniem, rozumie się.

— Czyli nie ma pani nakazu przeszukania?

No i proszę bardzo — pomyślał Weller.

— Nie, ale za kilka minut mogę mieć. Jeśli mnie pan zmusi do podjęcia takich środków, wtedy zacznę sobie zadawać pytanie, co ma pan do ukrycia. Myślę, że po prostu zabiorę pana ze sobą, a pan spędzi czterdzieści osiem godzin w areszcie. Czasem trochę to trwa, zanim prokurator znajdzie wolną chwilę, by wystawić nakaz przeszukania. A w weekendy to już w ogóle nic się nie dzieje. W poniedziałek odbierzemy pana z komisariatu i pójdziemy oglądać pańskie mieszkanie.

Meuling podniósł ręce, jakby chciał się poddać.

— Okej, okej, chodźmy.

Weller schował kajdanki do kieszeni.

SZLI OBOK SIEBIE jak troje znajomych, którzy przypadkowo spotkali się na ulicy.

Meuling mieszkał w dwupokojowym mieszkaniu na czterdziestu pięciu metrach kwadratowych.

— Wiem, co pani teraz myśli — powiedział, gdy Ann Kathrin rozglądała się po mieszkaniu.

— Tak? Więc co myślę?

— Że ośrodek pomocy społecznej nie płaci za większy metraż. Ale proszę mi wierzyć, to pomyłka. Lubię tutaj mieszkać. To tutaj toczy się życie. Wie pani, jeśli sprawdzić czynnik kosztowy, to czynsz zżera najwięcej pieniędzy. Jeśli ktoś chce zbiednieć, powinien wynająć duże mieszkanie, używać grzejników ile wlezie i ubezpieczyć się przeciwko każdej bzdurze, takiej jak włamanie czy lawina. Czy pani wie, ile ja oszczędzam dzięki temu, że tutaj mieszkam? Najpóźniej za dwa, trzy lata będę miał tyle pieniędzy, że zwinę interes. A potem ruszam na Majorkę. Dom na skałach z widokiem na morze. Co wieczór zachód słońca.

W mieszkaniu panował bałagan, ale bynajmniej nie było brudno. Szczególną wagę Meuling przywiązywał najwyraźniej do swoich ciuchów. Wszystkie ubrania wisiały w szafie, porządnie wyprasowane. Koszule złożone w kostkę leżały jedna na drugiej na walizce pod oknem.

— Wybiera się pan w podróż?

— Każdy, kto tu mieszka, ma na to ochotę. Czy zna pani kogoś, kto chciałby żyć i umrzeć w Duisburgu?

Na krzesła, które wyglądało jak rekwizyt ukradziony z teatru i zupełnie nie pasowało do tego mieszkania, leżał stos gazet. Zeszyty agencji ADAC, magazyny i spora liczba „Playboyów”. Weller zaczął je kartkować.

Ann Kathrin spojrzała na niego z przyganą. Weller się wzdrygnął. Gazety spadły z krzesła. Gdy Weller zaczął zbierać magazyny, w oko wpadła mu okładka „Magazynu Fryzji Wschodniej”. I właśnie to czasopismo położył na samej górze stosu. A potem uśmiechnął się do Ann Kathrin. Lepiej niech myśli, że kartkował „Magazyn Fryzji Wschodniej”, a nie „Playboya”. Zastanawiał się, czy ona jest zazdrosna o to, że ogląda zdjęcia nagich kobiet.

Ann Kathrin znowu zwróciła się do Meulinga:

— Czy mogę zajrzeć do pańskiego komputera?

Meuling od razu się zdenerwował. Obok komputera stała kolorowa drukarka Hewlett-Packard, a przy niej kilka zmiętych kartek. Weller zaczął je oglądać.

— Czego pani chce od mojego komputera?

— Mogę go zabrać ze sobą. Ale tak naprawdę chcę tam tylko zajrzeć.

— I brakuje pani hasła, tak?

Ann Kathrin spojrzała na niego wyzywająco.

— „Pierdol się”! — oświadczył z szerokim uśmiechem.

— No tak, coś takiego nie jest łatwo wymyślić — powiedziała Ann Kathrin i wstukała hasło.

Nie zajęło jej to wcale dużo czasu. Wpisała w wyszukiwanie słowo „Sidorow” i ukazał się dokument Worda. Otworzyła go i od razu wcisnęła polecenie drukowania.

— Ej, co pani tam robi?

— Tego listu, który doprowadził Mareike Henning do ataku paniki i skłonił ją do zapłacenia panu pieniędzy, nie wysłał pan tylko jej jednej. To list seryjny. Za jego pomocą bardzo skutecznie optymalizował pan swoje finanse, prawda? Ile osób pan i pańscy kumple daliście radę nabrać?

Drukarka ciągle pracowała. Wypluwała z siebie list za listem. Każdy z nich miał taką samą treść, a różnił się tylko adresatem i adresem.

— Ja... ja po prostu sam siebie reprezentuję w sprawach wezwania do zapłaty... — jękał się Meuling.

— Z pewnością — odezwał się Weller. — Na pewno w ten sposób może pan zaoszczędzić mnóstwo pieniędzy.

I znowu wyjął kajdanki.

Meuling błyskawicznie odepchnął Wellera na bok i pięścią uderzył Ann Kathrin w okolicę żołądka. Zgięła się w pół.

Meuling już zbiegał po schodach. Weller za nim. Rozsadzała go nieprawdopodobna wściekłość, bo ten

typiek uderzył Ann Kathrin na jego oczach.

Meuling był już na ostatnich stopniach schodów, gdy Weller skoczył. Lecąc w powietrzu, myślał jeszcze: „W kinie coś takiego wygląda niesamowicie”. Żałował przy tym, że Ann Kathrin nie może go teraz zobaczyć.

Huknął w plecy Meulinga i razem upadli na kamienną posadzkę klatki schodowej.

— W imieniu prawa — wychrypiał Weller — jest pan aresztowany. Wszystko, co od tej chwili pan powie, może zostać użyte przeciwko panu.

Na szczycie schodów ukazała się Ann Kathrin.

Weller rozcierał sobie prawą nogę.

— Do cholery, moje kolano!

— Koledzy są już w drodze — odezwała się Ann Kathrin i schowała komórkę do kieszeni.

W DRODZE POWROTNEJ w piętrowym pociągu nie mówili zbyt wiele. Ten osobowy ekspres regionalny był niewiarygodnie zatłoczony. Na każdej pomniejszej stacji pociąg tracił mnóstwo czasu, bo ludzie stali tak blisko drzwi, że nie mogły się one zamknąć samoczynnie. „Proszę odsunąć się od drzwi, gdyż w przeciwnym razie pociąg nie pojedzie dalej” — rozbrzmiewał z głośników komunikat, na który ludzie reagowali śmiechem lub głośnymi przekleństwami.

Ann Kathrin i Weller stali w korytarzu wagonu pierwszej klasy, podczas gdy kilku młodzieńców bez biletów rozsiadło się w przedziale. Ann Kathrin nie chciała interweniować, bo uznała, że to zadanie konduktora, ale ten w przepełnionym pociągu najwyraźniej wolał schować się w toalecie.

Atmosfera się zagęszczała. Już tylko jedna toaleta była czynna, a i ta ciągle była zajęta. Na schodkach siedzieli ludzie, więc pasażerowie, którzy schodzili z piętra, mieli problemy, żeby precyzyjnie się z bagażami. A zresztą przedziały w ogóle nie były przystosowane dla osób z bagażem. Nad fotelami znajdowało się coś na kształt schowka na kapelusze, o który każdy uderzał głową, bo półeczka zamontowana była zbyt nisko nad siedzeniem. Nawet zwykłe aktówki tam się nie mieściły, nie mówiąc już o walizkach.

Jakiś biznesmen, który siedział w korytarzu na walizkach, głośno wyrzekął:

— Po co ktoś robi schowek na kapelusze, który jest tak masywny, że może się na nim powiesić cała drużyna piłkarska? Chyba tylko po to, żeby pasażerowie popełnili zbiorowe samobójstwo. Czy jeszcze nikt nie wpadł na pomysł, że ludzie, którzy są w podróży, mogą mieć przy sobie walizkę?

Weller widział, że Ann Kathrin jest coraz bardziej zirytowana. Próbował trochę ją rozchmurzyć, mówiąc, że w pierwszej klasie bardziej jej do twarzy niż w drugiej, ale ten żart nie przypadł jej do gustu. Na wątrobie leżała jej akcja z Duisburga. Policjanci z Duisburga bynajmniej nie okazali zadowolenia z powodu ich inicjatywy. Przywitali ich lodowato.

Przebieg wydarzeń był dla Ann Kathrin upokarzający. Meuling okazał się wtyczką policji kryminalnej z Duisburga. Dla nich Meuling był tylko drobnym przestępcą, na którego można czasem przymknąć oko, by w zamian za to dostać kilka wartościowych wskazówek. Policjanci z Duisburga postanowili chronić swojego informatora, a listy z wezwaniem do zapłaty sprowadzili do poziomu uczniowskiego żarciku.

Razem z miejscowymi policjantami pojawił się też choleryczny tajniak zajmujący się handlem narkotykami, który zirytował Ann Kathrin niewiarygodnie gorączkową gestykulacją, a wyglądał przy tym, jakby sam jechał na koksie. Między siekaczami miał wielkie przerwy, a w czasie gdy mówił, Ann Kathrin zastanawiała się, czy czyści je za pomocą nici dentystycznej czy może wkłada między zęby małą szczoteczkę. Tajniak czuł się tak ważny, że nawet nie podał swojego nazwiska, żeby „nie zagrozić akcji”. Gdy mówił, podchodził do Ann Kathrin zbyt blisko, naruszając jej przestrzeń osobistą, której potrzebowała, żeby czuć się komfortowo. Kilka razy musiała się cofnąć, gdy wlaźł w jej „aurę”.

— Byłem tyle od sukcesu! — wrzeszczał. — Tyle!

I pokazywał przy tym na palcach odległość co najwyżej jednego centymetra.

— Z pomocą Meulinga rozpracowujemy właśnie jedną z największych siatek narkotykowych w Europie. Działają w tym policjanci z Holandii, Francuzi i... — Mówiąc te słowa, prawą ręką zrobił taki ruch, jakby sam siebie musiał powstrzymać, żeby się do końca nie wygadać. — ...potem przyjeżdżają dwa pajace z Fryzji Wschodniej i w ostatniej minucie psują cały nasz plan! Nie macie bladego pojęcia, ile energii włożyliśmy w tę sprawę. A wy tu przyjeżdżacie z jakimiś papierkami? — Potrząsnął głową, wysmarkał głośno nos i schował do kieszeni chusteczkę w biało-niebieski wzorek.

Dziwne — pomyślała Ann Kathrin — kto dzisiaj jeszcze używa chusteczek z materiału?

— Tu nie chodzi o jakieś drobne przewinienie — broniła się. — Mamy podejrzenie popełnienia morderstwa.

— Niechże pani przestanie! — ryknął łowca handlarzy narkotyków. — Meuling nie jest mordercą gwałcicielem, tylko drobnym złodziejaszkiem. Oszustwa podatkowe, postępowanie upadłościowe, uwodzenie nieletnich — to jego działka. Poza tym wiem, jak wyglądają prawdziwi mordercy! — I uderzył się przy tym w pierś jak Tarzan. — Zapuszkowałem ich cały tuzin. A Meuling nie jest mordercą.

— Ach, czyli pan rozstrzyga takie rzeczy na oko? — zapytała Ann Kathrin. — Jak trzeba wyglądać, żeby uznać pan kogoś za mordercę?

Weller próbował jakoś włączyć się do rozmowy i wesprzeć Ann Kathrin, ale coś w cholerycznym zachowaniu łowcy handlarzy narkotyków go onieśmiało. Mężczyzna przypominał mu jego ojca. Gdy tamten zaczynał wrzeszczeć, mały Frank nie był w stanie wydobyć z siebie głosu, bo w gardle rosła mu wielka kłucha.

Policjant z Duisburga coraz bardziej się rozkręcał, aż w końcu pozwolił sobie na konstatację:

— Gdy tak na was patrzę, to już wiem, skąd się biorą dowcipy o mieszkańcach Fryzji Wschodniej. Naprawdę tacy jesteście, co nie?

Ann Kathrin dwa razy upomniała go, by się pohamował. A potem razem z Wellerem opuścili komendę policji. Teraz, w drodze powrotnej do Fryzji Wschodniej, rozważała każde zdanie i zastanawiała się, co powinna była odpowiedzieć i dlaczego tego nie zrobiła. Uznała, że obydwójce zrobili fatalne wrażenie. I gryzło ją to.

Zacisnęła wargi.

— Bileciki do kontroli! — zawołał nagle Weller, żeby nastraszyć młodzież.

Młodzieńcy natychmiast zerwali się na równe nogi. Jeden z nich od razu uderzył się głową w schówek na kapelusze. Weller wyszczerzył zęby.

— Drobne grzeszki Pan Bóg każe natychmiast.

Na dworcu w Duisburgu Weller zjadł bułkę ze śledziem, która leżała mu teraz na żołądku. Bał się, że dostanie biegunki. Ale nie potrafił spokojnie minąć stoiska z bułeczkami rybnymi. Nie potrafił żyć bez śledzi matjasów. Jednak dobrze by zrobił, gdyby w Duisburgu umiał się powstrzymać. Śledzik wyglądał wprawdzie świeżo, był przystrojony w listek sałaty i cebulkę, ale włożony był niestety w chrupiącą bułeczkę, co dla każdego mieszkańca Fryzji Wschodniej jest gwałtem zadany kulturze. Bułki, w których podaje się śledzie, muszą być miękkie, wręcz papkowate. Weller jeszcze teraz otrząsał się na wspomnienie tamtej przekąski.

Pociąg powoli pustoszał, a w ostatniej półgodzinie podróży Ann Kathrin i Weller usiedli na piętrze w zupełnie pustym przedziale pierwszej klasy. Wtedy też zjawił się konduktor.

— Czy wie pan przypadkiem, kto zbudował te wagony? — zapytał Weller.

Konduktor potrząsnął głową.

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Szkoda — powiedział Weller. — Chętnie bym go wezwał na przesłuchanie. Myślę, że ma sporo na sumieniu. Ta konstrukcja stwarza wręcz groźbę uszkodzenia ciała, nie uważa pan?

Gdy wyszli z pociągu, Ann Kathrin przerwała milczenie. Wiatr wiejący w Norden dobrze jej robił. Miała poczucie, jakby głaskał ją po twarzy, a przy tym przeczesywał włosy.

— Myślę, że to jego szukamy — powiedziała. — Jego i obydwu jego kumpli. Mają dość siły i czasu też mieli pod dostatkiem. Wzajemnie zapewniają sobie alibi. Mogli bez problemu przyjechać samochodem tu, na północ, a gdy już zamontowali zwłoki, wrócili do domu. A ich alibi to dobry żart. Wszyscy oni żyją z wmawiania ludziom, że coś im zepsuli, a potem biorą od nich kasę. Bardzo wygodnie urządzili się w Duisburgu. Nasi koledzy ich tolerują, póki czegoś poważniejszego nie zmalują. I nikt nie przypuszcza, jakie rozmiary ma ich działalność... A potem nagle zjawia się Mareike Henning i nie idzie na ten układ. Składa doniesienie i angażuje do tego adwokata. Jeśli proceder tej trójki wyszedłby na jaw, byłiby załatwieni.

— Ale dlaczego nie mogli jej po prostu przejechać samochodem, udusić, zastrzelić? Czemu w taki sposób?

— Choćby po to, żeby nas naprowadzić na fałszywy trop — odpowiedziała Ann Kathrin. — Na jakiegoś mordercę szaleńca. Kto wie, jak duży jest ten ich interes. Wymuszanie haraczu? A Meuling najwyraźniej zamieszany jest też w handel narkotykami, bo przecież inaczej nie mógłby dostarczać policji tych informacji. Musiał ją usunąć z drogi, żeby tego interesu nie narażać.

— I dlatego sprzedał nam to jako pracochłonne zainscenizowane morderstwo na tle seksualnym czy też jakiś inny mord rytualny? — zapytał Weller.

— Tak. On musi być poza wszelkim podejrzeniem, bo jeśli kryminalni zaczną go dokładnie sprawdzać, to... nie wiesz, sam widziałeś. Wystarczyło zajrzeć do komputera, żeby kompletnie zgłupiał.

Wellerowi zaburczało w żołądku. Wcale nie najadł się tą podłą bułką ze śledziem. Mógłby teraz bez problemu pochłonąć dwie golonki.

— Zastanawiam się — ciągnęła zadumana Ann Kathrin — jak on wpadł na ten pomysł? Czy chciał urzeczywistnić jakąś swoją fantazję, która od dawna go zajmowała? Czy też wziął to z jakiegoś filmu albo książki?

W kwestii książek Weller okazał się sceptyczny.

— Takie typki jak on nie czytają książek — stwierdził. — Miał w mieszkaniu mnóstwo płyt DVD, ale ani jednej książki.

Weller z łatwością mógł sobie wyobrazić, jak Meuling ze swoimi dwoma kumplami oglądają przy puszcze piwa jakiś amerykański film klasy B, a potem wpadają na pomysł zamordowania Mareike Henning.

— Ojciec Mareike i jej narzeczony nasłali na Meulinga prokuraturę. Markus Sassen dalej działał na własną rękę. Adwokat Hinrichs w imieniu swojej klientki ciągle wzywał prokuraturę, by poważniej potraktowano jej sprawę. Być może Meuling nigdy jeszcze nie spotkał się z takim oporem. Na dokładkę wyszło na jaw, że ów tajemniczy Sidorow w ogóle nie istnieje. Ta trójka musiała się spodziewać, że za chwilę zostanie zdemaskowana... a Henning i Sassen nie odpuszczali.

— Gdyby po prostu skatowali tę młodą kobietę — powiedział Weller — każdy średnio inteligentny prokurator wiedziałby, że to oni. Szantaż... uszkodzenie ciała... łatwo to powiązać. Ale wtedy w jakimś gównianym filmie z nurtu *gore* trafiają na postać szalonego mordercy. I postanawiają, że zrobią dokładnie to samo co on...

Ann Kathrin pociągnęła myśl Weller:

— Meuling podjął próbę porwania dziewczyny. Wyszło z tego kompletne fiasko. Ale we trzech brnęli dalej i prawdopodobnie zaczęli nawet odczuwać przyjemność z tego wszystkiego.

Weller rozcierał sobie nogę. Ciągle jeszcze bolała go po skoku na plecy Meulinga.

— Założę się — powiedział — że jeśli zarekwirujemy płyty Meulinga, to znajdziemy tam film z dokładnym instruktażem tego morderstwa.

Uśmiechnął się pod nosem. Wyobraził sobie, jaką miałyby satysfakcję, gdyby na oczach kolegów z Duisburga założył Meulingowi kajdanki, udowodniwszy mu uprzednio popełnienie morderstwa.

Ann Kathrin najchętniej od razu wróciłaby do Duisburga, żeby zarekwirować tę kolekcję płyt DVD. Ale dzisiaj była jednak zbyt zmęczona. Postanowiła, że spróbuje zadziałać drogą służbową. Niech prokurator Scherer się o to zatroszczy.

W domu Ann Kathrin ugotowała spaghetti z sosem pesto. Weller otworzył butelkę czerwonego wina z uprawy ekologicznej, które kupił za jedyne pięć euro dziewięćdziesiąt i które smakowało zaskakująco dobrze. Ann Kathrin była wdzięczna Wellerowi, że przy jedzeniu ani słowem nie wspomniał o ich kłęsce w Duisburgu. A potem padła na kanapę w salonie i podciągnęła wysoko nogi. Były dziwnie ciężkie, jak gdyby krew z nich nie odpływała, tylko gromadziła się w stopach i łydkach.

Weller był wyczulony na te niedomogi. Przyniósł jej dwie duże poduszki i bez słowa, niemalże mimochodem, zaczął masować stopy Ann Kathrin.

Zamknęła oczy i upajała się tym masażem. Miała wrażenie, że dotyk przenosi się ze stóp na całe ciało. Kiedy Weller masował koniuszek jej dużego palca, poczuła mrowienie na czole. Wyobraziła sobie, że cały ten stres wysypywał się z niej tak, jak drobny piasek sypie się z ubrania, gdy powraca się ze spaceru po plaży. W trakcie masażu przysnęła. Gdy obudziła się na dźwięk telefonu, nie wiedziała, czy zdrzemnęła się na kilka sekund, czy też już od kilku godzin śpi na kanapie. W każdym razie Weller cały czas trzymał jeszcze jej stopy w swoich dłoniach.

Poprosił ją, by po prostu zignorowała telefon. Na dzisiaj mają już wolne. A potem chciał ją zanieść do łóżka. To było wprawdzie romantyczne i on sam czuł się przy tym jak jakiś bohater, ale równocześnie nie okazało się to korzystne dla jego kręgosłupa.

Już w chwili, gdy próbował podnieść Ann Kathrin, poczuł kłujący ból w plecach, który promieniował od kręgosłupa ku głowie. Puścił ją, a ona klapnęła z powrotem na kanapę. Stał teraz nad nią zgięty w pół, jak skamieniały, z twarzą wykrzywioną bólem. Rękoma, którymi dopiero co tak czule masował jej stopy, obmacywał sobie plecy. Nie był w stanie się wyprostować.

Ann Kathrin wstała.

— Poczekaj. Pomogę ci.

ANN KATHRIN leżała w pozycji embrionalnej, kurczowo trzymając wielką poduszkę i przyciskając ją do brzucha. Oczy miała zamknięte. Pierwszy obudził się jej zmysł powonienia. Weller parzył w kuchni kawę. Świeżo zmielone ziarna arabiki rozsiewały aromat z kuchni aż do sypialni. Usłyszała odgłos jego bosych stóp na włoskiej terakocie. Szedł w jej kierunku. Równocześnie zapach kawy był coraz bardziej intensywny.

Serce zabiło jej szybciej. Czyżby on właśnie... Zerknęła w stronę drzwi. Rzeczywiście. Właśnie niósł jej kawę do łóżka.

Na tacy stała także szklanka. Czy to świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy? A obok talerz z dwoma sadzonymi jajkami z krewetkami na przypieczonej grzance?

— Czy ja śnię? — zapytała żartobliwie i przetarła oczy. — Czy też ktoś właśnie przyniósł mi śniadanie do łóżka?

Ten facet to wygrana w totolotka — pomyślała. I w tej właśnie chwili zadzwonił telefon.

Weller potrząsnął głową i postawił tacę na łóżku. Ale Ann Kathrin wygramoliła się właśnie z pościeli i już stała przy telefonie.

Tutaj, w domu przy Distelkamp, to ona zawsze odbierała telefon, a nie Weller. Bo to był jej dom, a nie jego.

Dzwonił Rupert, który najwyraźniej był już w pracy. W tle terkotał faks i pracowała laserowa drukarka. Spojrzała na zegarek. Było kilka minut przed dziewiątą.

— Mam pierwsze wyniki z laboratorium. Czy mam ci to przeczytać dosłownie, czy też wolisz wersję przetłumaczoną na nasze?

— No już, mów!

Ann Kathrin zmarzły stopy. Potarła prawą nogą o lewą i miała nadzieję, że Weller nie będzie na nią zły. Teraz, gdy tak siedział w pobliżu, zauważyła, że sprawiła mu przykrość, bo telefon okazał się dla niej ważniejszy niż jego śniadanie. A on przecież zadał sobie tyle trudu...

Przyszedł jej do głowy jej syn Eike. Ile razy zostawiała go na lodzie, poświęcając się pracy? Jakiemuś śledztwu, którego nie można było odłożyć na później i które w danej chwili było oczywiście ważniejsze niż namalowany dla niej obrazek albo nawet piątka z niemieckiego.

Z upływem lat chłopak musiał dojść do wniosku, że dla jego matki ważniejsi od niego są przestępcy. Nie dziwota — myślała teraz — że przeprowadził się do Hero i jego kochanki, zamiast zostać ze mną. Na jego miejscu prawdopodobnie zrobiłabym to samo.

Dopiero teraz, gdy zobaczyła, jak Weller siedzi rozczarowany obok tacy ze śniadaniem, pojęła naprawdę, co przydarzyło się jej i jej synowi. Odczuła to całą sobą i najchętniej od razu przerwałaby rozmowę, żeby natychmiast jechać do Eike. Musi go poprosić o wybaczenie, musi powiedzieć mu, jak bardzo go kocha, i udowodnić to. Równocześnie czuła, że powtarza całą tę zabawę od nowa. Tym razem z Wellerem.

Tylko że on musi ją zrozumieć. Jest dorosłym facetem. Pracuje w tym samym fachu co ona. I on też chce złapać mordercę.

— W takim razie najpierw to, co najważniejsze. Włosy zmarłej sklezione są lakierem do włosów i to coś chłopaki z laboratorium znaleźli też na kwiatach wokół jej głowy. To oznacza...

Ann Kathrin dopiero teraz się obudziła.

— Ufryzował jej włosy na miejscu — powiedziała.

— Tak. I to dopiero wtedy, gdy już ją nadział. Można powiedzieć, że było to ukoronowanie jego pracy. Wiesz, jak nazywają go chłopcy z laboratorium?

— Nie.

— Fryzjer.

Ann Kathrin z trudem przełknęła ślinę. Najchętniej wypiłaby teraz łyk tej kawy. Miała wstrętny smak w ustach.

— Są już wyniki badania krwi? — zapytała.

— Tak. Jest tak, jak myślałaś. Wstrzyknął jej coś, co opóźnia stężenie pośmiertne.

— A jakieś środki oszałamiające?

— Ona przez dłuższy czas zażywała środki uspokajające — walerianę i takie tam. Ale we krwi nie ma niczego, co by ją uczyniło bezwolną. A ostatni jej posiłek to jagnięcina, brukselka, zapiekanka z ziemniaków. Do tego czerwone wino, ale nie pytaj jakiej marki.

Rupert się roześmiał, ale Ann Kathrin nie uważała tego za śmieszne. Poczwała, że powinna teraz wrócić z telefonem do sypialni, usiąść obok Wellera i napić się kawy. Dlaczego sterczała tutaj, jakby jej uciekł autobus?

Weller jakby odgadł jej myśli. Wziął z tacy filiżankę i przyniósł jej kawę. Z wdzięcznością kiwnęła mu głową i wypila łyk.

— Dowiedzieliśmy się już czegoś o tych stalowych prętach. Bardzo stabilna konstrukcja. Czasem są



używane do wznoszenia rusztowań. Mają też zastosowanie przy konstrukcjach na scenie. Ale wykorzystywane są również w urządzeniach sportowych — zwłaszcza tych w siłowniach. Produkowane są na metry w Duisburgu, ale można je kupić wszędzie. Podobno używane są też w namiotach szpitalnych Bundeswehry, bo te pręty są bardzo lekkie i niezwykle wytrzymałe. Te rurki Fryzjer naostrzył sam. To musiała być niewdzięczna robota. W każdym razie nie można ich kupić z ostrymi końcami.

— A istnieje jakaś lista klientów? — zapytała Ann Kathrin. — Czy możemy sprawdzić, kto w ostatnim czasie kupił jaką rurę...

Rupert wszedł jej w słowo.

— Niemożliwe sprawy załatwiam, jak wiadomo, od ręki, ale jeśli chodzi o cuda, to potrzebuję trochę więcej czasu, droga koleżanko. — Zakaszłał. Słysząc było, że jest zmęczony. — I jeszcze dzwonił jakiś typ z telewizji ZDF. Gunnar... — Rupert zaszeleścił papierami.

— Peschke — uzupełniła Ann Kathrin. — Czego chciał?

— Chciał z tobą porozmawiać. Mnie nic nie chciał powiedzieć. Dałem mu numer na twoją komórkę. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

— Nie, w porządku — odpowiedziała Ann Kathrin i wypila kolejny łyk kawy. Uśmiechnęła się do Wellerera. A on wycisnął całusa na swoim palcu wskazującym, który potem delikatnie przyłożył do koniuszka jej nosa.

Skoro tylko Ann Kathrin skończyła rozmowę z Rupertem, zabrała się za swoje jajko z krewetkami. Dziwiła się, że w półśnie wychwyciła tylko aromat kawy, a zapachu jajek nie. Teraz odczuwała ich smak bardzo intensywnie. Pochłonęła śniadanie i pomyślała, że musi przy tym wyglądać na okropnie łapczywą i prymitywną. Weller przyglądał się jej, jak kiedyś w dzieciństwie karmieniu fok. Patrzył i uśmiechał się do niej.

Dwie krewetki spadły jej z widelca na poszewkę kołdry, ale ona nawet tego nie zauważyła. Weller pochylił się i zaczął macać palcami w poszukiwaniu krewetek, a gdy je znalazł, szybko wepchnął sobie do ust.

Zanim jeszcze popiła sokiem ostatni kawałek grzanki z jajkiem, zadzwoniła jej komórka. Ann Kathrin odebrała telefon z pełnymi ustami.

Od razu rozpoznała głos Gunnara Peschke. Mówił spokojnie i rzeczowo, ale wyczuła jego podenerwowanie. Powiedział, że wie, skąd zna zmarłą. Albo mówiąc ściślej, skąd zna ułożenie jej ciała.

— To zdjęcie z „Magazynu Fryzji Wschodniej”. Jakaś wschodniofryzyjska grupa tańca jazzowego występuje na scenie. Jedna z kobiet skacze w powietrze, jej włosy cudownie przy tym unoszą się do góry. Wyglądają na zdjęciu jak aureola.

Ann Kathrin zdumiała się.

— On to miał z lokalnego czasopisma?

— Najwyraźniej. Ja sam prenumeruję „Magazyn Fryzji Wschodniej”. Każdy prawdziwy fan Fryzji Wschodniej tak robi. Mam dzięki temu u siebie w Moguncji część Morza Północnego oraz urlopu.

— W którym numerze znajduje się to zdjęcie?

— Z ubiegłego listopada.

W tym momencie Gunnar Peschke stał się w oczach Ann Kathrin podejrzanym. Po co turysta, który w kwietniu przyjeżdża do Fryzji Wschodniej, zabrał ze sobą wydanie magazynu sprzed sześciu miesięcy? Znała to zjawisko z podręczników. Czasem sprawcy szukają kontaktu ze śledczymi. Przedstawiają się jako świadkowie. Podsuwają pomysły. Kierują policję na fałszywy trop, odwracają uwagę od siebie i w ten sposób zawsze są poinformowani o postępach śledztwa. Czy Gunnar Peschke był właśnie kimś takim?

W czasie tej rozmowy również Weller przyłożył ucho do komórki. Dotykali się włosami. Poczuł, że

użyła swojego kremu do twarzy z olejem z wiesiołka.

Weller wyciągnął zupełnie inne wnioski. W mieszkaniu Dietera Meulinga widział egzemplarz „Magazynu Fryzji Wschodniej”. Niekoniecznie numer z listopada, ale z całą pewnością właśnie to czasopismo.

— A zatem nie zaczerpnął pomysłu z jakiegoś filmu *gore*. Pochodzi z naszego „Magazynu” — szepnęła z triumfem Weller.

— Czy zabrał pan na urlop do Fryzji całą swoją kolekcję „Magazynu”? — zapytała Gunnara Peschke Ann Kathrin. — Jak pan trafił akurat na ten listopadowy numer?

Mężczyzna najwyraźniej nie zauważył, że właśnie stał się podejrzanym. A może spodziewał się takiego pytania i miał już przygotowaną wcześniej odpowiedź?

— W tym numerze jest między innymi przegląd dobrych restauracji rybnych we Fryzji Wschodniej. I były tam tylko dwie, których nie znam. Zabrałem ten egzemplarz, żeby się do nich wybrać. Uwielbiam restauracje rybne.

Ann Kathrin zakończyła rozmowę i pobiegła na piętro. Jej eksmałżonek uwielbiał czytać „Magazyn”, a ponieważ bardzo podobały mu się zdjęcia, przechowywał archiwalne egzemplarze. Miała nadzieję, że nie zabrał ich do swojej kochanki Susanne Mönninghoff.

Miała szczęście. Od razu znalazła listopadowy numer i nie musiała go długo kartkować, by znaleźć zdjęcie. Od razu rzuciło się jej w oczy. Tak. Dokładnie tak wisiała martwa Mareike — jakby zamrożona w samym środku skoku.

Kobieta na zdjęciu nie była oczywiście naga. Miała na sobie różowy strój do tańca jazzowego, który błyszczał jak posypany złotym pyłem. Holger Bloem napisał artykuł o występach grupy tańca jazzowego na wydmach. Kobieta na zdjęciu nazywała się Mareike Henning.

Ann Kathrin odetchnęła głęboko. Bez wątpienia morderca zainspirował się tym zdjęciem i zadał sobie wiele trudu, żeby odtworzyć skok Mareike między ukwieconymi krzewami w parku zamkowym Lütetsburg.

Ann Kathrin nie zauważyła, że Weller stanął za jej plecami. Po prostu zniknął z zasięgu jej wzroku. Wzdrygnęła się, gdy usłyszała jego głos.

— Mieli z nią kłopoty — powiedział Weller — nasłała im na kark prokuraturę. Próbowali ją zastraszyć, ale ona się nie dała. A potem zobaczyli to zdjęcie w „Magazynie”. To uskrzydliło ich marzenia o zemście. O Boże, jacy chorzy gnoje chodzą po tym świecie!

GDY JECHALI DO AURICH, by wystąpić o nakaz aresztowania dla Meulinga, Ann Kathrin nie była już taka pewna, czy Meuling jest tym, kogo szukają. Wyobraziła sobie Gunnara Peschke, który siedzi w parku wczesnym rankiem i podziwia swoje dzieło. Słońce wschodzi, a on nie może się nasycić tym widokiem. Zgodnie z tym, co mówił, przyjechał do parku tak wcześnie, że nawet kasa była jeszcze zamknięta. Podobno wrzucił jedno euro do automatu kasowego przy obrotowej bramce. Czy miał świadomość, jak bardzo się tym obciąża? Czy czekał, aż słońce znajdzie się w korzystnym położeniu i ukaże jego dzieło sztuki we właściwym świetle, by wtedy zadzwonić na policję? Czy ktoś, kto był na tyle szalony, żeby zrobić coś takiego, potrafi działać tak rozsądnie?

Zanim weszli na górę do prokuratora Scherera, Weller musiał jeszcze zapalić papierosa. Obiecał Ann Kathrin, że dzisiaj odpuści sobie tradycyjną przepychankę z Schererem o to, kto ma rację. Postanowił, że dziś będzie z nim rozmawiał wyłącznie na płaszczyźnie zawodowej. A jednak gdy tylko tych dwóch stanęło naprzeciw siebie, Wellera opanowała przemożna chęć, by zaatakować Scherera albo przynajmniej go obrazić. Najchętniej by mu przyłożył — i nie potrafił sobie wyjaśnić dlaczego. Wellera rozwścieczał jego cokolwiek zarozumiały, przemądrzały, wręcz pyszałkowaty styl bycia, a także wysiłki

Scherera, by ubierać się jak angielski dżentelmen, starania nieodmiennie skazane na klęskę. Zdaniem Wellera cała jego sylwetka, postawa i mowa ciała miały w sobie coś sztucznego i nadętego.

Mówiła Ann Kathrin, a Scherer demonstracyjnie ignorował Wellera. Prokurator wolałby, aby mordercą był każdy, byle nie Meuling. Obawiał się bowiem, że to właśnie on zostanie obciążony współodpowiedzialnością za to przestępstwo. Przecież to prokuratura przegapiła okazję, by zapobiec morderstwu. Scherer starał się dowieść Ann Kathrin, że jej argumenty są nielogiczne. Gdy Ann Kathrin przedstawiła wszystkie swoje podejrzenia, Scherer punkt po punkcie je storpedował.

— A zatem utrzymuje pani z całą stanowczością, że argumentem świadczącym o winie pana Meulinga jest fakt, iż w jego mieszkaniu znalazła pani egzemplarz „Magazynu Fryzji Wschodniej”? Jak pani myśli, ilu prenumeratorów ma to czasopismo?

Ku jego zaskoczeniu Ann Kathrin podała mu dokładne dane:

— Nakład wynosi piętnaście tysięcy egzemplarzy. Czasopismo posiada osiem i pół tysiąca abonentów. „Magazyn” wysyłany jest nawet do Stanów Zjednoczonych. Fani Fryzji Wschodniej najwyraźniej są wszędzie.

Scherer ściągnął usta w wyniosłym uśmiechu. I Weller od razu poczuł chęć, żeby mu przyłożyć.

— Tak, sam go czytam. Czy chce mnie teraz pani zaliczyć do grona podejrzanych? Potrzebujemy faktów. Odcisków palców. Śladów DNA. Świadców. Proszę tu do mnie nie przychodzić z samymi przypuszczeniami. Jak pani nie przestanie spekulować, to zostanie pani spekulantem — rzucił swój zwykły żarcik.

— On jej groził — powiedziała Ann Kathrin — a ona złożyła na niego doniesienie na policję. Wszystkie fakty podane były jak na talerzu. A teraz ta kobieta nie żyje. Jeśli go nie aresztujemy, wyjdziemy na ostatnich idiotów.

Scherer poskrobał się dłonią po niecałkiem gładko ogolonym podbródku.

— Pani się myli, pani Klaasen. Proszę znaleźć prawdziwego sprawcę. Wtedy wszyscy będziemy poza podejrzeniem.

— Próbujemy dotrzeć do zdjęć turystów. Jeśli Meuling będzie na którymś ze zdjęć, czy będzie pan gotów włączyć go do kręgu osób podejrzewanych?

Scherer się roześmiał.

— I to nazywa pani twardymi faktami, tak? Czy przypadkiem nie potrzebuje pani urlopu, pani nadkomisarz? Być może stresujące życie osobiste tak pani dopiekło, że nie potrafi już pani dokonać właściwego oglądu kryminalistycznych dowodów? Potrzebujemy faktów, faktów, faktów!

— Czy usłyszałem coś na kształt krytyki w odniesieniu do naszego związku? — zapytał Weller z agresją w głosie.

— Nie interesuje mnie, kto z kim sypia — odparował Scherer — póki porządnie wypełnia swoje obowiązki. Proszę mi przyprowadzić mordercę, którego będę mógł oskarżyć.

MEULING SIEDZIAŁ w City Café. Właściwie nie lubił *espresso*, ale uważał, że to bardzo męskie pić *espresso*, grappę i do tego szklanek wody. Był w dobrym nastroju i bębnił palcami po stole w rytm piosenki Erosa Ramazzottiego i Tiny Turner. Syczenie ekspresu do kawy przeszkadzało mu, bo zagłuszało śpiew Tiny Turner. Jak dotąd świetnie się dogadywał z policją kryminalną z Duisburga. Nabrali się na jego bief o mafii narkotykowej. Od prawie pół roku karmił ich półprawdami. Zbyt zachłannie pragnęli trafić do historii jako autorzy największego zwycięstwa w wojnie z mafią narkotykową, żeby dokładnie sprawdzać jego „wrażliwe dane”. Już dwukrotnie rzekomo przesuwano termin przekazania towaru, dlatego tym razem będzie musiał wymyślić coś nowego. Pozwalali mu biegać na dłuższej smyczy, jak długo mieli nadzieję, że dzięki jego pomocy złapią jakąś grubą rybę. Ale dzisiaj to on mógł ubić własny

interes.

Czasami — myślał sobie — szczęście przychodzi zupełnie niespodziewanie. Ile się napracował, ile musiał dać ogłoszeń... W całym mieście porozrzucił swoje wizytówki. Ci wszyscy drobni oszuści inwestowali z jego pomocą swoje żalosne kwoty zarobione na czarno, ale dzisiaj wreszcie na haczyk złapała się grubsza ryba.

Rozmowę telefoniczną odbył zaraz po tym, jak wypuścili go z komendy policji. Ciągłe jeszcze brzmiały mu w uszach słowa: „Słyszałem, że pan może mi pomóc. Chcę zainwestować pieniądze, których wolałbym nie ujawniać. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Potrzebuję kogoś, kto mi pomoże wyprać tę sumkę”.

Szybko przekonał nieznanego, że to on jest właściwym człowiekiem dla tego przedsięwzięcia i że nie tylko może mu te pieniądze bezpiecznie przechować, ale też dodatkowo gwarantuje mu dziesięć procent odsetek. Na miesiąc, rozumie się.

Plan Meulinga był prosty. Weźmie pieniądze i zniknie z Duisburga. Wyjedzie na Karaiby albo dokądkolwiek — byle w jakieś słoneczne miejsce. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy wystarczy, by zacząć gdzieś nowe życie. Może otworzy jakiś klub z rasowymi Brazylijkami. Burdel w Rio, nocny klub w Manaus czy striptiz w Sao Paulo. W każdym razie musi dać stąd nogę, zanim gliny z Duisburga zorientują się, że ich nabrał. Poza tym najpóźniej latem kilku ludzi zażąda swoich pieniędzy, które mu powierzyli. Ale do tego czasu on będzie już daleko ze swoją ćwiartką miliona.

Spotkanie miało się odbyć w ogrodzie botanicznym. Meuling spojrzął na zegarek. Miał jeszcze dobre pół godziny. Właściwie chciał już tam iść, ale wtedy do kawiarni weszły dwie piętnastolatki i usiadły przy stoliku naprzeciwko. Śmiały się i chichotały. Miały długie nogi i bluzki odsłaniające brzuch. W pępkach pobłyskiwały im kolczyki.

Ruda nastolatka ubrana była w plisowaną spódnicę, taką, jakie ostatnio znowu stały się modne. Gdy zauważyła, że Meuling gapi się na nią, założyła dumnie nogę na nogę, pozwalając mu zajrzeć głębiej pod spódnicę. Z miną pełną wyższości mrugnęła do swojej koleżanki, która natychmiast także poprawiła się na krześle. Meuling pojął, że był to rodzaj zawodów między tymi dwoma: która przyciągnie więcej męskich spojrzeń. Oparł się wygodnie i zamówił jeszcze jedną grappę. Chętnie bym was ze sobą zabrał — pomyślał, uśmiechając się pod nosem. Obydwie. Ale tam, dokąd polecę, będę miał na pęczki takich jak wy. Bo czy ktoś rozsądny wozi drzewo do lasu? Albo piwo do Dortmundu?

Gdy Meuling wszedł do ogrodu botanicznego, jego klient czekał już w umówionym miejscu. Miał na sobie czarny, pogrzebowy garnitur i okulary słoneczne. Wyglądał trochę jak Tommy Lee Jones z *Facetów w czerni*. Miał przy sobie podłużną czarną torbę sportową firmy Puma. Towarzyszył mu ochroniarz, również ubrany na czarno, który trzymał się nieco z boku.

To wszystko na początku nie wydało się Meulingowi podejrzane. Uznał, że ktoś, kto spaceruje po parku z dwustu pięćdziesięcioma tysiącami w gotówce, jak najbardziej ma prawo do ochrony.

— Mam nadzieję, że to nie są podrobione pieniądze — odezwał się Meuling.

Mężczyzna potrząsnął głową, rozejrzał się uważnie na wszystkie strony, a potem ostrożnie otworzył torbę. W środku nie było pieniędzy, lecz kij do bejsbola. Meuling zerwał się do ucieczki, ale ten drugi typek odciął mu drogę i prysnął gazem pieprzowym w twarz. Meuling wrzasnął i zaczął wzywać pomocy. Wtedy kij bejsbolowy zmiażdżył mu prawe kolano. Teraz nie mógł już uciec. A potem kij trafił go w głowę.

WEZWANIE, BY PRZYSYŁAĆ ZDJĘCIA z parku zamkowego Lütetsburg, zostało najpierw wydrukowane w „Kurierze”, ale jeszcze tego samego dnia zostało upowszechnione przez stację Hitradio Antenne i agencję DPA. Już po kilku godzinach tysiące cyfrowych zdjęć zaczęło zapychać komputery policji

kryminalnej w Aurich. Przejrzenie wszystkich mogło zająć całe miesiące, ale niezrażeni tym Ann Kathrin i Weller od razu wzięli się do pracy.

Weller oglądał zdjęcia dość pobieżnie. Uważał to za uciążliwe i bezsensowne zajęcie, które wykonywał tylko po to, by przypadkiem się Ann Kathrin. Ale ona już po kilku godzinach coś znalazła. Na zdjęciu autorstwa niejkiej Doris Raab pośrodku kwitnących krzewów dojrzała Gunnara Peschke.

Nie było widać całej sylwetki, bo przecież pani Raab nie jego chciała sfotografować, tylko piękne kwitnące rododendrony. Na dole zdjęcia znajdowały się data i godzina: 2 kwietnia, godz. 12.46.

Mężczyzna widoczny był od tyłu. Twarz miał skierowaną w przeciwną stronę. Ale Ann Kathrin była pewna, że go rozpoznaje.

Zawołała Wellera i Ruperta:

— Zobaczcie to! Oto i on: Gunnar Peschke. Miał zatem czas, by wcześniej obejrzyć rododendrony. A potem zmieszać kolory i wyszukać sobie dobre miejsce.

— Nie wiem, czy to naprawdę on — odezwał się Weller.

Ale Ann Kathrin była pewna.

— Oczywiście, że to on. Nie obejrzałeś go sobie tak dokładnie jak ja.

— Zgadza się — syknął Weller i poczuł, że znowu budzi się w nim zazdrość.

W zasadzie nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby ten Peschke był tym, którego szukają. Nie lubił, gdy jego kobieta patrzyła na facetów tak, jak wtedy na niego.

Ann Kathrin kazała wezwać Paula Schradera. W końcu to on pierwszy rozmawiał z Peschkem i spisał jego personalia.

Schrader od razu przyznał jej rację.

— Tak — powiedział — to może być ten facet z ZDF.

— Może? Co znaczy „może”? To on? Tak czy nie?

— Więc nie mógłbym przysiąc...

— Nawet jeśli to on, to jeszcze niczego nie dowodzi — jęknął Rupert. — Wszystkim wam nagle odbiło, czy co? Myślałem, że ten Meuling to pewniak.

Ann Kathrin zadzwoniła do Gunnara Peschke. Był niezwykle ucieszony, gdy usłyszał jej głos, i od razu zapytał o pogodę we Fryzji Wschodniej. A ona zdała sobie sprawę, że w ogóle nie zwróciła jeszcze uwagi na pogodę, więc zerknęła przez okno.

— Błękitne niebo — powiedziała. — I kilka baranków...

— A teraz jest przyływ czy odpływ?

Ann Kathrin przełknęła ślinę.

— Nie wiem.

A potem zapytała go, kiedy ostatni raz był we Fryzji Wschodniej.

— Wtedy, gdy się spotkaliśmy, pani komisarz. Czy pani już tego nie pamięta? — zażartował.

— A wcześniej? Czy już wcześniej był pan w parku zamkowym?

— Ależ tak — odpowiedział. — W kwietniu nie ma piękniejszego miejsca na ziemi. Te kolory, zapachy... — rozmarzył się.

— Kiedy dokładnie? — przerwała mu Ann Kathrin.

— W tym roku pierwszy raz byłem tam na początku kwietnia. Zawsze odwiedzam park w kwietniu.

— Rozumiem. Czyli jest to dla pana taka tradycja jak dla innych na przykład obchodzenie Wigilii dwudziestego czwartego grudnia?

Nie odpowiedział, tylko się roześmiał. Czy był to śmiech niewinnego człowieka, który nawet nie przypuszcza, że uchodzi za podejrzanego, czy też po prostu człowieka przebiegłego i pozbawionego skrupułów?

— Mam nadzieję, że macie już waszego mordercę, a Fryzja Wschodnia znowu jest bezpieczna.

— Tak — powiedziała Ann Kathrin — myślę, że już go mamy.

Odłożyła słuchawkę i poczuła, że ta rozmowa skończyła się jej porażką, chociaż przecież miała rację.

To on był na tamtym zdjęciu. Od razu sam to przyznał.

OJCIEC MAREIKE HENNING i jej narzeczony Markus Sassen siedzieli w salonie przy stole z koła od wozu przykrytym szklaną płytą — i upijali się. Spodziewali się, że jeszcze dzisiaj wieczorem zostaną aresztowani. Ale mieli to w nosie. Byli z siebie dumni.

Owczarka sprzedali za osiemdziesiąt euro sąsiadowi. Chcieli być pewni, że pies będzie miał opiekę, gdy ich zabiorą.

Wcześniej byli przekonani, że atak na Meulinga pomoże im łatwiej znosić żałobę po Mareike. Dobrze im zrobiło planowanie zemsty, a także skuteczne przeprowadzenie całej akcji. Ale teraz wszystko się odmieniło. Zastanawiali się, czy Meuling jeszcze żyje czy nie. Nie żeby się nad nim litowali. O, nie. Ale od tego zależała wysokość kary.

Peter Henning nie do końca wierzył, że zostanie za to pociągnięty do odpowiedzialności.

— Będziemy bohaterami — mówił — zwykli ludzie widzą wszystko inaczej niż ci, co się wyuczyli na sędziów. Gdyby więcej ojców postępowało tak jak my, to nikt by już nie porwał i nie zabijał cudzych dzieci. Żaden psycholog nie mógłby wtedy załatwić mordercy żółtych papierów i żaden cwany sędzia nie wypuściłby go z więzienia za dobre sprawowanie. Oko za oko. Ząb za ząb.

Markus Sassen dotąd nie był zwolennikiem kary śmierci. Wprost przeciwnie. Ale teraz jego poglądy zmieniły się radykalnie. Pił szybciej niż Peter Henning, a że był dobre piętnaście kilo lżejszy, alkohol podziałał szybciej.

W drodze do toalety potknął się i jak długi runął na podłogę. Później popił jeszcze Johnny'ego Walkera butelką piwa Jever, podczas gdy Peter Henning trzymał się czystego sznapsa.

Markus Sassen nie tyle zdrzemnął się na sofie w salonie, co raczej na niej zemdłał. Peter Henning dał jeszcze radę dojść do swojego łóżka. Padł na nie w ubraniu.

Spakowane walizki stały w kuchni. Mieli tam piżamy, skarpetki, bieliznę. Ale tej nocy nikt ich nie aresztował. Policja kryminalna z Duisburga nie widziała powodów, dla których miałyby przekazać informacje o napadzie na Meulinga do Fryzji Wschodniej.

WELLER SPRAWDZAŁ swoje mejle na laptopie Ann Kathrin. Gdy tylko zobaczył wiadomość od byłej żony Renate, zrobiło mu się na przemian zimno i gorąco. Wcale nie musiał otwierać tego listu. Od razu wiedział, że znowu się spóźnił. I teraz musi to powiedzieć Ann Kathrin. Nie miał już innego wyjścia.

Zszedł do niej do kuchni. Przeglądała katalog z bielizną. Od kiedy rozstała się z Hero i była z Wellerem, zaczęła się interesować piękną bielizną. Nie jakimiś tam przesadnie erotycznymi fataląszkami, o nie! Czegoś takiego nie lubiła. Wyglądałyby w nich jak dziwka, a przecież w nowej bieliźnie chciała się poczuć komfortowo i wyglądać pięknie. Trochę dla niego, ale z pewnością także dla siebie samej.

Oczywiście mogła sobie coś takiego kupić w sklepie w Norden czy w Aurich, ale na myśl o tym poczuła się nieswojo. W końcu nie wszyscy od razu muszą wiedzieć, co pani komisarz nosi pod ubraniem.

Gdy Weller wszedł do kuchni, natychmiast przerzuciła parę stron w katalogu i zaczęła pilnie przeglądać ubrania przeciwdeszczowe dla małych dzieci. A on był zupełnie błądy i gestykułował, jakby odpędzał od siebie rój os. Zdawał się okropnie zażenowany. Spojrzała na niego najspokojniej, jak potrafiła.

Obojętnie, co on teraz powie, ty musisz zareagować pozytywnie — powtarzała sobie. On spodziewa się, że może być z tego afera. Chce pewnie wyjść z kolegami zagrać w skata albo obejrzeć mecz piłki nożnej, albo coś podobnego, z powodu czego Renate wcześniej robiła mu awantury. Pokaż mu, że jesteś inna i lepiej potrafisz sobie z tym radzić.

Weller krygował się jeszcze chwilę, aż wreszcie wypalił:

— Muszę dzisiaj przywieźć dzieci. To znaczy, ja oczywiście chcę je przywieźć, to znaczy, oczywiście cieszę się z tego, ale...

— Twoje córki mają przyjechać? Dlaczego mi wcześniej o tym nie powiedziałeś? Przecież zrobiłabym...

— Chciałem ci powiedzieć, ale ciągle coś wypadło. Ciągle było coś ważniejszego. Czekałem na odpowiedni moment...

— Taki ze mnie potwór? Musisz czekać na odpowiednią chwilę, żeby mi powiedzieć, że przyjeżdżają twoje dzieci?

— Nie, ale...

— Ale co?

— Renate wyjeżdża na dwa tygodnie na Majorkę i...

— I one mają tu być przez dwa tygodnie? — zapytała Ann Kathrin i zdenerwowało ją, że powiedziała to rozdrażnionym tonem. Wszystko zabrzmiało nie tak. Jej ojciec często mówił: „Nie takim tonem, Ann, nie takim tonem”.

Weller miał teraz niemalże błagalne spojrzenie.

— Ann, nie rób mi problemów. To i tak jest wystarczająco trudne, dla mnie i dla dzieci. Najpierw ona nastawiała je przeciwko mnie. Bałem się, że zupełnie je stracę. Przecież obydwójce nie chcemy, żeby ze mną stało się tak jak z tobą. Przecież ty praktycznie nie widzisz już swojego syna, chociaż on mieszka niedaleko, w Hage.

Celny strzał. Ann Kathrin gwałtownie odwróciła się od Wellera i oburzone spojrzenie skierowała na okno. Kwietniowy deszcz uderzał o szyby. Gwałtowny wiatr z zachodu wyginał grusze na klombie przed domem.

Ann Kathrin z wściekłości aż się zapowietrzyła. Zawsze, gdy ktoś ją ranił, traciła oddech. A teraz zabolęła ją przypomnienie o jej nieudanej relacji z synem.

— Dziękuję — powiedziała — bardzo mi pomogłeś, Frank. Wiem, że jako rodzicielka poniosłam kompletną klęskę. Nie musisz mi tego codziennie wypominać.

— Ale przecież wcale nie to miałem na myśli! Jesteś cudowną matką! Jesteś... Moje dzieci na pewno cię polubią.

Bał się, że jeszcze pogorszy sprawę. Chciał zaraz jechać po dzieci, bo tak naprawdę miał już dwie godziny w plecy.

Ktoś zadzwonił do drzwi. A zza nich dobiegł go głos Renate. Tłumaczyła dzieciom, że ich ojciec będzie z nimi robić fantastyczne rzeczy i z pewnością wspaniale spędzą czas w tym pięknym dużym domu w Norden.

Weller wcisnął koszulę w spodnie i otworzył drzwi. Wiatr wepchnął dzieci do sieni. Razem z dziećmi wpadły liście i krople deszczu. Na górze, w gabinecie, z hukiem zatrzęsęło się okno.

Nie bardzo mógł tak po prostu odprawić byłą żonę, więc zaprosił ją do środka. Dzieci przywitały się z nim z zastanawiającą rezerwą. Nie starały się nawet ukryć, że nie mają ochoty spędzić dwu tygodni tutaj, przy Distelkamp.

Renate wyglądała niewiarygodnie korzystnie. Zmieniła kolor włosów i uczesanie. Nie bardzo mógł sobie przypomnieć, jaki miała wcześniej kolor włosów, ale tak ogniście ruda na pewno nie była. Tych

czarnych pasemek też z pewnością jeszcze u niej nie widział. Tylko oczy miała umalowane nieco zbyt wyzywająco.

Odgrywała teraz rolę radosnej mamusi. Nic się przecież nie stało, że zapomniał o dzieciach. Na pewno nie miał złych zamiarów, bo przecież z pewnością ma tyle spraw na głowie, a dla niej to nie był żaden problem, żeby je tu przywieźć. A czy mógłby teraz wyjść z nią do samochodu po walizki?

Ann Kathrin jeszcze minutę stała w kuchni sama, zaciskając pięści. Tak bardzo chciała, żeby wrócił jej syn, a zamiast tego miała teraz w domu dzieci Wellera.

Postanowiła, że będzie miła. Zakiętkowała w niej nadzieja, że Eike zrobi się zazdrosny, gdy zamieszkają u niej inne dzieci, i może wtedy okaże swojej mamie więcej zainteresowania. Ale i tak była nieopisanie wściekła, że Weller jej nie uprzedził. Mogłaby wtedy zrobić zakupy i przygotować pokój.

Stała teraz twarzą w twarz z dziewczynkami, które robiły wrażenie zupełnie zobojetniałych i nawet nie miały zamiaru powiedzieć, jak mają na imię.

— Która z was to Jule, a która Sabrina?

Wymieniły się spojrzeniami, które znaczyły, że tylko kompletna kretyńska może zadawać takie pytania.

I gdy tak we trzy stały same w sieni, podczas gdy Weller razem ze swoją byłą żoną próbował w deszczu otworzyć bagażnik samochodu (powinien był pojechać do warsztatu jeszcze wtedy, gdy byli razem), Ann Kathrin pod wpływem stresu poczuła nagłą potrzebę, by wszystko wyjaśnić, jak gdyby od razu trzeba było ustalić kilka zasad.

— No więc, oczywiście nie jestem waszą mamą i nie bójcie się, nie będę próbować się nią stać, ale możemy chyba postarać się jakoś dogadać. Kto wie, może zostaniemy przyjaciółkami...

Dziewczynki uśmiechnęły się z przymusem i powiedziały:

— Tak, tak. Na pewno.

Wygaduję głupoty — pomyślała Ann Kathrin. Przecież one już mnie nienawidzą. Dobry Boże, czemu wszystko musi być tak skomplikowane?

Zauważyła, że obydwie mają oczy po ojcu i są do niego o wiele bardziej podobne niż do matki. Także ten rys wyższości w twarzy, jak gdyby były świadome, że są czymś lepszym, musiał pochodzić od Wellera, który czasem przemierzał inspektorat policji z miną kogoś, kto w głębi duszy dobrze wie, że wcale nie powinien tutaj być i tylko czeka, by go powołano do jakichś wyższych spraw.

Ale to, co u Wellera miało pewien arystokratyczny sznyt, u dziewczynek sprawiało wrażenie wrednego rysu charakteru. Mimo to także w tym sensie rozpoznała w nich podobieństwo do ojca.

Zawodowo wyszkolonym okiem Ann Kathrin dostrzegła, że Renate przywiązuje ogromną wagę do tego, by wyglądać młodziej niż na swój wiek. Ale podczas gdy sama próbowała wyglądać świeżo i seksownie, swoje córki starała się pozbawić wszelkich oznak kobiecości. Obydwie dojrzewające już dziewczynki wyglądały raczej jak uczennice szkoły podstawowej. Bez cienia makijażu, w chłopięcych fryzurach. Ich zbyt obszerne, obwisłe ubrania miały na celu ukrycie wszelkich śladów rozkwitającej kobiecości.

Ona traktuje swoje córki jak konkurentki! — zrozumiała Ann Kathrin. Chce nosić krótsze spódnice, seksowniejsze ubrania i przyciągać spojrzenia fajnych facetów. Przeżyje głęboki kryzys, gdy jej córki na tyle dorosną, że mężczyźni zaczną oglądać się za nimi, a nie za nią, gdy razem będą szły ulicą. A to już niedługo!

I dobrze jej tak! — pomyślała Ann Kathrin.

DIETER MEULING odzyskał świadomość dopiero na drugi dzień rano. Mówił z trudem, ale od razu oskarżył o napaść ojca Mareike Henning i jej narzeczonego. Podobno zanim zemdlał, usłyszał słowa: „To za Mareike”.



Przemilczał tylko, jak zwabili go w pułapkę. Dopiero teraz zobaczył swoją twarz w lustrze. Z trudem się rozpoznał. Łzy trysnęły mu ze spuchniętych oczu. Jego szczęka była dziwnie przesunięta, a cała twarz okolona metalowymi prętami. Przy zuchwie miał śruby i ogoloną głowę. Wyglądało to tak, jakby morderca Mareike Henning na jego głowie zrealizował swoje zamiłowanie do stalowych prętów i drutów.

WELLER PRZYNIÓŚŁ BUŁKI. Bułki orkiszowe, bułki pełnoziarniste, maślane croissanty. Do tego trzy rodzaje marmolady i nutellę.

Ann Kathrin ugotowała jajka, ale gdy zaczęła je obierać, dziewczynki wykrzywiły z odrazą usta. Jule z miną, jakby zamierzała zaraz zwymiotować, wykrztusiła:

— Ble! One są całkiem wodniste. Nie będę tego jadła. W nich na pewno pływa jeszcze salmonella.

Zadzwoił telefon. To był tamten policjant z Duisburga, mocno wkurzony. Powiedział, że „poskarży się wyżej” na Ann Kathrin i Wellera, jeśli nie wyjdzie im ta narkotykowa akcja.

Powiedział „wyżej” tak dziwnym tonem, że Ann Kathrin zaczęła się zastanawiać, co też ten człowiek, na litość boską, miał na myśli. Próbowwała dopytać, ale rozmówca odpowiadał enigmatycznie. Ann Kathrin zapewniła go, że z pewnością to nie ona pobiła Meulinga. I że nie podlega chyba odpowiedzialności zbiorowej za czyny innych mieszkańców Fryzji Wschodniej.

Ann Kathrin zaproponowała Wellerowi, żeby został z dziećmi, a ona sama załatwi wszystko z Rupertem, ale Weller uznał, że to zbyt poważna sprawa. W żadnym razie nie zostawi jej samej z tymi niebezpiecznymi bandytami.

Nie wiedziała, czy naprawdę się o nią martwił, czy też umyślnie użył takich słów, by zrobić wrażenie na córkach. Może chciał im uświadomić, z jak niebezpiecznymi typami mają jako policjanci do czynienia w pracy. W każdym razie zostawili dziewczynki w domu i pojechali razem do Dornumersiel.

W samochodzie oboje wzięli głęboki wdech. Weller zaczął wylewnie dziękować Ann Kathrin, że tak się stara o jego dzieci. Ann Kathrin w milczeniu kierowała samochodem. Odezwała się dopiero, gdy dojeżdżali do domu Henningów:

— Nie łudźmy się. One mnie nienawidzą.

— Nie! — zaprotestował Weller. — Jeśli kogoś nienawidzą, to mnie. Bo zostawiłem ich matkę.

Nawet po trzecim dzwonku do drzwi nikt nie otworzył. Ann Kathrin i Weller chcieli już odjechać, gdy usłyszeli dźwięk wody spuszczonej w toalecie. Teraz Ann Kathrin przytrzymała palec na dzwonku.

Zdziwiła się, że nie słyszy szczekania. Dobrze pamiętali tego owczarka i mieli się na baczności.

Pan Henning, zataczając się, podszedł do drzwi i otworzył je. Wyglądał jak człowiek, który spotkał diabła — postarzał się o kilka lat. W domu unosił się odór sznapsa, a oddech Henninga był tak zabójczy, że mężczyzna powinien chyba postarać się o pozwolenie na tę zabójczą broń. Wyciągnął przed siebie skrzyżowane ręce i powiedział:

— Proszę bardzo, pani komisarz. Nie będę stawiać oporu.

Ale ona tylko odetchnęła i odsunęła jego ręce.

— Jeśli nie stawia pan oporu, to nie mamy powodu zakładać panu kajdanek — odpowiedziała bez emocji.

Markusa Sassena nie dali rady dobudzić. Weller nie miał ochoty zabierać go w takim stanie.

— Będzie nam wymiotował w drodze — oświadczył. — Niech inni po niego przyjadą...

Ann Kathrin zbadała puls na ręce Markusa, podniosła jego prawą powiekę i zdecydowała, że będzie lepiej, jeśli wezwą lekarza.

Wszystko to wyglądało jak nieudana próba samobójcza za pomocą alkoholu. Badanie krwi wykazało

dwa i cztery dziesiąte promila.

I NAGLE wszystko obróciło się na niekorzyść Meulinga. Gdy policja kryminalna z Duisburga próbowała rozbić „największy *deal* heroinowy w Republice Federalnej Niemiec”, znalazła dokładnie piętnaście gramów heroiny, cztery gramy koki, kilka pigułek *ecstasy*, dwie torebki żelkowych misiów Haribo, dwadzieścia trzy landrynki na kaszel i paczkę przeterminowanej aspiryny z witaminą C. Do tego kilka saszetek cukru winogronowego, które jednak nie zostały już odnotowane w policyjnym raporcie.

Gdy zrozumieli, że Meuling cały czas wodził ich za nos, przyskrzynili najpierw jego dwóch kumpli, Gregora Paulsena i Torstena Meistera. Pół godziny później, gdy rzeczywiście ciężko nad nimi popracowano, alibi Meulinga padło. Tych dwóch chciało już tylko ratować własną skórę.

Najlepszy przyjaciel Meulinga, Torsten Meister, przyznał się, że pożyczył Meulingowi volkswagena busa — własność swojego ojca. Podobno Meuling chciał nim przewieźć kartony w czasie przeprowadzki. Ale ani on, ani ojciec nie mogli sobie przypomnieć, którego dnia to dokładnie było.

W samochodzie technicy kryminalistyczni z Duisburga znaleźli ślady DNA Mareike Henning. Dieter Meuling został aresztowany pod oficjalnym zarzutem zamordowania Mareike Henning i przewieziony do szpitala więziennego.

Peter Henning i Markus Sassen z satysfakcją czekali w areszcie śledczym na jego proces. Ich adwokat obiecał im, że jeśli Meuling zostanie skazany za zamordowanie Mareike, to z pewnością dostaną wyrok w zawieszeniu. Udało mu się uzyskać zwolnienie mężczyzn z aresztu i mieli teraz odpowiadać z wolnej stopy. Obydwaj byli fetowani przez szerokie rzesze mieszkańców Fryzji Wschodniej jak bohaterowie. Prawie nie było lokalu, w którym musieliby płacić. Każdy poczytywał sobie za honor, by postawić im kolejkę. A oni ciągle na nowo opowiadali swoją historię.

Nie pomogło im to jednak przeboleć śmierci Mareike, choć chwilami zapominali, o co w tym wszystkim chodziło i dlaczego tak wielu miało ich za bohaterów.

ANN KATHRIN wywnioskowała, że Dieter Meuling nie zabrał Mareike Henning do Duisburga, żeby tam przygotować ją na śmierć. Odległość była po prostu zbyt duża. Miejsce, w którym ją więził, nie mogło być zbyt oddalone od parku. Uznała, że musiało się to dziać w promieniu kilku kilometrów — gdzieś w Norden, Norddeich, Marienhave, Hage, Bensorsiel lub Esens. Gdzieś tutaj musiał ją przetrzymywać i przygotować jak na wystawę.

Jeśli znajdziemy to miejsce, myślała, wtedy już się nam nie wywinie. Niemożliwe, żeby nie zostawił żadnych śladów. Tam będą jej włosy, cząstki skóry, odpryski farby, krew...

Policjanci rozdawali ulotki. Chodzili od drzwi do drzwi. Przecież ktoś musiał coś zobaczyć albo usłyszeć...

Ostatnie sześć tygodni to był dla Ann Kathrin jeden wielki koszmar. Już nawet jej się śniło, że udusiła dzieci Wellera i zakopała je w morskim mule. A potem przyszedł przyptyw, wyrzucił je na brzeg, ale to nie były wcale dwa ciała, tylko trzy: zwłoki Jule, Sabine i jej syna Eike.

Wstydziała się tego snu i nie opowiedziała go Wellerowi. Ale i on miał zszargane nerwy, bo jego była żona wcale nie zabrała dzieci po dwóch tygodniach, jak to było umówione. Na Majorce nabawiła się jakiejś infekcji, spędziła kilka dni w szpitalu, nie mogła lecieć samolotem i żądała od Wellera, by przysłał jej pieniądze. Jego dzieci dwa razy dziennie dzwoniły do swojej mamy na Majorkę — na koszt Ann Kathrin. A ona sama coraz bardziej czuła się jak pokojówka, która musi być dyspozycyjna przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, oczywiście bez żadnego wynagrodzenia.

Tak naprawdę wszyscy przeżyli wspólnie tylko jedno miłe popołudnie, gdy w Wyższej Szkole Ludowej w Norden wzięli udział, za namową Wellera, w kursie malowania prowadzonym przez jego

przyjaciela Heintera Zimmermanna. Dziewczynki już go znały i od początku zachwycone były pomysłem. Twierdziły też, że wcale nie będą potrzebować pędzli, bo na tym kursie można malować też rękoma, a nawet całym ciałem.

Tamten pyzaty grubas o nalanym karku też tam był. Gdy malował, wręcz wydawał z siebie odgłosy rozkoszy. Ann Kathrin od razu poznała w nim człowieka, którego Heiner Zimmermann portretował w ogródku piwnym restauracji Backstube. Najwyraźniej od tego dnia człowiek ów stał się fanem Heintera Zimmermanna.

Gdy wyciskał sobie farby olejne na ręce, a potem palcami rozprowadzał je po płótnie, sprawiał wrażenie, jakby dotykał ciała kobiety. Jego jęki wydawane podczas malowania Ann Kathrin uznała za nieprzyzwoite. Zdawało się jej, że ten facet za chwilę dostanie orgazmu. Potem jednak, gdy zauważyła, że Sabine i Jule chichoczą na ten widok, sama zaczęła się śmiać. Być może — uznała Ann Kathrin — sztuka spełnia dla niego funkcję substytutu miłości.

Zimmermann zwracał się do niego per „panie Olafie” i Weller pomyślał, że tak właśnie musi wyglądać człowiek, który nosi imię „Olaf”.

Uczestnicy kursu mówili sobie na „ty”. Gdy Ann Kathrin pochyliła się, bo upadł jej pędzel, zauważyła, że Olaf trochę za długo przyglądał się jej pośladkom. Wszystko, co smarował po płótnie, miało zaokrąglone kształty. Ann Kathrin przez chwilę przestraszyła się, że mężczyzna zamierza ją namalować, i natychmiast postanowiła sobie, że wówczas spoliczkuje go dłonią umazaną farbą olejną. Ale mężczyzna miał za mało talentu na taki portret. Widz musiał zdecydować sam w swojej wyobraźni, czy na płótnie naciągniętym na ramę Olaf namalował autostradę czy też biodra Ann Kathrin.

Gdy Ann Kathrin delikatnymi pociągnięciami pędzla próbowała sportretować Wellera, przy czym wyszła jej tylko brzydka twarz brodatego mężczyzny, dzieci nie zważając na swoje ubrania, tarzały się w farbach, palcami odciskały na płótnie kolorowe krajobrazy, krawędziami dłoni odmalowywały chmury na niebie i zygzakowate błękitne błyskawice.

Zdaniem Ann Kathrin wszystko to było tylko dziką chlapaniną i taplaniną w farbach, ale Zimmermann uznał, że ich malunki są cudowne, i głośno skomentował je, mówiąc, że to ekspresja radości życia i energii, a eksplozję barw nazwał hołdem złożonym życiu. W każdej smudze farby doszukiwał się twarzy lub kształtu ciała i tak uporczywie przekonywał, iż są one częścią większej kompozycji, że w końcu także Ann Kathrin zaczęła widzieć coś więcej niż tylko kolory. To, co najpierw wydawało się jej tylko przypadkowym bazgrołem, powoli nabierało dla niej wręcz poetyckiej mocy.

— W taki właśnie sposób — mówił Heiner Zimmermann — wyobrażam sobie nasz krwioobieg, gdy serce pompuje świeży tlen nawet do najcieńszych naczynek. Serce podobne jest do potężnej elektrowni. Nie potrzebuje rozumu i potrafi pracować bez niego. Nie poddaje się żadnym rozkazom. Możesz przestać oddychać, jeśli chcesz, ale spróbuj powiedzieć sercu, by przestało bić. Tak to nie działa. Identycznie jest z żołądkiem. Widzisz to tutaj? To miał być żołądek, prawda?

Jule gorliwie przytaknęła.

— Żołądek jest często bardziej inteligentny od głowy. Jest wielką fabryką chemiczną, która pracuje bez dyrektora. Z każdego śmiecia, który zjadasz, twój żołądek wytworzy dla ciebie energię do życia.

Dziewczynki uśmiechały się do niego prawie jak zakochane, nazywały go „wujkiem” i traktowały jak swojego idola. Znajdował w ich obrazach kształty, których ani nie zamierzały namalować, ani nie dostrzegały. Ale wbijał je w dumę. Dzięki niemu mogły czuć się ważne. Ann Kathrin pojmowała, jak on to robi, i uznała te zabiegi za bardzo sprytne. Z zazdrością i irytacją postanowiła nauczyć się od niego tych chwytów. Ale szybko zauważyła, że to wcale nie jest proste. On niczego nie udawał. On taki był. W każdym zwiędłym listku potrafił odkryć kosmos, a w każdym pociągnięciu ołówka zaczątki dzieła sztuki. Nawet wobec jej nieudanego portretu Wellera znalazł miłe słowa. Powiedział, że Ann Kathrin

narysowała Wellerę tak, jak go widzi, i w gruncie rzeczy on właśnie taki jest. Ona bowiem zna dobrze także jego ciemną stronę, która znalazła subtelny rys w tym obrazie. Weller przypatrywał się dziełu krytycznym okiem, ale Zimmermann przedstawił mu je w korzystnym świetle. Powiedział, że to jest jak wiadomość dla niego, w której Ann Kathrin przekazuje mu, że on nie musi przed nią niczego udawać, że może być po prostu taki, jaki chce. Zimmermann mówił to z pełnym przekonaniem i udało mu się uczynić z tego obrazu coś na kształt wyznania miłości Ann Kathrin do Wellerę.

Na końcu tych dwoje nawet się pocałowało i po raz pierwszy, od kiedy dzieci pojawiły się w domu, znowu poczuli się parą. A obydwie dziewczynki nie próbowały ich już rozdzielać.

Pełni wigoru, wręcz radośni i zjednoczeni jak rodzina, która naprawdę dobrze się ze sobą czuje, poszli po zajęciach zjeść coś w restauracji Minna przy rynku. Weller zamówił sobie śledzie matjasy przyrządzone domowym sposobem, z pieczonymi ziemniakami, a jego córki zapragnęły nagle tego samego, co zamówił ojciec, więc i Ann Kathrin sprawiło przyjemność jedzenie tego co wszyscy. Weller wypił do tego kufel piwa z beczki, Ann Kathrin lampkę wytrawnego czerwonego wina, a dziewczynki dostały swoją colę, chociaż tak naprawdę było już na to za późno, jak podkreślał Weller. Jednak mówiąc to, wykonał ruch ręką, który zdradzał, że jest mu to zupełnie obojętne.

— A może — zaproponował Weller — powinniśmy odbyć prawdziwy kurs malowania u Heinera? Wszyscy razem. On udziela czasem takich lekcji na wyspach, w weekendy.

Dziewczynki zapiszczały z radości i mrugnęły do siebie porozumiewawczo.

— Wtedy spróbuję malować tak jak wy — odezwała się Ann Kathrin. — Po prostu palcami po płótnie.

ANN KATHRIN nie wiedziała, jak powiedzieć Wellerowi, że jedna z jego córek pomazała zdjęcie jej ojca. W pokoju, który wcześniej Hero nazywał „pomieszczeniem terapeutycznym”, nie było już ani śladu byłego męża. Ten pokój w obecnym kształcie Weller nazywał „świątynią” i wymawiał to słowo bez śladu ironii, z najwyższym szacunkiem. Wiedział, jak ważny jest dla Ann Kathrin każdy najmniejszy skrawek papieru w tym pokoju. Tutaj zbierała wszystkie informacje o zamordowaniu swojego ojca. To tutaj z najdrobniejszymi szczegółami odtworzyła napad na bank, w czasie którego ojciec stracił życie, a kartki opisujące poszczególne fazy wydarzenia przyczepiła na ścianie. Nie było tu nic innego. Tylko zdjęcia jej ojca i przebieg napadu. Musi rozwikłać tę sprawę, bo inaczej nie będzie mogła umrzeć — tak powiedziała kiedyś Wellerowi. Nie potrafiła znieść myśli, że morderca jej ojca chodzi wolny po świecie ze swoim łupem.

Zebrała jak dotąd wszystkie informacje o każdym napadzie na bank w Europie — od dnia śmierci ojca do dzisiaj. A ostatnio badała także napady, które miały miejsce w ciągu pięciu lat poprzedzających ten dzień. To byli zawodowcy i musiały istnieć jakieś punkty styczne z podobnym przestępstwem.

Weller myślał sobie czasem, że ona nigdy nie rozwiąże tej sprawy. Że potrzebuje tego pokoju tylko po to, żeby przeżywać żałobę, żeby wspominać ojca i podtrzymywać w sobie wściekłość na jego morderców. Zapewne stąd czerpała siły i motywację do pracy na stanowisku nadkomisarza policji kryminalnej w Aurich. Zwykle kobiety długo nie wytrzymywały w wydziale kryminalnym.

Weller szanował jej potrzebę schronienia się w pomieszczeniu dającym jej siły. Zawsze gdy stamtąd wychodziła, była silniejsza, jakby mocniej stała na nogach — tak odczuwał to Weller. I wiedział, że nie mogłaby kochać mężczyzny, który by tego nie uszanował.

Jedna z dziewczynek, a prawdopodobnie obie razem — wdarły się do tego pokoju i go zbezczęściły. Czarnym flamastrem namalowały jej ojcu pod nosem wąsik Hitlera. Każdy, kto znał ojca Ann Kathrin, uznałby to za idiotyczne. On, stary działacz związkowy, który czuł przynależność do lewicowej socjaldemokracji i przez całe swe życie cierpiał, widząc, jak stare socjaldemokratyczne ideały są porzucane na rzecz wyrachowanego neoliberalizmu.

Dlaczego one to zrobiły? — zastanawiała się Ann Kathrin. Stała tam jak skamieniała i nie mogła się ruszyć. Nie była w stanie ani zdjąć fotografii ze ściany i jej wytrzeć, ani jej po prostu wyrzucić. Czowała tylko tę bezradną wściekłość.

Na szczęście to zdjęcie z czasów młodości ojca było oszklone. Z jednej strony chciała wszystko zostawić tak, jak jest, żeby pokazać potem Wellerowi, z drugiej strony nie mogła dłużej ścierpieć znieważenia i oszpececia podobizny ojca. Chciała natychmiast pobiec do łazienki, przynieść płyn do mycia szyb i zmyć mu ten wąsik.

Ale policjantka w jej duszy powiedziała dobitne „nie”. To byłoby jak usuwanie śladów i dowodów. Może to nie była Jule, ale Sabrina. To raczej po niej Ann Kathrin spodziewała się takiej bezczelności. Zastanawiała się, czy będzie rozsądne, jeśli zdejmie teraz odciski palców i przeprowadzi proste dochodzenie.

A może powinna wszystko wytrzeć i udawać, że nic się nie stało? Wellerowi byłoby przykro, gdyby dowiedział się, co jego dzieci jej zrobiły. A zrobiły to — pomyślała Ann Kathrin — żeby wbić klin między nas dwoje. To jasne. One dokładnie tego chcą. Jeśli zacznę dochodzenie, Frank będzie musiał chronić swoje dzieci, na koniec się pokłócimy, a te dwie będą się cieszyć.

— Nie ze mną te numery — powiedziała na głos, przyniosła płyn do mycia szyb, spryskała obficie zdjęcie i z wielką czułością, jakby głaskała twarz ojca, zaczęła czyścić całą powierzchnię szybki.

Zastanawiała się przy tym, czy dziewczynki zmalowały coś jeszcze. Może zrobiły bałagan w dokumentach?

ADWOKATKA MEULINGA już wcześniej prosiła Ann Kathrin o rozmowę. Ale ona nie paliła się do tego i nie miała pojęcia, co niby mają omawiać. Mimo to postanowiła jednak do niej pojechać. Może dobrze będzie trochę zmienić klimat, zanim spotka się z Wellerem.

Jechała swoim twingo w kolorze żaby drogą krajową numer pięć. Zmierzała do popularnej kawiarni Nordesee-Café w Bengersiel. Dziwne miejsce na spotkanie — myślała Ann Kathrin. Na ulicach było pełno turystów. Długo szukała wolnego miejsca parkingowego, a i tak musiała potem przejść kawałek piechotą. Adwokatka była już na miejscu. Siedziała przy dwuosobowym stoliku w rogu przy oknie. Miała spiczasty nos, wąskie usta i czarne włosy do ramion. Okulary nadawały jej spojrzeniu surowość sfrustrowanej samotnej kobiety interesu, której życie erotyczne zamarło zaraz po zakończeniu okresu dojrzewania. Miała na sobie szarobłękitną garsonkę i włoskie szpilki marki Lea Foscati, aczkolwiek był to model z poprzedniego sezonu. Jej wygląd był dopracowany do najmniejszego szczegółu. Szarawy błękit materiału garsonki nawiązywał do identycznego odcienia bransoletki zegarka. Błękit pojawiał się także w jej naszyjniku, a i pierścionek na lewej ręce ozdabiał błękitny akwamaryn. Natomiast torebka była w tym samym odcieniu czerwieni co jej paznokcie i szminka.

Ciekawe, czy kiedy będzie musiała coś zanotować — zastanawiała się Ann Kathrin, podchodząc do kobiety — wyjmie z torebki wieczne pióro w odcieniu antracytu czy czerwieni? W każdym razie będzie kolorystycznie zharmonizowane. Na pewno nie będzie to zwykły długopis, lecz wieczne pióro z wielką

złotą stalówką.

Na stoliku stała filiżanka *latte macchiato* i szklanka niegazowanej wody mineralnej. Adwokatka siedziała w taki sposób, by ze swego kąta widzieć wewnątrz całej kawiarni, podczas gdy Ann Kathrin musiała usiąść tyłem do kawiarnianej publiczności. Ale było jej to obojętne.

Od kobiety bił taki chłód, że siedząc blisko niej, Ann Kathrin niemal poczuła dreszcz. Jadąc samochodem, cieszyła się na kawę z mlekiem, ale teraz w żadnym razie nie chciała zamawiać tego, co jej rozmówczyni. Ponieważ jednak nigdy nie zaprzyjaźniła się ze wschodniofryzyjską herbatą, której sam zapach od razu przywodził jej na myśl Hero, byłego męża mieszkającego razem ze swoją kochanką Susanne Mönninghoff i ich synem Eike w Hage, postanowiła zamówić herbatę miętową.

Na początku kobieta bez słowa uśmiechnęła się do Ann Kathrin. Ale był to uśmiech rekina. W dodatku mlasnęła przy tym językiem, jakby już miała zdobyc w ustach.

Jako adwokatka z pewnością nie jest tania — uznała Ann Kathrin. Dziwne, że Meulinga na nią stać. A może ma z nią romans? Czy ta kobieta ma skłonność do pakujących na siłowni kryminalistów? Czy jest tu jakieś drugie dno?

Ann Kathrin nie miała zamiaru spędzić w kawiarni więcej czasu, niż było to niezbędnie konieczne.

— A więc — odezwała się — czego pani sobie życzy, pani Johannsen?

Przy stoliku obok jakieś dziecko przewróciło właśnie swój kubek z kakao, a w efekcie jego rodzice zaczęli się głośno kłócić.

Kobieta odchrząknęła.

— Przejęłam sprawę pana Meulinga, pani Klaasen. I niech wolno mi będzie pani powiedzieć, że to wszystko opiera się na kruchych podstawach.

— Dlaczego pani mi to mówi? — Ann Kathrin oparła się o krzesło. — Czy nie może pani tej informacji zostawić sobie na czas procesu?

— Chcę grać fair. Podczas procesu rozniosę panią na strzepy, pani Klaasen. Komputer mojego klienta, wszystkie dane z komputera oraz wszystkie te listy, którymi jakoby szantażował ludzi, nie będą mogły zostać użyte w czasie procesu. Te dowody są nielegalne. Żaden sędzia ich nie zaakceptuje.

Ann Kathrin poczuła zimny dreszcz na plecach. Jedną dłonią podparła kręgosłup i wyprostowała się.

— Nie miała pani nakazu przeszukania — kontynuowała adwokatka. — Policja kryminalna w Duisburgu nie była nawet poinformowana o waszej akcji. Kłusowała pani na obcym terenie, pani Klaasen. W naszym kraju obowiązują jakieś prawa.

Ann Kathrin zastanawiała się, czy nie byłoby sensownie po prostu wstać i wyjść, ale coś ją tutaj trzymało. To wszystko było tylko wstępem. Krył się za tym jakiś sensacyjny wątek — czuła to wyraźnie.

— Drobne oszustwa pani klienta w ogóle mnie nie interesują. Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa i właśnie za to poślę go za kratki.

— Żeby wasi wschodniofryzyjscy przyjaciele Henning i Sassen ostatecznie stali się bohaterami ludowymi? Czy tak?

— Ta rozmowa nie ma żadnego sensu. Wychodzę.

Kelnerka właśnie przyniosła herbatę. Usłyszała ostatnie słowa i spojrzała pytająco na Ann Kathrin. Ta skinęła głową w jej stronę, więc kelnerka postawiła szklankę z herbatą na stole. Obok szklanki było też małe ciasteczko. Ann Kathrin nie mogła się oprzeć. Nadgryzła ciasteczko i odłożyła je z powrotem na spodek.

— Niech mi pani wierzy, pani Klaasen, że zechce pani wysłuchać tego, co mam do powiedzenia. I nie pożałuje pani, że przyjechała na to spotkanie. Mam coś, czego pani od dawna szuka, albo mówiąc ściśle, mój klient ma to coś dla pani.

— Skoro chce złożyć zeznanie...

Adwokatka wypięła łyk swojej kawy i zamyślona zamieszała ją łyżeczką, aż w szklance powstał gwałtowny wir. Wypuściła łyżeczkę z ręki, która jeszcze trzy razy obróciła się, uderzając o krawędź naczynia i wydając przy tym denerwujący dźwięk.

Ann Kathrin uznała, że kobieta robi to umyślnie. Chce mnie zdeprimować i sprawdzić, czy mam już nerwy na wierzchu — pomyślała. Może chce sprawdzić, czy takie dźwięki wyprowadzą mnie z równowagi. Niedoczekanie. Musiałabyś wytoczyć cięższe działa.

Ann Kathrin demonstracyjnie położyła pięć euro na stole i powiedziała:

— Albo w tej chwili powie mi pani coś, co mnie naprawdę zainteresuje, albo natychmiast wychodzę.

— Po co ten pośpiech, pani Klaasen? Proszę mi powiedzieć, czy ciągle jeszcze jest pani zainteresowana znalezieniem mordercy ojca?

Ann Kathrin przełknęła ślinę. Trafiony. Natychmiast wezbrała w niej wściekłość, której towarzyszyła ciągle jeszcze złość z powodu wąsika dorysowanego ojcu.

— Od dawna nie spotkała mnie większa bezczelność! — syknęła. — To zupełny brak taktu i głupota z pani strony.

Adwokatka rozłożyła dłonie jakby na dowód swojej niewinności.

— Ależ proszę, pani Klaasen. Jest pani przecież osobą publiczną. Od kiedy z broni służbowej strzelała pani do karetki pogotowia w Leer, która z powodu napadu na bank...

— Proszę natychmiast przestać! To panią nie powinno obchodzić!

— Ach nie? Każdy może podziwiać ten artykuł. Do dzisiaj można go znaleźć w Internecie. Wiem sporo nie tylko o moim kliencie, ale mam też całe mnóstwo informacji o pani, pani Klaasen. Holger Bloem z „Kuriera” dużo o pani pisał. To cud, że wolno pani było nadal pracować w policji. Potrzebuje pani sukcesu, pani komisarz. Potrzebuje go pani na gwałt. A mój klient nie ma ochoty robić za ofiarę...

— Pani nie sugeruje chyba, że ja...

— Ależ tak, to właśnie robię. Jesteśmy gotowi pomóc pani w znalezieniu mordercy ojca. Dla mojego klienta to lepsze rozwiązanie niż niewinnie gnić w więzieniu. Pan Meuling nie jest Fryzjerem, pani Klaasen.

— Skąd pani wie, że w branży nazywamy go Fryzjerem?

Cora Johanssen uśmiechnęła się arogancko.

Ona robi to z premedytacją — pomyślała Ann Kathrin. Chce mi pokazać, że wie więcej, niż wynika z akt śledztwa. Z pewnością rozmawiała z którymś z kolegów. Ta myśl rozgniewała Ann Kathrin.

— Nie wiem, w jaki sposób pani klient mógłby mi pomóc — odezwała się jadowitym tonem.

— Ale ja wiem, pani komisarz. Nie blefuję. Pan Meuling spędził dwa lata w więzieniu Duisburg-Hamborn, oczywiście z powodu błędów formalnych. Gdybym była już wówczas jego obrońcą, paru pani kolegów z policji miałoby dyscyplinarkę, a prokurator przeżyłby swoje Waterloo. Drugi raz to się nie powtórzy.

Dlaczego po prostu nie wstanę — zastanawiała się Ann Kathrin. Dlaczego zwyczajnie nie wstanę i nie wyjdę? Dlaczego dałam się złapać na tę przynętę? Ona mi przecież nie ma nic do zaproponowania w tej sprawie. Wszystko sprawdziłam. Znam każde zeznanie. Meuling w ogóle nie ma z tą sprawą nic wspólnego.

— W każdym razie — odezwała się Johanssen i założyła nogę na nogę, wygładzając spódnicę, zrobiła krótką przerwę, zanim znowu zaczęła mówić — mój klient nie siedział tam w pojedynczej celi. Siedział z nim ktoś, kto brał udział w napadzie na bank. Dni i noce w więzieniu bardzo się dłużą, pani Klaasen. Proszę mi wierzyć! — powiedziała to, jakby wiedziała o tym z autopsji, co oczywiście było niemożliwe. — Ludzie opowiadają sobie wtedy różne rzeczy, które w innej sytuacji raczej by przemilczeli.

— Żaden ze sprawców nie został wtedy aresztowany — wtrąciła Ann Kathrin.

Pani Johanssen pokiwała głową.

— Nie z powodu napadu na bank. Ma pani absolutną rację. Ale jego sąsiad z celi siedział z powodu ciężkiego uszkodzenia ciała, nielegalnego posiadania broni i kilku innych przestępstw.

— Jeśli to prawda — powiedziała Ann Kathrin z uśmiechem politowania — po co miałabym zawierać jakiś układ z pani klientem? Wykonam jeden telefon i będę znała nazwisko każdego człowieka, który z nim siedział w celi. A resztę sama już mogę załatwić.

— Nie musi się pani trudzić. Sama chętnie podam pani nazwisko. Volker Bogdanski po swoim zwolnieniu z więzienia stracił życie w strzelaninie na St. Pauli w Hamburgu. Chodziło o jakąś rosyjską dziwkę, jeśli się nie mylę. Ale to dla pani raczej bez znaczenia. W każdym razie został skremowany i tym samym nie może już złożyć zeznań.

Ann Kathrin miała suche gardło i przełknęła z trudem. Herbata stała nieruszona.

— Załóżmy więc, że mówi pani prawdę. Czego chce ode mnie pani klient? Co muszę zrobić, żeby mi opowiedział, co wie?

Adwokatka znowu zmieniła pozycję na krześle. Siedziała teraz na skraju. Kołysała nogami na obcasach, a palcami opierała się o stół, jakby w każdej chwili miała wyskoczyć do góry i zamierzała użyć krzesła i stołu jak trampoliny, by wzbić się pod sufit.

— A co niby pani ma w ręku przeciw panu Meulingowi? Kilka wezwań do zapłaty, których i tak nie wolno pani mieć — kobieta wykrzywiła usta w bezczelnym uśmiechu — jakieś pisemko z Fryzji Wschodniej, które podobno czytał...

— Bus marki volkswagen, którym próbował uprowadzić Mareike Henning. Są tam odciski palców, włosy jego, i jej i...

— Tak... — przyznała adwokatka ze świętoszkowatą miną — głupia sprawa. Pan Meuling nie chciał tego zeznać ze względu na jej partnera życiowego. Tych dwoje się spotkało. Pani Henning chciała mieć tę uciążliwą sprawę z głowy. W tym busie uprawiała seks z panem Meulingiem. To miała być drobna rekompensata za kłopoty, które miał z powodu wgniecenia samochodu. Być może chciała w ten sposób obniżyć wysokość odszkodowania...

Ann Kathrin miała ochotę chlapnąć gorącą herbatą w twarz adwokatki.

— Nie ma pani dla nikogo szacunku, prawda? Nic dla pani nie jest święte. Proszę w mojej obecności nie bezcześcić pamięci zmarłej.

— Źle pani udaje oburzenie, pani Klaasen. Obie wiemy, jak to się dzisiaj odbywa. Ludzie z różnych powodów uprawiają ze sobą seks. Niektórzy być może także dlatego, że się kochają. Ale inni robią to, bo obiecują sobie po tym jakieś korzyści: awans, lepsze mieszkanie, trochę czułości czy aprobaty. Mój Boże, nie nam to oceniać...

Ann Kathrin wstała.

— Uważam rozmowę za skończoną.

— Czy nie działa pani zbyt pochopnie, pani komisarz?

— W porządku. Daję pani jeszcze pół minuty. Czego pani chce?

— Niech pani trochę się postara i znajdzie prawdziwego mordercę, pani Klaasen. Jeśli o mnie chodzi, to może pani podrzucić komuś kilka dowodów, tak jak pani próbowała to zrobić z panem Meulingiem. Jest mi zupełnie obojętne, co pani robi. Proszę go oczyścić z zarzutów, a dostanie pani od pana Meulinga mordercę ojca.

— To szczyt bezczelności — prychnęła Ann Kathrin, a potem wielkimi krokami wyszła z Nordsee-Café. Z rozpędu wpadła na jakąś parę stojącą na ulicy. Młoda żona wrzeszczała na swojego męża, że ogląda się za każdą spódniczką, a on z kolei na cały głos skarżył się, że ona już od trzech tygodni z nim nie spała, a przecież on tylko dlatego pojechał z nią na urlop, bo sądził, że dzięki temu ich życie erotyczne



ponownie zazna rozkwitu.

— Wielkie dzięki — odezwała się Ann Kathrin — ale wcale nie chciałam wiedzieć tego aż tak szczegółowo.

I wyminęła tych dwoje. Czują, jak wzbierają w niej łzy. Zagryzła wargi i udało się jej dojść do zielonego twingo. A w samochodzie od razu wybuchnęła płaczem.

— Tatusiu — łkała oparta o kierownicę — tato, czemu tak nagle wróciłeś?

Gdy dojechała do domu, obmyła twarz, nałożyła make-up i trochę różu i pojechała do Aurich do inspektoratu policji. Tam zaczęła gromadzić wszystkie informacje o Volkerze Bogdanskim, do których była w stanie dotrzeć. Miała irracjonalne poczucie, że jest zaledwie o kilka kliknięć myszką od mordercy ojca.

Wszystkie materiały wydrukowała, a plik kartek zapakowała do swojej czarnej torebki marki Esprit. Pierwsze wiadomości potwierdzały informacje adwokatki. Bogdanski siedział w więzieniu Duisburg-Hamborn, a potem został zastrzelony na St. Pauli w Hamburgu. Dziwka, o którą wtedy poszło, nazywała się Sidorow. Natasza Sidorow, obywatelka Rosji, która z nieważną wizą turystyczną szukała w Niemczech klientów.

Ann Kathrin wróciła do domu i usiadła w swoim ulubionym fotelu. Kocur Willi, mrucząc, ocierał się o jej nogi. Gorączkowo kartkowała wydruki i pobieżnie przeglądała informacje, poszukując jakichś punktów zaczepienia. Straciła poczucie czasu i nie usłyszała, jak Weller wrócił do domu.

Jeśli wcześniej miała jeszcze jakieś wątpliwości co do winy Meulinga, to teraz całkiem je straciła. To on był mordercą Mareike Henning — była teraz tego stuprocentowo pewna.

Weller oparł się o regał z książkami w salonie i spojrzał na Ann Kathrin z łagodnym uśmiechem. Czymkolwiek się w tej chwili zajmowała, musiało to mieć jakiś związek z jej ojcem. Nic innego nie mogło jej aż tak zaabsorbować.

Odchrząknął. Nie podnosząc wzroku, Ann Kathrin powiedziała:

— Meuling wie, kto zabił mojego ojca.

— Czy wie, czy tylko twierdzi, że wie? — zapytał ostrożnie Weller.

Wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia. Ale to jest szansa. Nie mogę jej zmarnować.

— No to musimy do niego teraz pojechać i go przemaglować — zaproponował Weller. — Mam swoje metody.

I prawą pięścią uderzył w otwartą lewą dłoń. Teraz Ann Kathrin podniosła wzrok znad swoich akt i popatrzyła na niego z otwartymi ustami.

— Nie musisz przede mną zgrywać bohatera. To w ogóle na mnie nie działa, gdy udajesz twardziela. Chcesz go wziąć na tortury czy co?

Weller odrobinę się zawstydził. Natychmiast przestał gestykulować. Ze zwieszonymi ramionami usiadł na podłodze i oparł się o regał. Głowę odchylił do tyłu. Za plecami miał kolekcję książek z obrazkami Ann Kathrin.

— Okej — odezwał się. — Więc co proponujesz?

Zrelacjonowała mu szczegółowo swoją rozmowę z Corą Johannsen. Weller słuchał, nie przerywając jej pytaniami. Tego się od niej nauczył: „Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć, nigdy nie przerywaj rozmówcy, który coś opowiada. Tak czy owak w końcu to powie”.

Swoją relację zakończyła mocną puentą:

— A ja mam złapać prawdziwego mordercę albo komuś podrzucić materiał dowodowy. A gdy on wyjdzie na wolność, wtedy poda mi nazwisko.

Weller bez słowa pokiwał głową. Właśnie czegoś takiego się spodziewał. Najchętniej napiłby się

teraz sznapsa, ale obawiał się, że ona zechce poczęstować go tym obrzydliwym Doornkaatem, dlatego wolał przynieść dwie duże szklanki wody. Wiedział, że ona lubi pić wschodniofryzyjską kranówkę. Po każdej szklance wody czuła się coraz bardziej oczyszczona.

Ann Kathrin wypila swoją szklankę za jednym zamachem, podczas gdy Weller zostawił połowę. Tak bardzo zatopiła się w myślach, że jej zachowanie sprawiało wrażenie niemal autystycznego.

— I co zamierzasz zrobić? — zapytał.

Wzruszyła ramionami, ale Weller obawiał się, że ona już obmyśliła plan działania, tylko nie chce go zdradzić. Zrobi wszystko, by dopaść mordercę ojca — tego był zupełnie pewny. Zaryzykuje nawet swoją pracę, swój związek — żadna cena nie była dla niej zbyt wysoka. Postanowił powiedzieć to na głos, chociaż przyszło mu to z trudem:

— Czy gdyby ktoś dzisiaj postawił cię przed wyborem: albo dom, praca, ja i wszyscy przyjaciele, albo morderca twojego ojca, to co byś zrobiła?

Wstała i zaczęła przechadzać się w swoim rytmie: trzy kroki, w tył zwrot, trzy kroki, w tył zwrot.

— Czy słyszałaś w ogóle, co powiedziałem? — zapytał. — Co byś zrobiła?

Rzuciła mu krótkie spojrzenie, jakby nie miała teraz zupełnie czasu na takie zabawy myślowe.

— Nie zastanawiałabym się ani sekundy.

Dla niej sprawa była już przesądzona. I dalej przechadzała się w swoim rytmie po salonie jak zamknięty w klatce drapieżnik.

— Żeby co zrobić? — dopytywał się Weller niecierpliwie, chociaż już przeczuwał, jaka będzie odpowiedź.

— Żeby dostać mordercę, rzecz jasna. A potem mogłabym zacząć wszystko od nowa.

Zrezygnowany Weller pokiwał głową.

— Jasne. Nowy dom. Nowy facet. Nowa praca.

Coś w sposobie, w jaki to powiedział, rozwścieczyło ją.

— Tak, jeśli będzie trzeba, to tak! — wrzasnęła.

Weller poszedł do kuchni i zabrał się za obieranie ziemniaków. Postanowił zrobić zapiekankę. Być może będzie ją musiał zjeść sam. To nawet bardzo prawdopodobne, że zje ją sam. Musiał się teraz zająć jakąś praktyczną czynnością, czymś, czego mógłby posmakować, powąchać, dotknąć. Wypił do tego piwo Jever. Prosto z butelki. Miał nadzieję, że ona się trochę uspokoi i przyjdzie do niego do kuchni, żeby jeszcze raz zacząć tę rozmowę. Ale tak się nie stało.

Gdy zapiekanka była już w piekarniku, a on opróżnił drugą butelkę Jevera, postanowił wrócić do niej do salonu. Ale już jej tam nie było. Zabrała wydruki do swojego świętego gabinetu. Polowanie na mordercę ojca zyskało wreszcie nowy impuls. W końcu Weller poszedł do niej. Musiał wytrzeć w swoją bawełnianą koszulę dłonie, które mu się spociły, gdy zaczął mówić:

— Raczej nie damy rady usunąć dowodów wskazujących na jego winę — powiedział — ale moglibyśmy blefować.

— Blefować?

— Mamy nad nim pełną kontrolę. Na sto procent pójdzie siedzieć. Moglibyśmy go trochę podebrać. Złożyć mu propozycję, że zabierzemy go na wizję lokalną, a tam pozwolimy mu uciec. Myślisz, że poszedłby na to?

Przez Ann Kathrin jakby przeszedł prąd. Siedziała teraz jak czapla, którą Weller obserwował kiedyś w dzieciństwie. Całkowicie bez ruchu na nagim zimnym kamieniu — gotowa zabić swoim ostrym dziobem.

— Chcesz pozwolić mu uciec?

Weller wzruszył ramionami.

— A co niby może się stać? Jak mówiłem, mamy nad nim pełną kontrolę. Gdy tylko poda nazwisko, od razu go znowu przymkniemy.

— Myślisz, że jest tak głupi?

— A ma inny wybór?

Ann Kathrin potrząsnęła głową. I zaczęła masować sobie skronie.

— Nie, to nie jest takie proste. On nie chce do końca życia uciekać. On chce uniewinnienia.

— Prawdziwego świadectwa niepokalania?

— Właśnie.

— Ale przepraszam bardzo, jak niby mamy to zrobić?

PRZED ROZMOWĄ z Meulingiem Ann Kathrin jeszcze raz poszła do toalety. Czwarty raz tego ranka. Mimo to gdy teraz czekała na niego w tym pozbawionym wszelkich ozdób pomieszczeniu, które przypominało jej zamrażarkę w lodówce, miała poczucie, że jeśli natychmiast nie pójdzie do toalety, to pęknie jej pęcherz. Ale w chwili gdy Meuling został wprowadzony do pokoju przesłuchań, to uczucie natychmiast zniknęło.

Ręce jej drżały. Ukryła je pod stołem. Weller bardzo chciał jej towarzyszyć, obawiali się jednak, że przy świadkach Meuling nic nie powie. W pomieszczeniu powinien być też wartownik, ale Ann Kathrin Klaasen, słynna pani komisarz, kiwnęła do niego, a on ucieszył się, że może wyjść na zewnątrz zapalić.

— Jeśli będzie mnie pani potrzebować...

Ann Kathrin potrząsnęła głową.

— Nie, dziękuję. Poradzę sobie.

Meuling usiadł na krześle, rozstawiając szeroko nogi, oparł jeden łokieć o brzeg stołu, a drugą ręką wykonał władczy gest. Odgrywał króla, który wspaniałomyślnie zgodził się na audiencję. W odczuciu Ann Kathrin tak właśnie było. Ten człowiek miał coś, na czym jej tak strasznie zależało.

Czuła niemal fizycznie obecność ojca w tym pomieszczeniu. Trzykrotnie się odwróciła, bo zdawało się jej, że ktoś za nią stoi. Ale i wcześniej zdarzało jej się mieć odczucie, że ojciec stoi za jej plecami, że ją ochrania, że daje jej rady albo potrząsa głową z naganą, gdy robiła coś, co by mu się nie podobało.

Ann Kathrin zaczęła mówić i była na siebie zła, bo głos jej drżał nerwowo.

— Pańska adwokatka, pani Johannsen, była u mnie.

Meuling uśmiechnął się szeroko, ale drganie jego rzęs zdradzało, że wcale nie jest tak wyluzowany, jak udaje. Był co najmniej równie zdenerwowany jak ona.

— Siedział pan w jednej celi z Volkerem Bogdanskim. Podobno wie pan coś więcej o napadzie na bank, w czasie którego mój ojciec stracił życie.

— Tak, znam nawet nazwisko mordercy. Bogi wiele razy mi o tym opowiadał. Znam tę historię na pamięć.

— Bogi?

— Tak, tak go nazywaliśmy. Był z niego dobry kumpel. Szkoda, że już poszedł do piachu.

Ann Kathrin przełknęła ślinę.

— Jeśli opowie mi pan całą tę historię i poda nazwisko, wstawię się za panem. W czasie procesu wystąpię w pańskiej obronie. Załatwię panu najlepszego adwokata, jakiego można znaleźć. Zadbam o najlepsze warunki odbywania kary, a gdy pan wyjdzie na wolność, zadbam o to, żeby nie został pan bez środków do życia. Mogę wziąć na mój dom kredyt hipoteczny i wpłacić na pana konto oszczędnościowe pięćdziesiąt tysięcy euro. Gdy już pan odbędzie karę, będzie miał pan z tego także odsetki.

Mężczyzna pochylił się w jej stronę i przywołał ją palcem wskazującym. Wzięła to za dobrą monetę i przybliżyła do niego swoje ucho. Był teraz tak blisko niej, że czuła jego zapach. Nie spodobała się jej

woń ostrej wody po goleniu, którą próbował zatuszować kwaśny zapach z ust. Od czasu aresztowania miał problemy z żołądkiem.

— Proszę mnie uważnie posłuchać, pani komisarz — wyszeptał. — Powiem to tylko ten jeden raz: sram na to.

A potem znowu usiadł z szeroko rozstawionymi nogami i uderzył pięścią w stół.

— Nie odsiedzę kary za coś, czego nie zrobiłem! Niech pani znajdzie prawdziwego mordercę albo jakiegoś innego dupka, który mnie tu zastąpi, a ja powiem, kto zamordował pani ojca.

— Tego nie mogę zrobić — odpowiedziała Ann Kathrin.

Meuling wstał.

— W takim razie nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Zupełnie nie wiem, po co pani tu przyszła. Czy pani naprawdę wierzyła, że ja zgodzę się na te idiotyczne pięćdziesiąt tysięcy?

— Nie mogę pana uwolnić za pomocą środków prawnych czy kryminalistycznych. Nawet jeśli zniszczyłabym materiał dowodowy, to wszystko jest już zapisane w aktach. Siedzi pan w tym po uszy. Jeśli pan chce wyjść stąd przed czasem, musi pan albo dobrze się sprawować, wtedy odsiedzi pan dwie trzecie kary, albo...

— Albo co?

— Albo musi pan uciec. — Wypowiedziała te słowa od niechcenia, ale on od razu zareagował.

— Niech mi pani pomoże uciec, pani komisarz.

— Tylko jeśli naprawdę zna pan nazwisko mordercy mojego ojca, wtedy może ...

Podrapała się po głowie.

Dwa razy przejechał sobie pod nosem dłonią zakutą w kajdanki. Prychał przy tym gniewnie.

— Jest sposób, żeby pana stąd wyciągnąć, panie Meuling...

Postawa jego ciała i wyraz twarzy momentalnie się zmieniły.

— Jaki?

— No więc przede wszystkim musi nam pan zaufać. To taki trik prawniczy, ale chwilę to potrwa.

— Uwielbiam prawnicze triki.

— Najpierw przyzna się pan do winy — zaproponowała Ann Kathrin.

Mężczyzna roześmiał się oburzony i popukał palcem w czoło.

— Nie jestem głupi!

— Tylko spokojnie. Proszę mnie posłuchać. Przyzna się pan do zamordowania Mareike Henning, podając wszystkie szczegóły. A potem zrobimy wizję lokalną, podczas której będziemy rekonstruować zbrodnię. Wtedy pan zacznie się plątać w sprzecznościach.

— Jak? Po co?

— No więc, jest kilka rzeczy, które wie tylko prawdziwy morderca. Przykładowo to, że ofiara była ogolona na całym ciele. Albo co się stało z jej ubraniami. Co to była za paczuszka na drzewie. No więc takie szczegóły, których nigdy nie upubliczniliśmy.

Meuling zaczął się domyślać, co zamierza Ann Kathrin, i z powrotem opadł na oparcie. Ręce skrzyżował za głową, a stopy oparł o brzeg stołu. Huśtał się teraz na krześle jak drugoroczny uczeń w ostatniej ławce.

— Jeśli zeznanie nie pasowałoby do czynu i rekonstrukcja też nie, wówczas będzie łatwo o podejrzenie, że to wcale nie pan jest sprawcą. Coś takiego zdarza się w dzisiejszych czasach bardzo często. W wielu przypadkach zgłaszają się ludzie, którzy rzekomo popełnili morderstwo, składają niekończące się zeznania, a potem okazuje się, że to wcale nie oni zabili. To kompletnie destabilizuje pracę policji kryminalnej, rozumie pan? Bo wtedy naszym zadaniem nie jest już udowodnienie, że ktoś popełnił morderstwo, tylko odwrotnie: musimy udowodnić, że ten ktoś wcale go nie popełnił.

— Chce pani zrobić ze mnie psychicznie chorego?

— W żadnym razie. Myślę, że po prostu poddał się pan presji przesłuchań. Nie wytrzymał stresu.

Szybko znajdziemy paru psychologów, którzy wystawią nam odpowiednie zaświadczenie.

— Czyli że poddaliście mnie torturom, tak? — Meuling wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

— Nie, nie. — Ann Kathrin potrząsnęła głową. — Tak daleko bym nie poszła. Nikt panu nie uwierzy. Poza tym brak na to dowodów. Zdarza się jednak, że policjanci bywają nieco nerwowi i być może posuwają się za daleko, bo bardzo chcą znaleźć mordercę, i to jest jakoś zrozumiałe, prawda?

Pokiwał głową.

— Jak najbardziej, i na dodatek zaczęło się to na przykład od tego, że po pierwsze, pani nie miała nakazu przeszukania, a po drugie, pani głupi kumpel skoczył mi wtedy na plecy. Jeszcze teraz mam problemy, gdy...

— Nie mówmy już o tym — powiedziała. — Dogadamy się?

— A kto mi zagwarantuje, że mogę pani zaufać?

— A ma pan inne wyjście? Ale jeśli pan chce, możemy najpierw zapytać pańską adwokatkę. Możemy przesłuchać pana zeznanie punkt po punkcie, a potem w czasie wizji lokalnej popełni pan jakiś decydujący błąd i zrelacjonuje przebieg zdarzenia tak, by dla wszystkich było jasne, że to było niemożliwe.

— Okej — powiedział Meuling — tak zrobimy. Ale najszybciej, jak się da. Muszę się stąd wydostać. Nie jestem stworzony do siedzenia w więzieniu. Potrzebuję ruchu.

— W takim razie proszę przyznać się do winy. Im szybciej to dostanę, tym szybciej wyjdzie pan na wolność.

— Jak mam to zrobić?

Ann Kathrin z uśmiechem otworzyła swoją torebkę, wyjęła z niej przygotowany w tym celu brulion i pióro.

— Odręcznie, na piśmie. Teraz, zaraz. Niniejszym ja, Dieter Meuling, urodzony trzydziestego pierwszego marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku, będąc w pełni władz umysłowych, przyznaję się, że zamordowałem Mareike Henning. Żałuję z całego serca i proszę o sprawiedliwą karę.

— Dość już tego, pani komisarz!

Odrzuciła włosy do tyłu i skontrowała chłodno:

— Kto przyznaje się do popełnienia jakiegoś czynu, ten pragnie, by została przywrócona sprawiedliwość. Proszę to napisać i podpisać, jeśli pan chce, żebym pana stąd wyciągnęła.

— Jeśli mnie pani wrabia, to...

W pokoju było zupełnie cicho. Meuling pisał, a skrobanie stalówki po papierze przyprawiało Ann Kathrin o gęsią skórę na rękach.

Zaraz będę cię mieć — pomyślała. Na chwilę zamknęła oczy. Gdyby tata mógł mnie teraz zobaczyć, byłby ze mnie dumny.

Ten Meuling chciał mnie wystrychnąć na dudka, ale teraz to ja mam go na haczyku. Wzięła kartkę do ręki i schowała do torebki.

— I co dalej? — zapytał Meuling i wytarł kilka kropel potu z nosa.

— Teraz pan mi powie, kto jest mordercą mojego ojca. A ja załatwię resztę.

Wszystko w Meulingu się zagotowało. Podniósł się z krzesła.

— O nie! W żadnym wypadku! A kto mi zagwarantuje, że pani dotrzyma słowa? Nie mam dwunastu lat, pani komisarz! Tak łatwo mnie pani nie wrobi. Teraz proszę mi dać te pięćdziesiąt tysięcy.

— Jakie pięćdziesiąt tysięcy?

— Czy to nie była pani propozycja? Hipoteka na dom. Już pani zapomniała? Jak wyjdę, muszę zacząć

wszystko od nowa. Raczej nie bardzo mogę dalej robić moje interesy w Duisburgu.

Ann Kathrin pokiwała głową.

— W porządku. Gdzie mam przekazać pieniądze?

— Mojej adwokatce. A ja w zamian za to podam jej nazwisko mordercy pani ojca, pani Klaasen. Kiedy to wszystko się skończy, a ja będę na wolności, dostanie pani to nazwisko.

W TELEWIZJI pokazywali przerażający materiał o katastrofie klimatycznej. Dzięki nowym możliwościom cyfrowej obróbki filmowej mieszkańcy Fryzji Wschodniej, nie opuszczając salonu, mogli na ekranie telewizora zobaczyć szokujące wizje przyszłości, w której ocieplenie klimatu doprowadzi do gwałtownego topnienia biegunów: poziom morza podniesie się, wybrzeże Morza Północnego zamieni się w Karaiby, będą tutaj rosły palmy, a zamiast rokitnika i gruszek zbierać się będzie orzechy kokosowe, mango i banany. A potem potężne fale zaleją ląd i Morze Północne będzie graniczyło z lądem na wysokości Pustaci Lüneburskiej.

Jakby na złość autorom tego materiału pod koniec maja przyszła fala chłodu i dwutygodniowe opady deszczu. Szczególnie mocno dotknęło to Oldenburg, Hanower i Emden. Te miasta stały się nagle konkurencją dla Wenecji.

Rynny na domu Ann Kathrin nie nadążały z odprowadzaniem wody. Ogród przypominał staw. Koło drzwi tarasowych unosił się na powierzchni utopiony kret. Ann Kathrin razem z Wellerem zatkali każdą możliwą szczelinę ręcznikami i wełnianymi kocami, żeby woda nie wlała się do salonu i kuchni przez drzwi tarasu. Weller śmiał się, bo drzwi wyglądały, jakby założyli im szaliki.

Ann Kathrin podkręciła trochę ogrzewanie podłogowe, żeby mogli chodzić bosy. Gdy wracali do domu w przemoczonych butach i skarpetkach, dla Ann Kathrin była to najpiękniejsza chwila dnia: mogła zdjąć buty i poczuć ciepłe płytki pod bosymi stopami.

Gdy wczoraj już na parkingu supermarketu Combi przemokła do suchej nitki, pchając wózek z zakupami do swojego samochodu, jeszcze w przedpokoju rozebrała się do bielizny i położyła na ciepłych kamiennych płytkach.

Zobaczył to Weller. Właśnie miał zamiar przygotować strogonowa po wschodniofryzyjsku, czyli z kawałkami ryby zamiast z wołowiną. Miał już pokrojoną cebulę i z nożem w dłoni stał w drzwiach kuchni z zapłakаныmi oczami.

Gdy zobaczył, jak Ann Kathrin przeciąga się na podłogowych płytkach, nie mógł się oprzeć i też się rozebrał. Najchętniej zdjąłby również bokserki, ale nie zrobił tego, bo i ona nie była całkiem naga. Położył się obok niej na płytkach i zaczęli się obracać jak dwie kiełbaski na ruszcie, które bardzo chcą się przypiec na rumiano.

A potem kochali się na ciepłych kamieniach. Po wszystkim bolały ją plecy, a jego kolana, ale śmiali się z tego, szczególnie gdy ona przyprawiła sos do strogonowa całym słoikiem musztardy Dijon i po raz pierwszy przyznała sama przed sobą, że ma to swoje zalety, gdy dzieci mieszkają u byłych małżonków. Gdyby w domu był Eike albo córki Wellera, z pewnością nie kochaliby się na podłodze.

Nie włączyli muzyki, bo gwizdzący wiatr przeszedł tymczasem w wycie stada wilków. Deszcz wściekle tłukł o szyby i wszystko to wystarczało im za romantyczny podkład muzyczny.

Weller przygotował potrawę w woku, który teraz stał między nimi. Siedzieli nadzy na krzesłach kuchennych i nakładali sobie na talerze potężne porcje. Dobry seks zawsze dodawał im apetytu.

Ann Kathrin chciała narzucić sobie koc na ramiona, ale Weller poprosił ją, żeby jeszcze przez chwilę tak została. Nie mógł się na nią napatrzeć i nie mógł się też najeść do syta. Wyłowił ostatnie kawałki śledzia z woka, potem oparł się na krześle i westchnął błogo:

— Mój Boże, jakie życie może być piękne!

Kilka sekund później zadzwonił Rupert z wieścią, że złapał właśnie cholerną gripę jelitową, która od paru dni zbierała żniwo w inspektoracie policji w Aurich.

Jego informacja, że idzie na zwolnienie, nieszczególnie zbulwersowała Ann Kathrin, która przyzwyczajona była do pracy z minimalnym wsparciem kadrowym. Tyle że Rupert przy okazji nadmienił:

— Mamy tu zgodę na wydanie Meulinga. W zasadzie nic już nie stoi na przeszkodzie wizji lokalnej.

Serce natychmiast podeszło jej do gardła. Nie mogła się już doczekać tego dnia. Mimo że Meuling pisemnie przyznał się do winy, trzeba było jeszcze dwóch tygodni, żeby przebrnąć przez wszystkie biurokratyczne przeszkody.

— Co znaczy „w zasadzie”?

— Koledzy z więzienia Duisburg-Hamborn nie mogą go do nas przywieźć, bo mają za mało personelu.

— Rupert się roześmiał. — Znasz może jakiś urząd, który ma za dużo personelu? Tutaj jest napisane, że dadzą radę nie wcześniej niż za czternaście dni.

— Co to ma znaczyć, że oni nie mogą go do nas przewieźć?! — zapytała oburzona Ann Kathrin. — Nie będę przecież czekać dwóch tygodni! W razie potrzeby sama go tu przywiozę.

— To do nas nie należy — powiedział Rupert. — To organy sądownicze same...

Ann Kathrin natychmiast przytoczyła cytat z odnośnego paragrafu:

— Transport aresztantów jest obowiązkiem organów sądowniczych. Odpowiedni organ policyjny może pomóc w transporcie, jeśli po nakazie aresztowania organ sądowniczy nie może przyjąć aresztanta lub jeśli organ śledczy, w którym przebywa aresztant, nie jest w stanie lub nie może samodzielnie podjąć się transportu aresztanta. Powyższa ogólna regulacja nie wyklucza możliwości odmiennych ustaleń między organami policji lokalnej a organami władzy sądowniczej, jeśli okażą się one celowe.

— No i? — zapytał skwaszonym tonem Rupert.

— Wyślij dwóch od nas — zarządziła energicznie Ann Kathrin.

— Co powiesz na Schradera i Benningę?

— O ile ich też nie zmogła grypa.

— No, chyba został się jeszcze ktoś zdrowy.

Rupert zakończył rozmowę westchnieniem:

— Jeszcze to dla ciebie zorganizuję, ale potem pojedę do domu i położę się spać obok sedesu. I nie wrócę do pracy, zanim mój organizm nie pokona tego cholernego wirusa.

Ann Kathrin spojrzała na Wellera. Jej oczy gorączkowo błyszczały, a w ruchach było coś drapieżnego. Nie dziwiłby się, gdyby powiedziała:

— A teraz jeszcze raz przelecę cię na podłodze.

Ale jej podniecenie nie miało seksualnego podłoża. Dłońmi rozcierała ramiona.

— Czuję to, Frank. Czuję to podskórnie. Jutro on poda mi nazwisko mordercy mojego ojca.

— Myślałem, że dostaniesz je przez jego adwokatkę, gdy on już będzie na wolności.

— Nigdy do tego nie dojdzie, Frank. — Uśmiechnęła się.

— Trochę się martwię, że możemy przesadzić. Bo wiesz, tak naprawdę nikogo w to nie wtajemniczyliśmy. Najpierw wyciągasz od niego przyznanie się do winy, a teraz masz zamiar mu pomóc je anulować. Naprawdę chcesz przekazać jego adwokatce te pięćdziesiąt tysięcy?

Ann Kathrin pokiwała głową.

— To się już stało.

Wellerowi aż się głośno odbiło. Wydał policzki.

— Muszę się napić *espresso* — wydyszał i włączył ekspres.

— Ja też — ucieszyła się Ann Kathrin.

Gruby szal otulający drzwi, zrobiony z ręczników i kocy, już nie wystarczał. Deszczówka zaczęła wlewać się do kuchni długim wilgotnym językiem. Na początku wcale tego nie zauważyli, tak bardzo byli zajęci sobą.

Weller gnębiła myśl, jak długo musiałby pracować, żeby przy tym, co mu zostawało z pensji po zapłaceniu alimentów, zebrać jeszcze pięćdziesiąt tysięcy.

— Nie wiedziałem — odezwał się zdziwiony — że tyle odłożyłaś sobie do skarbonki. Myślałem, że wasze rozstanie dało wam porządnie po kieszeni.

Ann Kathrin zaczęła się ubierać, jakby zaraz miała znowu wyjść z domu. Weller poczuł się śmiesznie, stojąc — ciągle nagi — przy ekspresie do kawy, który teraz z hałasem mełł ziarna arabiki.

— Byłam w moim banku. Od razu mi pomogli. W końcu ciągle jeszcze mam ten dom. Wzięłam na niego kredyt hipoteczny.

— Jeszcze jeden? — chciał powiedzieć Weller, bo wydało mu się wątpliwe, by małżeństwo Klaasenów mogło się tak w nieskończoność zadłużać. Ale nie wydusił z siebie tego pytania.

Podał jej filiżankę z *espresso*. Stuknęli się nimi, jakby to były kieliszki do szampana.

— Na cześć twojego ojca! — powiedział Weller. — I oby jego mordercę spotkała wreszcie sprawiedliwa kara.

Nagle Ann Kathrin poczuła, że ma mokre stopy. Podłoga w kuchni zmieniła się w ogromną kałużę.

W DRODZE z Aurich do parku zamkowego Lütetsburg Ann Kathrin nie wiedziała, czy i ją dopadła grypa żołądkowa, czy też były to tylko nerwy. W jelitach burczało jej jak w zepsutym kaloryferze. Było to tak głośne, że Weller z trudem krył uśmiech.

Siedziała na miejscu pasażera w ich samochodzie służbowym z rękami skrzyżowanymi na podołku. Rzucił jej ukradkowe spojrzenie i zauważył, że zagryza dolną wargę. Wpatrywała się w swoje kolana, a Weller zastanawiał się, czy jej Heckler & Koch czeka odbezpieczony w torebce. Miał złe przeczucia. To nie był dopracowany plan i nikogo w to nie wtajemniczyli. Dzisiejszy dzień mógł być ostatnim dniem ich kariery w policji kryminalnej.

Odchrząknął.

— Dokąd chcemy się posunąć, Ann? Zaszliśmy już dość daleko. Boję się, że wdepniemy w coś paskudnego.

Odpowiedziała jakby z innego świata. Jej głos brzmiał jak głos automatycznej sekretarki, czego Weller nienawidził, bo nie lubił rozmawiać z maszynami, które przekierowywały go do innych maszyn.

— Co z tobą? Wsiadasz?

— Ann, proszę! Nie utrudniaj sprawy. Boję się tylko, że realizujemy jakieś niewydarzony plan, a potem nie uda nam się nikomu sensownie wyjaśnić, jak w ogóle mogliśmy wymyślić taką bzdurę.

— To nie jest bzdura. To wielka szansa, na którą cały czas czekałam.

— Jeśli jesteś taka pewna swego, Ann, to dlaczego twój żołądek protestuje?

— Co druga osoba ma teraz ten cholerny wirus.

— To czemu gapisz się przed siebie martwym wzrokiem jak jakaś lalka?

Teraz już w jej głosie było więcej życia, a po kilku słowach zaczęła mówić jak kobieta, którą kochał.

— Nie jest z nami wcale tak źle. Jesteśmy o wiele dalej niż dotąd. Mamy jego przyznanie się do winy.

— Ale jeśli on opowie, jak do tego doszło, to wtedy...

— Wtedy nikt mu nie uwierzy...

Weller przycisnął język do podniebienia, wysunął brodę naprzód i pokiwał głową. Może po prostu jej nie doceniał. Może to nie Meuling miał ją na haczyku, tylko ona jego. Mimo to Weller wypytywał dalej:

— A jego adwokatka?



— Jej zeznania nie będą wiele warte. Będzie to raczej brzmiało jak próba wyciągnięcia klienta z więzienia.

Weller zwolnił, bo z powodu porywistego wiatru deszcz zaczął siec w szybę tak mocno, że przez chwilę nie widział drogi.

— Zapominasz, że przekazałaś jej pięćdziesiąt tysięcy. Przed sądem trzeba by to jakoś wyjaśnić.

— Nie sądzę.

I Ann Kathrin zaczęła gestykulować i przemawiać do okna samochodu, jakby stała przed sądem:

— Wysoki Sądzie, znalazłam mordercę Mareike Henning. W czasie przesłuchania wyszło na jaw, że zna on mordercę mojego ojca. Jaki nacisk należy wywrzeć na człowieka, który prawdopodobnie spędzi następnych piętnaście lat w więzieniu? On złożył mi propozycję. Powiedział, że mam mu dać pięćdziesiąt tysięcy euro, jeśli chcę, by zdradził nazwisko mordercy mojego ojca. Tak, Wysokie Sądzie, może Wysoki Sąd powiedzieć, że jestem naiwna. Albo że działałam nieprofesjonalnie. Być może popełniłam błąd. Ale zrobiłam to. Przekazałam pieniądze na konto jego adwokatki w Oldenburgu, żeby wreszcie uwolnić się od tego przekleństwa, które mnie prześladowa. Czy może sobie Wysoki Sąd wyobrazić, co to znaczy dla komisarz policji kryminalnej, gdy każdego dnia jest jej boleśnie przypomniane, że morderca jej ojca przebywa na wolności? Organy śledcze przecież już dawno zaprzestały ścigania i odłożyły sprawę do akt. Tak, Wysoki Sądzie, jeśli jest przestępstwem, że chciałam odnaleźć mordercę mojego ojca, to proszę uznać mnie winną.

Ann Kathrin pochyliła głowę przed wymyślonym sądem, by po chwili z podniesionym czołem przemówić tym bardziej gwałtownie:

— I zrobiłabym to znowu, bo nie zaznałabym spokoju, dopóki ten brutalny morderca nie trafiłby za kratki.

— Brawo — odezwał się Weller. — Brawo. *Standing ovations*. Ale adwokatka nie poda ci tego nazwiska, chyba że...

Weller na chwilę oderwał wzrok od mokrej jezdni i spojrzał na Ann Kathrin dłużej, niż zrobiłby to ostrożny kierowca.

— Ale ty mu tak naprawdę nie pomożesz, żeby się z tego wykaraskał, prawda? To wszystko to tylko podpucha, tak?

Weller zjechał na prawy pas drogi B210 krótko przed miejscowością Marienhafe.

— A czy to nie był twój pomysł? — zapytała.

— Proszę, Ann, nie zrozum mnie źle, ale...

Ściągnęła usta.

— Wiem, wiem. Czasem mówi się takie rzeczy tak po prostu, ale nie ma się tego na myśli, prawda? Wiesz co? Wycofaj się. Pozwól mi to załatwić w pojedynkę.

— Ann, jak ty się będziesz czuła, jeśli na procesie sądowym on zostanie uniewinniony? Okej, załóżmy, że informacje, które otrzymasz, okażą się w porządku i złapiesz mordercę swojego ojca. Ale wtedy jeden morderca będzie chodził na wolności, a ty zapuszczujesz drugiego. Taka zabawa w „figurki, figurki zmieńcie się”. Ale co zrobisz, jeśli on zabije kolejną kobietę?

— Nie zrobi tego. On nie jest seryjnym mordercą. To była typowa próba skierowania nas na fałszywy trop.

Automatycznie włączyła się ich radiostacja. Anke Genius miała do przekazania kilka informacji. Z powodu ulewnych deszczy kilka ulic było nieprzejezdnych, a poważny wypadek zablokował przejazd na drodze A28 między Emden a Oldenburgiem.

Weller wrzasnął na radiostację:

— Morda w kubeł! — I wyłączył czerwony guzik.

— Chcę mieć szansę zostać z nim sam na sam. Bez jego adwokatki — uściśliła Ann Kathrin.

— I jak niby mamy to zrobić?

— Uda się... jeśli mi pomożesz. Gdy będzie po wszystkim. Gdy on już będzie pewny swego i trzeba go będzie odtransportować, adwokatka na sto procent nie wsiądzie do niego do więźniarki.

— My też nie, Ann.

Uśmiechnęła się.

Przeczuwał, co zamierzała, i potrząsnął głową.

— O, nie, Ann. Nie myślisz chyba poważnie... — A potem zagwizdał przez zęby. — Dlatego tak się obkułaś i tak dokładnie cytowałaś przepisy o transporcie więźniów.

Ann Kathrin pokiwała głową.

— A jak chcemy to wytłumaczyć naszym kolegom Schraderowi i Bennindze?

— A tych dwóch nie jest przypadkiem w twoim klubie skata?

Weller poczuł się zapędzony w kozi róg. O Boże — pomyślał — nie doceniłem jej. Ona jest kompletnie odjechana.

— Tak. Nie. To znaczy, tak, oczywiście. Ale to nie jest tak, jak myślisz. Przecież nie mogę tak po prostu...

Spojrzała na niego jak nadąsane dziecko.

— No jasne. Najpierw obiecujesz, ale potem nie dotrzymujesz słowa. Najpierw „dla ciebie zrobię wszystko”, a potem nawet taka drobna przysługa to...

— Drobna przysługa?

Żołądek Wellera zaczął się burzyć. Zaczął masować brzuch prawą ręką, po czym wyjęczał:

— Jestem gotów uwierzyć, że mnie zaraziłaś. Czuję się, jakbym zjadł zdechłego kota.

Parking przy parku zamkowym Lütetsburg nie był pokryty asfaltem. Padający od dawna deszcz przemienił podłoże w błotniste bagno.

Ann Kathrin i Weller czekali w samochodzie na kolegów jadących z Duisburga. Żołądek Ann Kathrin tymczasem się uspokoił, za to Weller czuł się coraz gorzej. Wyszedł z samochodu, żeby — opierając się o drzewo — zwymiotować. A potem przemoczony do suchej nitki wrócił do Ann Kathrin, siedzącej w ich służbowym volkswagenie passacie.

Powziął decyzję. Jego rozsądek buntował się przeciw temu, buntowało się też jego ciało, ale było w nim coś silniejszego i przemogło cały ten opór.

— Kocham cię, Ann — powiedział, a ona przy tych słowach poczuła jego kwaśny oddech. Oczy miał przekrwione. — Nie chcę ryzykować tego, co jest między nami. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale chcę być z tobą szczęśliwy — albo z tobą zginąć, wolę jednak, żebyśmy byli razem. Jeśli wszystko źle pójdzie, to otworzymy budkę z burgerami rybnymi w Norddeich.

Ann Kathrin się zaśmiała. To było chyba najpiękniejsze wyznanie miłości, jakie kiedykolwiek usłyszała od mężczyzny. I miała tylko nadzieję, że on nie będzie tego żałował. Równocześnie zaczęła wątpić, czy w ogóle powinna przyjąć jego propozycję. Teraz wszystko to brzmiało jeszcze tak romantycznie: wspólnie otworzą budkę z burgerami rybnymi w Norddeich. Ale oni nie byli sprzedawcami, byli policjantami kryminalnymi z krwi i kości.

Być może nigdy mi tego nie wybaczy — pomyślała.

A on bez trudu odgadł jej myśli. Rozłożył ramiona i powiedział:

— To nie będzie pierwsza lepsza rybna budka, obiecuję ci to. Nasze smażone rolmopsy przejdą do legendy, nie mówiąc już o matjasach. Miękkie bułeczki, świeża cebulka, do tego listek sałaty i...

Nadjechał właśnie transport z więzienia Duisburg-Hamborn.

— Deszcz jest po naszej stronie — powiedział Weller. — Pozwól mi to zrobić. Nikt z nich nie ma

teraz ochoty, żeby wychodzić z samochodu i iść z wami.

— Myślisz, że...

Weller pokiwał głową. Jego obawy, że wszystko skończy się katastrofą, ustąpiły teraz urwisowskiemu cwaniactwu. Wyglądał jak rozrabiaka, którym chciał być w dzieciństwie, i zostałby nim, gdyby surowy ojciec nie trzymał go na krótkiej smyczy.

— Nie musimy czekać na adwokatkę, Ann. Możesz go mieć dla siebie. Teraz. W deszczu. Tam w parku. Uważaj na siebie. Gdy zjawi się adwokatka, wyślę ją za wami.

— Nie sądzę, żeby miała ochotę biegać w swoich szpilkach po tej grząskiej łące — zawyrokowała Ann Kathrin.

— Nie śpiesz się, Ann. Wyślę naszych kolegów autem służbowym do domu i powiem im, że podejmujemy się powrotnego transportu więźnia. I niech się dzieje, co chce!

I chociaż ciągle jeszcze bił od niego zapach wymiocin, ona miała teraz wielką ochotę go pocałować. Spojrzeli sobie głęboko w oczy. Jeszcze przez chwilę się wahała:

— Frank, jesteś pewny? Ryzykujesz całą masę rzeczy, jeśli teraz, tutaj ze mną...

— Jeśli nie zrobię teraz tego, co mi każe serce, Ann, całe moje życie będę się czuł jak tchórz i podły nieudacznik. Wspólnie to teraz zrobimy.

Podali sobie dłonie, jakby w ten sposób mieli przypieczętować jakąś umowę. Raz w życiu — powiedział Weller do siebie — nie zrobisz tego, co każe ci rozsądek. Nie zrobisz tego, co należy i co jest poprawne politycznie, tylko postawisz wszystko na jedną kartę. Zagrasz *va banque*. I być może zgarniesz przy tym całą stawkę.

Aż po kostki grzęzli w błocie, idąc do więźniarki. Ich koledzy nawet nie wysiedli. Jazda z Duisburga-Hamborn do Lütetsburga przy tej pogodzie zupełnie ich wykończyła.

W kabinie kierowcy cuchnęło dymem papierosowym. Weller, uśmiechając się pod nosem, postanowił pominąć to milczeniem. Czuł się dziwnie swobodnie i lekko. I chyba zbyt entuzjastycznie przywitał się z kolegami. Ich ponure miny napawały go nadzieją. Benninga zajęczał:

— I naprawdę mamy teraz ganiać z tym bandziorem po parku? Nawet nie mamy parasola.

— Mnie to też niezbyt bawi. Umundurowani policjanci, którzy uzbrojeni w parasol konwojują mordercę na miejsce zbrodni — roześmiał się Weller. — Chyba nie chcemy, żeby to jutro ukazało się w „Kurierze”?

— Ale jak to? Czy ten Holger Bloem też tu może jest? — zdenerwował się Benninga i otarł spoconą twarz.

Artykuł, który Holger Bloem napisał kiedyś o Ann Kathrin Klaasen, znał każdy funkcjonariusz policji we Fryzji Wschodniej. Któż by nie marzył o takiej popularności! Niektórzy patrzyli na to z zawiścią, inni z podziwem.

Weller mrugnął do obu kolegów z tajemniczą miną.

— Chłopaki, to zostanie między nami, dobra? Ten numer może się ciągnąć godzinami. A przy naszych brakach kadrowych nie możemy sobie pozwolić, żeby kolejne osoby poszły na chorobowe.

— Czy to znaczy, że teraz wrócimy i odstawimy tego typu do naszej izby wytrzeźwień?

— Nie. Dziś wieczorem on musi być z powrotem w Hamborn. Na dłużej nie chcieli nam wypożyczyć swojego pupilka.

— Ale to już beze mnie. Ja i tak od paru dni źle się czuję. Poza tym dzisiaj wieczorem...

— Gdyby moje konto w banku wyglądało tak dobrze jak moje konto z nadgodzinami, byłbym zamożnym człowiekiem. To jednak spora przesada, żebyśmy jeszcze dzisiaj...

— Spokojnie, panowie! Założymy teraz temu chłopaczkowi kajdanki i przekazemy go naszej prześwietnej koleżance.

— A co my będziemy robić w tym czasie?

— Usiądziemy sobie z tyłu i zagramy partyjkę skata.

Oczy Benningi błysnęły, a i twarz Schradera się rozjaśniła.

— Myślisz, że ona się na to zgodzi?

— No pewnie. I nie musicie go też odwozić. Możecie wziąć moje auto służbowe i pojechać do domu poleniuchować. My z Ann Kathrin odstawimy ten cenny ładunek do Hamborn.

— Zawsze wiedziałem, że z ciebie równy gość, Frank — roześmiał się Benninga i poklepał Wellera po ramieniu.

Ann Kathrin ciągle jeszcze siedziała w samochodzie służbowym na fotelu pasażera. Poprzez strugi deszczu przypatrywała się tej scenie. Nie słyszała, co mówią, i nie widziała też twarzy, ale postawa ciała i gesty zdradziły jej wystarczająco wiele. Plan Franka chwycił.

Odezwała się jej komórka. Dzwoniła adwokatka Meulinga. Przepraszała, bo z powodu tej pogody ma opóźnienie. Była dopiero przed Emden.

— Nie ma problemu — powiedziała Ann Kathrin i wysiadła z samochodu, żeby wykorzystać tę szansę. Wystawiła twarz na deszcz. To właśnie była odpowiednia pogoda, by o krok zbliżyć się do mordercy ojca.

Tylko Weller wysiadł, by jej pomóc. Policjanci Schrader i Benninga zostali w kabinie kierowcy. Z jednej strony, nie chcieli się wystawiać na tę wschodniofryzyjską niepogodę, z drugiej szczególnie Schrader nie miał ochoty patrzeć Ann Kathrin w oczy, bo dobrze wiedział, że jego obowiązkiem jest towarzyszyć jej teraz, a nie grać w skata z Wellerem w tylnej kabinie więźniarki. A dokładnie to zamierzał robić.

Ann Kathrin miała wrażenie, że dostrzegła uśmiech wyższości na twarzy Meulinga. I nawet jej się to spodobało, bo im pewniej się czuł, tym mniejszą będzie zachowywał ostrożność i tym łatwiej sobie z nim poradzi.

— Wybrała pani wspaniałą pogodę, pani komisarz — roześmiał się — Fryzja Wschodnia w całej swej krasie, co?

— Jak już pan trafi do piekła, będzie pan marzył o deszczu i wietrze, niech mi pan wierzy.

Bez najmniejszego protestu Meuling pozwolił Wellerowi założyć sobie kajdanki.

Ann Kathrin postanowiła, że od tej chwili po prostu będzie ignorować deszcz. Gdy człowiek jest przemoczony do suchej nitki, to jest mu wtedy wszystko jedno — pomyślała. Wyobraziła sobie, jak będzie pięknie, gdy dziś wieczorem zrobi sobie kąpiel w wannie. Kąpiel z pianką. Może wspólnie z Wellerem i butelką Jevera w ręce.

Będę już wtedy wiedzieć, jak się nazywasz — pomyślała ponuro i przed oczami stanął jej obraz ojca, prowadzonego z pistoletem przystawionym do szyi.

Razem z Meulingiem przeszła przez szosę w stronę pałacu. Deszcz przynosił jej w tym momencie tylko korzyści. Będę z nim zupełnie sama w parku — myślała.

Wrzuciła do pudełka jedno euro za Meulinga i przepchnęła go przez obrotowe wejście. A gdy ten upewnił się, że są sami i że pozostali policjanci już ich nie widzą, natychmiast zmienił postawę ciała. Podeszedł do niej na tyle blisko, że poczuła się zagrożona. Zrobiła nawet krok do tyłu, żeby zyskać bezpieczny dystans.

— Pójdziemy teraz w miejsce, gdzie znaleźliśmy ciało, a pan mi opowie, jak pan to zrobił, panie Meuling. Z którego kierunku przyszedł pan do parku? Czy niósł pan zmarłą na rękach? Czy też przetransportował pan ją tutaj na taczce? Nie sądzę, żeby dostał się pan tutaj przez wejście dla gości. Ten park ma trzydzieści hektarów, więc jest mnóstwo możliwości, żeby potajemnie się tutaj dostać.

— Co to za gówno? — wrzasnęła na nią Meuling. — Teraz jesteśmy tu sami. Czy naprawdę mamy tutaj

stać na tym deszczu i wietrze i przeziębici się na śmierć? Chodźmy do kawiarni parkowej albo gdzie bądź. Napijmy się herbaty, a i sznaps byłby na miejscu. Wiem, że we Fryzji Wschodniej pijecie taki niezły grog. Poczekamy tam chwilę, a potem opowie im pani to, co powiedziałem. To było całkiem cwane, że nie zabrała pani ze sobą tej trójki. Jak to się w ogóle pani udało? Musiała ich pani wtajemniczyć, czy może po prostu wzięli za to pieniądze? A tak w ogóle, to gdzie jest moja adwokatka?

Ann Kathrin wzięła głęboki wdech, walcząc z chęcią uderzenia Meulinga w twarz. Chwyciła go mocno i pociągnęła za sobą. W jej butach chlupotała woda, a palce miała teraz tak zimne, że zastanawiała się, czy w razie potrzeby będzie w stanie odpowiednio szybko nacisnąć spust swojego Hecklera & Kocha P 2000.

— Albo gra pan teraz według moich reguł, albo może pan zniknąć i spędzić resztę życia w więzieniu. Jak pan myśli, co my tutaj robimy? To nie jest zabawa dla dzieci. Próbujemy tutaj oszukać niemiecki sąd i to bynajmniej nie sąd rejonowy w Duisburgu. Będzie pan oskarżony o morderstwo, więc musimy już uruchomić i wytoczyć odpowiednie działy, żeby pana wydostać na wolność. Przyznał się pan do winy i teraz chodzi o to, żebym w szczegółach dowiedziała się, jak pan to w rzeczywistości zrobił, tak abym mogła wystylizować pana zeznanie, i dowieść, że to nie mógł być pan. Kapujesz, idioto?

Ann Kathrin podniosła prawą rękę, ale nie zacisnęła pięści, Meuling jednak miał wrażenie, że zaraz wymierzy mu policzek.

— Niech pani nie rozmawia ze mną jak ze swoim synkiem — wysyczał.

— Pan powie mi teraz, jak nazywa się morderca mojego ojca, albo przerywam całą akcję, jasne? Wypełniłam swoją część umowy. Pańska adwokatka otrzymała ode mnie pięćdziesiąt tysięcy euro.

— Tak, wiem. Potwierdziła to.

— A zatem, jak się nazywa ten gnojek?

Meuling próbował wcisnąć się w krzaki, żeby znaleźć jakieś schronienie przed deszczem. Ann Kathrin zauważyła z satysfakcją, że mężczyzna drży. Nie wiedziała tylko, czy to przez ten wilgotny ziąb czy też ze strachu.

— Nie ukatrupiłem tej durnej lali. Ciągle jeszcze tego pani nie skapowała?

— Wszystko mi jedno. Niech pan poda nazwisko, a ja pomogę się panu z tego wykaraskać.

— Myślałem, że ustaliliśmy zasady.

Ann Kathrin się rozejrzała. Byli zupełnie sami. Deszcz chronił ich jak parawan.

Wyjęła swojego Hecklera & Kocha i przyłożyła lufę do czoła mężczyzny.

— Nie ma żadnych zasad! — wrzasnęła. — Zrozumie pan to wreszcie? Tak właśnie zabito mojego ojca! Dokładnie w taki sposób! Jeśli odstrzelę teraz panu mózg, to mnie nic się nie stanie. Jeśli ktoś będzie miał kłopoty, to moich trzech kolegów, którzy w więźniarce grają w skata. Gdy byłam z podejrzanym na miejscu zbrodni, ten nagle dostał szalu i mnie zaatakował. Agresywny typ, taki napakowany mięśniak. Każdy sąd mnie uniewinni.

— Proszę przestać — błagał — proszę przestać.

Pod naciskiem broni coraz bardziej pochylał głowę.

Ann Kathrin wepchnęła go w żywopłot. Gałęzie kłuły go w twarz.

— Nazwisko! — zażądała. — Nazwisko! Bo przysięgam, że strzelę...

CORA JOHANNSEN zajechała swoim białym mercedesem pod sam pałac. Nie zwracała uwagi na znaki zakazu parkowania. Uważała, że podróżuje na zlecenie prokuratury i z rozkazu policji. Kto chciałby ryzykować, żeby wlepić jej mandat? I jaki policjant szukałby przy takiej pogodzie źle zaparkowanych samochodów?

Dziwiła się, że nie ma tutaj żadnych wozów policyjnych. Potem na parkingu po drugiej stronie drogi

odkryła więźniarkę. Równie dobrze mógłby to być wóz firmy przeprowadzkowej. Z powodu ulewnego deszczu nie widziała wyraźnie. Głupio się poczuła, gdy spróbowała rozłożyć swój mały parasol firmy Knirps, a wschodniofryzyjski wiatr w ułamku sekundy połamał wszystkie druty. Od razu zrozumiała, że już po parasolu, i nawet nie próbowała go odłożyć do samochodu. Po prostu rzuciła na ziemię.

Cora Johanssen przeszła przez ulicę na parking. Z tyłu więźniarki siedzieli Weller, Schrader i Benninga. Weller właśnie licytował.

— Osiemnaście, dwadzieścia, dwa.

Benninga pokiwał głową.

— Wygram tę partię. Ktoś ma więcej niż trzydzieści sześć?

Schrader natychmiast spasował.

Weller zawsze pilnował, by przestrzegano reguł.

— Porządek musi być! — stwierdził, czując się już jak zwycięzca.

Policjanci zostawili lekko uchylone drzwi, żeby do środka nie wpadało zbyt dużo wilgoci. Cora Johansson zajrzała do środka i od razu zrozumiała, co jest grane. Zatrzasnęła drzwi i tych trzech znalazło się w pułapce. Teraz deszcz już jej zupełnie nie przeszkadzał. Najchętniej ściągnęłaby tu prasę.

— Ej, co to było? — zawołał Weller i natychmiast ostrzegł: — Biada, jeśli któryś zajrzy mi w karty.

— Drzwi są zamknięte, cholera, drzwi są zamknięte! Wiatr je zatrzasnął — uznał Schrader.

— No więc otwórz je — zażądał Weller. Nie był jeszcze świadomy rozmiarów swojej klęski.

— To jest więźniarka — rzeczowo stwierdził Benninga. — Więźniarek z uzasadnionych powodów nie da się otworzyć od środka. Tylko z zewnątrz. W ogóle nie powinniśmy być w tej części wozu. Powinniśmy...

— I co teraz?

— Teraz to wdepnęliśmy w niezłe gówno. Nie możemy przecież zadzwonić po kolegów i powiedzieć im, że...

— Chwila, chwila — Weller uspokajał swoich współwięźniów — zaraz wróci Ann Kathrin i otworzy nam drzwi z zewnątrz.

Ale z was idioci — pomyślała Johanssen. Zatarła dłonie, ale to wcale nie rozgrzało jej palców. A potem ruszyła do parku szukać Ann Kathrin i swojego klienta Meulinga.

ANN KATHRIN zastanawiała się, czy powinna oddać ostrzegawczy strzał, żeby zwiększyć nacisk na Meulinga. Deszcz wprawdzie tłumił wiele odgłosów, ale i tak przypuszczała, że jej koledzy nawet z takiego oddalenia i przy takiej pogodzie usłyszą strzał. Wszyscy policjanci z racji licznych szkoleń byli wyczuleni na takie dźwięki.

Ann Kathrin nie zauważyła pani Johanssen. Była całkowicie skoncentrowana na Meulingu.

— Ona chce mnie zabić! — wrzasnął. — Cora, ona chce mnie zabić!

Ann Kathrin myślała, że to zmyłka, i nawet się nie obejrzała. Niemożliwe, żeby adwokatka już tu była. Żeby dojechać spod Emden aż tutaj, potrzebowała przy tej pogodzie co najmniej czterdziestu, jeśli nie pięćdziesięciu minut. Usłyszała swój głos:

— Liczę teraz do trzech, a potem w obronie własnej zastrzelę cię. Jeden gnojek mniej na świecie. Raz...

— Nie, nie! Powiem wszystko. Wszystko, co pani chce wiedzieć, ale to się pani nie spodoba, pani Klaasen.

— Dwa.

— Pani ojciec nie był niewinną ofiarą! On zaplanował z innymi cały ten napad. To był jego pomysł, żeby uciec helikopterem ratunkowym. Został zastrzelony, bo oni nie chcieli się z nim podzielić. Bo znał

wszystkie nazwiska i domagał się dla siebie lwiej części łupu.

Wskazujący palec Ann Kathrin zacisnął się na spuście. Czowała, że kompletnie straciła panowanie nad sobą. Kopnęła Meulinga i wrzasnęła:

— Kłamiesz, kłamiesz! Ty przeklęty śmieciu!

Cora Johanssen wyciągnęła ze swojej czerwonej torebki gaz pieprzowy i kciukiem złamała plastikowe zabezpieczenie. Broń była gotowa do użycia. Stała na szeroko rozstawionych nogach za plecami Ann Kathrin, trzymając oburącz puszkę z gazem. Wyciągnęła przed siebie ramiona i przeszywającym głosem rozkazała:

— Proszę rzucić broń. Ręce do góry. Proszę się odsunąć od pana Meulinga!

Ann Kathrin natychmiast się odwróciła i otrzymała w twarz cały ładunek gazu. Mimo deszczu gaz pieprzowy w pełni zadziałał. Ann Kathrin niemal całkowicie oślepla. Miała poczucie, jakby kwas wyżerał jej gałki oczne.

Cora Johanssen chwyciła ją za prawą rękę i odebrała jej służbową broń. Ann Kathrin zwróciła twarz w stronę deszczu, bo wiedziała, że tylko woda może jej pomóc. Oczywiście trzeba było przepłukać. Jeszcze raz i jeszcze raz. I znowu pomyślała: deszcz jest dzisiaj twoim przyjacielem.

— Proszę mi oddać broń. To, co pani teraz robi, to pomoc więźniowi w ucieczce. Naraża się pani na odpowiedzialność karną — przemówiła Ann Kathrin, żeby przywołać adwokatkę do porządku.

Ale ta roześmiała się histerycznie.

— No jasne, ja narażam się na odpowiedzialność karną! Pani grozi tutaj aresztantowi w kajdankach, że go pani zastrzeli, ale to ja narażam się na odpowiedzialność karną?

— Zabiję cię, ty szmato! — wrzasnął Meuling i już chciał rzucić się na Ann Kathrin, ale Cora Johanssen powstrzymała go.

— Nie zrobisz tego. Natychmiast uciekamy. Natychmiast.

Ann Kathrin próbowała znaleźć komórkę, walcząc z chęcią przetarcia palących oczu.

— Proszę się z tym pogodzić, pani Klaasen. To już koniec pani zawodowej kariery. Załatwię panią tak, że nie znajdzie pani pracy nawet jako pomocnik ochroniarza.

Meuling wraz ze swoją adwokatką pobiegli do wyjścia.

— Kajdanki! Muszę się natychmiast pozbyć tych cholernych kajdanek.

— Myślisz, że teraz ją przeszukam, żeby znaleźć klucz?

Kilka sekund później mercedes ruszył.

Ann Kathrin chciała przez komórkę zawiadomić Wellera i resztę kolegów, ale tym razem deszcz nie był jej przyjacielem. Wyświetlacz zgasł, zanim jeszcze nacisnęła przycisk szybkiego wybierania. W mgnieniu oka pojęła, że jest zdana tylko na siebie. Wystawiła twarz jeszcze wyżej — ku czarnym chmurom — i z wyciągniętymi przed siebie rękami doszła po omacku do żywopłotu.

Jeśli będę cały czas szła wzdłuż żywopłotu, dojdę do tego obrotowego wejścia — spekulowała. Nagle zaczęła kaszleć i próbowała zdusić odruch wymiotny. Po kilku minutach zaczęła się zastanawiać, czy nie poszła w złym kierunku. Czy ta droga nie prowadzi jej coraz bardziej w głąb parku? Czy w trakcie szarpaniny z Meulingiem nie odwróciła się?

Ale potem uderzyła wreszcie o obrotowe wejście. Odetchnęła. W końcu trafiła do wyjścia. Przykucnęła, bo poczuła, że natychmiast musi do toalety. A potem ruszyła przed siebie, aż poczuła asfalt pod stopami. Teraz zrobiło się niebezpiecznie.

Gwizd wiatru, uderzenia strumieni deszczu o gałęzie drzew coraz bardziej się nasilały. Nie była w stanie usłyszeć, czy nadjeżdża jakiś samochód, i oczywiście nie była też w stanie go zobaczyć.

Zatrzymała się na skraju jezdni, zaczęła wymachiwać rękoma i krzyczeć:

— Ratunku, Frank, ratunku!

Oczyrna wyobraźni widziała Paula Schradera, Jörga Benningę i Franka Wellera. Śmiejąc się, grali w skata otuleni chmurą papierosowego dymu. Rozradowany Frank miał zarumienione policzki. Palił już trzeciego papierosa i ogrywał kolegów do ostatniego grosza. Schrader pomstował: „Zaraz przegram tu moje miesięczne zarobki!”, a jej Frank odgryzał się: „No nie, tyle to ty przecież nie zarabiasz!”.

— Ejże, chłopaki — powiedziała cichutko pod nosem — to poważna sprawa. Cholernie poważna. Zabierzcie mnie stąd.

Rzeczywistość nie była taka wesoła jak w wyobrażeniu Ann Kathrin. Cała trójka siedziała zamknięta w więźniarce, wzajemnie się oskarżając o spowodowanie tej wpadki.

Paul Schrader, majsterkowicz hobbysta, który wolne popołudnia lubił spędzać w markecie budowlanym w Aurich, zabrał się za rozmontowywanie obudowy drzwi.

Weller próbował dodzwonić się na komórkę Ann Kathrin i nawet się nie dziwił, że mu się to nie udawało. Uznał, że ściszyła dzwonek, by móc wykorzystać swoją szansę z Meulingiem.

— Nie odbiera — złościł się.

— Sami musimy się uwolnić — uznał Paul Schrader, a Jörg Benninga zapytał:

— Do kogo, poza Ann Kathrin, możemy jeszcze zadzwonić?

— Jak ty to sobie wyobrażasz? — wrzasnął na niego Weller. — Że niby do kogo, poza Ann Kathrin, możemy zadzwonić? Masz na myśli kogoś, kto nie zsika się ze śmiechu w spodnie, jak usłyszysz w jakiej idiotycznej sytuacji znaleźliśmy się na własne życzenie? Kogoś, kto tego nie rozniesie po ludziach i nie robi z tego żartu roku?

— Tak, właśnie kogoś takiego.

— Takiego kogoś nie ma! — ryknął Weller.

— Mimo to nie musisz się tak na mnie wydzierać.

ANN KATHRIN postanowiła przejść przez ulicę. Nie mogła już dłużej czekać. Pościg musi rozpocząć się natychmiast. Ale od pytania, jak znowu złapać Meulinga, ważniejsze były teraz dla Ann Kathrin słowa, które od niego usłyszała. Z jednej strony nie była gotowa uwierzyć w nic z tego, co powiedział, z drugiej strony zakiełkowało w niej ziarenko wątpliwości. Czy naprawdę mogło tak być, że jej ojcu sprzykrzyło się żyć za niewielką pensję? Czy jego stały kontakt z kryminalistami zachwiał jego systemem wartości? Czy miał zamiar pójść na wcześniejszą emeryturę z paroma setkami tysięcy w kieszeni?

Ann Kathrin próbowała otworzyć oczy, ale nadal nic nie widziała. Oczy ciągle ją piekły. Zaczęła nasłuchiwać. Albo już przyzwyczaiła się do chlupotu deszczu i szumu wiatru, albo pogoda właśnie dawała jej szansę. Nie słyszała, by nadjeżdżał samochód. Ruszyła przed siebie i dotarła bez szwanku na drugą stronę drogi.

Wjazd na parking chroniony był szlabanem. Ann Kathrin z całej siły uderzyła o niego biodrem. Ból przeszył jej ciało aż po czubek nosa. Potem zaczęła po omacku krążyć po parkingu, próbując odnaleźć więźniarkę.

Straciła orientację. Była oddalona niecałe dwa metry od Wellera, ale nie wiedziała, czy powinna iść w prawo czy w lewo. Cała się trzęsła. Nie szukała już właściwych słów, tylko po prostu zaczęła krzyczeć jak ktoś, kto odczuwa śmiertelny strach.

Weller od razu wiedział, że to krzyczy Ann Kathrin, i całym ciałem uderzył w drzwi więźniarki. To jednakże niewiele dało. Nabił sobie tylko kilka siniaków. Sięgnął po broń. W razie czego będzie próbował przestrzelić drzwi, by uwolnić się z więźniarki.

— Zwariowałaś? — zdenerwował się Schrader. — Przecież to pójdzie rykoszetem! Chcesz nas pozabijać?

Ann Kathrin usłyszała głosy mężczyzn z wozu. Na oślep ruszyła w tym kierunku i po kilku minutach



udało się jej otworzyć drzwi.

A potem z płaczem rzuciła się w ramiona Wellera.

Weller próbował czubkami palców podnieść jej powieki.

— Co się stało, Ann? Co się stało? Gdzie jest Meuling?

Ann Kathrin nie była w stanie mówić. Wtuliła się w niego jak małe dziecko. Najchętniej schroniłaby się cała pod jego wilgotną koszulą.

— No i co teraz robimy? — zapytał Schrader.

— Przyznamy się do winy — odrzekł sucho Weller.

Odprowadził najpierw Ann Kathrin do samochodu służbowego i podał jej ręcznik z tylnego siedzenia. Wzięła go do rąk, ale nie użyła, jakby zupełnie zapomniała, do czego służą ręczniki.

A Weller zadzwonił do Ubbo Heidego i rozpoczął swoje wyznanie win od pytania:

— Szefie, mam nadzieję, że siedzisz?

Więcej Weller nie musiał mówić, bo Ubbo Heide od razu zrozumiał, że doszło do jakiejś katastrofalnej kłęski.

Weller zdał krótkie, dość rzeczowe sprawozdanie, a potem ręcznikiem zaczął ocierać twarz Ann Kathrin. Zaczęła kichać. Włosy poфарbowane na blond spadały jej na twarz w długich, mokrych strąkach. Twarz miała spuchniętą i coś w niej pękło.

Weller podjął niemalże rozczulającą próbę pocieszenia Ann:

— Myślę, że zrobiliśmy znaczący krok w kierunku naszej budki z burgerami rybnymi w Norddeich.

W DRODZE do inspektoratu policji w Aurich Weller dziwił się, dlaczego przez radiostację nie ogłoszono rozkazu o rozpoczęciu pościgu. Jakie Ubbo Heide miał zamiary? Czy próbował to wszystko przeprowadzić jako tajną akcję, żeby prasa nie zwęszyła, co się stało?

Nie było też blokad na drogach. Nie natknęli się na żaden wóz policyjny.

Weller zaparkował samochód na parkingu galerii Carolinenhof. Ann Kathrin nie chciała, by odwiózł ją do domu. Przez krótką chwilę Weller zastanawiał się nawet, czy wbrew jej woli nie odstawić jej do Norden na Distelkamp. Ona z pewnością bardziej potrzebowała teraz gorącej kąpieli niż choćby nie wiadomo jak ważnej narady służbowej. Mokra odzież kleiła się jej do ciała i cała była roztrzęsiona. Dłonie i stopy miała zimne jak lód.

Ubbo Heide siedział wyprostowany za swoim biurkiem. Był blady i trochę rozkojarzony. Jego ciastowata twarz zdradzała, że już od dobrych dwóch lat nie uprawiał żadnego sportu poza szefowaniem. Ściągnął surowo usta.

— No, bohaterowie? Skompromitowaliście całą naszą profesję. Jestem w fatalnym położeniu.

Ann Kathrin, która tymczasem mogła już patrzeć przez wąskie szparki powiek, widziała Ubbo Heidego jak przez mgłę. Przypominał jej tłustego sępa, który przysiadł na biurku.

— Jego adwokatka, Johannsen, prysnęła mi w twarz gazem pieprzowym albo gazem łzawiącym. Odebrała mi moją broń służbową i uwolniła aresztanta. Dlaczego nie ma żadnego pościgu?

Ubbo Heide sam sobie wydał się śmieszny, ale mimo to uderzył pięścią w blat biurka. Musiał jakoś dać upust emocjom.

— Jeśli chodzi o uwolnienie aresztanta, to właśnie dzwoniła do mnie ta pani i zrobiła mi piekielną awanturę. To jest prawniczka i ona określa to mianem „wzięcia pod opiekę”. Umieściła Meulinga w jakimś tajemnym miejscu, by chronić go przed policją. — Drugi raz uderzył pięścią w blat. — Takich rzeczy muszę wysłuchiwać od jakiejś adwokatki! Ona chroni swojego klienta przed nami, bo moi znarowieni podwładni chcieli wymusić na nim zeznania, wymachując bronią! Umówiła już termin spotkania z prokuratorem Schererem. Choć raczej powinienem powiedzieć, że wezwwała Scherera do

siebie na rozmowę. Poinformowała też już jakiegoś prezesa sądu o nazwisku von der Lübbe czy von der Lübke.

— A to niby kto? I co on ma wspólnego z tą sprawą?

— Nie mam pojęcia. Wymawiała jego nazwisko, jakby był to sam Pan Bóg. Zakładam, że ma dobre kontakty z ministerstwem sprawiedliwości. Nie miejcie złudzeń. Zawaliliście sprawę. Jeśli tylko połowa z tego, co zarzuca wam ta kobieta, jest prawdą, to Meuling jeszcze dziś po południu będzie wolnym człowiekiem. A ciebie, Ann Kathrin, czeka dochodzenie służbowe. Właściwie powinienem teraz zażądać, żebyś oddała mi broń, ale przecież już jej nie masz. Ona odda twoją broń prokuraturze. Jako dowód w sprawie.

Gdy Ann Kathrin razem z Wellerem wyszła z biura Ubbo Heidego, powiedziała:

— To najgorszy dzień mojego życia, Frank.

Ale wtedy nie wiedziała jeszcze, co ją czeka.

Weller chciał coś zrobić dla Ann Kathrin. Będę teraz przy niej — myślał sobie. Ugotuję coś dla niej, wysłucham, zrobię masaż stóp, dam to, czego potrzebuje. Nie będę jej robił żadnych wyrzutów. W kryzysowej sytuacji człowiek potrzebuje kogoś, kto trzyma jego stronę. Kogoś, kto nie ocenia. Z końcowej fazy swojego małżeństwa pamiętał, jak czuje się człowiek, który dowiaduje się nagle, że zawsze wszystko robi źle.

W sklepie „Krabbenkutter” przy Muschelweg w Norddeich kupił dużą porcję omułek. Gdy wrzucał je na patelnię razem z cebulą i czosnkiem, Ann Kathrin stanęła przed lodówką, otworzyła zamrażarkę i popatrzyła na butelkę sznapsa Doornkaat. Wyjęła zmrożony, otoczony białym lodem kieliszek i postawiła go na lodówce. Ale potem się rozmyśliła. Chciała zachować jasność umysłu. Właśnie teraz.

Jakby w ataku wściekłości zatrzasnęła drzwiczki. Ale zapomniała o zlodowaciałym kieliszku, który powoli topniał na lodówce.

Pomimo ogrzewania podłogowego i gorącej kąpieli w wannie Ann Kathrin ciągle nie mogła się rozgrzać. Marzła od środka, jakby miała w ciele maszynkę do lodu, która nieustannie pracowała i wyrzucała kolejne kostki lodu do jej wnętrza.

Zaczęła grzebać widelcem w swoim talerzu z omułkami. Weller prawie się zawstydził, bo rzucił się na posiłek z wilczym apetytem, podczas gdy Ann Kathrin trwała przy stole najwyraźniej tylko ze względu na niego. Duża łza spłynęła z jej twarzy prosto do potrawki. Ann Kathrin nabiła na widelec omułka i zaczęła się mu przyglądać, jakby skrywały się w nim wszystkie tajemnice świata.

— Tak właśnie się czuję — powiedziała Ann Kathrin. — Zupełnie naga i bezbronna. Jak gdyby ktoś wywlókł mnie ze skorupy i ugotował na miękko. A teraz czekam już tylko, by ten ktoś zjadł mnie z apetytem.

I znowu opuściła widelec na talerz. Weller nagle poczuł się winny, jak gdyby to on zrobił tym omułkom coś, za co powinien przeprosić. Przełknął kęs, który miał w ustach, nie gryząc go już. Potem położył dłoń na jej dłoni i złożył obietnicę:

— Wyjdziemy z tego, Ann. To jest wprawdzie kryzys, potężny, głęboki kryzys, ale damy radę. W najgorszym razie zostaje nam jeszcze ten kiosk z burgerami rybnymi w Norddeich.

Potrząsnęła głową, a on pojął, że ona wcale nie martwi się o swoją zawodową przyszłość. Nie przestawała myśleć o tym, co Meuling powiedział o jej ojcu. Dopiero teraz opowiedziała o tym Wellerowi.

Ten ciągle był głodny, ale głupio mu było dalej jeść. Jego cudowne omułki stygły na talerzu, a on, żeby w ogóle coś ze sobą zrobić, wstał i zaparzył dwie mocne kawy *espresso*. Zwrócony do niej plecami, z małymi filiżankami w rękach, zapytał:

— A ty mu wierzysz?

— Nie, do cholery! — krzyknęła. — Oczywiście, że nie.  
Ale coś w jej głosie zdradzało, że miała wątpliwości.

O GODZINIE piętnastej następnego dnia Dieter Meuling stał się oficjalnie wolnym człowiekiem. Wszystko obróciło się przeciw Ann Kathrin Klaasen. Nagle pojawiły się uzasadnione wątpliwości, czy Mareike Henning w ogóle kiedykolwiek siedziała w volkswagenie busie. Adwokatka Meulinga nie kryła się z sugestiami, że te dowody zostały spreparowane przez Ann Kathrin. Nawet kwota pięćdziesięciu tysięcy euro, które przekazała na jej konto, została teraz użyta jako argument przeciw Ann Kathrin, która rzekomo podjęła próbę przekupienia adwokatki Meulinga, by ta skłoniła go do przyznania się do winy.

Weller przeczytał to wszystko drżącym głosem. Ten koszmar stawał się coraz potworniejszy. Do dokumentów załączono nawet opinię psychologa. Ktoś, kto nigdy nie widział Ann Kathrin Klaasen, w oparciu o lekturę akt zdiagnozował u niej osobowość dwubiegunową.

Broń służbową należącą do Ann Kathrin pani Johannsen przekazała prokuratorowi Schererowi. Do tego dodała jeszcze osobistą relację o tym, w jaki sposób weszła w jej posiadanie i dlaczego zupełną nieodpowiedzialnością byłoby oddanie broni służbowej tak niestabilnej osobie jak Ann Kathrin Klaasen.

Ubbo Heide wysłał Ann Kathrin na urlop, żeby jak najszybciej zdjąć ją z linii ognia, i poradził jej, by pilnie skontaktowała się z psychologką policyjną.

— W zasadzie — powiedział Ubbo Heide — musimy być wręcz wdzięczni tej Corze Johannsen. Ona naprawdę nie ma zamiaru nam zaszkodzić. Postąpiła w sposób bardzo wyważony. A my zawarliśmy z nią ugodę. Ona nie zawiadomi o niczym prasy. Nie możemy sobie w policji pozwolić na żaden skandal tej rangi. Zwłaszcza teraz, gdy grasuje tutaj morderca, który goli i fryzuje swoje ofiary, a na koniec w makabryczny sposób wystawia je na widok publiczny.

Wziął głęboki wdech, podciągnął pasek w spodniach, a następnie pouczył Ann Kathrin:

— Meuling nie jest Fryzjerem, Ann Kathrin. Musisz to wreszcie zaakceptować.

VERENA GLÜCK była dla niego idealną ofiarą. Kobieta o urodzie anioła, a jednak mająca w sobie coś perwersyjnego. Nie musiał jej ścigać i zastawiać pułapek. Mógł ją sobie po prostu zamówić. Sama z siebie od początku dobrowolnie z nim współpracowała. Wszystko pójdzie z nią łatwiej i prościej niż z Mareike Henning.

Verena właśnie skończyła dwadzieścia sześć lat, ale wyglądała na dwadzieścia dwa, mimo że trzy lata temu urodziła dziecko — małą Kim. Już jako uczennica brała udział w różnych konkursach piękności, ale nigdy nie zdobyła pierwszego miejsca.

Dobrze wiedział dlaczego. Nie potrafiła znaleźć harmonii między ciałem a swoją wewnętrzną urodą. Ciągłe była w niej sprzeczność, rozdarcie. To, co obiecywały oczy, niweczył grymas ust. Gdy szła po wybiegu, walczyły w niej o prymat dziwka i święta. A przecież nie była żadną z tych dwóch. Była niezdecydowana i nijaka. Anioł nie potrafił w pełni rozwinąć swojego boskiego przepychu, a uwodzicielka nie umiała zaprezentować swoich powalających wdzięków.

Znał ją ze zdjęcia i trzy razy widział na żywo. Raz w Oldenburgu, gdy w domu towarowym prezentowała bieliznę. To właśnie wtedy jego plan dojrzał i zrozumiał, że właśnie Verena będzie kolejnym puzzlem w jego układance. Później pracowała jako kelnerka w pizzerii. Spaghetti było tam jeszcze gorsze niż pizza, ale ona rekompensowała wszystko swoim uśmiechem. Gdy zbierała talerze, na których zostawało pół porcji, kiedy widziała, że goście ledwie podłubali w daniu widelcem, pytała ze swym zniewalającym uśmiechem:

— Nie smakowało?

Nawet najbardziej rozżłoszczony mężczyzna ulegał czarowi jej zielonych oczu i łagodził sytuację:

— Ależ smakowało. Po prostu nie byłem bardzo głodny.

Odrzucała wtedy długie jasne włosy na plecy i patrzyła rozmówcy w oczy. W jej „pięknie dziękuję” zawierało się coś na kształt przeprosin za okropne jedzenie. Każdy gość mógł się wtedy domyślić, że ona nic nie może na to poradzić, bo przecież jest tu tylko kelnerką.

Jadł tam dwa razy i chociaż po tiramisu dostał rozstroju żołądka, to bardzo chętnie odwiedzałyby tę pizzerię częściej tylko po to, by się jej przyglądać. Był wzrokowcem. Żył obrazami. Każdy jej ruch zapisywał się w jego pamięci. Mógł w dowolnej chwili zamknąć oczy i przywołać najbardziej szczegółowe wspomnienie jej wyglądu. Miał fotograficzną pamięć. Obrazy zapadały w nią na wieki. Szczególne obrazy, które coś w nim uruchamiały, jakiś impuls trudny do opisania. Na przykład ta drobna fałda w rajstopach, która powstawała na jej kolanach, albo skrzywiony obcas w jej lewym bucie. Dekolt w jej koszulce, gdy się pochylała nad stolikiem, by postawić talerze. Ruchy powiek z długimi rzęsami, za pomocą których podkreślała każde swoje słowo, a wręcz je w ten sposób formułowała, jak gdyby to rzęsy dyrygowały jej wypowiedziami.

Na długo wcześniej wyszukał dla niej odpowiednie miejsce. Potrzebował do tego suchej nocy. Najdrobniejsza mżawka mogła wszystko zniszczyć.

Wcześniej wynajął też apartament wakacyjny na wyspie Norderney. Wszystkie przygotowania były proste i przebiegły w pełni satysfakcjonująco.

Verena Glück była podekscytowana, gdy na molo w Norddeich weszła na prom płynący na Norderney. Jej mąż Jonas pod żadnym pozorem nie mógł się dowiedzieć, co miała zamiar zrobić. Powiedziała mu, że jedzie do swojej mamy do Cuxhaven. On cieszył się, że nie musi z nią jechać, a matka zawsze kryła Verenę w razie potrzeby.

Jonas był dobrym człowiekiem i traktował Kim jak własne dziecko. Czule się nią zajmował. Wielu twierdziło, że Kim jest bardziej podobna do niego niż do swojej matki. To oczywiście było niemożliwe, bo Jonas nie był ojcem Kim. Dziewczynka była owocem przypadkowej nocy. Verena nawet nie próbowała budować związku z tamtym mężczyzną. W nocy, kiedy została poczęta Kim, ona od razu wiedziała, że w żadnym razie nie chciałaby związać się z tym człowiekiem. Najpierw był miły i wesoły, ale potem zrobił się samolubny i podły, mówił jej obsceniczne rzeczy i czerpał radość z jej przerażenia. Nie, to nie był odpowiedni facet dla niej.

Kochała swojego Jonasa. Był jak pluszowy miś do przytulania. Miał dziesięć kilo nadwagi, ale nie palił się, żeby je zrzucić — czy to za pomocą treningu czy diety. Był człowiekiem, który lubi dobrze zjeść, a do tego dobrze gotował. Od trzech miesięcy był na bezrobociu. Firma komputerowa, w której pracował, splajtowała. Od tego czasu był w domu i gotował, a potrafił zrobić wszystko. Od śniadań poprzez obiady aż po kolację. Kim uwielbiała jego desery. Były to kolorowe dzieła sztuki z wieżyczkami z bitej śmietany, obsypane wiórkami z czekolady. Uszczęśliwiający bomby kaloryczne.

Verena nie powiedziała Jonasowi wszystkiego o sobie. Był katolikiem i to nie tylko na papierze. Wziął ślub i chciał wspólnie z nią wychowywać Kim, a może i kolejne dzieci. To, że była panną z dzieckiem, najwyraźniej mu nie przeszkadzało. Lubił ją nazywać swoim „upadłym aniołem”. Pochlebiało mu, że pracowała kiedyś jako modelka. Pokazała mu kilka zdjęć, na których prezentowała buty, koszulki, spódnice czy garsonki do pracy w biurze. Tak naprawdę nigdy daleko nie zaszła. Nie pracowała dla prawdziwych markowych firm, była raczej modelką wynajmowaną na letnie wyprzedaje. Często przy jej zdjęciu znajdował się napis: „Obniżka 20%”. Swym uśmiechem reklamowała superrabaty.

O występach w samej bieliźnie nic Jonasowi nie powiedziała. Przez jakiś czas zarabiała na sobie i na Kim prywatnymi sesjami zdjęciowymi. Pewna mała agencja z Bremy załatwiała jej zlecenia. Za czterysta euro dniówki pozowała wtedy do zdjęć erotycznych. Wszystko w oparciu o jasne reguły: zdjęcia wykonywano dla prywatnej przyjemności i nie wolno ich było upublicznić.

Najtrudniejszy był pierwszy raz i wtedy rzeczywiście zrobiła to tylko dla pieniędzy. Agencja dostała trzydzieści procent, ale gdy Verena zastanowiła się, jak długo musiałyby za te pieniądze kelnerować, to nie miała już trudności z podjęciem decyzji.

Żaden z mężczyzn nie przystawiał się do niej. Wielu z nich marzyło, że kiedyś zostaną mistrzami fotografii, ale równocześnie dobrze wiedzieli, że nigdy tego marzenia nie urzeczywistnią. Nie mieli talentu ani siły przebicia. Nadal pracowali jako doradcy finansowi, kierownicy stacji benzynowych czy nauczyciele, ale uwielbiali wcielać się w rolę fotografa i mówić do pięknej kobiety: „Stań tutaj, zrób to, zrób tamto. Wypnij pupę, uśmiechnij się, obróć”.

Verena coraz bardziej lubiła znajdować się w centrum uwagi, być przedmiotem nieustannego zainteresowania, a gdy każdy centymetr jej skóry okazywał się tak cenny, że musiał być starannie oświetlony, wówczas czuła się pożądana i potrzebna.

Czasem pozwalała zaprosić się po takiej sesji na kolację. Ale nikt nie próbował potem zaciągnąć jej do łóżka. W restauracji większość fotografów po prostu wychwalała jej urodę i nie szczędziła podziękowań za wspaniałe zdjęcia.

Jeden z nich, z okazałym brzuchem i obwisłymi policzkami, którego oczy jaśniały jednak młodzieńczym blaskiem, nazwał ją „boginią”. Tak, trzy, może nawet cztery razy powiedział: „Vereno, pani jest dla mnie boginią”.

Kilku z mężczyzn zarezerwowało sobie z nią sesję drugi czy trzeci raz. Teraz robiło się jej nieswojo na myśl, że Jonas mógłby zobaczyć któreś z tych zdjęć. W czarnych godzinach i ponurych wizjach widziała Jonasa, jak stoi przy stole i zupełnie skonsternowany spogląda na plik zdjęć, które ukazują ją we wszystkich możliwych pozach. A ona poci się z nerwów i próbuje wyjaśnić Jonasowi, że to nie jest pornografia, tylko fotografia erotyczna. Ale ta różnica go nie interesuje. W wyobraźni Vereny był zraniony i wściekły, nie chciał być już mężem kobiety, której zdjęcia są w potajnym obiegu.

Poprosiła więc agencję, by wykreśliła ją z internetowej bazy danych. Ale mimo to dostała teraz to zlecenie. Od klienta, który koniecznie chciał właśnie ją.

I na pewno by odmówiła, gdyby Jonas nie stracił pracy przed trzema miesiącami. Musieli odwołać ich pierwszy urlop na Fuerteventurze. Mogli też zapomnieć o nowej sypialni z łóżkiem wodnym, a ostatnio zaczęli się już zastanawiać, czy to mieszkanie w Hesel nie jest dla nich za drogie.

Mała sesja zdjęciowa od czasu do czasu, to dałoby się zrobić — myślała skrycie. On nie musi o niczym wiedzieć, a ja trochę podreperuję domowy budżet.

Klient zamówił ją sobie na trzy dni i zapłacił z góry. Zdjęcia miały być robione na wydmach wyspy Norderney. Uznała, że pewnie chodzi o modę plażową, ale oczywiście w grę wchodziłyby także akty. Plaża na Norderney i nudyści — to przecież idzie w parze.

Pogoda była ładna, a ona kochała tę wyspę. A ten człowiek pokrywał wszystkie jej wydatki. Czego mogła chcieć więcej?

Lekka bryza z północnego zachodu wydeła jej ubranie. Przez chwilę żałowała, że włożyła spódnice, ale chciała dobrze wyglądać, gdy będzie schodzić z promu na ląd. Może on odbierze ją już z portu? Nie powinien się rozczarować.

Z tego powodu poszła nawet do solarium, ale mimo to skórę nadal miała jeszcze bladą po zimie, więc posmarowała nogi samoopalaczem. Zrobiła to z wielką ostrożnością, bo nie chciała niczego popsuć. Niestety samoopalacz zdradziecko połyskiwał żółtym kolorem we wgłębieniach kolan.

Wiatr nasilił się i przyniósł ze sobą ciemne chmury. Najpierw tylko lekko mżyło, ale potem drobne krople deszczu zaczęły kłuć skórę jak szpilki. Większość pasażerów schowała się pod pokładem i zamówiła herbatę lub piwo. Ale Verena Glück jako rodowita Fryzyczka nie miała zamiaru uciekać przed kilkoma kroplami deszczu.

Od kiedy stała na pokładzie, czuła się obserwowana. Niewysoki pyzaty mężczyzna o świdrującym spojrzeniu ciągle ustawiał się tak, by dobrze widzieć jej nogi. Na schodach na pokład ulokował się o cztery, pięć stopni niżej. Teraz, tutaj na górze, gdzie wiatr szarpał jej ubranie jak niecierpliwy kochanek, była tylko z trzema mężczyznami. Z tym grubaskiem, drugim mężczyzną około sześćdziesiątki z pofarbowanymi na czarno włosami i młodzieńcem, który nie odrywał wzroku od swojej komórki, co rusz wybuchając przenikliwym śmiechem.

Czuła, że sześćdziesięciolatek wgapia się w nią tak samo uporczywie jak mały grubas. Ale ich spojrzenia wcale jej nie schlebiały. Bywało, że kiedy przyglądali się jej mężczyźni, świadomie przybierała zmysłowe pozy i miała z tego przyjemność jak z udanej sesji zdjęciowej. Ale teraz to było coś innego. Coś niemiłego. Miała wrażenie, że jest zwierzyną, na którą poluje tych dwóch. Albo że ci dwaj są jak wędkarze, którzy sprawdzają, czy ryba ma odpowiednią wielkość. Facet z pofarbowanymi włosami przyglądał się jej szczególnie bezczelnie. Grubas przynajmniej wyraźnie się wstydził i odwracał wzrok, gdy spoglądała w jego kierunku.

Nagle zaczęła w siebie wątpić. Może już za długo jest poza branżą? Może to nie jest wina tych facetów, tylko ona sama się zmieniła? Czy nagle poczuje wstyd, gdy będzie musiała pozować przed obcym mężczyzną? Czy za bardzo przyzwyczaiła się już do życia z mężem i córką? Czy stała się zbyt poważna albo wręcz drobnomieszczańska? Nagle poczuła, że nie potrafi już wykonywać tej pracy. Że nie jest w stanie rozebrać się dla innego mężczyzny. Rozum jej podpowiadał: hejże, zawsze sprawiało ci to przyjemność. Masz w sobie coś z ekshibicjonistki — dlaczego nie miałabyś tego wykorzystać? Poza tym to było mnóstwo pieniędzy. Trzy dni po czterysta euro za dzień. Nawet jeśli trzydzieści procent odliczy się dla agencji, to nadal zostaje jej osiemset czterdzieści euro. Z takiej kwoty nie mogła — nie wolno jej było zrezygnować w obecnym położeniu. Ale intuicja podpowiadała jej coś innego: Zostaw to! Zawróć!

Czuła bicie serca, jakby jej ciało protestowało gwałtownie. Czuła się jak cudzołożnica. Wcześniej nie znała tego uczucia — tych wyrzutów sumienia i poczucia, że robi coś niewłaściwego. Dopadło ją to jak wschodniofryzyski wiatr, który znowu wsunął się pod spódnicę i sprawił, że musiała ścisnąć mocno uda, a skraj spódnicy przycisnąć rękoma do nóg.

A potem te wszystkie nowe odczucia nagle wydały się jej straszliwie nieprofesjonalne. Może ten człowiek był na pokładzie? Może ją obserwował? Coś takiego zdarzyło się już dwa razy. Kiedyś klient całą godzinę obserwował ją wcześniej w kawiarni. Powiedział potem, że chciał poobserwować jej naturalne zachowanie, zanim zacznie ją fotografować w sztucznym świetle. To był mądry, przyjazny mężczyzna. Bardzo dobrze go pamiętała.

Za drugim razem był to rodzaj zawodów między dwoma przyjaciółmi o to, który z nich zrobi jej najładniejsze zdjęcie. Ona była obiektem ich pożądania, a równocześnie ich sędzią. Pierwszy z nich — czy nie miał przypadkiem na imię Michael? — fotografował ją na tle fantastycznych, samodzielnie wykonanych dekoracji. Ten drugi chciał robić jej zdjęcia podczas codziennych czynności: jak prasuje, myje zęby, budzi się rano. Prawie tydzień koczował w jej mieszkaniu. Żyli jak mąż z żoną, tyle że nie uprawiali seksu. Obserwował ją tylko przez obiektyw aparatu. Po jakimś czasie przestała zauważać jego obecność. I to on zrobił bez wątpienia najlepsze zdjęcie. Klęczała przy pralce i wymontowywała zapchany filtr. Nikt nigdy nie zbliżył się tak do niej z aparatem fotograficznym — nikt dotąd nie zrobił jej bardziej intymnych zdjęć, chociaż na żadnym nie była naga i umalowana.

Teraz przypominała sobie nazwisko tego mężczyzny. Zwykle myślała o nim po prostu jako o „swoim dzentelmenie”, a on nazywał się Peter Kron. Gdy już wyjechał, naprawdę za nim tęskniła. Nagle wszystkie zwykłe czynności, którym spojrzenie aparatu nadawało aurę odświętności, stały się takie banalne. Nie miała ochoty myć zębów. Prasowanie nigdy nie wydawało się jej bardziej nudne niż teraz, bez jego uważnego spojrzenia. Jego obecność wszystko odmieniała. Kiedy byli razem, z początku wiele

sytuacji i zachowań wydało się jej śmieszne, jakby ten facet był zwykłym świrem, ale potem jego aparat fotograficzny zaczął uszlachetniać prozaiczne czynności, które wykonywała. Czasem krzyczała na niego: „Nie! Nie teraz! Teraz nie chcę!”. Ale właśnie wtedy powstawały najlepsze zdjęcia, na przykład gdy rano, zasnana, wlewała w siebie pierwszą kawę.

Peter Kron. Gdyby jej się wtedy oświadczył, to — wiedziała to teraz na pewno — od razu by za niego wyszła. Wtedy, gdy jeszcze nie знаła Jonasa. Ale Peter Kron nigdy się jej nie oświadczył. Odszedł, gdy wygrał zawody, i nigdy się już nie odezwał.

Miała jeszcze jego zdjęcia. Jonas nigdy ich nie widział, bo jak mogłaby wyjaśnić mu ich powstanie? Te zdjęcia były tak niebezpieczne, że nawet nie trzymała ich w swoim mieszkaniu, tylko u matki w zaklejonej kopercie. Już ze sto razy myślała o tym, żeby je po prostu wyrzucić, ale nigdy się na to nie zdobyła.

Wzięła głęboki wdech i powoli odzyskała swój profesjonalizm. Tak, była modelką zdjęciową. Chciała uskrzydlać męskie fantazje. Chciała, by ją oglądano, pożądano jej i podziwiano, chociaż nikomu nie wolno jej było tknąć. Tylko jej Jonas mógł jej dotykać. Tylko on. Mogła wykonywać swoją pracę i być mu wierna. Nawet gdyby on tego, być może, nigdy nie zrozumiał. Tak to właśnie widziała. Tak a nie inaczej.

Wstała i przeciągnęła się. A niech sobie patrzą — i ten grubas, i ten z pofarbowanymi włosami. Nawet młodzieniec podniósł wzrok znad swojej komórki, gdy targana wiatrem wyprostowała plecy, wypięła piersi i przestała się przejmować tym, co wiatr robi z jej spódnicą.

Być może ten młody facet z komórką w rzeczywistości cały czas mnie filmował — pomyślała. Wciągnęła w płuca morskie powietrze. Kiedyś — dobrze znany głos roześmiał się w jej myślach — kiedyś zrobię jeszcze karierę. Wszyscy będą znali moją twarz. Ktoś zrobi mi zdjęcie, które obiegnie cały świat. Zdjęcie, które uczyni mnie nieśmiertelną, a przynajmniej — na jakiś czas — sławną.

Nie wiedziała, jak bardzo miała rację i jak okrutna była ta prawda.

ANN KATHRIN KLAASEN wsiadła do swojego twingo w kolorze żaby. Postanowiła sama sobie sprzedać pozytywną wersję wydarzeń. Na własny użytek nazywała to „budowaniem tamy przeciw powodzi problemów”.

Mimo wszystko wykonała decydujący krok do przodu. Miała nazwisko: Volker Bogdanski. A ponieważ była właśnie urlopowana ze swojej absorbującej pracy, mogła skoncentrować się na pytaniu: Kto zabił mojego ojca?

Wiał przenikliwy wiatr z północnego zachodu. Ann Kathrin opuściła szybę i wystawiła głowę, by złapać na twarz jak najwięcej wiatru. Miało jej to zastąpić spacer po grobli. Wiatr rozwiewał jej włosy i oczyszczał umysł.

Pojechała najpierw drogą B72 z Norden do Aurich, ale potem nie skręciła w kierunku inspektoratu policji, lecz wjechała na B210 w kierunku na Wilhelmshaven.

Nie udało się jej namierzyć owej rosyjskiej prostytutki, Nataszy Sidorow, bo po wielokrotnym naruszeniu prawa meldunkowego została deportowana. Ale Volker Bogdanski miał żonę. Ann Kathrin miała nadzieję, że dzięki niej dowie się czegoś więcej. Żona nazywała się Diwata Bogdanski, z domu Thangaiah, a pochodziła z Koronadal na Filipinach.

Ann Kathrin wyobrażała sobie, że tę kobietę musi przepęłniać nienawiść do męża. Pewnie gdy była dziewczyną, bogaty pan z Niemiec omamił ją na Filipinach swoimi obietnicami. Ann Kathrin знаła kilka takich historii. Kobiety były przekonane, że w Niemczech czeka je lepsze życie. Przyszły mąż obiecywał, że będzie wysyłał pieniądze ich rodzinom albo że wręcz sprowadzi je potem do Niemiec. Na końcu wiele takich kobiet trafiało do burdelu.

Ile z nich Bogdanski sprowadził dla siebie? I dlaczego potem doszło do tego napadu? Czy jako sutener nie zarabiał wystarczająco dużo? W aktach Bogdanskiego można było znaleźć sporo zastanawiających rzeczy. Oficjalnie był kierownikiem sklepu w centrum Wilhelmshaven oraz udzielał się w radzie rodziców w szkole swoich dzieci. Równocześnie posiadał drugie mieszkanie w Hamburgu, w dzielnicy Eimsbüttel, i był tam świetnie znany policji jako sutener.

Wdowa po nim pracowała jako pielęgniarka w Szpitalu imienia Reinharda Nietera w Wilhelmshaven na czternastym oddziale ginekologicznym. Mężczyzna osierocił troje dzieci: czternastoletniego syna oraz dwie córki w wieku siedmiu i pięciu lat.

Pani Bogdanski mieszkała przy Werftstrasse w pobliżu Paffrath Strasse, przy której znajdował się jej szpital. Ann Kathrin wahała się, czy odwiedzić tam kobietę, bo z doświadczenia wiedziała, że zwykle ludziom jest dość nieprzyjemnie, gdy w ich miejscu pracy zjawia się policja.

W końcu obmyśliła plan ofensywy. Nie chciała wystąpić oficjalnie jako policjantka kryminalna, bo nie byłoby to w tym momencie korzystne ani dla niej, ani dla pani Bogdanski.

Gdy próbowała znaleźć miejsce parkingowe przed szpitalem i po raz czwarty objeżdżała okolicę, zastanawiała się, czy Meuling wymyślił nazwisko Sidorow dla swojego wyłudzacza pieniędzy z powodu Nataszy, czy też faktycznie istniał jakiś pan Sidorow. Być może ta Natasza miała brata. Ale Ann Kathrin przypuszczała, że tak naprawdę nikt tych pieniędzy nie wymuszał. Sidorow to był blef Meulinga, który w ten sposób skłaniał ludzi do płacenia.

Między samochodami przechadzał się strażnik i wypisywał mandaty. Ann Kathrin zaczęła się denerwować. Nie chciała, by popsuł jej szyki brak miejsca parkingowego, a bardzo chciała już porozmawiać z żoną Bogdanskiego.

— Nie może pani tutaj parkować! — zawołał strażnik.

— Dlaczego nie? — zapytała Ann Kathrin. — Przecież tutaj nikogo nie zastawiam.

— To nie jest miejsce parkingowe, tylko miejsce zarezerwowane dla karettek pogotowia.

Ann Kathrin z trudnością hamowała wzbierającą w niej wściekłość.

— Jeśli ktoś buduje taki potężny szpital, to jak pan myśli? Czy nie miał pojęcia o tym, że przy takim szpitalu potrzebne będą miejsca parkingowe? Biega pan tutaj i rozdaje mandaty ludziom, którzy z pewnością mają teraz inne zmartwienia. A to jakiś tata chce odwiedzić chore dziecko, a to jakaś córka idzie do matki chorej na serce. I ledwo wyjdą ze szpitala, już stosowny urząd radośnie wita ich mandatem. To nie jest rodzaj wsparcia, którego ci ludzie właśnie w tej chwili potrzebują. Niech pan po prostu skończy z tym idiotyzmem!

— Skończy? Przecież to moja praca.

— No i co z tego?

— To co powinienem, pani zdaniem, zrobić?

Strażnik z czytelnikiem w dłoni wyglądał trochę jak konduktor z pociągu.

— Coś sensownego! — zaproponowała Ann Kathrin z powagą w głosie i mówiła dalej: — Trzeba by ukarać ludzi, którzy zrobili taką fuszerkę, a nie tych, którzy z tego powodu teraz cierpią. Myśli pan, że ktoś tutaj parkuje dla draki? To jest taka sama historia jak z sądem krajowym w Kolonii. Już trzy razy dostałam tam mandat. Jak państwo może budować sąd, w którym codziennie odbywają się procesy, a nie zapewnia miejsc parkingowych nawet dla sędziów i prokuratorów? Już nie mówię o wszystkich tych ludziach, którzy zmuszeni są tam przyjść nie z własnej woli.

— Ale przecież można też korzystać z transportu publicznego — bronił się strażnik, przygryzając dolną wargę.

Ann Kathrin zauważyła, że udało się jej zdeprymować mężczyznę.

— No jasne — zawołała — transport publiczny! — I ręką wskazała na Paffrather Strasse ciągnącą się



wzdłuż zabudowań szpitalnych. — Ale gdzie? Czy ktoś może tu przywieźć swoje chore dziecko nieistniejącym tramwajem?

Ann Kathrin zamachała rękoma. Była poirytowana własną irytacją. Czuła, że jest niesprawiedliwa w stosunku do tego człowieka, a on musi odpokutować za coś, czemu nie jest winny. Ale musiała gdzieś wyładować frustrację, a strażnik bardzo się do tego nadawał.

— Przed sądem krajowym w Kolonii — ciągnęła zdenerwowana — jest jeszcze gorzej. Czy jakaś zgwałcona kobieta, która i tak się wstydzi i boi, że spotka tego bydlaka, ma do sądu jechać autobusem? Ma swoją zapłakaną twarz pokazywać tłumom pasażerów? Może jeszcze spotkać się w autobusie ze świadkami, siedzieć obok kumpli gwałciciela? Czy nie da się zapewnić jej przynajmniej tyle ochrony, by mogła przyjechać do sądu własnym samochodem i by był tam normalny parking, a nie ten plac apelowy?

— N...nie jesteśmy przed sądem krajowym w Kolonii. Nie ja za to odpowiadam. Tutaj jest Szpital imienia Reinharda Nietera.

— To bez znaczenia! — wrzasnęła Ann Kathrin, odrzuciła włosy do tyłu, zatrzęsnęła drzwiami od samochodu i ruszyła do szpitala na piechotę.

— To będzie panią dużo kosztować! — zawołał za nią strażnik. — Każę odholować pani samochód, jeśli go pani tutaj zostawi.

— To już pański problem — syknęła Ann Kathrin i pokazała mu środkowy palec.

Przed budynkiem głównej izby przyjęć stało trzech nałogowych palaczy w dresach. Jakaś kobieta w błękitno-białym szlafroku, najwyraźniej krótko po operacji, dołączyła do nich. Plastikowy woreczek, który za pomocą gumowego wężyka łączył się z jej ciałem, trzymała kokieteryjnie w ręku jak torebkę. Gdy Ann Kathrin spojrzała uważniej, dostrzegła, że woreczek napełniał się krwią.

W dużych drzwiach obrotowych prowadzących do holu wejściowego było coś na kształt okna wystawowego, w którym rosły dwie potężne orchidee. Ann Kathrin skupiła wzrok na kwiatach. Miała nadzieję, że orchidee ją uspokoją.

W holu zirytował ją jakiś dźwięk. Bulgotanie, które przywodziło na myśl łódź podwodną czy statek kosmiczny. Jej spojrzenie padło na bulaj, który wbudowany był w ścianę obok wind. W środku pływały kolorowe wirtualne ryby, a bulgotanie bąbelków powietrza miało prawdopodobnie działać na odwiedzających relaksująco.

Ann Kathrin pojechała windą na drugie piętro na oddział numer czternaście. W windzie dwa razy potarła nos palcami i głęboko odetchnęła. Na oddziale zagadnęła pierwszą napotkaną pielęgniarkę. Kobieta miała najwyżej dwadzieścia lat, była niewysoka, a gdy Ann Kathrin ją zatrzymała, wyraźnie się przestraszyła. Robiła wrażenie studentki, którą przyłapano na ściąganiu w czasie egzaminu. Miała wypisane na twarzy, że ma coś na sumieniu.

Ann Kathrin nie przedstawiła się jako komisarz policji. Zapytała tylko, czy może rozmawiać z siostrą Bogdanski.

— Nie wiem, czy ma dzisiaj dyżur. Musi pani zapytać tam z przodu. — Pielęgniarka wskazała korytarz.

Ann Kathrin poszła we wskazanym kierunku, a niewysoka pielęgniarka popędziła na salę porodową.

Pośrodku korytarza znajdowała się lada, na której stały rozmaite cięte kwiaty zabrane tutaj z sal pacjentek, gdyż tam zbyt mocno pachniały. Na niewielkim kredensie stała herbata i kawa, a nad nimi znajdował się odręczny napis: „Tylko dla pacjentek, nie dla odwiedzających!”.

Ale mimo to, gdy Ann Kathrin zapytała o siostrę Bogdanski, natychmiast szczupła, czarnowłosa pielęgniarka mówiąca silnym dialektem z Meklemburgii-Pomorza Przedniego zaproponowała jej kawę.

Ann Kathrin miała szczęście. Siostra Bogdanski właśnie wychodziła z pokoju numer dwieście dziesięć. Być może wskutek spojrzenia, którym obrzuciła ją Ann Kathrin, kobieta od razu zorientowała się, że to o nią chodzi, i popatrzyła niepewnym wzrokiem. Ann Kathrin podała jej rękę, przedstawiła się

i zapytała:

— Czy mogę z panią chwilę porozmawiać?

— Tak, a o co chodzi?

Ann Kathrin dała jej do zrozumienia, że powinny przejść trochę dalej w głąb korytarza, gdzie nikt nie będzie im przeszkadzał w rozmowie.

Pani Bogdanski była bardzo drobna i co najmniej o głowę niższa od Ann Kathrin. Miała jasnobrązowe oczy i włosy czarne jak smoła. Ann Kathrin oceniła jej wiek na jakieś trzydzieści pięć, najwyżej czterdzieści lat. Bez wątpienia była to piękna kobieta — o olśniewająco białych zębach i promiennym uśmiechu.

— Jestem z policji kryminalnej — szepnęła Ann Kathrin — ale nikt o tym nie musi wiedzieć, jeśli pani nie chce.

Pielęgniarka przyspieszyła kroku, by nie usłyszały ich dwie koleżanki, które właśnie zabrały się w recepcji za parzenie herbaty roiboos.

Naprzeciwko windy znajdowała się mała sala przeznaczona na kaplicę — z ołtarzem, krzyżem i krzesłami dla jakiegoś tuzina osób. Tam pani Bogdanski wprowadziła Ann Kathrin. Mogły tu porozmawiać na osobności. Żadna z nich nie usiadła.

— Czego pani chce ode mnie? — zapytała pani Bogdanski. — Byłam już przesłuchiwana setki razy. Mój mąż nie żyje i nigdy go już nie odzyskam.

Ann Kathrin cofnęła się o krok i przyjrzała się jej z uwagą. Spodziewała się innej reakcji.

— Kochała pani swojego męża?

Pielęgniarka jęknęła i zaczęła wachlować się ręką.

— Czy znowu muszę to wszystko opowiadać od początku? I tak jestem dla pani tylko żoną kupioną za pieniądze, niech pani to przyzna. — Wypluwała słowa jak kawałki zepsutego jedzenia. — Tak, wyszłam za niego za mąż, żeby przyjechać do Niemiec! Tak, chciałam lepszego życia! I tak, chciałam zostawić to gówno. Kto by nie chciał? Gdybym nie wyszła za mąż za tego, to poszukałabym sobie innego. Tak, tak, tak... ale dobry był z niego człowiek.

Ann Kathrin skrzyżowała ręce na piersi i przybrała postawę świadcząca o pewności siebie.

— No jasne. Super facet. Ile miał klaczy w stajni? Była pani jedną z nich?

— Wiem, że wielu mężczyzn to robi. Gdy szliśmy razem ulicą, widziałam w oczach ludzi, co o nas myślą. O, kolejny, który sobie kupił kobietę. Ona na pewno jest świetna w łóżku i teraz musi odpracować te pieniądze. — Z trudem przełknęła ślinę. — Ale proszę posłuchać. Mam dobre wykształcenie, mówię trzema językami i...

— Wiedziała pani, co mąż robi zawodowo?

— Założył firmę i ja mogłam w niej pracować.

— Jaką firmę?

— Sklep „Ezo”.

— Sklep jaki? — Ann Kathrin miała poczucie, że kobieta z niej kpi.

— Sklep z artykułami ezoterycznymi — wyjaśniła pielęgniarka. — Kamienie uzdrawiające, kadzidełka, karty do tarota, książki. Wszystko, czego ludzie potrzebują w swoich duchowych poszukiwaniach.

— I co? Volker Bogdanski stał tam za ladą?

Diwata Bogdanski potrząsnęła głową.

— Nie on. Ja. Przekazał mi ten interes. Z tego się utrzymywałam.

— Jak mam to sobie wyobrazić? — zapytała skwaszona Ann Kathrin. — Z jednej strony prowadzi sklep ezoteryczny w centrum Wilhelmshaven, a z drugiej strony w Hamburgu wysyła swoje dziewczyny,

by zarabiała na ulicy?

Pielęgniarka usiadła.

— Może się to pani wydać dziwne, ale ludzie nie są jednowymiarowi. To był bardzo rodzinny człowiek. Potrzebował domowego ciepła. Lubił, gdy miło spędzaliśmy czas w domu. Mógł bez końca słuchać płyt z muzyką relaksacyjną. Nie miał też nic przeciw temu, żebym zabrała do Niemiec syna. Nigdy nie dał mu odczuć, że nie jest jego własnym dzieckiem. Nauczył go grać w szachy. Czasem grali godzinami. Pozwalał małemu wygrywać, żeby go zmotywować. Potem jeszcze mieliśmy dwie córki. Przewijał je, troszczył się o ich edukację i...

— I pani nie wiedziała, jak on zarabia pieniądze?

— Mieliśmy sklep.

— Z akt wynika, że więcej czasu spędzał w Hamburgu.

— Tak, dużo podróżował. W miesiącu spędzał w domu tylko kilka dni. Nie pił. Nie bił mnie. Tylko raz tak naprawdę na mnie nakrzyczał i się wściekł. Bo byłem chora, a otworzyłam sklep. Nie miałam w sklepie innego sprzedawcy i...

Ann Kathrin podniosła rękę.

— Dziękuję. Reszty nie trzeba.

Potem wyjęła z torebki zdjęcie swojego ojca. Przyszło jej to z trudem, ale pokazała je Diwacie Bogdanski, jakby to było zdjęcie jakiegoś podejrzanego.

— Zna pani tego mężczyznę? Czy widziała go może pani w towarzystwie męża?

Pani Bogdanski przyglądała się zdjęciu o ułamek sekundy za długo. Jej odpowiedź nie była już spontaniczna i dlatego Ann Kathrin nie uwierzyła, gdy ta powiedziała:

— Nie, nigdy nie widziałam tego mężczyzny.

Ann Kathrin naprawdę chętnie by jej uwierzyła. Schowała zdjęcie do torebki. Niby mimochodem zapytała:

— A mąż miał jakichś przyjaciół? Potrzebuję kilku nazwisk, które mogłyby mi pomóc ruszyć do przodu. Wtedy dałabym pani spokój.

— Przyjaciół? Nie. Gdy był w domu, przebywał tylko z nami. Mówiłam już, to był rodzinny człowiek.

— Nigdy nie przyprowadził nikogo do domu? Nikt nigdy po niego nie przyjechał? Nikt nie dzwonił? Nie miał notatnika, w którym trzymałby numery telefonów?

Siostra Bogdanski uśmiechnęła się łagodnie.

— To był bardzo dyskretny człowiek. Teraz — za sprawą procesu — wiem już o nim rzeczy, o których wcześniej nie miałam pojęcia. Oczywiście przypuszczałam, że ma jakieś przyjaciółki, gdy zniknął na całe tygodnie. Te dziewczyny nie ułatwiały mu sprawy i łąziły za nim. Ale i to załatwiał bardzo dyskretnie. Nigdy nikt nie dzwonił do domu. W Wilhelmshaven nie miał żadnej przyjaciółki. Już chociażby z powodu dzieci byłoby mu głupio. Tę drugą stronę osobowości realizował w Hamburgu i w podróży. Tutaj był dobrym, uduchowionym człowiekiem. Jak pani myśli, ile kobiet przychodziło na zakupy do naszego sklepu w nadziei, że go spotka? Ale jego prawie nigdy nie było. W zasadzie sama prowadziłam ten interes.

Ann Kathrin wierzyła tej kobiecie. Miała w sobie rozbijającą wręcz uczciwość.

Uznała, że więcej zwojuje u pani Bogdanski, gdy nie będzie kluczyć, dlatego powiedziała wprost:

— Szukam mordercy mojego ojca. Przypuszczam, że morderca znał pani męża. Mam na to dowody. Proszę się jednak nie bać — pani mąż nie był tym mordercą. Ale go znał. Proszę mi pomóc. Jeśli ktoś zabiłby pani ojca, to chciałaby pani wiedzieć, kto to był, prawda?

Kobieta gwałtownie przytaknęła.

— Mojego ojca zabił rak.

— Każda drobna wskazówka jest dla mnie ważna. Czy ma pani może jakąś książkę adresową pani męża? Komputer? Cokolwiek? Może znajdziemy jakiegoś znajomego, który będzie mi mógł pomóc?

Włączenie osobistego wątku natychmiast zmieniło postawę Diwaty Bogdanski. Dotknęła dłoni Ann Kathrin, a potem pogłaskała ją po przedramieniu.

— On naprawdę był bardzo dyskretny. Miał notatnik, który zawsze trzymał przy sobie. Nie wiem, co się z nim stało. W środku były adresy i numery telefonów. Być może pani koledzy znaleźli go wtedy, gdy w Hamburgu... — kobieta nadal jeszcze z trudem o tym mówiła — ...kiedy go zastrzelono. Powinien mieć ten notatnik w kieszeni kurtki. Zawsze miał go w prawej kieszeni.

Pani Bogdanski dotknęła swojego fartucha, żeby pokazać, gdzie jej mąż zwykle trzymał notatnik.

Ann Kathrin poczuła, że to już wszystko i że niczego więcej się nie dowie.

— Czy mogę zaprosić panią dziś na kolację? — zapytała.

Kobieta potrząsnęła głową.

— Nie. Staram się o tym wszystkim zapomnieć. I może pani też powinna to zrobić. Mnie odebrano już mojego męża. Pani odebrano ojca. Nie dostaniemy ich z powrotem. Musimy żyć z tym bólem. Zemsta nam nie pomoże.

Ann Kathrin przytaknęła zrezygnowana. Gdy wychodziła z panią Bogdanski z kaplicy, zapytała:

— Dlaczego pracuje pani tutaj, a nie w swoim sklepie „Ezo”?

— Ten sklep nigdy nie przynosił dochodów wystarczających, żeby można się było z niego utrzymać.

— A tutaj zarabia pani więcej? — zdziwiła się Ann Kathrin.

— Nie potrzebuję wiele. I mam tu zabezpieczenie socjalne. Po śmierci męża najpierw wydzierżawiłam sklep, a potem został zamknięty. Teraz kadzidełka i kamienie uzdrawiające ludzie zamawiają sobie przez Internet. Do sklepu przychodzą po to, by porozmawiać o swoich troskach i problemach i wygadać się, ale z tego nie da się żyć.

Gdy Ann Kathrin wyszła ze Szpitala imienia Reinharda Nietera i podeszła do swojego samochodu, przypomniała sobie o strażniku. Za wycieraczką tkwił świstek papieru.

Wrzuciła go do torebki i postanowiła, że napisze do swoich kolegów z policji w Wilhelmshaven soczysty list. Ale zanim jeszcze włożyła kluczyk do stacyjki zielonego twingo, uświadomiła sobie, że tego nie robi. Nie miała czasu na takie drobiazgi. Zapłaci ten mandat i tyle. Najważniejsze, że będzie miała problem z głową.

W drodze powrotnej jeszcze raz odtworzyła sobie w głowie całą rozmowę. Volker Bogdanski prowadził podwójne życie. Czy sprowadził żonę z Filipin, żeby zapewnić sobie oficjalne utrzymanie? W ten sposób mógł w każdym urzędzie wyjaśnić, z czego żyje. To był jego legalny życiorys. A równocześnie pobierał haracz od dziwek, toczył walki z innymi suterrenami, a ze współnikami planował duży skok na bank. Kto wie, ile takich napadów mieli na sumieniu?

Mężczyźni, których szukam — myślała — są jak on. Z pewnością wszyscy z nich mają oficjalny, nienaganny życiorys. Rodziny, dzieci, firmy, a poza tym jeszcze ta druga strona. Nie miało znaczenia, że ten sklep ezoteryczny nie przynosił wystarczających dochodów. Te dziury w budżecie Bogdanski mógł bez problemu załatać innymi dochodami. Sklep był po prostu przykrywką i nigdy nie miał być dochodowym interesem.

Poszukiwała ludzi, dla których pozory normalności stanowiły doskonały kamuflaż. To mogło być cokolwiek — na przykład nienaganne życie rodzinne i sklep z artykułami ezoterycznymi. Najważniejsze, by dzięki temu nie byli kojarzeni ze stereotypowym wyobrażeniem bandyty napadającego na banki.

Nagle się przestraszyła. A jeśli jej ojciec był jednym z takich ludzi? A może ona i matka były tylko częścią jego oficjalnej biografii? Czy te wszystkie nadgodziny spędzał w pracy, czy też w tym czasie szlajał się ze swoimi podejrzanymi koleżkami i współnikami?

Ann Kathrin aż się otrząsnęła. Nie, nie chciała tak myśleć. Jej ojciec nie był jak ten Bogdanski. Mimo to postanowiła odwiedzić mamę. Jeśli chce dopaść morderców, musi się dowiedzieć czegoś więcej o swoim ojcu.

NIEZWYKLE UJMUJĄCYM UŚMIECHEM natychmiast przekonał Verenę Glück do siebie. Wszelka nieśmiałość zniknęła w ciągu sekundy. Miał w sobie coś z Petera Krona. Od razu wiedziała, że będą się dobrze rozumieć. I na sto procent był dobrym kucharzem. Już pierwszego wieczoru oczarował ją zupą krabową i lekkim białym winem, które było może odrobinę za bardzo schłodzone. Potem podał sandacza, podobno osobiście złowionego, upieczonego w masie solnej. Sposób, w jaki zamykał oczy, by skoncentrować się całkowicie na zmyśle powonienia, gdy kroił otoczkę z masy solnej, był jej zdaniem niezwykle uwodzicielski. Do ryby podał wytrawne czerwone wino z Sycylii.

Zjadła więcej niż zwykle, ale on sam przyznał, że wybrał ją dlatego, że nie podobają mu się te wychudzone wieszaki. To ją rozluźniło i pomimo czekającej ją sesji zdjęciowej zjadła jeszcze na deser gruszkę w sosie własnym z migdałami.

Mężczyzna w ogóle się nie spieszył. Przydzielił jej mały pokój w apartamencie i wyjaśnił, jakie ma plany. Chciał zrobić jej zdjęcia, jak gdyby była pradawną istotą wychodzącą z podziemnej pieczary. Powinna stać się częścią otoczenia i zjednoczyć ze wszystkimi żywiołami. Roześmiała się, bo niewiele jej to mówiło, ale on miał wszystko jasno poukładane w głowie.

— To ma wyglądać tak, jak gdyby twoje ciało zrodziło się z wydm.

Poprosił ją, by ogoliła się na całym ciele. W łazience zostawił dla niej rozmaite maszynki do golenia i pojemniki z pianką. Tak, taki był zapobiegliwy. Bo przecież mogło się zdarzyć, że jest uczulona na jakąś piankę, dlatego kupił różne rodzaje. W żadnym wypadku jej skóra nie mogła być podrażniona.

Myślała najpierw, że będzie chciał się przyglądać jej przygotowaniom, ale tu różnił się od Petera Krona. Nie miał zamiaru oglądać jej przy tak przyziemnych czynnościach. Interesował go tylko sztuczny, stworzony przez niego samego świat. Ulżyło jej, gdy wyszedł z łazienki, mówiąc:

— Niech pani się nie spieszy. Może to pani zrobić nawet jutro. Proszę się nie bać, nie będę się pani przyglądał. Nie jestem kimś takim.

— Ale... skąd panu przyszło do głowy, że mogłam tak pomyśleć? — zapytała, jakby ta myśl była zupełnie absurdalna.

Uśmiechnął się łagodnie.

— Poznałem to po koniuszku pani nosa.

Tymczasem zapadł zmrok. Była to cudowna, rozgwieżdżona noc. Gospodarz zaproponował spacer po plaży. Ich apartament znajdował się w pobliżu kliniki leczenia alergii i chorób skóry, za wydmami — dosłownie kilka kroków od morza. Zdjęli buty i szli obok siebie ramię w ramię. Fale wpływające na piasek zbliżały się do nich, ale oni uważali, by nie zamoczyć stóp. To było jak zabawa. Gdy jakaś fala wpływała w głąb plaży, radośnie przed nią uciekali.

Spędzę tu z nim miło czas — myślała. I z pewnością codziennie będzie dla nas gotował. To znaczy, że te osiemset czterdzieści euro to kwota na czysto. Bardzo jej się to podobało, bo często dodatkowe wydatki pochłaniały sporą część honorarium. Nie będzie musiała wychodzić do restauracji, a nawet jeśli, to widać, że zaproszenie jej na kolację będzie dla niego zaszczytem. On także był dżentelmenem jak Peter Kron. Nawet go trochę przypominał z wyglądu. Mógłby być jego bratem.

Mężczyzna spał w pokoju obok i zgodnie z umową obudził ją dwie godziny przed wschodem słońca. Przygotował dwie grzanki i pokropił je miodem, który miał tak intensywny zapach, jakiego nigdy jeszcze nie czuła. Podał jej jedną grzankę, a ona wzięła ją i zaczęła jeść. Potem podał jej kubek kawy.

— Proszę wypić — powiedział — na dworze o tej godzinie jest cholernie zimno. Ale za to nic nie

może równać się ze światłem, gdy wschodzi słońce.

Było jeszcze ciemno. Mgła pełzała ponad plażą. Verena miała na sobie tylko puszysty szlafrok, gdy wraz z mężczyzną szła na wydmy. Poprosił ją, by położyła się na plaży.

— Nie, proszę się nie wypinać jak dziewczyny z „Playboya”. Proszę położyć się tak, jakby się pani wynurzała z piasku.

Marzła, a zimny piasek nieprzyjemnie szorował jej skórę.

Krzewy rokitnika przypominały zardzewiały drut kolczasty.

Teraz pojęła, że to nie będzie szkolna wycieczka, tylko ciężka praca. Już zaczęła kichać i pomyślała, że tutaj na pewno się przeziębii i że długo tu nie wytrzyma.

Ale on był niezadowolony. Jego głos przybrał władczy, zrzędlivy ton. Zrobił kilka zdjęć tanim aparatem cyfrowym. Chwycił ją za kostki u nóg i przekręcił je do pozycji, która bardziej mu się podobała. Ale przy tym sprawił jej ból. Nie był już taki uważny i przyjazny jak na początku.

Najchętniej skoczyłaby na równe nogi i uciekła stamtąd. Ale potrzebowała pieniędzy, więc została. Poza tym uznała, że jeśli już sprawy zaszły tak daleko, to mogą też potoczyć się dalej. A zresztą, niby dokąd miała uciec? Jej ubrania leżały przecież w apartamencie.

Jeszcze zanim słońce oświetliło miejsce między wydмами, mężczyzna przerwał sesję zdjęciową i wrócili razem do domu.

To jej odpowiadało. Była tak przemarznięta, że najpierw wzięła gorący prysznic. Gdy wyszła z łazienki, mężczyzna był milczący, zatopiony w myślach.

— Czy nie spełniam pańskich oczekiwań? — zapytała ostrożnie. — Potrafię zrozumieć, jeśli wolałby pan inną modelkę...

— Nie, nie — zaprzeczył. — Może powinienem pokazać pani moje szkicowniki, wtedy lepiej się będzie pani mogła wczuć.

Otworzył skórzaną walizkę. Była pełna szkicowników. Zdumiała się. On rzeczywiście rozrysował ołówkiem całą scenę dziesiątki razy z każdej możliwej perspektywy. I to właśnie miała być ona, która wyłaniała się z piasku jak istota pochodząca z głębin ziemi, czy też zapadała się w piasku jak tonący statek. Na rysunkach jej włosy splatały się z zaroślami rokitnika. Dreszcz przebiegł jej po plecach. On już wcześniej ją właśnie wybrał i to ją ciągle i ciągle szkicował. To bez wątplenia była ona.

Skąd znał ją tak dobrze? Od kiedy to wszystko planował?

Starła się nie dać po sobie poznać ogromu swego zdumienia. Ten człowiek to jakiś pedantyczny świr — teraz sprawa była już jasna.

A on zaproponował właśnie, żeby najpierw zjedli porządne śniadanie. Potem chciał z nią poćwiczyć ułożenie ciała na dywanie w salonie. Pod żadnym pozorem nie chciał z nią wyjść na dwór, gdzie właśnie zaczynali napływać pierwsi turyści zwiedzający wyspę.

Gdy on smażył na patelni boczek, ona zaczęła kartkować także inne szkicowniki. Znalazła tam rysunki innej kobiety o anielskiej urodzie. Ta kobieta była nadziana na pręty. I wtedy Verena Glück zrozumiała, że ten człowiek zamierza ją zabić. Ostrożnie odłożyła szkicownik z powrotem do walizki. Wykorzysta pierwszą okazję do ucieczki i wezwie policję.

A on na drewnianej deseczce kroił właśnie czosnek na cienkie plasterki. Zastanawiała się, czy uda się jej dobiec do drzwi. Stąd, jak wyliczyła, będzie najwyżej trzysta metrów do kliniki chorób skóry. Ale jeśli on wybiegnie za nią, to jest duża szansa, że ją dogoni.

Zachowaj zimną krew — myślała. Nie zwariuj teraz ze strachu. Odczekaj. Za chwilę na dworze będzie więcej ludzi. Teraz wyspa jeszcze śpi. W wyobraźni widziała, jak on ją zabija nożem w czasie ucieczki przez wydmy.

Usiadła z nim do śniadania. On jadł z apetytem. Podał jajecznicę z boczkiem i krewetkami na kromce

razowego chleba, a do tego sporo świeżej szalotki. Nie była w stanie zjeść czegokolwiek, popijała tylko kawę, ale wychwalała jego umiejętności kulinarne.

Ten apartament był bardzo dobrze wyposażony. Był tam też wielki młynek, z którego mężczyzna wysypał teraz na swoją jajecznicę chmurę pieprzu. Zapach dostał się do jej nosa. Tutaj, blisko morza, wszystko pachnie o wiele intensywniej, pomyślała. Miała wręcz wrażenie, że rozpoznaje zapach jego żądz mordy.

Powstrzymywała się, by nie wymiotować. Zdradziecka łza spłynęła po policzku. Mężczyzna spojrzął na nią uważnie, a potem spokojnie powiedział:

— Nie mogę pani wypuścić, pani Glück. Dobrze pani o tym wie.

Skoczyła na równe nogi, prawą ręką chwyciła nóż, a lewą ręką chlapnęła mu w twarz gorącą kawą. Potem przewróciła stół i pobiegła do drzwi. Oczywiście były zamknięte, a klucz był schowany.

Zaczęła wrzeszczeć:

— Pomoocy! — I próbowała otworzyć okno, żeby uciec z mieszkania.

Wtedy chwycił ją od tyłu. Podniósł do góry i rzucił na ścianę. Nie spodziewała się po nim takiej siły. Ruszyła na niego z nożem w ręce. Zrobił unik.

— Niech pani tego nie robi. Nie ma sensu się bronić. Lepiej niech pani będzie dumna, że stanie się pani częścią czegoś wielkiego.

— Niech mnie pan wypuści! — krzyknęła.

— Czy naprawdę chce pani kontynuować swoją żalosalną egzystencję z mężem, który nawet nie może się dowiedzieć, co pani robi?

— Skąd pan to niby wie?

— A czy on wie, co pani robi?

Podszedł o krok bliżej. Zamachnęła się nożem w jego kierunku. Udało mu się złapać ją za rękę i wykręcić do tyłu. Nóż upadł na podłogę.

— Grzeczna dziewczynka — powiedział łagodnie. — Teraz wszystko będzie dobrze.

— PSST — SZEPNĄŁ LARS GEHRKE i przyłożył palec wskazujący do ust. — Bądź cicho. Pozwolimy mamie pospać. A my pójdziemy na plażę i sprawdzimy, czy nasz zamek z piasku jeszcze tam stoi.

Lisa bardzo lubiła, gdy tata tak szeptał. Lubiła mieć z nim wspólne tajemnice. Była zakochana w ojcu i już dawno postanowiła, że wyjdzie za niego za mąż. Jej tata był silny i czuła się najbezpieczniej, kiedy siedziała u niego na barana.

Ojciec pomógł jej się ubrać i upierał się, by włożyła czapkę. Przypomniawszy o zapaleniu ucha środkowego, które w ubiegłym roku popsuło im urlop. Nie musiał o tym mówić, bo i bez tego włożyłaby czapkę, żeby tylko tatuś był z niej zadowolony.

Wyszli po cichu ze swojego wakacyjnego apartamentu, nie budząc mamy.

Dziewczynce chciało się pić, ale kartonik z sokiem w jej plecaczku był pusty i zgnieciony.

Lars Gehrke wziął córkę za rękę. Wyludnionymi ulicami poszli razem w kierunku plażowej restauracji Weisse Düne. Lisa uśmiechała się szeroko do ojca. Wiedziała, że gdy tata ma taki wyraz twarzy, to wszystko będzie dobrze. Tutaj nad morzem, na tych bezkresnych piaszczystych plażach tata był inny niż w domu. Mniej nerwowy, w lepszym humorze. Po prostu taki, jacy powinni być tatusiowie.

Lisa zdumiała się. Tam, gdzie wydmy zabezpieczone były za pomocą rosnących gęsto krzewów, stłoczona w ścisłym kręgu siedziała spora grupa mew. Tyłu mew naraz dziewczynka nigdy jeszcze nie widziała.

Mrugnęła szelmowsko do taty, a on przyzwalająco kiwnął głową. Wtedy pochylona zaczęła skradać się do mew. Co kilka metrów oglądała się, sprawdzając, czy tata jeszcze tam jest. Było dla niej ważne, żeby

tata jej się teraz przyglądał. Im bardziej się zbliżała, tym większe wydawały się jej te tłuste mewy. Nawet zaczęła się trochę bać ich ostrych dziobów. Jedna z nich, całkiem z boku, miała złe czarne oczy. Ale Lisa nie wierzyła, aby ktoś mógł ją skrzywdzić, gdy tatuś jest w pobliżu. Ani mewa, ani jakiś zły człowiek, ani żadne dziecko.

Rozłożyła szeroko ramiona i rycząc jak lew, pobiegła ku zbiegowisku mew. A one z krzykiem i łopotem skrzydeł poderwały się w górę. Dwie z nich ze strachu upuściły na ziemię swoje odchody.

Lisa poczuła się wspaniale, po czym odtańczyła radosny taniec w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą siedziały mewy.

A wtedy coś poruszyło się w trawie na wydmach. Królik! Lisa zapadła się w piasku aż po kolana, gdy próbowała wspiąć się po wydmie do zwierzątka. Wreszcie weszła na górę. Króliczek już zdążył uciec. Lisa pomachała tacie, który był teraz tak malutki jak jej kciuk.

Odmachał jej, ale pod wiatr nie mogła usłyszeć jego upominającego wołania:

— Nie wchodź na wydmy, kochanie! Wracaj do mnie!

Była przekonana, że tata przyjdzie tutaj do niej — do tego innego świata. Była uszczęśliwiona i postanowiła się schować. Tatuś będzie ją szukał. To będzie świetna zabawa.

A on biegł już w jej kierunku. Dziewczynka położyła się w trawie i widziała, jak tata się zbliża. Nie, tak łatwo mu nie pójdzie. Wyobraziła sobie, że tam dalej z tyłu jest norka królika. Może udałoby się jej tam schować? Ruszyła przed siebie. A potem potknęła się i zjechała trochę na piasku w dół wydmy. Tam z tyłu stał domek. Znała go. To tam dawali dobre lody. Te lody były robione tutaj na wyspie przez pana cukiernika — tak opowiadała jej mama. W restauracji Weisse Düne, przy kominku, jej rodzice często jadali śniadanie wtedy, gdy inni siadali już do obiadu. Jej mama lubiła dłużej pospać, a tata lubił mieć w domu wypoczętą żonę.

Często siadywali w plażowych koszach obok restauracji, a tata czytał jej wtedy na głos różne historie. Szczególnie lubiła książkę o piratce Jenny<sup>5</sup>. Często wyobrażała sobie, że to ona jest małą Jenny i uczy piratów czytać i pisać.

Zaraz tata ją znajdzie i pójdą razem do restauracji napić się herbaty wschodniofryzyskiej. Tata nie potrafił przejść obok tej restauracji, nie zamawiając sobie przy tym herbaty.

I wtedy zobaczyła coś dziwnego. To było bardzo owłosione. Czyżby jakieś zwierzę? Tylko jakie zwierzę ma takie długie jasne włosy? A może w zaroślach zaczepiła się jakaś peruka? Ostrożnie, by nie spłoszyć zwierzęcia, dziewczynka podeszła bliżej.

Jeśli to jest peruka, to założę ją na głowę, żeby przestraszyć tatusia.

Ale potem, gdy zobaczyła twarz kobiety, zrozumiała od razu, że ta kobieta nie żyje.

Nigdy jeszcze nie widziała umarłej osoby. Gdy zmarła babcia, rodzice zdecydowali, że powinna zachować w pamięci babcie taką, jak wyglądała za życia, więc nie wolno jej było oglądać babci w trumnie w domu pogrzebowym.

Przy ciele siedziały trzy tłuste mewy. Lisa najpierw nie mogła wydobyć z siebie głosu. Ale potem, gdy wreszcie zaczerpnęła powietrza, wrzasnęła tak, że mewy poderwały się z trzepotem skrzydeł i uciekły w nieznane.

Lars Gehrke usłyszał krzyk córki, bo wiatr wiał od lądu i przyniósł ze sobą te przerażające dźwięki. Zaczął biec tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu. Przy tym głośno wykrzykiwał jej imię. Widział, jak mewy wznoszą się w powietrze i miał nadzieję, że się przesłyszał. Być może to był tylko krzyk mew. Ale gdy krzyk przeszedł w łkanie, od razu zrozumiał, że płacze jego córeczka.

Oczywiście wyobraźni widział już, jak siedzą razem w helikopterze i lecą na stały ląd do szpitala. Bał się, że żona będzie mu czynić wyrzuty. Dlaczego puścił Lisę samą na wydmy? Przecież wszędzie stały tabliczki, że jest to zabronione.



Wreszcie dopadł do małej. Kucąła przy zwłokach jakiejś kobiety. Uniósł ją w górę, przycisnął jej głowę do piersi i zaczął szeptać:

— Tatuś już tu jest, tatuś tu jest. Nie bój się, nic ci się nie stanie. Tylko tam nie patrz.

WELLER CIESZYŁ SIĘ na powrót Ann Kathrin. Wrócił z nocnego dyżuru, a teraz siedział przed komputerem i w radosnym oczekiwaniu przeglądał przepisy kucharskie. Zaraz pojedzie do hali targowej i wyczaruje dziś dla niej na obiad coś absolutnie wyjątkowego. Wahał się między rybą a jagnięciną, chociaż dla niego, miłośnika ryb, sprawa była zupełnie oczywista. Jednak nie chciał wyjść na nudziarza i postanowił tym razem zaproponować coś innego. Może żeberka z jagniąt wypasanych na nadbrzeżnych łąkach?

Telefon z Norderney zniweczył wszystkie plany. Dwadzieścia minut później siedzieli razem w helikopterze: Rupert, Abel, Reuters i on.

Weller zastanawiał się, czy zawiadomić Ann Kathrin. Jeśli tego nie zrobi, będzie potem na niego zła. Jeśli to jednak zrobi, dojdzie do jawnego konfliktu, bo przecież Ann Kathrin była urlopowana ze służby. Weller próbował przekonać szefa, by ją dołączyć do sprawy.

— Przecież to różnica, czy siedzimy w inspektoracie i zbijamy bąki, czy też mamy do czynienia z kolejnym trupem. To jest naprawdę poważna sprawa i absolutnie uważam, że ona powinna być tu z nami.

Ubbo Heide w milczeniu potrząsnął głową.

JUŻ POBIEŻNE OGLĘDZINY zwłok wystarczyły, by wszyscy obecni nie mieli wątpliwości: Fryzjer znowu uderzył.

Włosy zmarłej były splątane z zaroślami rokitnika. Ułożono je w taki sposób, by wyglądało, jakby krzewy wyrastały z ciała.

— Na sto procent i tutaj znajdziemy lakier do włosów — zgadywał Weller.

Heiko Reuters z trudem podniósł aparat fotograficzny. Ręce mu drżały.

Na pierwszy rzut oka zwłoki nie były widoczne w całości. Morderca zadał sobie wiele trudu, aby przykryć nagie ciało warstewką piasku tak cienką, by skóra przeświecała między ziarenkami. Wyglądało to tak, jakby zmarła próbowała podnieść się spod powierzchni i wydostać na świat przez warstwę piasku. Albo jak gdyby zarośla rokitnika wyciągały ją za włosy z wnętrza ziemi.

Dwóch umundurowanych policjantów zajmowało się tymczasem Larsem Gehrke i jego córką Lisą. Mała siedziała w koszu plażowym z kubkiem kakao i machała nogami, jakby nic się nie stało. Jej ojciec robił wrażenie bardziej wstrząśniętego.

Jeden z policjantów z lokalnego komisariatu stwierdził rzeczowo:

— To jedno z najpiękniejszych miejsc na wyspie. Niektórzy twierdzą, że to najpiękniejsza plaża na świecie. Za jakieś pół godziny zacznie się tu normalny ruch. Co mamy robić? Zabezpieczyć cały teren? Zabrać stąd ciało? To tutaj jest katastrofą dla wyspy — kto zechce spędzić u nas urlop, jeśli jakiś szalony morderca szuka w okolicy swoich ofiar?

— Czy wiemy, kim ona jest? — zapytał Rupert.

— Nie.

— Założę się, że w pobliżu znajdziemy paczuszkę, w której będą jej ubrania. Świeżo wyprane i wyprasowane. Jej dowód osobisty i wszystko, czego nam trzeba.

— Tak, masz rację — przytaknął Abel. — Chyba widać już stąd tę paczkę.

Paczka leżała na dachu restauracji.

No, jasne — pomyślał Weller. Tutaj nie ma ani drzewa, ani wzniesienia. On po prostu wrzucił paczkę na dach.

Kilka minut później wiedzieli już, że chodzi o Verenę Glück, lat dwadzieścia sześć, z Hesel. Dopiero teraz Weller zawiadomił Ann Kathrin krótkim esemesem:

On to znowu zrobił.

Potem zadzwonił do Ubbo Heidego i przekazał mu pierwsze obserwacje.

— To z całą pewnością jest Fryzjer. Wszystko tutaj wygląda inaczej, ale zgadza się kilka charakterystycznych faktów. Jej ubrania są w paczce. Ułożył jej ciało tak, by harmonizowało z krajobrazem, jakby przygotował ją do zdjęcia w magazynie „Mieszkać brzydziej” albo „Mój Ogródek”, czy jak tam się te pisemka nazywają.

Ubbo Heide nie złapał żartu i to, co mówił Weller, złożył na karb zdenerwowania.

— Jeśli to znowu jest Meuling — stwierdził — to po raz drugi umożliwiliśmy mu popełnienie morderstwa. Pierwszy raz, bo nie potraktowaliśmy serio pogrożek, a za drugim razem puściliśmy go wolno. Biorę za to pełną odpowiedzialność i wystąpię o dymisję.

— Co? O jaką dymisję? Nie bawimy się przecież tutaj w posiedzenie rządu. Musimy przyskrzynić tego typka. Natychmiast. A najlepiej od razu z jego adwokatką. Ona nie może dalej utrzymywać w tajemnicy miejsca jego pobytu. Teraz będziemy grać według naszych reguł! — pomstował Weller.

Ubbo Heide milczał. Zrozumiał, że współpracownicy stoją za nim murem i nikt nie chce jego dymisji, nawet jeśli to umożliwiłoby awans młodszemu. Ale zamiast się ucieszyć, odczuł to jak presję.

— Co proponujesz? — zapytał Weller. — Mam ją aresztować czy jak?

— Wreszcie jakiś dobry pomysł. Najpierw ją, a potem jego. Żeby nie miała szans go ostrzec.

Zanim jeszcze Weller skończył rozmawiać z szefem, przy wydmach zebrał się tłum. Jakiś turysta wysłał esemesa i, szybciej niż przypływ dociera na plażę, niemal każdy turysta na Norderney dowiedział się, że przy restauracji Weisse Düne wydarzyło się coś strasznego.

Rupert wezwał posiłki, by odgrodzić ludzi od miejsca przestępstwa. Jakiejś licealistce z Wiednia wyrwał z ręki lustrzaną.

— Czy pani zwariowała? Tutaj nie wolno robić żadnych zdjęć.

Ale potem Weller ujrzał w dziesiątkach dłoni telefony komórkowe, przez które wcale nie rozmawiano. Pierwsze zdjęcia były rozsyłane jako ememesy: „Moje najpiękniejsze zdjęcie z wakacji na Norderney”...

Rozwścieczony Weller jeszcze raz zadzwonił do Ubbo Heidego.

— To nieodpowiedzialne! Nie mamy tu ludzi, by chronić zwłoki lub zabezpieczyć ślady, a Ann Kathrin musi siedzieć w domu i zbijać bąki!

CORA JOHANNSEN, zamieszkała przy Lange Strasse w Oldenburgu, odezwała się dopiero po czwartym dzwonku domofonu.

— Tak?

— Pani Johanssen? Policja kryminalna z Aurich. Pierwszy komisariat. Moje nazwisko Frank Weller. Proszę otworzyć. Muszę z panią porozmawiać.

— Teraz nie mogę.

— Proszę otworzyć. Zaoszczędzi pani sobie i mnie kłopotów. Pani klient znowu zaatakował.

— Co zrobił? — I otworzyła drzwi.

Gdy Weller dotarł na trzecie pięto, zobaczył kobietę, która wyglądała jak kupka nieszczęścia. Miała podbite oko i spuchniętą górną wargę. Zauważył też, że ktoś wyrwał jej garść włosów nad czołem.

Mieszkanie wyglądało jak urządzone przez dekoratora wewnątrz, ale jak na gust Wellera było mało przytulne. Wszędzie mnóstwo metalu i chromu. Kanapy i fotele już na pierwszy rzut oka sprawiały wrażenie niewygodnych. Jedna ze ścian wykonana była z nieoszlifowanego kamienia, który wyglądał jak

ostrzelane fasady domów na terenach objętych wojną. Gdy ludzie mają za dużo pieniędzy — pomyślał Weller — próbują wypełnić swoją duchową pustkę takimi głupotami. Ale powstrzymał się od jakiegokolwiek komentarza.

Johannsen paliła papierosa i bez przerwy strzepywała popiół do popielniczki.

— On to zrobił? — zapytał Weller i wskazał na jej twarz.

Kiwnęła głową.

— Potrafi być taki porywczy. Ale można to zrozumieć, bo przecież znajdował się pod straszną presją. On...

— Gdzie on jest?

— Skąd mam wiedzieć? — Wzruszyła ramionami.

— Wzięła pani za niego odpowiedzialność. Ukryła go pani przed nami. Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

— Dwa... nie, trzy dni temu. Od tamtego czasu nie wychodziłam z domu.

— Bała się pani wyjść z domu? Czy mam wezwać do pomocy funkcjonariuszkę policji kryminalnej? Właściwie nie powinienem teraz rozmawiać z panią w pojedynkę, ale nasza sytuacja kadrowa jest...

Zrobiło mu się nieswojo na myśl, jak ważne informacje Ann Kathrin mogłaby teraz wydobyć z tej kobiety, i zaczął rozważać, czy na własną rękę nie powinien znowu włączyć Ann do tego śledztwa.

— Czy on panią zgwałcił? — zapytał Weller.

Potaknęła, potem potrząsnęła głową i dwa razy gwałtownie zaciągnęła się papierosem.

— Jak mam to rozumieć? Tak? Nie? Troszeczkę?

— Zrobiłam z siebie idiotkę. Przecież jestem adwokatką. Ja...

— Niech się pani cieszy, że pani jeszcze żyje. — Weller wskazał ręką na ślad po wyrwanych włosach.

— Z włosami pani koleżanki zrobił coś innego.

— Koleżanki?

Weller przełknął ślinę.

— Źle się wyraziłem. Miałem na myśli jego nową ofiarę. Gdzie mam go szukać?

— On może być wszędzie. Ma kluczyki do mojego samochodu, pięćdziesiąt tysięcy euro od komisarz Klaasen, a do tego jeszcze... — mówiąc to, ze wstydu odwróciła głowę — ...do tego jeszcze czterdzieści dwa tysiące ode mnie. W zasadzie wszystko, co miałam na lokacie.

— Zmusił panią? Szantażował?

Potrząsnęła głową.

— Czy mogę zadać pani bardzo osobiste pytanie, pani Johannsen?

Nie odpowiedziała, tylko spojrzała na Wellera.

— Dlaczego pani to zrobiła? Czy on ma na panią jakiegoś haka?

Zaczęła mieszać papierosem w popielniczce z taką miną, jakby przygotowywała jakiś czarodziejski napój.

— Kochałam go. — Nagle skoczyła na równe nogi i wrzasnęła na Wellera: — Myśli pan, że tylko panienki z dyskoteki bez matury lecą na bydłaków? On potrafił być taki czarujący i taki delikatny!

Weller zrezygnowany pokiwał głową.

— Tak. Mogę to sobie wyobrazić. A czy oddała mu też pani swoją komórkę?

— Dlaczego pan pyta?

— Bo moglibyśmy go w ten sposób namierzyć.

— Nie, nie oddałam.

— A ma pani numer jego komórki?

— Tak, oczywiście. Kupiłam mu komórkę, żebyśmy mogli być w stałym kontakcie.

— Świetnie — ucieszył się Weller. — Wreszcie coś. Jaki to numer?

Nie знаła go na pamięć i musiała poszukać w swoim telefonie. Weller przekazał numer do Aurich, ale podejrzewał, że Meuling nie jest aż tak głupi, by mieć teraz włączoną komórkę.

— Nie musi pan dzwonić — powiedziała Cora Johannsen. — On i tak nie odbierze.

— Próbowała już pani do niego dzwonić, by wrócił?

Przytaknęła. A potem odwróciła się od Wellera i otarła łzę.

HEIKO REUTERS przesłał swoje zdjęcia nie tylko na komputer policyjny, ale naruszając przepisy, również na laptop Ann Kathrin. Oczywiście czymś innym byłaby wizyta na miejscu przestępstwa, ale i na tych zdjęciach była w stanie coś odkryć i wyciągnąć z tego wnioski.

Wysłała mejla do Ubbo Heidego z kopią do Wellera:

On odtwarza żywioly. Było już powietrze i ziemia. Brakuje jeszcze ognia i wody. Na pewno będzie kontynuował. Bardzo proszę, bym mogła znowu podjąć pracę. Nie mogę siedzieć beczynnie, gdy on przygotowuje kolejne morderstwo. Wszyscy ponosimy szczególną odpowiedzialność. Za dużo już błędów popełniliśmy.

Ann Kathrin Klaasen

SEBASTIAN KÖHLER przyszedł do inspektoratu policji w Aurich. Chciał zgłosić, że był na promie razem z ofiarą. Tak, był w stanie to udowodnić. Miał nawet zdjęcie kobiety.

Weller pił właśnie piątą *espresso*. Był przemęczony i w coraz gorszym nastroju. Jego myśli wciąż uciekały do Ann Kathrin. Musiał być jakiś sposób, żeby ponownie włączyć ją do śledztwa. Teraz siedziała w domu jak na szpilkach i Weller obawiał się, że zrobi coś głupiego. Była właśnie takim człowiekiem, który chętnie rozpoczynał śledztwo na własną rękę i chętnie je kończył bez pomocy innych. Już teraz mógł sobie wyobrazić minę Scherera, do którego Ann przyprowadza schwytanego Meulinga.

— Skąd pan wie, że był pan na promie razem z ofiarą? — zapytał Weller. — Jeszcze nie upubliczniliśmy jej danych.

Sebastian Köhler podniósł swoją komórkę. Na wyświetlaczu Weller ujrzał zdjęcie zmarłej. Widać było w dużym zbliżeniu jej głowę, a przez to także włosy zaplątane w krzewy rokitnika.

— Prom był pusty. Na pokładzie nie było wielu ludzi, a taka piękna kobieta od razu rzuca się w oczy. Zrobiłem jej zdjęcie — i nieco zakłopotany zapytał: — To chyba nie jest zabronione, prawda? Zrobiłem coś nielegalnego czy jak?

— To teraz bez znaczenia — odpowiedział Weller. — Ścigamy mordercę. I dlatego oczywiście interesuje nas wszystko, co pan zaobserwował. I zdjęcia też chcę zobaczyć.

— Wydaje mi się nawet, że widziałem mordercę.

Weller na chwilę zamarł, a potem odstawił swoje *espresso*.

— Mordercę?

— No tak... w każdym razie na pokładzie było takich dwóch, którzy gapili się na nią, jakby chcieli ją tam od razu przelecieć. Ten jeden to był taki mały grubas z napompowanymi policzkami. Wyglądał jak trębacz, którego kiedyś widziałem w pierwszym programie, gdy występował jakiś zespół ludowy.

— Jak się nazywał ten trębacz?

— Nie interesują mnie takie bzdury. Drugi to był taki stary dziadyga.

— Co znaczy „stary dziadyga”?

— No, taki w pana wieku.

— Dziękuję.

Sebastian Köhler zauważył, że się nieco zagalopował, i się poprawił:

— To znaczy, był trochę starszy. Miał mniej więcej pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt.

— Ja jestem przed czterdziestką — dobitnie oświadczył Weller.

— O, przepraszam.

— Nie ma sprawy. Napije się pan *espresso*?

— Nie, już i tak jestem zdenerwowany. Ale może szklanekę wody?

Weller podstawił pod kran plastikowy kubeczek.

— A jak wyglądał ten drugi? Może go pan opisać?

— Tak, miał fryzurę jak palant.

Weller podał mężczyźnie kubek z wodą. Ten od razu wypił mały łyk.

— Ciepła jak siki — powiedział i odstawił kubek na stół. A potem odsunął go od siebie najdalej, jak się dało.

Aha, nie będzie już tego pił — domyślił się Weller.

— No więc miał fryzurę jak palant. Jak mam to sobie wyobrazić? Może pan to jakoś konkretniej opisać?

W tej chwili otworzyły się drzwi i do środka wmaszerował Rupert z dwoma segregatorami pod pachą. Podszedł do swojego biurka i z hukiem upuścił akta na stół.

— Mniej więcej taką jak on — powiedział Sebastian Köhler.

— Tak, teraz mogę to sobie lepiej wyobrazić. — Weller pokiwał głową.

Rupert popatrzył to na jednego, to na drugiego.

— Co? O co chodzi? Coś jest nie tak? — I dotknął swojego rozporoka. Zamek był zapięty.

ANN KATHRIN KLAASEN siedziała na swoim ulubionym miejscu w kawiarni Backstube w Norden, plecami zwrócona do ściany. Z tego miejsca miała dobry widok na cały lokal. Ale wpatrywała się tylko w swoją szklanekę ponczu sporządzonego na ciemnym piwie Altbier. Wyłowiła z niej truskawkę, włożyła do ust i rozgniotła językiem o podniebienie.

Czuła się pusta i coraz bardziej narastała w niej ochota, by się upić.

Przyjechała tu rowerem, ale niedaleko stąd, przy rynku, był postój taksówek. Poza tym mogła z kawiarni w dziesięć minut dojść na piechotę do domu przy Distelkamp. Miała tyle możliwości, a każda z nich działała na nią jak groźba. Miała nawet trudności z podjęciem decyzji, czy zamówić kolejną szklanekę ponczu, czy jednak nie.

Nie przyglądała się innym gościom. Nie chciała, by ktoś ją zagadywał. Prawie rozżłościła się na siebie, że tutaj przyszła. Atmosfera kawiarni nie poprawiała jej humoru, jak to zwykle bywało. Denerwował ją nawet śmiech młodych ludzi siedzących w Izbie Wilhelma Buscha <sup>6</sup>.

A potem nagle ktoś usiadł obok niej. Najpierw uznała, że to jakiś intruz. Co za bezczelny facet, który dosiada się do jej stolika i będzie ją teraz zagadywał? Jest tyle wolnych miejsc przy innych stolikach.

Najpierw widziała go jak przez mgłę, ale potem obraz się wyostrzył. Zastanawiała się, czy już tak dużo wypija, czy ma jakieś kłopoty z krążeniem.

Heiner Zimmermann odgarnął sobie z czoła długie, srebrnosiwe włosy. Miał smukłe palce o cienkich stawach, które pachniały świeżym dymem papierosowym, chociaż tu w środku był zakaz palenia. Między palcem wskazującym a środkowym widać było sporą, żółtawobrazową plamę od nikotyny.

Przemówił ciepłym, przyjaznym głosem, dopytując się o swojego starego kumpla ze szkoły — Wellera.

— Ma dziś dyżur — odpowiedziała lakonicznie i chyba nieco zbyt szorstko Ann Kathrin.

Zrobiło się jej żal mężczyzny. Nie chciała go obrazić, ale też zupełnie nie miała ochoty z nim teraz rozmawiać.

Dlaczego po prostu nie zostałam w domu? — zastanawiała się. A równocześnie wiedziała, że nie wytrzymałaby teraz sama w domu przy Distelkamp. Jakże często wcześniej marzyły się jej spokojne dni,

wolne od służby. Ale teraz, gdy była urlopowana, zaczęła cierpieć na coś, co na własny użytek nazywała „syndromem gospodyni domowej”. Miała wrażenie, jakby w tym dużym domu pokoje stawały się coraz mniejsze, sufit był coraz niżej, a powietrze coraz bardziej gęste.

— Mam nadzieję, że jeszcze jesteście razem — zażartował Heiner Zimmermann.

— Tak, jesteśmy — odpowiedziała Ann Kathrin. — Nie rób sobie żadnych nadziei. Jestem zajęta.

Roześmiał się.

— Och, mam nadzieję, że mnie źle nie zrozumiałaś, Ann Kathrin. Nie chciałem cię urazić. Frank nigdy by mi nie wybaczył, gdybym cię zranił...

Ann Kathrin machnęła ręką, wypła duszkiem resztę swojego ponczu i dała sygnał kelnerowi, że chce następną szklanekę.

— Frank za chwilę będzie miał czterdzieste urodziny — powiedział Heiner Zimmermann. — Masz już dla niego prezent?

— Co to za dziwaczne pytanie? Chcesz we mnie wzbudzić wyrzuty sumienia?

Równocześnie Ann Kathrin uświadomiła sobie, że nawet nie wie, kiedy Weller ma dokładnie urodziny. Poza tym nie byli teraz w nastroju do organizowania hucznych imprez. Kogo miałyby zaprosić? Swojego byłego męża? Jego byłą żonę? Jego dzieci? Znajomych z pracy? W obecnej trudnej sytuacji zawodowej raczej niekoniecznie.

Potem poczuła, że lekceważy potrzeby Wellera. Już od tak dawna nie widział swoich przyjaciół. A kiedyś regularnie chodził grać w skata.

— Mam pomysł na prezent dla niego.

— O, to chyba wyciągniesz mnie z tarapatów. Więc co Frank chciałby dostać na urodziny?

Kelner przyniósł jej poncz, a Zimmermann zapytał Ann Kathrin, czy ma ochotę wypić z nim kieliszek sznapsa. Przystała na to, a on zamówił dwóch „Starych Szwedów”. Spojrzała na niego pytająco.

— To prawdziwa żołądkówka — wyjaśnił — z najstarszej gorzelnii we Fryzji Wschodniej.

Ann Kathrin nie wiedziała, czemu pije sznapsa z Heinerem Zimmermannem. Nagle ten człowiek wydał się jej sympatyczny i odpowiedni jako partner do miłej pogawędki. Dziwiła się swoim wahaniom nastroju. Ale bez niego prawdopodobnie zupełnie zapomniałyby o urodzinach Wellera.

Heiner Zimmermann rozmawiał z nią otwarcie.

— On chciałby dostać twój portret. Olejny. Namalowany przeze mnie. To jak? Będziesz pozować?

Jeszcze przed kilkoma dniami Ann Kathrin zareagowałaby na podobną propozycję odmownie, potrząsając głową i tłumacząc, że nie ma czasu na takie zabawy. Ale ten argument już się teraz nie liczył.

Popatrzyła tylko na mężczyznę szeroko otwartymi oczami.

Przyniesiono żołądkówkę. Pachniała czystym sznapssem, ziołami i lukrecjowymi cukierkami. Przypominało to landrynki na kaszel ojca. Czasem udawała, że boli ją gardło, żeby wydębic od taty tego cukierka. Sznaps jej smakował.

— Dla ciebie zrobię to po okazyjnej cenie — zaproponował Heiner Zimmermann.

— A ile coś takiego kosztuje?

— To zależy od rozmiarów. Ty na pewno nie będziesz chciała małego formatu, prawda? Najlepszy byłby portret w rozmiarach naturalnych.

Ann Kathrin uniosła brwi.

— W rozmiarach naturalnych?

Zimmermann ściągnął usta.

— No, dobrze. Ale niech to będzie co najmniej metr dwadzieścia na osiemdziesiąt. Czyli mniej więcej tyle. — Dłońmi pokazał rozmiar płótna. — Powiedzmy, pięćset.

— Pięćset euro?

— To superokazyjna cena dla przyjaciół. Niepowtarzalny zakup. Jeszcze za dwadzieścia, trzydzieści lat będziesz miała z niego radość.

— A jeśli mi się nie spodoba?

Spojrzał jej prosto w oczy. Biła od niego pewność siebie.

— Spodoba ci się.

— A jeśli nie?

— To wtedy nie musisz kupować portretu. Chętnie go zatrzymam.

— A co z nim zrobisz?

Roześmiał się.

— Oczywiście go sprzedam. Za cztero-, pięciokrotnie wyższą cenę. Założymy się? — Wyciągnął do niej otwartą dłoń.

— Kiedy możemy zaczynać? — zapytała.

— Jeśli o mnie chodzi, choćby jutro. W każdym razie musimy się pospieszyć, jeśli farba ma wyschnąć do jego urodzin.

Teraz Ann Kathrin zastanawiała się, czy zadać to pytanie.

— A kiedy to dokładnie będzie?

— W następnym tygodniu, w piątek.

— Jesteś pewny?

— Całkowicie.

— To rzeczywiście musimy zacząć jak najszybciej. Ile godzin trwa coś takiego? Jak długo muszę siedzieć wyprostowana? Czy dostanę od tego skurczu szyi?

— Tyle pytań, ale wszystko wyjaśni się w praktyce. Jeśli o mnie chodzi, to możemy zacząć natychmiast.

Przez chwilę nie mogła z siebie wydobyć słowa.

— Mówisz poważnie? Natychmiast?

— Dlaczego nie? I tak muszę zrobić najpierw kilka szkiców. Wybrać odpowiednią pozycję...

— Nie, dzisiaj zupełnie mi nie pasuje.

Dopiła swój poncz, odchylając przy tym głowę do tyłu. Owoce ze szklanki opadły na wargi. Otworzyła szeroko usta, żeby je przełknąć. Z pełną buzią nie musiała przynajmniej nic mówić i mogła się zastanowić, co powinna teraz powiedzieć.

— Już dawno zaczęliśmy naszą pracę, Ann Kathrin. Bo zanim zacznę cię malować, muszę sobie stworzyć wyobrażenie o tobie. Muszę pojąć, kim jesteś w istocie. To ma być coś więcej niż odtworzenie powierzchowności. Frank musi to zobaczyć i powiedzieć: Tak, to jest dokładnie ona. To jest moja Ann Kathrin. Kobieta mojego życia!

— Nie patrz tak na mnie! Ludzie pomyślą, że się we mnie zakochałeś.

— Muszę się trochę w tobie zakochać. To jest część mojej pracy. W przeciwnym razie jak miałbym cię malować?

Ann Kathrin krytycznie pokiwała głową z politowaniem nad samą sobą. W co ja się pakuję...

TEGO WIECZORU nie pozowała. Potrzebowała jeszcze jednej nocy, żeby przespać się z tym pomysłem i zdecydować potem na trzeźwo i bez emocji. Ale pojechała z nim do atelier przy Norddeicher Strasse. To był niewysoki, typowo wschodniofryzyjski dom z czerwonej cegły. Strych w budynku został przerobiony na przepelnione światłem atelier. Pachniało tam przyjemnie olejnymi farbami i pokostem. A ponieważ malarz przy pracy zawsze palił, we wszystkich strategicznych punktach pracowni rozstawione były blaszane puszkę, których używał jako popielniczek.

Zastanawiała się, jak on był w stanie tu mieszkać, między tymi wszystkimi obrazami. Co najmniej tuzin obrazów, w większości dużego formatu, stało opartych jeden o drugi przy każdej ścianie.

Na wszystkich meblach widniały ślady farb olejnych. Podłoga też była cała poplamiona i sama wyglądała jak dzieło sztuki.

Stały tu też figury we wszystkich rozmiarach. Akty kobiece ulepione z modeliny lub gliny, modele wykonane z gipsu. Naturalnych rozmiarów kobiecy akt siedział na krześle. Kobieta wyglądała, jakby zazdrośnie strzegła wejścia do sypialni artysty.

Zimmermann pokazał Ann Kathrin namalowane przez siebie akty. Trochę się przestraszyła. Kobiety na obrazach robiły wrażenie tak prawdziwych i żywych, jakby w każdej chwili mogły się uśmiechnąć, coś do niej powiedzieć albo po prostu zejść z płótna.

Ann Kathrin poczuła, że chyba jednak za dużo wypila. Za jej plecami Heiner Zimmermann z charakterystycznym odgłosem otwierał butelkę wina Bordeaux. Ciemnoczerwone wino rozlał do dwóch ogromnych, pękatych kieliszków.

Ann Kathrin potrząsnęła głową.

— Nie, chyba już i tak za dużo wypila. Najpierw muszę napić się wody.

Odkręcił kran i dotknął palcem strumienia wody. Dopiero gdy zaczęła lecieć lodowato zimna, podstawił pod kran kryształową karafkę.

W żadnym wypadku nie pozwolę, by mnie upił — przyrzekła sobie. W jakiś sposób wszystkie te kobiety nakłonił przecież, by mu pozowały nago.

Wokół Ann Kathrin było teraz więcej nagich kobiet niż w aquaparku Ocean Wave w dzień sauny tylko dla kobiet.



Wytwornym gestem nalał wodę z karafki do kolejnego kieliszka na wino.

Do każdego obrazu miał na podorędziu jakąś historię i z przyjemnością się nimi dzielił. Wypowiadane słowa podkreślał delikatnymi gestami. Jego ciepły głos usypiał Ann Kathrin. Mówił o tych kobietach, jakby w każdej z osobna był zakochany. Ale nie tak, jak mężczyźni mówią o swoich byłych partnerkach, lecz jak ktoś, kto ciągle jeszcze jest zakochany po uszy. A Ann Kathrin była pod wielkim wrażeniem tego, z jakim szacunkiem, a wręcz czołobitnością, o nich opowiadał.

— Spójrz tutaj, to Gisela. — Dłonią przejechał po jej twarzy, jakby chciał ułożyć jej włosy na czole. — Gdy malowałem ten obraz, miała pięćdziesiąt jeden lat, troje dzieci i dwa nieudane małżeństwa za sobą. A teraz przyjrzyj się jej ujmującemu uśmiechowi. W głębi jej duszy ostał się promień słońca. Tacy ludzie się nie starzeją. Wtedy ciągle się wstydziła i nie chciała pozować. Trwało to prawie trzy lata, zanim nabrała do mnie takiego zaufania, żeby się... — Resztę zdania skwitował uśmiechem i kiwnięciem głowy. — Nie, chyba powinienem raczej powiedzieć: zanim nabrała zaufania do siebie samej. Gdy przestała odrzucać siebie i zaczęła siebie kochać, wtedy mogłem zacząć ją malować. Ona nie może zabrać tego portretu do domu. Mieszka z mamą, a starsza pani by tego nie zrozumiała. Ale czasami przychodzi tutaj i ogląda obraz. Obiecałem jej, że go nie sprzedam. Należy do niej i może go oglądać, kiedy tylko zechce. Chciałem ten obraz oprawić, ale ona mówi, że bardziej podoba się jej bez ramy. W życiu ciągle musi poruszać się w jakichś ramach, które są dla niej o wiele za ciasne. Przynajmniej na tym obrazie chce być wolna. I niech tak zostanie.

Ann Kathrin zawstydziała się, gdy poczuła, jak jej wilgotnieją oczy. Coś w jego słowach bardzo ją wzruszyło. A może to było tylko działanie alkoholu? Wypiła duży łyk wody z kranu. Nagle uświadomiła sobie, że zna tę kobietę z Norden. Czy ona przypadkiem nie pracuje w markecie Combi przy kasie?

Powoli docierało do niej, że on chce malować ją nagą. Nie musiał tego nawet mówić głośno. To i tak było zupełnie jasne.

Zimmermann ostrożnie odstawił obraz na miejsce i zaczął pokazywać Ann Kathrin kolejny portret. Na granatowym tle, przypominającym nocne niebo, klęczała kobieta, która ważyła dobre sto czy sto dwadzieścia kilo, i spoglądała rozpromieniona w dal, jakby widziała, iż stamtąd nadciąga coś uszczęśliwiającego, coś, co na zawsze odmieni jej życie. Jej twarz też wydała się znajoma. Czy ona nie pracowała kiedyś w kawiarni Gittis Imbiss? Ann Kathrin kojarzyła ją z zapachem frytek i chrupiącymi połówkami kurczaka z różną.

— Dla mnie to bogini — powiedział. — Kobieta pierwotna.

— Co ona widzi? — zapytała Ann Kathrin. — Na co patrzy?

Zimmermann podstawił pod nos kieliszek z winem i powąchał Bordeaux.

— Może Mesjasza... Ona wie, gdzie mieszka szczęście. Widziała je.

— Ale jak skłoniłeś wszystkie te kobiety... to znaczy, mam na myśli, że to nie są typowe modelki.

— Nie, takie mnie nie interesują. Maluję kobiety, a nie lalki Barbie. Po prostu je zagaduję. Rozmawiam z nimi.

— Tak jak podrywałeś mnie w Backstube?

Od razu pożałowała, że zaczęła mówić o „podrywaniu”. Skarcił ją spojrzeniem i mlaśnięciem języka.

— Nie podrywałem cię. Ja tak nie postępuję. A to jest Michaela. Zanim namalowaliśmy ten obraz, była przekonana, że szczęście można zjeść. Teraz już wie, że są także inne możliwości, żeby je poczuć.

On naprawdę powiedział „my” — pomyślała Ann Kathrin. Gdy my malowaliśmy obraz.

— Pozować do aktu, by szybciej schudnąć? — roześmiała się Ann Kathrin. — Nie mówisz tego poważnie!

Znowu poczuł się niezrozumiany. Wyglądał przy tym jak mały chłopiec, który ma szalone pomysły, ale któremu nie udaje się wyjaśnić dorosłym, o co chodzi.

— Zupełnie nie tak, Ann Kathrin. Chodzi raczej o to, że ona teraz kocha każdy kilogram swojego ciała. I śmieje się z tych biednych zagłodzonych modelek z kolorowych gazet, zamiast próbować je naśladować.

Następny obraz przedstawiał kobietę z cudownymi fałdami tłuszczu, wyeksponowanymi światłocieniem. Jej pupa wydawała się wystawać z obrazu, jakby w każdej chwili miała puścić bąka. Kobieta jedną rękę opierała o biodro, głowę miała kokieteryjnie odwróconą do tyłu i wymachiwała wskazującym palcem, jakby chciała upomnieć tego, kto przyglądał się jej siedzeniu.

— To Roswitha Keller — roześmiał się Heiner Zimmermann. — Ten obraz namalowałem po jej rozwodzie. Zostawiła za sobą stare historie i wyruszyła naprzeciw nowym przygodom. Niestety krótko potem zabrał ją rak.

— Ale tego nie widać na tym obrazie — powiedziała Ann Kathrin, w ogóle nie mając pojęcia, że tymi słowami prawie obraziła Heintera Zimmermanna.

— Jak się ma oczy do patrzenia, to widać. Większość patrzy tylko na jej boski tyłek. Miała miednicę stworzoną do rodzenia, ale niestety nie wydała na świat ani jednego dziecka.

Ann Kathrin odwróciła się. Nie chciała już dłużej patrzeć na obraz. Coś w tym akcie jej przeszkadzało. Postanowiła, że teraz pójdzie już do domu.

— Czas już na mnie.

— Dlaczego? Frank na ciebie czeka?

Wzruszyła ramionami. Coś jej mówiło, że Heiner Zimmermann dokładnie wiedział, że Frank Weller nie wróci dziś wieczorem do domu przy Distelkamp. Morderstwo Vereny Glück wymuszało jego obecność w Aurich lub na Norderney.

Ann Kathrin odwróciła się do drzwi.

— Niczego nie rób pochopnie. Takie rzeczy potrzebują czasu. Ale wydaje mi się, że już podjęłaś decyzję. A jeśli nawet nie, to też w porządku. To nie musi być prezent urodzinowy dla niego. Sama to sobie daj w prezencie. To całkiem szczególne doświadczenie życiowe. Wszystkie te kobiety by to potwierdziły.

Ann Kathrin roześmiała się nieco wymuszonym śmiechem.

— Coś na kształt skakania na bungee albo chodzenia po rozżarzonych węglach?

— Tak, tyle że to bardziej intensywne przeżycie. Bardziej dojmujące. I zostaje w tobie na dłużej.

— Hmm, tak sądzisz... — Kpina w jej głosie była ewidentna.

Ruszył przed nią do drzwi.

— Nie będę się z tobą wyklócał. To bez sensu. Są rzeczy, których nie można poznać teoretycznie — można ich tylko doświadczyć w praktyce. Nawet jeśli przeczytasz sto książek o jodze, to i tak nie doprowadzi cię to dalej niż pierwsze ćwiczenie pozycji makarasany. Znamca może czerpać przyjemność z czytania nut Mozarta, ale czy nie jest cudowniej usłyszeć dźwięki jego muzyki? — Zaczął naśladować *Requiem*, dyrygując rękami: — Da, da, da, da...

Zdziwiła się, że wybrał właśnie ten utwór. Na pożegnanie podała mu rękę i jeszcze raz rozejrzała się po tym pomieszczeniu pełnym kolorów. Miała poczucie, jakby powierzył jej jakąś tajemnicą, którą ona musi zachować dla siebie. Jak powinna zareagować, kiedy następnym razem ujrzy Gisele przy kasie?

— Nie musimy nic mówić Frankowi — szepnął i zbliżył się do niej na tyle, że poczuła jego oddech o zapachu nikotyny i czerwonego wina. — Przecież nie chcemy popsuć urodzinowej niespodzianki — dokończył. — Czekam na ciebie jutro między jedenastą a dwunastą ze śniadaniem.

Broniła się bez przekonania.

— Jeszcze się nie zgodziłam.

— Tak, tak. Ale ja czekam tutaj. Między jedenastą a dwunastą. O ile zdobędziesz się na odwagę... Herbata, croissanty, bułeczki? A może bagietki z piekarni Remmers? Jak jeszcze mógłbym sprawić ci

przyjemność?

Ann Kathrin usłyszała swoje słowa:

— Poproszę kawę ze świeżo zmielonych ziaren. Niezbyt mocną. Do tego podgrzane chude mleko. Szynka i ciepła bagietka. Nie zaszkodziłoby też trochę marmolady z rokitnika. I może trochę twarogu.

Uśmiechnął się do niej szeroko. Spodziewała się teraz jakiejś głupiej odzywki w stylu: „Dobrze wiesz, czego chcesz, pani komisarz” lub „Od razu wiedziałem, że wymagająca z ciebie kobieta”. Ale zamiast tego zapytał tylko:

— Spienione?

— Słucham?

— To podgrzane chude mleko. Spienione?

— O, tak. — Kiwnęła głową. — Poproszę.

I wyszła z tego dziwnego domu artysty przy Norddeicher Strasse. Na piechotę wróciła na Distelkamp. Rower został przed Backstube. Zdecydowała, że pójdzie po niego jutro. Może w drodze powrotnej z atelier Heintera Zimmermanna.

Miała poczucie, że ukuła bardzo sprytny plan. Lekkim, tanecznym krokiem zmierzała do domu i napawała się słonym morskim powietrzem. Wiatr dmuchał jej prosto w twarz, aż musiała zaciskać oczy. Wydawało się jej, że mogłaby się teraz położyć w powietrzu i po prostu poszybować do domu. Silny wiatr sprawiał wrażenie, jakby mógł ją unieść.

W domu przy Distelkamp od razu pobiegła w górę po drewnianych schodach — prosto do pokoju swojego byłego męża Hero. Do świątyni, którą urządziła dla swojego ojca. Musiała teraz popatrzeć na jego zdjęcie.

— Niedługo go dopadnę, tato — powiedziała. — Może to i dobrze, że mnie urlopowali. Dzięki temu mam więcej czasu, żeby złapać mordercę. Będę działać systematycznie. Niech moi koledzy zajmują się szukaniem Meulinga, a ja za to całkowicie poświęcę się życiu Volкера Bogdanskiego. Znajdę wszystkich jego dawnych kumpli. Sprawdzę dawne kontakty. On musiał znać swoich współników jeszcze przed napadem. Wreszcie mam jakiś punkt zaczepienia, tatusiu. Twoja śmierć nie zostanie bez odkupienia. I oczyszczę twoje imię. Nie pozostanie najmniejszy ślad wątpliwości...

Pokiwała głową, jakby sama sobie musiała przyznać rację. A potem nagle poczuła, że zachowuje się strasznie patetycznie, i ucieszyła się, że jest sama w pokoju.

I po co ja to teraz robię? — pomyślała. — Przecież mam zupełnie inne plany. Czy ścigam mordercę mojego ojca, żeby nie zajmować się własnym życiem? Czy jutro pójdę do Heintera Zimmermanna, czy może jednak nie?

Zeszła na parter, do łazienki. Wyszukała olejek do kąpieli i napełniła wannę wodą. Już po chwili w łazience unosił się zapach róż i pomarańczy. Ten olejek był jeszcze prezentem bożonarodzeniowym od Hero. Woda w wannie była trochę za gorąca. Miała teraz skórę czerwoną jak rak. Mimo to spodobało się jej to szczypanie w skórę. Teraz jeszcze mocniej poczuła alkohol. Zanurzyła się cała w wodzie tak, że tylko jej twarz wystawała na powierzchnię. Odpręż się — nakazała sobie. Odpręż się...

I od razu przyszedł jej na myśl Heiner Zimmermann i sposób, w jaki mówił o kobietach na swoich obrazach. A może on naprawdę jest wielkim artystą? — zastanawiała się. Przecież to nie są po prostu jakieś nieprzyzwoite akty. Przeciwnie. Czy Frank naprawdę by się ucieszył? A w ogóle gdzie mógłby powiesić taki obraz? Co najwyżej w jej sypialni. W żadnym razie nie może go zabrać do swojego kawalerskiego mieszkanka w Aurich. Tyle niezalatwionych wątków plątało się teraz w jej życiu. To mieszkanie w Aurich było jednym z nich. Obydwoje nie potrafili podjąć decyzji, zrobić radykalnego cięcia, doprowadzić pewnych spraw do końca.

To mieszkanie już od dawna było niepotrzebne i tylko pożerało pieniądze. *De facto* mieszkali razem

przy Distelkamp i wcale nie mieli zamiaru czegokolwiek zmieniać. Trzeba było wnieść pozew o rozwód. W końcu potrzebne jej było oficjalne zakończenie małżeństwa i oficjalne uregulowanie kwestii finansowych z Hero.

Wystawiła z wanny prawą nogę i myśląc o planach na jutro, poczuła nagle, że irytują ją czarne włoski. Zabrała się za golenie nóg. Równocześnie zrozumiała, że tym samym decyzja już zapadła. O, tak. Pozwoli, by Heiner Zimmermann wykonał jej portret. I nie tylko po to, że chce zrobić Frankowi prezent na urodziny, lecz także, by sama mogła poczuć, jak to jest otrzymać pełną uwagę drugiego człowieka dla każdego centymetra kwadratowego własnego ciała.

Po kąpieli natychmiast zasnęła na sofie w salonie. Spała głęboko i o niczym nie śniła. Dopiero około piątej nad ranem obudziło ją szczekanie psa. Przeciągnęła się, wyszła z salonu i położyła się w swoim łóżku w sypialni. Teraz zaczęło jej się coś śnić. Stała przy kasie w markecie Combi z wózkiem po brzegi wypełnionym owocami. Miała tam mnóstwo truskawek i skrzynkę pełną bananów. Siedząca przy kasie Gisela i mrugnęła do niej. Kobieta była naga, ale inni ludzie nie mogli tego zobaczyć. Dla pozostałych klientów marketu Combi miała na sobie fartuch i plakietkę z nazwiskiem. Tylko Ann Kathrin mogła oglądać ją w całym jej pięknie, a i kobieta widziała Ann Kathrin taką, jaką była w rzeczywistości. Uśmiechnęły się do siebie jak współpracownicy. Nie musiały nic mówić.

ANN KATHRIN nic rano nie zjadła. Przecież wczoraj zamówiła smaczne śniadanie. Wypiła tylko szklanek wody mineralnej i spędziła dobre półtorej godziny w łazience, by się przygotować do wyjścia. Ona, która zwykle była gotowa w kilka minut, gdy spieszyła się na służbę, teraz nagle nie szczędziła wysiłków, aby posmarować się kremem, aby nałożyć sobie nowy, bardziej korzystny makijaż, aby wysuszyć i ułożyć włosy.

Przemiana zaczyna się już teraz — pomyślała i poczuła się trochę nieswojo.

Weller tymczasem przysłał jej trzy esemesy.

Godzina 0.11:

Kocham Cię, Ann. Odpocznij. Wyluzuj. Mamy za sobą trudny czas. Całusy, Frank.

Godzina 1.22:

Ten bydlak cały czas wodzi nas za nos. Właśnie przyskrzyniliśmy jakiegoś świra, który twierdzi, że on to Meuling. Bo cierpi na rozszczepienie jaźni: raz jest zwykłym pracownikiem socjalnym, a potem nagle...

I jeszcze o godzinie 3.15:

Tak bardzo chciałbym być teraz przy Tobie. Ale już się nie oplaca wracać. Prześpij się w mojej chacie w Aurich. Dobranoc, moja piękna.

Odpisała:

Wczoraj się upiłam i mam teraz trochę kaca. Powodzenia w polowaniu.

Jednak w rzeczywistości w ogóle nie miała kaca. Przeciwnie, czuła się dziwnie świeża, wypoczęta i trzeźwa. Coś tego wieczoru i tej nocy dobrze na nią podziałało.

Było parę minut przed dziesiątą. Na czystym, bezchmurnym niebie tylko samolot ciągnął za sobą białą smugę. Zabawnym trafem wyglądało to tak, jakby pilot chciał w ten sposób wskazać prostą drogę — z jej domu do atelier Heinerja Zimmermanna.

Ale Ann Kathrin poszła najpierw do Backstube, by zabrać stamtąd swój rower.

POMIĘDZY LICZNYMI FOTOGRAFIAMI z parku zamkowego Lütetsburg, które zostały nadesłane przez

czytelników odpowiadających na apel w „Kurierze”, znalazło się również kilka szczególnie pięknych, niemal artystycznych ujęć autorstwa Hermy Heyken. Fotografowała kwitnące rododendrony z odległości co najwyżej dwudziestu, trzydziestu centymetrów. Światło słoneczne zdawało się przenikać przez delikatne płatki kwiatów.

Rupert zaczął się nawet zastanawiać, czy jednego z tych zdjęć nie użyć jako wygaszacza ekranu w swoim komputerze, gdy znalazł tam jeszcze trzy inne, które szczególnie go zainteresowały. Przedstawiały Heinera Zimmermanna. Pod nimi znajdowało się nawet jego nazwisko. Pani Heyken sfotografowała go, gdy ustawiał swoją sztalugę w parku w najpiękniejszym okresie kwitnienia rododendronów.

Drugie zdjęcie pokazywało malarza, jak gruntuje płótno.

Na trzecim zdjęciu Rupert nie był już niemal w stanie rozpoznać, gdzie kończy się obraz, a gdzie zaczyna natura. Zimmermann stał ze swoją sztalugą przed krzakiem rododendrona, który malował, a obraz zdawał się zlewać w jedno z oryginałem.

Pani Heyken dopisała do swoich zdjęć wyjaśnienie:

Sfotografowałam naszego malarza z Fryzji Wschodniej: pana Heinera Zimmermanna. To bardzo miły człowiek. Zagadnęłam go wówczas w parku, a on był gotowy podarować swój obraz na rzecz naszej akcji „Pastor w każdym kościele”. To właśnie ten obraz, który maluje na zdjęciu. Za pomocą tej akcji nasza parafia stara się zebrać pieniądze na rzecz obsadzenia stanowisk pastorów w kościołach. Jako inaugurację akcji planujemy wielką licytację, na rzecz której kilku z naszych lokalnych artystów przekazało swoje dzieła.

Oddalony o kilka kroków od Heinera Zimmermanna stał gruby mężczyzna o nalanym karku i przyglądał się uważnie pracy malarza. Ten mały grubas wydał się Rupertowi znajomy. Jakby już go kiedyś widział. Porównał go ze zdjęciem otrzymanym od Sebastiana Köhlera.

— Popatrz na to! — Rupert gwizdnął przez zęby.

Weller natychmiast do niego przyszedł.

— Tę fotkę Sebastian Köhler strzelił swoją komórką na promie. Gówniarz był oczywiście zainteresowany wyłącznie nogami i tyłkiem Vereny Glück, ale przy okazji udało mu się też uchwycić na zdjęciu tego świntuszka. Stawiam mój roczny urlop, jeśli to nie jest dokładnie ten sam gość, który tutaj przygląda się naszemu malarzowi.

— Patrzy, jakby rozbierał ją oczami — stwierdził sucho Weller.

— Chyba mamy tu od razu dwa zdjęcia naszego mordercy — uznał Rupert. — Na jednym widzimy, jak sprawdza miejsce zbrodni i jeszcze szuka inspiracji u malarza, a na drugim ogląda swoją kolejną ofiarę.

To cały Rupert, pomyślał Weller. Najpierw uznał akcję ze zdjęciami za idiotyzm, a teraz zaakceptował ją, wciągnął się w temat i próbuje spijać śmietankę.

— Nie wierzysz już, że to Meuling jest tym, którego szukamy...

Rupert przechylił głowę najpierw na jedną, potem na drugą stronę.

— W zasadzie tak, ale...

— Ale co?

— Nie chcę przegapić żadnej możliwości. Bardzo chciałbym poznać jego nazwisko i adres. Przeszukanie mieszkania dużo by nam dało.

— Tak, tyle że nasze dowody są dość cienkie. Nie możemy rozpocząć pościgu, bo...

— Nie będziemy ogłaszać, że go ścigamy. Ale moglibyśmy poszukać go jako świadka.

— Ale jak? Znowu z pomocą prasy, gazet, telewizji? Czy media i tak już nie szaleją? Przecież oni dopadną go, zanim my w ogóle dowiemy się, gdzie mieszka. Potem zobaczysz go w następnym *talk show*. Zamiast walczyć tu na bocznych frontach, powinniśmy skupić się na Meulingu.

— Myślę, że to nie on.

Weller spojrział na Ruperta z politowaniem.

— Facet ma tylko dobrą adwokatkę i cholernie dużo szczęścia. Ale na tym drugim morderstwie się przejedzie. Długo nie wytrzymał bez zamordowania kolejnej kobiety.

Rupert uznał rano, że znowu jest już w pełni sił. To nowe morderstwo było dla niego jak zastrzyk energii, ale teraz zauważył, że przeholował. Musiał pilnie do toalety. Skurcze jelit były nie do zniesienia.

HEINER ZIMMERMANN zadał sobie wiele trudu. Śniadanie było przygotowane całkowicie zgodnie z życzeniem Ann Kathrin, a do tego na stole stał jeszcze świeżo wyciśnięty sok owocowy — z gruszek z własnego ogrodu z dodatkiem soku grapefruitowego i pomarańczowego.

Przy jedzeniu nie mówili wiele. On intensywnie się jej przyglądał, a jej podobało się, że nie domagał się żadnych wyjaśnień. Nie musiała się z niczego tłumaczyć. Wszystko było dobrze tak jak teraz.

— Patrzysz na mnie, jakbyś czegoś szukał.

— Dobrze to ujęłaś. Tak, szukam wizji. Zanim naprawdę zacznę malować, chcę najpierw stworzyć sobie wizję ciebie.

Oparł się łokciami o stół, a głowę objął dłońmi. Miała poczucie, jakby zaglądał w głąb jej duszy.

Jeśli nawet robi to tylko na pokaz — myślała — jest bardzo przekonujący.

Była sobie w stanie wyobrazić, że wielu kobietom sprawiało to przyjemność. Można się było uzależnić od tego spojrzenia. Od takiej dawki uwagi i przychylności.

Wstał od stołu i zaczął rękoma tworzyć w powietrzu model jej ciała. Był od niej oddalony o dobre dwa metry i dzielił ich stół, ale ona miała wrażenie, że czuje jego ręce na swoim ciele.

— Nie — powiedziała. — Wolę obraz. Obrazy są żywsze. Rzeźby mają w sobie coś...

— Martwego? — zapytał. — W takim razie jeszcze się im nie przyjrzałaś we właściwy sposób. Wielu ludzi ma opory, by oglądać rzeźby. Być może jest to jakiś błąd w naszym wychowaniu. Dla wielu jest to coś w rodzaju zaglądania do łazienki innej osoby przez dziurkę od klucza.

Podszedł do jednej ze swoich rzeźb. Miała wąskie ramiona i rozłożyste biodra. Stała w rogu pokoju z twarzą do ściany i przypominała Ann Kathrin uczennicę, która za swoje bezczelne odzywki trafiła za karę do kąta. Ona sama tylko raz doświadczyła w szkole tego typu kary — wymierzonej przez starszego nauczyciela, który krótko potem przeszedł na emeryturę.

Heiner Zimmermann objął figurę ramieniem, jakby miał do czynienia z żywym człowiekiem. Nawet jej coś szepnął do ucha, a potem ostrożnie ją odwrócił. Twarz tak naprawdę nie pasowała do ciała — była zbyt dziewczęca. To była twarz trzynasto-, czternastolatki z ciałem kobiety między czterdziestką a pięćdziesiątką.

Im dłużej Ann Kathrin przyglądała się rzeźbie, tym większą budziła w niej grozę. To nie była po prostu twarz młodej dziewczyny. Na twarzy skóra była naciągnięta, oczy pomniejszone. Lewa, gruszkowata pierś zwisała ciężko w dół. Prawa pierś była zdecydowanie mniejsza i miała kształt drobnego jabłka, które jeszcze nie urosło. Wydawało się, że pierś jest własnością innej kobiety.

Ann Kathrin chciała już właśnie powiedzieć: „To chyba jedno z twoich nieudanych dzieł”, gdy Heiner wyjaśnił:

— Nabrała dystansu, gdy ujrzała moją wizję.

— Dystansu do czego?

— Do planowanej operacji plastycznej. Chciała sobie odessać tłuszcz z bioder i podnieść piersi, a ja próbowałem jej pokazać, jak to jest, gdy ciało i dusza przestają do siebie pasować.

— Pozowanie jako metoda psychoterapii? — zapytała Ann Kathrin. Najchętniej od razu by stąd wyszła.

Potrząsnął głową.

— Nie. Chodzi tylko o to, by rozpoznać, kim się jest. By siebie zaakceptować i być potem sobą.

W tobie, Ann Kathrin, widzę kobietę, która czegoś szuka. Tak, coś w tobie wyruszyło na poszukiwanie. Nie wiem tylko, czego szukasz. Większość ludzi w poszukiwaniu siebie samych goni za ułudami. Niektórzy wierzą wręcz, że znajdą siebie w koszu z ubraniami na wyprzedaży w domu towarowym. Albo w rzadkim znaczku pocztowym, który chcą dołączyć do swojej kolekcji, albo na ambonie w lesie, gdy strzelają do pasącej się sarny.

— Wystarczy tego gadania — powiedziała Ann Kathrin. — Wreszcie to zrobimy.

Poszła jeszcze tylko do toalety, a potem zabrał ją na górę do swojego atelier.

W całym domu było włączone ogrzewanie. Zrozumiała to bez słów: nie chciał, by jego modelka marzła.

Już wcześniej ustawił tło, które uznał za idealne dla Ann Kathrin. Jeden róg pokoju wyłożył czarnym aksamitem. Ośmioramienny świecznik z grubymi białymi świecami o różnej wysokości, na których w długich kroplach zastygł zimny воск, nie przeszkadzał Ann Kathrin, ale przeraziła ją dziecięca trumienka.

— Co to ma być? Chyba nie sądzisz, że się w niej położę?

— Możemy to wszystko zrobić zupełnie inaczej, Ann Kathrin — powiedział. — To tylko moja propozycja. Poza tym wcale byś się w niej nie zmieściła. Myślałem, że w niej staniesz.

Coś w niej burzyło się i domagało, żeby natychmiast opuściła atelier. Ale była też w niej siła, która domagała się, by nie rezygnowała.

Weszła do trumny.

— W porządku, Heiner. Ale dlaczego? Co to ma być?

— To symbolizuje dojrzewanie. Symbolizuje dorosłą kobietę, która jest w kwiecie wieku, ale ciągle jeszcze obydwojma nogami znajduje się w dzieciństwie. Czy wszyscy nie nosimy żałoby po dziecku umarłym w nas samych?

Potrząsnęła głową.

— Dziecko we mnie żyje. Czasem nawet bardzo mocno. Mój były mąż ciągle mi zarzucał, że jestem zdominowana przez moje wewnętrzne dziecko.

— I trudno mu było to wytrzymać, prawda?

Kiwnęła głową.

— Robił mi nawet wyrzuty z tego powodu, że zbieram książki obrazkowe.

— Ale czasem otacza cię zastanawiająca aura śmierci — powiedział Zimmermann z powagą w głosie i spojrzął w dal.

A potem rozstawił drewniany parawan z japońskiego papieru, za którym mogła się rozebrać.

— Czyli mam tam stanąć?

— Warto spróbować. Od razu poczujesz, czy ci to odpowiada czy nie.

Najpierw stanęła w dziecięcej trumnie w ubraniu. Heiner Zimmermann przyjął to ze zrozumieniem, wyjął szkicownik i zaczął rysować węglem. Była mu bardzo wdzięczna, że dotąd nie zapalił jeszcze papierosa. Dymu papierosowego nienawidziła szczególnie z rana.

— I tak potrzebuję najpierw twoich oczu. Twoje oczy są najważniejsze. Stamtąd wychodzi reszta. Oczy są oknem duszy.

Ann Kathrin od kilku sekund stała w tej trumnie. Zrobiła to właściwie tylko po to, by sprawić mu przyjemność i udowodnić, że to jednak naprawdę nie była właściwa pozycja dla niej. Ale teraz wszystko się zmieniło. Czowała, że oczy jej wilgotnieją.

— To nie moje wewnętrzne dziecko umarło — odezwała się. — To, co czujesz, to jest śmierć mojego ojca, którą noszę w sobie. Jestem na tropie jego mordercy i tak naprawdę w ogóle nie powinno mnie tu być...

Wyszła z trumny i otarła oczy.

— Nie musi ci być głupio. Wiele osób przy tym płacze. Czasem to cały kalejdoskop emocji. Najpierw płacz, potem śmiech. Nie krępuj się. Nic nie jest mi obce — uwierz mi.

RUPERT ROZMAWIAŁ przez telefon i po sposobie, w jaki w ciągu ostatnich sekund zmieniła się postawa jego ciała, Weller od razu odgadł, że dostali jakąś gorącą wskazówkę. Rupert wyglądał jak pies myśliwski, który coś zwietrzył.

— Proszę to jeszcze raz przeliterować.

Rupert zapisywał. Potem odłożył długopis i mimowolnie sprawdził ułożenie swojej broni.

Czyli jesteście bardzo blisko — pomyślał Weller.

— Bingo! — Rupert wyszczerzył zęby. — To dopiero strzał w dziesiątkę!

Weller wiedział, że Rupert potrzebuje teraz kilku sekund, by móc napawać się swoją przewagą. Lubił trzymać innych w napięciu, zanim wspólnie przejdą do ataku. W każdym razie nici z umówionego obiadu z Ann Kathrin, który mieli zjeść w restauracji Minna przy rynku w Norden.

Twarz Ruperta się napięła, wręcz zdeformowała. I nagle puścił bąka, po którym można by żądać okazania pozwolenia na broń palną. Po chwili jego twarz odprężyła się w uśmiechu.

— Zgadnij tylko, kto kupił dwadzieścia z tych stalowych prętów, którymi Fryzjer nadział Mareike Henning. Nasi koledzy z Duisburga mają już pełną listę odbiorców. Jeszcze dzisiaj wpadną do kilku siłowni i tak dalej. Ale jest też jeden prywatny odbiorca, który mieszka w naszej okolicy.

Weller zaczął się wachlować dokumentami, które trzymał w ręce. Rupert jeszcze raz zaczął klikać na zdjęcia w swoim komputerze. Weller nienawidził tego w Rupercie. Tak, zdecydowanie za bardzo lubił zaczynać narady służbowe od „zgadnij tylko”. Prawie za każdym razem Ubbo Heide lub Ann Kathrin upominali go z tego powodu. Ale Rupert nie potrafił inaczej. Musiał ponapawać się trochę swoją przewagą. Byłby z niego o wiele lepszy gospodarz teleturniejów — myślał Weller — niż funkcjonariusz policji kryminalnej.

Rupert popukał palcem zdjęcie z parku zamkowego Lütetsburg.

— Ten mały grubas? — zapytał Weller. — Skąd masz jego nazwisko?

Rupert wybuchnął głośnym śmiechem.

— Nie. Ten drugi.

— Heiner?

— Tak, twój stary druh Heiner Zimmermann.

Rupert otworzył swoje biurko i ostentacyjnie wyjął stamtąd drugi magazynek do swojej broni służbowej.

— Jak mam to niby rozumieć? Chcesz go zastrzelić czy jak?

— Twój najlepszy przyjaciel nie tylko maluje piękne obrazy z kwiatami, które są potem wystawiane na licytacje przez parafie ewangelickie, mój drogi. Jego głównym źródłem utrzymania są malunki z gołymi babami we wszystkich pozycjach. — Rupert uderzył się otwartą dłonią o czoło, aż klasnęło. — Przecież od razu mogliśmy na to wpaść. To musiał być ten zboczeniec. Oczywiście. No bo kto inny?

— Zrobimy z Zimmermanna potwora tylko dlatego, że nie możemy dopaść Meulinga? — zaprotestował Weller.

— No jasne, bronisz tylko swojego starego kumpla. To naprawdę mało profesjonalne z twojej strony, wiesz?

Rupert wydał pierś i poprawił spodnie w kroku.

— To nie jest mój najlepszy przyjaciel.

— Ojej, czy ja powiedziałem „najlepszy przyjaciel”? Nie udawaj głupka. Znam co najmniej trzech



facetów, do żon których się przystawiał. Wielki znawca kobiet. Maluje je, a potem konsumuje. Stawiam dwie moje pensje, że je potem szantażuje tymi obrazami. Te kobiety albo ich mężów, albo ich byłych mężów, albo... zresztą! — Rupert był już przy drzwiach.

— Ej, ej, co zamierzasz?

— Idę do Ubbo Heidego. Albo dostaniemy tu za dwadzieścia minut oddział do zadań specjalnych i weźmiemy szturmem jego mieszkanie, albo osobiście po niego pójdę.

— I do tego potrzebujesz dwóch magazynków, tak?

Rupert nie darował sobie aluzji do żalostnej ucieczki Meulinga i chętnie oświadczył:

— Mnie on w żadnym razie nie ucieknie.

Weller chciał iść za Rupertem, ale ten, stojąc już na korytarzu, odwrócił się, wycelował obydwie palce wskazujące w Wellera i oświadczył:

— Proponuję ci, żebyś został. Jesteś w tej sprawie stronniczy.

Weller potrząsnął głową.

— Ale mowy nie ma. Nie jestem z nim ani spokrewniony, ani spowinowacony. Chodziliśmy tylko razem do szkoły. Mogę przemówić mu do rozsądku, zanim wydarzy się jakieś nieszczęście.

NAGOŚĆ WCALE NIE PRZYSZŁA Ann Kathrin z trudem. W głębi duszy była gotowa rzucić Heinerem Zimmermannem o ścianę, jeśli tylko spróbował zbytnio się do niej zbliżyć albo uczynić choćby jedną frywolną uwagę. Ale on zachowywał się jak dżentelmen bez skazy.

Poprosił ją, by przyjmowała różne pozy, i radził, aby wypróbowała, w jakiej czuje się najlepiej. A potem proponował już tylko drobne modyfikacje.

— Spróbuj nie prostować tak kolan, Ann Kathrin. O właśnie. Z wyprostowanymi kolanami twoje usta zyskują taki twardy rys.

— Co mają wspólnego moje usta z moimi kolanami?

Poszedł po lustro w złotych ramach. Miało dobre dwa metry wysokości i co najmniej metr dwadzieścia szerokości. Ustawił lustro tak, by mogła się w nim widzieć. Spoglądała wprawdzie z innej perspektywy niż on, ale od razu pojęła, że miał rację. Gdy prostowała kolano, jej wargi robiły się wąskie i zacięte.

— Podnieś nieco łokcie, to przy okazji wygładzisz czoło.

Znowu miał rację. Dziwiła się sama sobie. Pokazywał związki w jej ciele, których sama nie знаła.

Oczywistość, z jaką dzielił się z nią swoimi doświadczeniami, bardzo jej ułatwiała dostosowanie się do sytuacji.

Stała teraz z prawą stopą w dziecięcej trumnie, a lewą dotykała czarnego aksamitu, który był rozłożony na podłodze.

Heiner Zimmermann opadł na kolana i przyglądał się jej teraz od dołu z różnych perspektyw.

— Czy to, czego szukasz, jest raczej ponad tobą? Pod tobą czy za tobą?

— Szukam mordercy mojego ojca — powiedziała i te słowa dobrze jej zrobiły.

Wreszcie mogła to precyzyjnie określić. Tak. Nie wstydziła się tego. Szukała mordercy swojego ojca. Nie było w jej życiu nic ważniejszego. Zazna szczęścia dopiero wtedy, gdy ustrzeli tego bydlaka.

Szukam go wszędzie — chciała powiedzieć. Dlaczego nade mną? Albo pode mną?

Ale w tej chwili poczuła, jakby ktoś utkwiał spojrzenie w jej plecach. Dreszcz przebiegł jej między łopatkami, a ona bez wahania stwierdziła:

— Za mną.

Zaczął chodzić wokół niej na czworakach, potem usiadł na podłodze i spojrzał na nią z tyłu spod jej lewego boku.

— Odwróć trochę twarz, jakbyś wiedziała, że zaraz coś zobaczysz.

— Masz na myśli mordercę mojego ojca?

— Tak.

Ann Kathrin odwróciła głowę ku lewemu ramieniu i spojrzała za siebie.

— Tak! Tak! Właśnie tak. Tak cię namaluję.

Ktoś zadzwonił na dole do drzwi. Ann Kathrin wzdrygnęła się i zaczęła rozglądać za swoimi ubraniami.

— Nie bój się — uspokoił ją Heiner Zimmermann. — Teraz nikomu nie otworzę. Nic nie jest ważniejsze od tego, co teraz robimy. Reszta świata musi poczekać.

Ale reszta świata wcale nie była taka cierpliwa. Dom przy Norddeicher Strasse został otoczony przez oddział do zadań specjalnych.

Rupert najchętniej sam otworzyłby drzwi kopniakiem, ale zrobili to za niego dwaj policjanci, specjalnie do takich rzeczy wyszkoleni. Wyglądali jak współcześni rycerze — w hełmach i kuloodpornych kamizelkach. W ich towarzystwie Rupert i Weller robili wrażenie niedobitków jakiejś wymierającej cywilizacji. Zamaskowani mężczyźni w czarnych hełmach rozpoczęli szturm domu. Zaraz za nimi ruszyli Rupert i Weller. A na końcu Heiko Reuters z aparatem fotograficznym gotowym do strzału.

Gdy drzwi wejściowe otworzyły się z trzaskiem, Ann Kathrin miała wrażenie, że przed samym domem wydarzył się jakiś wypadek samochodowy, jakby w fasadę wjechała ciężarówka i spowodowała zawalenie ściany. Używając megafonu, Ubbo Heide zażądał zniekształconym, blaszanym głosem:

— Dom jest otoczony. Wszelki opór jest bezcelowy. Niech pan się podda i wyjdzie przed dom z rękami do góry.

Prokurator Scherer stał obok i już teraz pokpiwał:

— To wszystko robi wrażenie całkowicie nieskoordynowanej, chaotycznej i mało profesjonalnej akcji. Dlaczego najpierw szturmujecie dom, a dopiero potem żądacie od niego, by wyszedł z rękami do góry? Weller i Rupert już wcześniej wybili te drzwi.

— To nie oni zrobili, to...

Ubbo Heide drgnął nagle. Usłyszał krzyk Ann Kathrin.

— Świntuchy! Co wy tu robicie? Odwróćcie się!

DWAJ RYCERZE z oddziału do zadań specjalnych, którzy pierwsi wbiegli po schodach, bez problemu poradziliby sobie z uzbrojonym przestępcą, strzelającym na oślep wokół siebie, ale nie spodziewali się tam wrzeszczącej nagiej kobiety. A długowłosa mężczyzna w dzinsach i bawełnianej koszuli natychmiast podniósł ręce i powiedział:

— *Peace*, bracia.

Weller poczuł ukłucie w sercu. Tak chyba wygląda zawał — pomyślał. W mgnieniu oka zrobiło mu się niedobrze. Wrzasnął na Ruperta:

— Nie słyszeliście? Macie się odwrócić! I wy też, do cholery!

Wiele można wymagać od oddziału do zadań specjalnych, ale z pewnością nie tego, aby funkcjonariusze w czasie szturmowania domu odwrócili wzrok i nie patrzyli. Ann Kathrin chciała schować się za parawanem, ale potknęła się o trumienkę i wyrznęła jak długa na podłogę. Błyskawicznie skoczyła jak kot na cztery łapy i szczupakiem rzuciła się za parawan.

Heiner Zimmermann stał nieruchomo z podniesionymi rękoma i próbował wszystkich uspokoić.

— Proszę, bardzo się denerwuję, gdy widzę broń. Czy możecie celować w innym kierunku? Zaparzę wszystkim herbaty i zastanowimy się spokojnie, co tu się stało.

— Zamknij mordę! — wrzasnął Rupert.

Dla Baumüllera była to już trzecia akcja z oddziałem do zadań specjalnych. W poprzednim roku stracił mnóstwo krwi po tym, jak został zaatakowany nożem. Lekarze twierdzili, że ledwo udało mu się przeżyć. To go nauczyło ostrożności. Kto mógł mu zagwarantować, że za parawanem nie jest schowany automatyczny karabin? W żadnym razie nie pozwoli komukolwiek, kogo zastali w tym pomieszczeniu, chronić się przed ich wzrokiem. Jego zadaniem było zabezpieczyć to pomieszczenie i dokładnie to miał teraz zamiar zrobić.

Jednym skokiem znalazł się przy parawanie i przesunął go na bok. Za parawanem Ann Kathrin próbowała właśnie włożyć majtki. Widząc mężczyznę, wzięła zamach prawą ręką, ale powstrzymała się, bo policzkowanie mężczyzny w hełmie było jednak bez sensu.

— Ręce do góry! Proszę podnieść ręce do góry — zażądał Baumüller i skierował lufę w pępek Ann Kathrin.

Nie podniosła rąk, a zamiast tego schyliła się po swój T-shirt.

Zdumienie opuściło Wellera. Popukał Baumüllera w plecy.

— Zostaw ją w spokoju, do cholery. To wszystko jest pomyłką. My...

— Pomyłką? — wrzasnął Rupert. — Przecież uratowaliśmy jej życie!

Rupert zamachnął się na Heinera Zimmermanna, ale ten uniknął ciosu pięścią.

— Chciałeś ją ukatrupić, zgadza się, bydlaku? Gdzie chciałeś ją potem zostawić? Przed inspektoratem policji w Aurich? Żeby wszyscy policjanci ją zobaczyli, gdy będą szli do pracy? No? Gadaj! Co zamierzałeś z nią zrobić?

Rupert chwycił Heinera Zimmermanna za szyję i ścisnął go za krtań. Zimmermann zrobił krok do tyłu i odepchnął Ruperta.

— Chyba nieco pana poniosło, panie komisarzu. Czy pan kompletnie ześwirował? — A potem odwrócił się do swojego kolegi. — Frank, zrób coś! Co się tutaj dzieje? Wcale nie uważam, żeby to było śmieszne.

— Ja też nie — syknęła Ann Kathrin.

Paliły ją policzki. Miała wrażenie, jakby za chwilę miała jej pęknąć głowa. Ale wtedy na poddasze wkroczyli Ubbo Heide z prokuratorem Schererem. Karcąco-współczujące spojrzenie Scherera, gdy ujrzał, jak Ann Kathrin wkłada dzinsy, dopełniło jej klęski.

Abel z sekcji zabezpieczania śladów i Rupert znaleźli w garażu dwadzieścia cztery wielkoformatowe akty wykonane farbami olejnymi i akryłowymi. Jeden szczególnie piękny przedstawiał, jak to w mgnieniu oka rozpoznał Rupert, była żoną Wellera — Renate. Leżała z szeroko rozłożonymi nogami i rozpostartymi ramionami w nadmorskim mule, a po prawej i lewej stronie jej głowy znajdowało się kilka omułek. Heiko Reuters nie dał sobie odebrać tej przyjemności i sfotografował obraz.

Inny obraz ukazywał ćwiczącą na poręczach nagą gimnastyczkę — córkę Ubbo Heidego, która dopiero co skończyła osiemnaście lat i miała niedługo zdawać maturę. Poza tym znaleźli jeszcze kilka nieukończonych rzeźb, popiersie kobiety wykonane z gipsu i cztery pręty z rodzaju tych, na które Fryzjer nadział Mareike Henning w Lütetsburgu.

ANN KATHRIN marzyła tylko o tym, żeby zostać sama i wrócić do domu. Weller szedł za nią ulicą o krok z tyłu.

— Nie sądzisz, że jesteś mi przynajmniej winna wyjaśnienie? To wszystko było dla mnie co najmniej tak samo idiotyczne jak dla ciebie. Będę przedmiotem kpin całego inspektoratu policji.

Ann Kathrin raptownie się zatrzymała. Weller prawie na nią wszedł.

— Chcę wyjaśnić tylko jedną rzecz. Chciałam ci to podarować na czterdzieste urodziny. Mój akt. Jasne, możesz mówić, że to idiotyczne. Że to narcyzm. Możesz mówić, że jestem głupią krową. Ale nic

między nami nie było. To miała być niespodzianka dla ciebie.

— No i się udała.

Ubbo Heide i prokurator Scherer patrzyli, jak tych dwoje odchodzi.

— I co teraz? — zapytał Scherer. — Czy on już przestał pracować w policji kryminalnej w Aurich?

Ubbo Heide jęknął.

— Ta sytuacja nie jest dla niego prosta. Musimy dać tym dwojgu trochę czasu.

— Jasne, ale czy oni nie mogą rozstrząsać swoich prywatnych historii po pracy? Właśnie aresztowaliśmy podwójnego mordercę. Może trzeba przygotować przesłuchanie lub...

Przerwał, spoglądając na wyświetlacz swojej komórki. Właśnie ktoś do niego dzwonił, ale postanowił odrzucić połączenie. To była jego teściowa. Już na samą myśl o niej robił się wściekły. Mówił więc dalej:

— Jeśli wszystko się uda, to jeszcze dzisiaj wieczorem puścimy to w głównych wiadomościach. To ma znaczenie dla całego kraju. W trakcie konferencji prasowej musimy...

— Weller, wracaj! — zawołał Ubbo Heide.

Ann Kathrin bardzo się z tego ucieszyła.

— Słyszałeś, Frank? Potrzebują cię. No, to cześć!

— Nie utrudniaj mi tego, do cholery!

— Czego mam ci nie utrudniać? To przecież ty właśnie szturmowałeś mieszkanie swojego starego kumpla ze szkoły, podczas gdy ja...

Zamilkła.

— Ann, nie wiedzieliśmy, że jesteś w środku. Dostaliśmy ważną wskazówkę. Myślimy, że to on jest Fryzjerem. To znaczy, Rupert tak myśli. Ja sobie tego nie mogę wyobrazić, ale są poszlaki, których nie możemy ignorować.

— Tak? Jakie poszlaki? Tylko takie, że jesteście macho i jesteście o niego zazdrośni. To prawdopodobnie najbardziej znienawidzony facet tutaj, w Norden, to znaczy znienawidzony przez mężczyzn, bo namalował już co drugą żonę. Nie będziesz mi wmawiał, że to nie jest wasz akt zemsty!

Weller oddychał z trudem.

— Tak, prawdopodobnie widział więcej nagich kobiet niż niejeden ginekolog. Ale to nie o to chodzi, Ann. On kupił dwadzieścia tych prętów, na które nadziano Mareike Henning...

Przez chwilę wyglądała, jakby miała zemdleć. Weller rozłożył ramiona, żeby ją złapać, ale go odepchnęła.

— Nie, nie dotykaj mnie teraz.

Skóra wokół jej nosa pobraźla, a wargi stały się wąskie i bezkrwiste.

— Myślisz, że w przeciwnym razie zaatakowalibyśmy tak pochopnie?

SCHERER BYŁ OBECNY na przesłuchaniu. Stał nieruchomo jak mebel w rogu pokoju.

Ubbo Heide i Rupert wzięli na siebie zadawanie pytań. Weller siedział na krześle biurowym i przekrzywiał głowę z lewego ramienia na prawe. Odczuwał przy tym nieprzyjemne trzeszczenie i skrzypienie, ale wzdychał, jakby to mu w czymś pomagało.

Ubbo Heide odczytał Zimmermannowi jego prawa. Ten przerwał mu:

— Tak, wiem. Pański kolega już mi wszystko powiedział. Nie jestem kretynem. Nie musicie mi ciągle powtarzać tego samego. Wiem, że mam prawo do adwokata, ale to, czego teraz potrzebuję, to nie adwokat, tylko papieros. Od rana jeszcze nie zapaliłem. Jestem uzależniony od nikotyny. Może się to wam nie podobać, ale to nie jest nielegalne. Dopóki nie zapalę, nic nie powiem. Czy to jasne?

— W całym budynku obowiązuje zakaz palenia.

Zimmermann skrzyżował ramiona na piersi.

— To proszę mnie zaprowadzić do innego budynku albo będziemy kontynuować przesłuchanie na dworze, na świeżym powietrzu.

— Okej, okej — włączył się Weller. — Wyjdziemy razem na dwór na papierosa. Ja też bym teraz nie pogardził nikotyną.

Ubbo Heide potrząsnął głową i gorzko się roześmiał:

— Na dwór? Mam za wami posłać oddział do zadań specjalnych? A może uważasz to za niezły żart, jeśli kolejny aresztant nam zwieje?

W tym momencie Zimmermann zaczął się domagać, by wezwano jego adwokata, Torstena Hinrichsa.

TRZY PAPIEROSY i dwadzieścia minut później adwokat Hinrichs naradził się na osobności ze swoim klientem. Ci dwaj znali się, bo Hinrichs wygrał dla Zimmermanna proces z wydawnictwem kart pocztowych. Wydrukowali kiedyś na swoich pocztówkach sześć motywów z dzieł Zimmermanna, ale nigdy nie zapłacili mu za to honorarium, gdyż byli zdania, że nie są mu nic winni, bo przecież zrobili mu wielką reklamę.

Hinrichs wynegocjował wtedy prawie dwa tysiące euro odszkodowania, a Zimmermann uznał, że ktoś, komu udało się coś takiego, da również radę wydobyć go z obecnej opresji. Porozmawiali krótko, a potem Zimmermann pozwolił, by adwokat mówił w jego imieniu. A ten nie zaprzeczył, że jego klient kupił pręty. Jak utrzymywał, klient posiada wręcz normalny rachunek za ten zakup z wyszczególnionym podatkiem VAT. Zimmermann jest w stanie zdać sprawę z użytkowania każdego pojedynczego pręta. Słuchając Hinrichsa, Ubbo Heide czuł, że robi mu się na przemian zimno i gorąco.

— Pan Zimmermann potrzebował tych prętów, by stworzyć instalację „Siedem syren i bóg morza”. Pręty gwarantowały rzeźbom potrzebną stabilność. Znajdują się one w tym momencie na wystawie w Holandii nad morzem. Można je teraz oglądać w Groningen. Stamtąd zostaną przetransportowane do Katwijk i Nordwijk.

Heiner Zimmermann dodał ponuro:

— Tak naprawdę chciałem wystawić je na wyspach we Fryzji Wschodniej, ale nikt nie był zainteresowany.

Weller poczuł ulgę po tych słowach. Oddychał już teraz trochę swobodniej.

Twarz Scherera coraz bardziej się wydłużała. Na jego oczach rozwiewała się wizja pięknej konferencji prasowej z jego nazwiskiem w wieczornych wiadomościach.

Tylko Rupert jeszcze się nie poddał i zaczął grozić:

— W porządku, obejrzymy to sobie. Zaraz tam pojedziemy. Rozwalę pierwszą rzeźbę z brzegu i biada, jeśli nie znajdę w środku tych cholernych prętów.

Ubbo Heide spojrzał przeprasząco na Scherera, a ten od razu zainterweniował:

— Tak to się niestety nie da. Niech pan trochę utemperuje swoich ludzi, panie Heide. Na kogo byśmy wyszli w oczach świata? Na przysłowiowych mieszkańców Fryzji Wschodniej, o których opowiada się głupie dowcipy! Po pierwsze, nie będziemy rozwalać żadnych syren, a jeśli już, to zostaną one prześwietlone, a po drugie, zaczekamy, aż te rzeźby trafią z powrotem do Niemiec.

— Dlaczego? — chciał wiedzieć Rupert.

— Bo to może doprowadzić do komplikacji międzynarodowych.

— Komplikacji międzynarodowych? O czym pan mówi? — wściekał się Rupert.

Scherer zignorował Ruperta i zwrócił się teraz tylko do Ubbo Heidego, ale jego słowa były skierowane zarazem do Ruperta i Wellera:

— Jeśli teraz wystąpimy na drodze urzędowej do policji holenderskiej, wówczas zajmie to nam —

powiedzmy — sześć, a może i dziesięć tygodni, a i to pod warunkiem, że sprawy potoczą się bez komplikacji. Do tego czasu lato już się skończy, więc nie sądzę, by te syreny były nadal wystawiane na plaży. W końcu to zwykła atrakcja turystyczna, prawda?

Hinrichs spojrział na Zimmermanna, a ten przytaknął.

— Figury wrócą do mnie w połowie września, o ile do tego czasu nie znajdzie się na nie jakiś kupiec.

— Dlaczego on się tak głupkowato szczerzy? — zapytał Rupert i wskazał na Zimmermanna.

— Bo bardzo by mu było na rękę, gdybyście wy, porywcze nerwusy — odezwał się Scherer do Ubbo Heidego — rozwalili mu w Holandii jakąś syrenkę, a to by trafiło do prasy, prawda, panie Zimmermann? Lepszej, bardziej skutecznej reklamy nie mógłby pan sobie wyobrazić, prawda? Ceny natychmiast poszybowałyby w górę. Chodzi tylko o to, by trafić do gazety, nieważne, w jaki sposób. A jako niesłusznie podejrzewany artysta — to by było coś...

— Najwyraźniej świetnie się pan zna na rynku dzieł sztuki — zażartował Zimmermann i spojrział na Wellera, ale ten nie miał odwagi odwzajemnić spojrzenia swojego starego kumpla ze szkoły.

Ubbo Heide ciągle jeszcze był wściekły z powodu nagiego portretu córki ćwiczącej na poręczach. Nie chciał się odnosić do tego w czasie przesłuchania, postanowił jednak, że wyjaśni to później. Z nią i z nim. W razie potrzeby kupi ten obraz. Na pewno nie powinien on trafić w niepowołane ręce.

— Tak, to ja miałbym właściwie już tylko jedno pytanie — odezwał się zjadliwie Rupert w kierunku Scherera i Ubbo Heidego. — Jeśli mamy czekać do połowy września, to czy on do tego czasu ma być na wolności, czy... — Rupert odwrócił się gwałtownie do Zimmermanna. — Czy do tego czasu zatrzymamy go u nas?

Rupert uniósł brwi i z przyjemnością obserwował reakcję Heinera Zimmermanna. Potem włożył rękę do kieszeni spodni, bo gumka od jego markowych slipków w rozmiarze piątym zbiegła się w praniu i wrzynała mu się teraz w jądra.

Hinrichs spojrział na zegarek.

— Nie pan o tym zadecyduje, lecz — jeśli w ogóle do tego dojdzie — zadecyduje o tym sędzia wydający nakaz aresztowania. Jednakże powody, by zastosować areszt śledczy, wydają mi się bardzo wątpliwe...

— Mnie również — otwarcie przyznał Scherer i rzucił miażdżące spojrzenie w stronę Ruperta i Wellera.

Weller wstał i przeciągnął się. Hinrichs razem z Zimmermannem opuścili pokój przesłuchań. Scherer pospiesznie wrócił do swojego biurka zawalonego aktami, a Ubbo Heide zamknął za sobą starannie drzwi, choć najchętniej by nimi trzasnął, taki był wzburzony.

Rupert, gdy tylko został w pokoju sam z Wellerem, z wściekłości kopnął w krzesło. Krzesło z hukiem uderzyło w ścianę, po czym odłamał się od niego kawałek plastikowej obudowy kółek.

— Gówno, gówno, gówno! — wrzasnął Rupert.

Ubbo Heide ponownie otworzył drzwi i powiedział:

— Może powinniśmy znowu poświęcić się naszemu pierwszemu podejrzanemu? Spodziewam się, że w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin Meuling znajdzie się w tym pokoju. I wtedy wszystko z niego wydobędziemy.

Ubbo Heide wystosował jednak do holenderskiej policji służbowy wniosek o udzielenie pomocy. Sprawę określił jako pilną, ale raczej nie spodziewał się, by to wszystko miało zostać załatwione w ciągu najbliższych kilku tygodni. Prawdopodobnie dopiero we wrześniu, gdy rzeźby wrócą do Fryzji Wschodniej, będzie można się przekonać, czy Heiner Zimmermann nie skłamał.

W OGRODZIE ANN KATHRIN ubijała szpadlem ziemię na kopcu kreta. Wokół gruszy były jeszcze trzy inne

kopce, a jeden sterczał obok tulipanów. Ten kret od jakiegoś czasu toczył z Ann Kathrin swoją małą wojenkę.

— Pokaż się! — zawołała i całą swoją wściekłość włożyła w machanie szpadlem. Przy tym prawie do krwi pogryzła sobie górną wargę. Potem rzuciła szpadel w żywopłot i pobiegła do domu. Zadzwoiła do Franka Wellera.

— Halo, Ann, jak się masz? Nie mogę teraz za długo z tobą rozmawiać, bo jesteśmy w samym środku akcji. Możesz sobie wyobrazić, co się tutaj dzieje.

— Frank — wyszeptała i poczuła się przy tym głupio — Frank, jeśli mogę coś zrobić, daj mi znać. Nikt nie musi się o tym dowiedzieć. Mogę ci pomagać. Ja już nie wytrzymuję tego siedzenia w domu...

Odpowiedział jej zbyt głośno i odniosła wrażenie, że nie mówi tylko do swojej komórki, lecz równocześnie do zebranych tam policjantów.

— Mamy pełne wsparcie naszych sześćdziesięciu dwóch kolegów. Powołano komisję specjalną „Fryzjer”. Uwierz mi, Ann, dopadniemy go. On nie ma szans z takim zastępem specjalistów. Od kiedy w wiadomościach pojawiło się zdjęcie, nieustannie napływają do nas nowe wskazówki od ludności.

— Zdjęcie było w wiadomościach?

— No, tak. Najpierw tylko w Internecie. Miało prawie trzysta tysięcy kliknięć. Było przesyłane dalej i — sama wiesz, jak szybko rozchodzi się coś takiego.

— Ile macie wskazówek?

— Nie wiem dokładnie. Kilka tysięcy.

— Frank, dobrze wiesz, że aby sensownie zająć się jedną wskazówką, trzeba zatrudnić na cały dzień jednego policjanta. Komisja specjalna składająca się z sześćdziesięciu dwóch osób brzmi świetnie, ale zanim sprawdzicie wszystkie wskazówki i podpowiedzi, miną tygodnie. Daj mi listę, a ja...

— Nie, Ann. Bardzo mi przykro, ale mam jasne wytyczne. Ubbo chce cię koniecznie zdjąć z linii ognia.

— Chwileczkę, zaczekaj, Frank. Nie wyłączaj się, proszę. A co z Heinerem Zimmermannem?

— Na czas zbrodni ma alibi. Może nieszczególnie oszałamiające, ale...

— Gdzie był?

— W Sande u swojej matki cierpiącej na demencję. Opiekuje się nią na zmianę z pielęgniarzami. Był u niej o ustalonej porze. Pielęgniarze potwierdzili, że przekazali mu matkę pod opiekę.

— A ona sama?

— Ona się chyba nie nadaje na świadka, Ann. Prawdopodobnie nie potrafiłaby odróżnić mnie od swojego syna.

— To nie brzmi jak stuprocentowo pewne alibi.

— Nie, on miał co godzinę prom z Norderney, a do Sande jest już tylko żabi skok. Mógł w ciągu dnia kilkakrotnie przepłynąć tam i z powrotem, ale nie mamy żadnego punktu zaczepienia dla takiej hipotezy. Przeszukaliśmy cały jego dom w poszukiwaniu śladów DNA Vereny Glück. Nie mamy jeszcze wszystkich wyników, ale jej prawdopodobnie nie było ani w jego domu przy Norddeicher Strasse, ani w domu jego matki.

Ann Kathrin odetchnęła z ulgą.

— To nie był on, Frank. Nawet gdyby wszystko przemawiało przeciw niemu. Zachowywał się wobec mnie jak dzentelmen w każdym calu. W przeciwieństwie do tych Rambo, którzy szturmowali dom. Mam z kilkoma z nich do pogadania. A tym Baumüllerem zajmę się osobiście — jeszcze z nim nie skończyłam.

Weller przełknął ślinę. Poczł ukłucie zazdrości. Czy ona również była pod urokiem Zimmermanna jak te inne kobiety, które portretował? Czy jego kumpel próbował się do niej przystawiać, podobnie jak do jego byłej żony Renate?

— Musimy się całkowicie skupić na Meulingu. Pierwsze morderstwo popełnił po to, żeby zatuszować

swoje historie z szantażami, a drugie morderstwo po to, żeby poszczuć nas na seryjnego mordercę i żebyśmy w ten sposób uznali go za niewinnego.

— Nie myślę, żeby był taki chytry — powiedziała Ann Kathrin.

— Więc co myślisz?

— Myślę, że on jest po prostu seryjnym mordercą, szaleńcem. Nie wiem, jak to się stało, ale zaczął znajdować w tym przyjemność. Następna ofiara będzie leżeć w wodzie, Frank. A potem jeszcze jedna będzie płonąć. Być może zmieni też kolejność. Tego nie wiem. Ale on odtwarza wszystkie cztery żywioły. Powietrze, ziemię, wodę i ogień. I nieważne dlaczego.

— Muszę kończyć, Ann. Nie bądź zła. Mąż Vereny Glück po pierwszym szoku może już być przesłuchany. Muszę iść, żeby z nim...

— Powodzenia, Frank.

Ann Kathrin wróciła do ogrodu i zaczęła skakać po krecich kopcach. Poczła się przy tym, jakby znowu była małą dziewczynką, która tupie ze złości, bo tatuś nie chciał zrobić czegoś, czego ona chciała. Potem pobiegła do domu i siadła do swojego komputera. Wpisała do Google'a „Norderney, morderstwo, zdjęcia” i kilka sekund później miała już ponad trzydzieści stron ze zdjęciami.

Najpierw otworzyła blog internetowy i zobaczyła drugą ofiarę. Na pierwszy rzut oka zdjęcie sprawiało wrażenie fantastycznego ujęcia krajobrazu: wydmy, niebo nad Morzem Północnym, wschodzące słońce. Typowa pocztówka z Fryzji Wschodniej.

Ale z przodu coś się nie zgadzało. Coś wydobywało się z piasku na wydmach — coś jak gigantyczny rak, niesamowite zwierzę o długich jasnych włosach.

Ann Kathrin powiększyła zdjęcie. Potem postanowiła je wydrukować i próbowała wczuć się w sytuację, jakby była na miejscu. Powstrzymała impuls, by natychmiast tam pojechać i wszystko sobie dokładniej obejrzeć.

Potem poczuła, jak po plecach przebiega jej gorący dreszcz. Jeszcze raz zadzwoniła do Wellera. Odebrał po trzecim dzwonku. Próbował ukryć zdenerwowanie, ale poznała po jego głosie, jak bardzo stara się zapanować nad sobą, by jej nie ochrzanić. Ktoś tam wywierał na niego olbrzymią presję.

W tle Ann Kathrin słyszała postukiwanie kilku klawiatur. I usłyszała też głosy, których nie mogła dokładniej zidentyfikować. Jacyś obcy policjanci, prawdopodobnie członkowie komisji specjalnej „Fryzjer”.

— Frank, on sam wstawił to zdjęcie do sieci.

— Nie, Ann. Skąd ten pomysł? Tam był cały tłum urlopowiczów. Robili zdjęcia. To może być zdjęcie Sebastiana Köhlera. Swoją komórką...

— Nonsens. To zdjęcie nie było zrobione komórką, tylko bardzo dobrym aparatem.

— Nieważne. No to w takim razie zrobił to jeden z turystów. Panujemy nad sytuacją.

— Kiedy znaleziono ciało?

— Tak około dziewiątej. Zanim tam dotarliśmy, trochę to oczywiście potrwało...

— Widzisz? A na zdjęciu słońce właśnie wschodzi.

— O, zesz ty... Masz rację, Ann! Ale zaraz... jakie to ma dla nas znaczenie?

Zaschło jej w gardle. Rozejrzała się, czy na biurku nie stoi butelka z wodą. Znalazła jedną, ale była pusta.

— Oznacza to tyle, że nie zostawia dokumentowania swojej inscenizacji jakimś fotografom amatorom. Ale musimy się zastanowić, dlaczego nie zrobił tego w parku zamkowym.

Weller próbował pozbyć się Ann Kathrin.

— Tak, bardzo ci dziękuję za informację. Przekażę to naszym kolegom i przedyskutujemy sprawę.

Ale ona mówiła dalej, jakby Weller nic nie powiedział i jakby to ona wciąż kierowała śledztwem:



— Nie zrobił tego przy swoim pierwszym morderstwie, bo sądził, że się tym zajmiemy. Ale ponieważ zatailiśmy zdjęcia, robi to teraz sam. Wyciąga wnioski z naszego zachowania.

— Tak, świetna wskazówka. Spróbujemy dowiedzieć się, kto wstawił te zdjęcia. Być może odtworzymy ścieżkę i...

Ann Kathrin się zirytowała.

— Frank, nie mamy do czynienia z idiotą!

Weller przełknął ślinę. Wiedział, że miała rację.

— Naprawdę chciałbym cię tu mieć przy sobie. O niczym bardziej nie marzę jak o tym, by pracować nad tym z tobą, ale...

— Tam jest coś jeszcze, Frank. Jeśli nie zabił jej bezpośrednio w tym miejscu, to znaczy, że potrzebował jakiegoś środka transportu. Musiał być stuprocentowo pewny, że to zadziała. Nie mógł ryzykować, że mu się nie uda. Musiał to być jakiś nierzucający się w oczy samochód.

— Sądzisz, że to było coś na kształt tego busa należącego do ojca Torstena Meistera?

— Sądzę, że to był samochód z napędem na cztery koła. Prawdopodobnie w miarę nowy i dostosowany do jego potrzeb.

— Co masz na myśli? — zapytał zaintrygowany Weller.

— No więc, przyciemnione szyby. Musiał się zabezpieczyć, żeby nikt nie mógł zajrzeć do środka. Może to jakiś samochód firmowy... albo duplikat jakiegoś autentycznego samochodu firmowego?

— Naprawdę myślisz, że on zrobiłby sobie taką kopię?

— Myślę, że to dość prawdopodobne. Ja na jego miejscu coś takiego bym zrobiła. Skopiowałabym jakiś samochód firmowy, który wszyscy znamy, bo często jeździ po mieście. Samochód jakiejś firmy transportowej, wóz przeprowadzkowy — cokolwiek. I tym samochodem musiał się przeprawić na wyspę promem.

— Na to też już wpadliśmy, Ann. — Wellera zmroziło, gdy usłyszał, jak ona mówi „na jego miejscu”. Chętnie wczuwała się w przestępców, patrzyła na świat ich oczyma — a przynajmniej próbowała to robić.

— Ale przypuszczam, że zabił ją raczej gdzieś w najbliższej okolicy. W jakimś letnim apartamencie w promieniu kilkuset metrów. Frank, nie wolno wam tego ignorować. Są tylko te dwie możliwości: albo zabił ją na wyspie, albo wozi swoje ofiary po okolicy wozem transportowym.

— Tak, Ann — jęknął Weller. — Dziękuję za pomoc, ale muszę naprawdę...

Najchętniej pożegnałby się teraz słowami „kocham cię”, ale nie potrafił tego wypowiedzieć na głos w obecności innych policjantów, chociaż bardzo wstydził się swojego tchórzostwa.

Potem jednak nie był w stanie skupić się na pracy. Zostawił ją taką nieszczęśliwą, bez żadnych konkretów. Nie chciał w taki sposób kończyć z nią rozmowy. Poszedł do toalety i stamtąd zadzwonił do niej jeszcze raz, z komórki. Nie odebrała telefonu. Szeptem nagrał się na jej pocztę głosową:

— Ann, kocham cię. Jesteś cudowną kobietą.

Ostatnie sylaby zagłuszył odgłos splukiwanej wody z kabiny obok. Rupert beknął i zajęczał:

— Skąd się we mnie wzięło tyle gówna?

A potem znowu spuścił wodę.

To wszystko nagrało się na skrzynkę głosową w komórce Ann. Weller się zawstydził. Najchętniej wykasowałby swoje nagranie z jej skrzynki, ale nie wiedział, jak to można zrobić.

ZASTRZYK Z DZIESIĘCIOMA MILIGRAMAMI valium i kroplówka z roztworem soli fizjologicznej ustabilizowały stan Jonasa Glücka. Błady jak kreda siedział na swoim łóżku w klinice Ammerland w Westerstede. Wyglądał, jakby z jego ciała wyciekła cała energia. Patrzył przed siebie w pustkę. Dolna

warga zwisała, a zwiotczałe mięśnie twarzy nadawały jego fizjonomii głupekowaty rys. Jednak Weller od razu zrozumiał, że ma przed sobą człowieka o wysokiej inteligencji.

Jonas Glück przestał rozumieć świat. Był wcześniej przekonany, że jego żona jest u swojej matki w Cuxhaven. Mała córeczka Kim nic jeszcze nie wiedziała o śmierci mamy. Pod opieką zaprzyjaźnionego małżeństwa bawiła się właśnie z dziećmi z sąsiedztwa.

Weller przedstawił się i zapytał, czy Jonas Glück jest w stanie odpowiedzieć na kilka pytań. Mężczyzna przytaknął, więc Weller wystrzelił całą serię:

— Czy pańskiej żonie grożono? Czy mówi coś panu nazwisko Dieter Meuling? Czy żona miała przyjaciół na Norderney?

Jonas Glück nie odpowiadał. Próbował wstać, patrząc przy tym na Wellera szeroko otwartymi oczami, jakby miał przed sobą nie prawdziwego człowieka, lecz zjawę.

— A może ja po prostu zaraz się obudzę, a to wszystko to był tylko koszmar?

— Niestety nie — odpowiedział z żalem w głosie Weller. — Pańska żona nie jest pierwszą ofiarą, a my obawiamy się, że morderca będzie działał dalej. Pańska pomoc jest dla nas ogromnie ważna. Proszę, niech się pan zastanowi. Czy żona знаła niejakiego Meulinga? Czy otrzymywała listy z groźbami? Czy ją szantażowano?

Glück potrząsnął głową. Ale Weller dokładnie czuł, że w tym wszystkim było coś, co wykańczało tego mężczyznę. Tu nie chodziło tylko o śmierć żony, lecz jeszcze o jakiś dodatkowy aspekt całej sprawy. Rupert stał obok Wellera. Oparł się o ścianę i przycisnął obie ręce do brzucha w okolicy pępka, by uspokoić zbuntowane jelita.

— Bardzo mi przykro — jęknął Rupert — ale muszę...

I niemalże uciekł z sali.

— Moja te... moja te... moja teściowa... — Jonas opuścił głowę na poduszkę, zagryzł zęby, a pomiędzy zaciśniętych powiek wypłynęło kilka łez. Wyglądał na straszliwie rozwścieczonego.

— O co chodzi z pańską teściową?

— Okłamała mnie. Przyznała się do tego przez telefon, stara wiedźma.

— Do czego się przyznała?

— Moja żona wcale nie pojechała do niej. Okłamały mnie — obydwie.

— A zatem pan myślał, że żona jest u pańskiej teściowej, a tak wcale nie było. Dlaczego obie kłamały? Czy żona miała kochanka?

Jonas gwałtownie potrząsnął głową. Gdy mówił, pomiędzy wargami pojawiały się bańki śliny.

— Nie, na pewno nie... nie sędzę... mam nadzieję, że nie... to znaczy, nie wierzę, by...

Weller źle się czuł ze świadomością, że musi dalej odpytywać tego mężczyznę. Nie chciał pomnażać jego duchowych cierpień, ale równocześnie przeczuwał, że za chwilę otrzyma jakieś ważne informacje. Być może również jego żona miała jakąś tajemnicę, której wstydliwie strzegła, tak jak Mareike Henning. Wellerowi zdawało się, że na ścianie wielkimi literami świeci jak neon nazwisko: Dieter Meuling.

Potem kazał sobie podać adres teściowej i zapytał jakby mimochodem:

— Czy żona nie miała w ostatnim czasie jakiejś stłuczki? A może przypomina pan sobie, że ktoś ją oskarżał o spowodowanie wypadku?

— Co to ma wspólnego z całą sprawą? — odparował Glück.

Jego spojrzenie się zmieniło. Przez chwilę zdawało się, że patrzy bardziej rozumnie. Usta miał otwarte w wyrazie zdumienia.

— Dlaczego Bóg pozwala na takie rzeczy?

Gdy Rupert wrócił z toalety, miał blade plamy wokół nosa i gorączkowe spojrzenie. Dolna warga zwisała bezwładnie. Przypominał Wellerowi starego boksera, który już w pierwszej rundzie po kilku

mocnych ciosach pogrzebał swoje nadzieje na powrót i teraz próbuje w miarę godnie dotrwać do kolejnej rundy.

— Powinniśmy jechać teraz do Cuxhaven, żeby porozmawiać z matką Vereny Glück, ale myślę, że najpierw odstawię cię do domu, Rupert — zaproponował Weller. — Dobrze zrobisz, jeśli znowu pójdziesz na zwolnienie.

Rupert potrząsnął głową.

— O co chodzi? Boisz się, że cię zarażę?

— Tak, to też. Taki wirus może sparaliżować całą komisję specjalną.

— Nie, Weller, ja chcę przy tym być. Ja...

— Ann też by chciała.

ELLEN PRILL otrzymała informację w swoim mieszkaniu w Cuxhaven. Chciała pojechać taksówką, żeby zobaczyć córkę, ale zażyła zbyt dużo tabletek uspokajających i układ krążenia odmówił jej posłuszeństwa.

Nawet jeśli prowadzenie takiego przesłuchania w pojedynkę nie było zgodne z przepisami, Weller czuł, że powinien jednak odstawić swojego kolegę Ruperta do domu. Prawie musiał go wykopać z auta, a potem nie bacząc na ograniczenia prędkości, pognął do Cuxhaven.

Ellen Prill mieszkała w dzielnicy Cuxhaven-Döse — w sąsiedztwie parku zdrojowego. Dobiegała pięćdziesiątki, a Weller mógł sobie bez trudu wyobrazić, że była kiedyś punkówką czy hipiską. Coś w jej oczach zdradzało mu, że kobieta ma za sobą intensywne, szalone życie. Nie zawsze była taka grzeczna jak teraz.

Obecnie klimat jej życia stwarzała meblościanka w kolorze ciemnej wiśni w salonie, meble w sypialni na wysoki połysk i zabudowana kuchnia znanej firmy Nobilia. Jednak poruszała się po swoim mieszkaniu, jakby wcale nie było to jej lokum, jakby przyzwyczajona była do życia w hipisowskiej komunie, gdzie trzeba przeciskać się między materacami w drodze do kuchni po ostatnie piwo, podczas gdy reszta śpi jeszcze na podłodze po jakiejś ostrej imprezie.

W jakże odmiennym świecie dorastała u swojej matki Verena Glück — rozmyślał Weller. Ellen Prill miała w sobie coś, czego nigdy nie posiadał jego surowy ojciec. Wewnętrzny spokój, harmonię i zdolność lekceważenia nieistotnych szczegółów.

Kobieta od razu zrobiła na nim sympatyczne wrażenie, a gdy jeszcze zaproponowała mu *espresso* i szklanek wody, jego uczucia eskalowały niemal do zachwyty.

Była smutna, ale nie straciła jasności umysłu. Natychmiast odkryła przed Wellerem wszystkie tajemnice. Pokazała mu zdjęcia, które Peter Kron zrobił Verenie.

— Te zdjęcia córka przechowywała u mnie. Nie chciała, żeby mąż je zobaczył. On by tego nie zrozumiał. To pobożny katolik, rozumie pan?

— Wielu mężczyzn miałoby problem, gdyby ich żony miały takie zdjęcia...

— Moja córka zarabiała na życie jako fotomodelka. Nigdy niestety nie zrobiła kariery. Ale zawsze byłam z niej dumna. Nauczyłam ją, że nie powinna wstydzić się swojego ciała. Już jako dziecko chodziła ze mną do sauny i na plażę nudystów... To naprawdę artystyczne zdjęcia, nie uważa pan?

Weller wypił duszkiem szklanek wody i odstawił ją na stół zdecydowanym gestem w nadziei, że gospodyni zaproponuje następną.

Kobieta od razu zrozumiała jego gest.

— Ma pan za sobą długą podróż. Chętnie przygotuję coś do jedzenia.

— Nie, dziękuję, to byłaby przesada. Ale chętnie wypiję jeszcze szklanek wody. — Nie jestem w stanie ocenić jakości tych zdjęć. Sprawiają wrażenie intymnych. Wcale nie wyglądają na pozowane.

Jakby była fotografowana w swoim codziennym życiu.

— Tak, to właśnie stanowi o magii tych zdjęć. Innych nie przechowywałam. Verena była w kilku katalogach ze strojami kąpielowymi i takimi tam. — Pani Prill machnęła ręką. — Nic szczególnego. Czysta komercja. Ale ten tutaj — ten to potrafił robić zdjęcia, nie uważa pan? Moja córka teraz także pojechała na sesję zdjęciową i dlatego powiedziała Jonasowi, że jest u mnie. Ktoś wynajął ją na kilka dni.

Weller poczuł, jakby go przeszył prąd. To był gorący trop. Diabelnie gorący.

— Kto? Zna pani nazwisko?

— Nie, nie. — Potrząsnęła głową. — Tak to nie działa. Moja córka była w agencji. Stamtąd dostawała zlecenia.

— Jak nazywa się ta agencja?

Pani Prill wzruszyła ramionami.

— Tak naprawdę nie zajmowałam się interesami mojej córki. Czasem tylko oglądałam jej zdjęcia. No i kilka z nich przechowywałam, jak pan widzi.

Weller odwrócił zdjęcia. Z tyłu znajdowało się nazwisko: „Peter Kron” oraz stempel z napisem „Copyright”. Poza tym na każdym zdjęciu widniał dopisek: „Tylko do celów prywatnych”.

— Wydaje mi się, że agencja była w Bremie — snuła przypuszczenia pani Prill. — Ale Verena nigdy nie musiała tam jeździć. Wszystko odbywało się przez telefon lub Internet. Teraz wszystko się tak odbywa.

Weller postukał palcem w nazwisko.

— Ten mężczyzna na pewno będzie mógł nam pomóc. Z pewnością to on wynajął pani córkę przez tę agencję.

Ellen Prill kiwnęła potakująco, a potem przyniosła Wellerowi następną szklanekę wody. Czuł się dziwnie odwodniony, jego wewnętrzne organy zasysały wodę jakby były z gąbki.

— Czy mogę zapytać panią o coś osobistego, pani Prill?

— Oczywiście, panie komisarzu. Nie ma już nic bardziej osobistego od śmierci córki.

— Pani zięć jest kompletnie rozbity. Ale pani nie robi wrażenia... aż tak wstrząśniętej, jeśli wolno mi to tak sformułować.

Kobieta usiadła w potężnym klubowym fotelu obitym brązową skórą, w którym jej drobna postać wydawała się jeszcze mniejsza.

— Śmierć — odpowiedziała spokojnie — nie jest dla mnie końcem, panie komisarzu, lecz początkiem.

Weller przekrzywił głowę i spojrzał na nią, jakby miał wątpliwości co do stanu jej psychiki. Zauważyła to i uśmiechnęła się łagodnie.

— Nie, proszę pana, już od dawna nie zażywam narkotyków. Mój mózg pracuje bez zarzutu. Błądziłam, ale wreszcie doszłam do buddyzmu. Wierzę, że wszyscy znajdujemy się w wiecznym kręgu śmierci i ponownych narodzin. Nic w nim nie ginie.

Weller był pod wrażeniem, ale nie miał teraz ochoty na słuchanie kazań. Od razu postanowił wrócić do śledztwa:

— Czy mówi coś pani nazwisko Dieter Meuling? Czy ktoś groził pani córce? Czy w ostatnim czasie wspominała coś o wypadku samochodowym?

— Nie, nic o tym nie wiem.

Potem Ellen Prill wzięła do ręki zdjęcia i przeszła do spraw, które były dla niej o wiele ważniejsze.

— Czy mój zięć się o tym dowie? Czy to konieczne? To straszny bigot, wie pan. Nigdy nie byłam w stanie zrozumieć, w jaki sposób moja córka... Ale zostawmy to. Nie miała szczęścia do mężczyzn. Będę musiała się z nim porozumieć, co będzie z Kim i... no tak, jest wiele spraw do załatwienia. On jest

mi w sumie obojętny, ale mała... to w końcu moja wnuczka. Jonas nie jest jej biologicznym ojcem. Ale dobrze się nią zajmował, trzeba mu to przyznać.

— Jeśli o mnie chodzi, nie musi nic wiedzieć o tych zdjęciach — powiedział Weller. — Ale nie mam na to wpływu. Ta cała sprawa wywoła sporo zawirowań i sensacji. Już teraz w Internecie krążą zdjęcia pani martwej córki. Radziłbym ich nie szukać.

Kobieta opuściła wzrok.

— Nie wchodzę do Internetu, panie komisarzu. To nie jest mój świat. Wybrałam drogę prowadzącą do wewnątrz, a nie na zewnątrz.

NIE WSZYSTKO PRZEBIEGŁO według jego planu, ale sprawy rozwijały się lepiej, niż mógł się spodziewać. Już dzięki pierwszemu zdjęciu udało mu się wypchnąć z pierwszych stron kryzys rządowy w USA. Wobec jego serii morderstw samobójczy atak w Iraku, w którym zginęło osiemdziesiąt jeden ludzi, zszedł na margines. Gazety kupował w czterech różnych miejscach, „Die Frankfurter Allgemeine Zeitung”, „Die Welt” i „Die Tageszeitung” w sklepie Tabak Gerdes przy Osterstrasse w Norden, „Die Ostfriesischen Nachrichten“ oraz „Die Nordwest-Zeitung“ w księgarni Hasbargen. Obok, w kawiarni Café ten Cate kupował „Die Bild-Zeitung” oraz „Kuriera”. Do tego wziął jeszcze kawałek miodowego placka i babeczkę z mandarynką. W księgarni Lesezeichen przy Neuer Weg dokupił jeszcze „Die Zeit“ oraz „Die Süddeutsche Zeitung“.

Zaparzył sobie herbatę, ale nie czuł tyle wewnętrznego spokoju, by przeczytać dokładnie doniesienia prasowe. Nie udawało mu się to, nawet jeśli bardzo się starał. Przeglądał gazety pobieżnie. Przeskakiwał wzrokiem linijki tekstów i tylko napawał się tymi artykułami, znał na pamięć każdy nagłówek. Jego ciałem wstrząsały fale gorąca. Odczuwał przyjemne łaskotanie na skórze. Tak, teraz naprawdę to poczuł. Czuł, że żyje w pełni, bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

Już dawno wyszukał sobie kolejną ofiarę, ale wiedział, że musi zmienić harmonogram. Był pod presją. Mógł zapomnieć o połączeniu wiosny, lata, jesieni i zimy — czterech pór roku z czterema żywiołami. Sprawę musiał załatwić już teraz. No i doszła jeszcze jedna trudność. Po tych publikacjach nie będzie już tak łatwo zagadnąć jakąś młodą dziewczynę czy też zamówić ją do siebie. Ludzie byli przestraszeni. Zachowywali się ostrożnie, wręcz wpadali w paranoję. Ojcowie łączyli się w grupy, by wspólnie odbierać ze szkoły córki.

Nie dam rady zwabić do siebie jakiejś obcej osoby. Ona się zabezpieczy — opowie innym, gdzie jest. Przyjdzie ze swoim chłopakiem. I kto wie, jakie jeszcze poczyni środki ostrożności, żeby się chronić?

Oczywiście znał wystarczająco wiele kobiet, które mu ufały. Ale każda znajoma niosła ze sobą jakieś niebezpieczeństwo. Za każdym razem policja kryminalna byłaby w stanie odtworzyć ślady prowadzące do niego. Nie, na takie ryzyko nie mógł sobie pozwolić. Wszystkie kobiety, z którymi miał kiedykolwiek kontakt, dla bezpieczeństwa musiały zostać wykluczone. No, może z wyjątkiem tej ostatniej, która będzie ukoronowaniem jego artystycznego dzieła. Wtedy i tak będzie mu już wszystko jedno. Wtedy mogą go spokojnie aresztować. Wsiądzie do policyjnego wozu z podniesioną głową.

Wyobrażał sobie swój proces sądowy jako chwilę wielkiego triumfu. Widział siebie w blasku fleszy, był na oczach całego świata.

Holger Bloem cytował w „Kurierze” słowa Ann Kathrin Klaasen. Powiedziała, że na niej robi to takie wrażenie, jakby morderca chciał pokazać turystom najpiękniejsze zakątki Fryzji Wschodniej: zamek Lütetsburg, wydmy obok restauracji Weisse Düne na wyspie Norderney...

Roześmiał się głośno. Gdybyś wiedziała, jak bliska jesteś prawdy — pomyślał. Pokażę wam zupełnie nowy rodzaj piękna. Moją estetykę. I nauczę was, jak należy patrzeć. Nie, nie weźmie sobie prostytutki. Nikogo, kto byłby w jakiś sposób ubrudzony. Chociaż w Emden była jedna o urodzie wręcz perfekcyjnej.

Widział jednak, że słońce już w niej zgasło.

Wybrał sobie nauczycielkę z Pewsum — Carolin Haase. Miała nieskazitelną skórę i długie jasne włosy. Widział ją w saunie w Ocean Wave. Przyjechała aż tutaj, by jej uczniowie nie zobaczyli jej nago. No, bo jaka nauczycielka chodzi do sauny w miejscowości, w której mieszka? Kobieta nie miała pojęcia, że zażywając suchej fińskiej sauny w temperaturze dziewięćdziesięciu stopni Celsjusza, siedzi naprzeciw swojego mordercy, którego obdarzyła na powitanie wręcz czarującym uśmiechem.

Carolin nie miała jeszcze stałego zatrudnienia i była w Pewsum dopiero od roku. Z dużym zaangażowaniem uczyła w przedostatniej klasie liceum. Złudzenia, z którymi przyszła tutaj prosto z uniwersytetu, przeżywały właśnie swoją pierwszą randkę z rzeczywistością, ale nie wszystkie jeszcze straciła.

Zebrał o niej całe mnóstwo informacji. Większość była łatwa do znalezienia w Internecie. Znał nazwiska jej uczniów i wiedział, że ma miękkie serce oraz szczególnie angażuje się w pracę ze słabszymi. I właśnie dzięki temu zwabi ją w pułapkę.

Nauczycielka tak naprawdę pochodziła z Cuxhaven, a teraz znowu była singielką. Jej chłopak najpierw zgodził się na jej wyjazd i twierdził, że weekendowy związek to przecież nadal jest związek. W piątek i w sobotę pomagał jej przy przeprowadzce, ale w poniedziałek wieczór miał już w łóżku kelnerkę ze swojej ulubionej knajpy. W kolejny weekend nawet przyznał się do tego swojej Carolin, twierdząc, że zrobił to tylko dlatego, że siedział smutny w pustym mieszkaniu, a potem upił się do nieprzytomności w swojej knajpie.

Ale teraz mieszkał już z tą kelnerką i na poważnie planował wziąć z nią ślub.

Carolin Haase była więc w domu sama, gdy krótko po zapadnięciu zmroku zadzwonił telefon. Zatrzasnęła powieść *Mo* Franka Göhre o życiu Friedricha Glausera i podniosła słuchawkę.

Głos w telefonie był sympatyczny, przymilny, jakby świetnie się znali. Mężczyzna mówił szeptem.

— Jestem przy zamku Manningaburg. Dostałem pani numer telefonu od Chantal Jansen. Ona jest tutaj ze swoim chłopakiem Kevinem Cilonką. Kevin jest najwyraźniej pod wpływem narkotyków. Chantal też, ale ona z pewnością nie zażyła aż tyle co on. Kevin próbował mnie okraść.

— Co próbował?

— Co wieczór tutaj biegam. Proszę się nie martwić, nie wyszło mu to na dobre. Uprawiam sporty walki, gdyby chciała pani wiedzieć.

— I co teraz?

— Miałem zamiar wezwać policję, ale ta mała Chantal ubłagała mnie, żebym nie dzwonił ani na policję, ani do jej rodziców. Poprosiła mnie, żebym zadzwonił do pani. Pani jest jej nauczycielką, prawda?

— Tak. Proszę, niech pan zostanie tam, gdzie pan teraz jest. Zaraz tam będę.

Niemal odezwał się do niej chełpliwie: „To było jasne od samego początku, młoda damo”. Ale się powstrzymał.

Powiedziała, że przyjedzie rowerem. Samochód został u jej byłego chłopaka.

Zapalił papierosa i spokojnie czekał. Jak przewidywalne są te młode istoty — rozmyślał. Oczywiście, że ona nie zadzwoni ani na policję, ani do rodziców. Ona tak bardzo chce przypodobać się swoim uczniom. Gdy zobaczą jej zdjęcie w gazecie, już nigdy jej nie zapomną. Nieważne, ile nauczycielek mieli dotąd, ale gdy będą wspominać czasy szkolne, najpierw powiedzą: „A tak w ogóle to uczyła mnie Carolin Haase, która była trzecią ofiarą tego...”, no właśnie, jak oni będą go nazywać? Geniusz? Mistrz? A może po prostu morderca?

Uśmiechnął się. Być może będą o nim mówić jak o kimś szalonym. Jak o van Gogh, który odciął sobie ucho i którego obraży na każdej aukcji osiągają dzisiaj wielomilionowe ceny.

Carolin Haase położyła otwartą powieść o życiu Glausera na stole. Ona, wielbicielka kryminałów, której zawsze bardziej podobało się jej własne kino w głowie aniżeli jakikolwiek film w telewizji, miała nadzieję, że szybko będzie mogła kontynuować lekturę. Pełne wydanie dzieł Glausera podarował jej na ostatnią Gwiazdkę Torsten.

Glauser jest kimś na kształt ojca niemieckiego kryminału. Osiem lat swego życia spędził na oddziałach psychiatrycznych, bo już jako młody chłopak uzależnił się od morfiny. Carolin z trudem oderwała się od książki. Obrazy z powieści prześladowały ją jeszcze, gdy jechała rowerem w kierunku zamku Manningaburg.

Nie dostrzegła tam swoich uczniów. Mogła sobie bez trudu wyobrazić, że tych dwoje coś łączyło. Kevin lubił w szkole pozować na macho i najwyraźniej sporo dziewczyn na to leciało. Chłopak miał już za sobą kilka postępowań dyscyplinarnych. Brał udział w krwawej bijatyce w uczniowskiej toalecie, a do tego znaleziono przy nim kilka gramów haszyszu. Jednakże to wszystko zdarzyło się, jeszcze zanim Carolin Haase zaczęła pracę w szkole.

O tej porze drzewa wyglądały jak cienie. Miała wrażenie, że ich gałęzie jak szpony próbują chwycić księżyc.

Potem z ciemności wyłoniła się jakaś postać. Mężczyzna przywoływał ją ręką. Zeszła z roweru i ufnie zaczęła go pchać w jego kierunku.

— Gdzie oni są? — zapytała. — Czy z Kevinem wszystko w porządku?

Mężczyzna nie odpowiedział. Chwycił ją i przycisnął jej do nosa chusteczkę. Poczowała dotyk jego gumowej rękawiczki na swoje wardze. To, że on miał takie rękawiczki, które zwykle widywała tylko u lekarzy i pielęgniarek, przstraszyło ją bardziej niż wszystko inne.

Wypuściła rower, zaczęła wierzgać nogami, próbując się bronić. Potem jednak wciągnęła w płuca tę śmierdzącą substancję i straciła przytomność.

On starannie poskładał chusteczkę z chloroformem, odłożył ją do pojemnika i zamknął wieczko.

Bezwładnie zwisała z jego ramion. Podtrzymywał ją, by jakiś przypadkowy spacerowicz mógł ich wziąć za zakochaną parę.

Doprowadził ją do swojego samochodu i położył na tylnej kanapie. Zapiął jej nawet pasy, a potem przykrył wełnianym kocem. Bez pośpiechu wrócił do parku, poprowadził rower w kierunku zarośli, a potem wrzucił go tam, biorąc duży zamach.

W samochodzie włączył płytę. To był Mozart. *Requiem*. W dobrym nastroju ruszył przed siebie, by dokończyć dzieło.

WELLER INACZEJ wyobrażał sobie taką agencję. Spodziewał się czegoś nieprzyzwoitego i tandetnego. Była już dwudziesta pierwsza, ale tutaj pracowano w najlepsze. Dwie niezwykle piękne kobiety siedziały przy komputerach i pisały tak szybko, że w głowie Wellera zaczął terkotać karabin maszynowy.

Nie był w stanie ocenić, czy te dwie zachowywały się autystycznie, czy też były tak bez reszty skoncentrowane na swojej pracy. W każdym razie w ogóle nie zwróciły na niego uwagi. Każda z nich miała na głowie słuchawki i zdawała się nie potrzebować żadnego kontaktu ze światem.

Na ścianach wisiały w oszklonych ramach plakaty z pokazów mody w Londynie, Paryżu i Nowym Jorku. Znane nazwiska modelek miały prawdopodobnie sugerować, że pokazy mody zlecano właśnie tutaj. Było tu kilka zdjęć Heidi Klum. Do tego jeszcze Gisele Bündchen, Laetitia Casty i Diane Kruger. Jakaś dobiegająca pięćdziesiątki kobieta, która ważyła więcej niż jej obie podwładne razem wzięte, zbliżyła się zawadiackim krokiem do Wellera i podała mu rękę na powitanie. Miała silny uścisk dłoni i patrzyła mu w oczy wzrokiem zdradzającym pewność siebie.

— Te dwie musimy zostawić w spokoju. One mają wystarczająco dużo roboty. Nie uwierzy pan, ile

otrzymujemy zapytań. Większość przychodzi przez pocztę elektroniczną. Mamy bardzo dobrą widoczność w Internecie, ale to pan na pewno już wie. Czym mogę służyć?

Zaprowadziła go do małego pokoiku narad. Stały tam niebieskie krzesła z plastiku i stół, który skojarzył się Wellerowi z kempingiem. Na ścianach wisiały zdjęcia erotyczne. Nie były to zdjęcia nagich ciał, ale ujęcia, jakie Weller znał z „Playboya” — z czasów, gdy jeszcze sporadycznie kupował sobie ten magazyn na stacji benzynowej i przeglądał go potem w swoim kawalerskim mieszkaniu. Czyli zanim poznał Renate i nim popadł w małżeńską niewolę.

Dopiero teraz owa pulchna dama się przedstawiła.

— Nie był pan umówiony, ale oczywiście możemy tu pana przyjąć. Nazywam się Vera Winter. Być może zna mnie pan jeszcze pod moim pseudonimem artystycznym...

Weller potrząsnął głową.

— Nie, z pewnością nie. Nie przychodzę jako klient. Jestem z policji kryminalnej w Aurich.

Jej uprzejmość od razu się rozwiła.

— Pan jest z policji? O co chodzi tym razem? Cośmy znowu zmalowali?

Zaczęła gwałtownie chodzić tam i z powrotem, gestykulując przy tym rękoma, jakby wymachiwała wyimaginowanym mieczem, którym przecinała powietrze, dobijając przy tym przeciwnika. Trochę przypominała teraz Ann Kathrin, z jej charakterystycznym sposobem wędrowania w czasie przesłuchań.

— W ostatnich czterech latach mieliśmy tutaj trzy kontrole. I wie pan, co dały? Zakwestionowano nam jeden rachunek z restauracji, bo zabrakło tam informacji o podatku VAT, a ja zapomniałam dopisać z tyłu, z jakim klientem jadłam obiad. A raczej nazwisko klienta się nie zgadzało, bo po prostu niektórzy ludzie się krępują, gdy zamawiają u nas modelki na prywatne sesje zdjęciowe, i nie każdy ujawnia nam swoje prawdziwe nazwisko. Tyle że ja nie pracuję dla Kościoła ani dla służb specjalnych. Najważniejsze, że płacę podatki, prawda? Piekarz też nie zna nazwiska klienta, który u niego kupuje bułki. Ważne jest tylko, żeby każda sprzedana bułka została opodatkowana, prawda?

Weller już wiedział, że nie będzie łatwo i od razu przerwał tę przemowę:

— Nie jestem z policji skarbowej, młoda damo, lecz z komisji do spraw morderstw.

— Niech no jeszcze raz spróbuje pan do mnie powiedzieć „młoda damo”! Nie znoszę takich kpin. O tak, byłam kiedyś młoda i piękna. Pracowałam na wybiegach całego świata. Zarabiałam do czterech tysięcy dziennie. Ale to było kiedyś. Teraz byle niezdara ze wsi uważa, że może podbić świat, jeśli tylko trochę zakręci dupą.

Weller wyjął zdjęcie Vereny Glück i położył je na niebieskim stole kempingowym.

— Potrzebuję nazwiska i adresu jej ostatniego klienta.

Vera Winter gorzko się roześmiała. Jaskrawa szminka zostawiła ślad na jej białych siekaczach.

— Żyję z dyskrecji, panie komisarzu. Wie pan w ogóle, co to jest? Moi klienci nie chcą się ujawniać. Są pośród nich przedsiębiorcy, profesorowie wyższych uczelni, osoby na wysokich stanowiskach i nie mogą sobie pozwolić na to, aby ktoś skojarzył ich z fotografią erotyczną. Większość ludzi przecież zupełnie nie rozumie, co my tutaj robimy. Dla nich to jakiś rodzaj eleganckiego burdelu. Nie, nie dostanie pan ode mnie żadnego adresu. Bo jeśli się wygamam, to od razu mogę zamknąć interes. Nie dam się wciągnąć w oszczerczą kampanię skierowaną przeciw moim klientom.

Weller odchrząknął.

— Źle mnie pani zrozumiała, droga pani. Powiedziałem, że jestem z policji kryminalnej. Verena Glück została zabita. I niech mi pani nie próbuje wmawiać, że nie ma o tym pojęcia. Z pewnością czytała pani o tym w gazecie albo słyszała w radio. Nieważne, jakiej stacji pani słucha, nadają to wszędzie.

Vera Winter wzięła zdjęcie i przyjrzała mu się spokojnie. Weller dokładnie wiedział, że kobieta chce tylko zyskać na czasie, żeby znaleźć jakieś wyjście z sytuacji.



— Dobra dziewczyna — odezwała się. — Mogła zrobić karierę. Ale była zbyt niezdecydowana. Miałam zamiar ją podszkolić. Dodać jej trochę szyku, trochę wdzięku... ale ona chciała tylko od czasu do czasu dorobić sobie parę euro, nic więcej. Dzisiaj trzeba się angażować w pełni. Trzeba chcieć iść na całość. Być ambitnym i...

— Nie jestem zainteresowany pani filozoficznymi wywodami — przerwał jej ostro Weller — albo dostanę teraz nazwisko jej ostatniego klienta, albo zamykam cały ten interes.

— A ma pan nakaz przeszukania?

Weller wyciągnął z kieszeni marynarki komórkę i otworzył klapkę.

— Tak, w ciągu kilku minut będę go miał. I na początek zarekwiruję ten piękny komputer, wtedy będzie pani mogła dać wolne swoim ślicznym paniom. A one wreszcie będą mogły robić to, czego naprawdę chcą...

— A czego naprawdę chcą?

— Chcą zostać modelkami. Czy pani tego nie widzi? Myśli pani, że którakolwiek z nich zainteresowana jest pisaniem listów? One są przecież tutaj tylko po to, by choć o centymetr zbliżyć się do swojego wymarzonego zawodu, a mianowicie...

Teraz Vera Winter przerwała Wellerowi.

— Wiem dobrze, co pan myśli. Znam te wszystkie stereotypy. I proszę mi ich oszczędzić, panie komisarzu.

— Dobrze, w porządku. To była tylko taka dygresja. Czy możemy teraz przejść do rzeczy?

Kilka minut później Weller trzymał w ręku wydruk ze wszystkimi terminami i klientami Vereny Glück. Od razu rzucił mu się w oczy adres Petera Krona.

Pani Winter nachyliła się nad Wellerem i objaśniała mu listę.

— Ostatni klient to Greg Lee. To nowy klient. Prawdopodobnie adres jest fałszywy.

— Skąd pani to wie?

— Czy podałyby pan prawdziwy adres, gdyby miał pan zamiar zabić jedną z naszych dziewcząt?

— Mogę zobaczyć wyciągi z konta? Musiał jakoś zapłacić. Czy otrzymujecie zapłatę z góry?

— Klienci płacą nam, a po odjęciu prowizji reszta trafia do dziewcząt.

— No właśnie — Weller odetchnął — czyli droga do niego nie musi być tak bardzo długa. Z jakiego konta wysłano pani pieniądze?

— To jest odnotowane tutaj z tyłu. Pieniądze przysły pocztą. Tysiąc dwieście euro w liście poleconym.

— I nie zdziwiło to pani? — zapytał Weller.

Potrząsnęła głową.

— A jak pan sądzi, ilu tak płaci? Wielu przychodzi tutaj, ogląda sobie zdjęcia, chce sprawdzić, czy jesteśmy poważną firmą czy nie. Tacy od razu ustalają termin i płacą na miejscu. Transakcje bezgotówkowe są tylko dla ludzi, którzy chcą pokazać swojemu doradcy podatkowemu, na co wydali pieniądze. Ale to nie jest zwyczajem moich klientów.

Weller od razu się wtrącił.

— List. Muszę zobaczyć kopertę. Gdzie został nadany?

— Nie mam pojęcia. Nie interesowało mnie to. Koperta z pewnością wylądowała na wysypisku. Nasze kosze z papierami codziennie są opróżniane. Rano chcę tu zastać czyste biuro. Gdybyśmy choć raz to zaniedbali, w lokalu bardzo szybko zrobiłby się bajzel. A my bardziej niż gdzie indziej musimy zważać na to, czy wszystko tu wygląda porządnie i równie przyzwoicie się odbywa.

Weller zazgrzytał zębami.

— Dziękuję bardzo. Tutaj wszystko odbywa się tak perfekcyjnie, że morderca może sobie bez

problemu zamówić dokładkę, nie bojąc się zdemaskowania.

Weller wstał. Dłuższe przebywanie w tym miejscu było stratą czasu.

Nagle pani Winter zrobiła się bardzo potulna. Odprowadziła go do drzwi.

— Co to dla nas znaczy, panie komisarzu? Czy musimy się liczyć z jakimiś konsekwencjami?

— Nie sędzę — powiedział Weller i chciał za sobą zatrzaskać drzwi, ale ona je przytrzymała i chwyciła go za rękaw.

— My też próbujemy jedynie jakoś utrzymać się na powierzchni, czy pan tego nie rozumie? Jeśli te dwie dziewczyny stracą swoje miejsce pracy, to czy ktoś na tym skorzysta?

— No jasne — syknął szyderczo Weller — a pani przecież zawsze uczciwie płaciła podatki. Zakładam, że opodatkowała pani także te tysiąc dwieście euro.

— Jak najbardziej. Wszystko wpisujemy do naszych ksiąg.

NOWI SĄSIEDZI wykańczali Ruperta. Nękali go bardziej niż wirus grypy żołądkowej. Wyglądali zupełnie niewinnie. Miła rodzinka. Kłaniali się na ulicy, nikt z nich nie palił, a syn nie jeździł żadnym terkoczącym skuterem. Ale za to muzykowali.

Ojciec grał na klarncie, a niekiedy na saksofonie tenorowym. Matka na skrzypcach, syn na kontrabasie, córka na flecie poprzecznym i gitarze.

Już od dwóch godzin ćwiczyli jakąś skomponowaną przez siebie piosenkę. Rupert miał wrażenie, jakby nie dogadali się jeszcze w kwestii tonacji, nie wspominając już o rytmie.

Leżał w łóżku i tak naprawdę chciał tylko trochę odpocząć. Chociaż w tej chwili najbardziej odpowiadałaby mu cisza, postanowił zagłuszyć kakofonię zza ściany za pomocą swojej kolekcji Beatlesów. Wybrał piosenkę *Helter Skelter*. Nie chciał psuć sobie dobrosąsiedzkich relacji, ale mimo to postanowił zadzwonić. Trzeba było wyjaśnić pewne sprawy. Raz na zawsze. Tak się już dłużej nie da współżyć.

Jeśli oni tak bardzo lubią muzykować, niech zainwestują w studio muzyczne — pomyślał.

Wykręcił numer do sąsiadów i zaproponował ojcu — liderowi zespołu — by zatroszczył się o dźwiękoszczelne ściany, jak w prawdziwym studiu nagraniowym.

— Jako uczeń też grałem w zespole — powiedział Rupert, by zaimponować rozmówcy. — Wtedy przyklejaliśmy do ściany kartoniki po jajkach, żeby stłumić hałas...

Mój Boże — pomyślał Rupert — to jest to! Przerwał rozmowę i wybrał numer komórki Ubbo Heidego. Gdy szef odebrał, Rupert od razu wypalił:

— Studio nagrań. Musimy szukać studia nagrań. Sali prób jakiegoś zespołu. Czegoś takiego. On tam zaciąga ofiary i tam je zabija. Dlatego nikt nie słyszy krzyków.

— Dobra robota, Rupert, dobra robota. Jak na to wpadłeś?

— Przez dedukcję — skłamał Rupert, a w tym momencie za ścianą znowu zaczęło się rodzinne muzykowanie.

— Może coś takiego wymaga pozwolenia na budowę? Przecież ściany w studiu muzycznym nie mogą mieć jakiejś tandetnej izolacji. On musiał podjąć się jakiejś poważniejszej przebudowy lokalu.

Ubbo Heide triumfował. Podobało mu się, że ten pomysł wyszedł z jego szeregów, a nie za sprawą dodatkowych posiłków, które nadciągnęły do Aurich, by posunąć śledztwo do przodu. Było dla niego sprawą honoru, by tę sprawę rozwiązać własnymi siłami.

Nie zwlekając, zwołał swoich współpracowników i zarządził:

— Zapytajcie chłopaków z urzędu budownictwa! Potrzebujemy listę studiów muzycznych czy sal prób wszystkich zespołów, muzyków i tak dalej. Szukamy wszystkiego, co w jakiś sposób jest dźwiękoszczelne. Zapytajcie w marketach budowlanych. Chcę, żebyście teraz zadzwonili do wszystkich

architektów. Czy ktoś coś takiego zaplanował w jakimś projekcie budowlanym albo dostał zlecenie wykonania czegoś takiego już w gotowym domu.

Potem zwrócił się do Ruperta:

— Jeszcze raz dziękuję. Jesteś ciągle na zwolnieniu czy...

— Jeśli będziecie mnie potrzebować, natychmiast się zjawię.

— Nie forsuj się. Lepiej będzie, jeśli pochorujesz ze dwa dni, niż potem miałbyś zniknąć na dłużej.

— Chcę być przy tym, jak go będziecie przyskrzyniać — wyznał Rupert.

Ubbo Heide świetnie go rozumiał.

W ciągu następnych kilku godzin siedemdziesiąt sześć osób na wyspie Norderney, w Aurich, Norden, Wittmund, Jever i Emden gościło u siebie policję. Ponieważ funkcjonariusze musieli się liczyć z możliwością, że zastaną gdzieś niebezpiecznego przestępcę gotowego do użycia siły, przygotowali się odpowiednio przed wyruszeniem na wojenną ścieżkę. Szturmowali sklepy muzyczne i sale prób, przestraszyli jakąś szkolną orkiestrę, a dla pewnego nauczyciela muzyki z Hage, który dopiero przed paroma tygodniami ukończył budowę własnego studia muzycznego, najazd policji okazał się zbyt dużym wyzwaniem. Tego samego wieczoru doznał udaru.

Weller nagrał się Ann Kathrin na skrzynkę głosową i opowiedział jej o całej akcji. Odpowiedziała esemesem:

Fryzjer to nie jest człowiek, który występuje o pozwolenie albo zleca coś architektowi. On na pewno wszystko robi sam.

Coś w jej odpowiedzi zdeprymowało Wellera, chociaż jeszcze przed chwilą był w euforycznym nastroju.

DOTĄD WSZYSTKO było takie proste. Scenerię w parku zamkowym Lütetsburg mógł określić sam. Były tam kwitnące krzewy wiadomych gatunków i barw, a słońce wschodziło z precyzją szwajcarskiego zegarka. Również wydmy na Norderney, piasek, wschód słońca, wszystko to było przewidywalne. Ale teraz musiał wziąć pod uwagę przypływ. Musiał być precyzyjny. Chciał ich wszystkich zadziwić. Zdjęcia muszą obiegnać cały świat.

Płynął łodzią wzdłuż toru wodnego, prowadzącego od przystani Norddeich-Mole na wyspę Norderney. Morze tej nocy wydawało się czarne. Było jak otchłań, głębsza nawet od jego duszy. W tym miejscu, poza torem wodnym, było jeszcze na tyle płytko, że mógłby tu stanąć na dnie.

Oczywiście w żadnym razie nie miał zamiaru zatopić ciała w obszarze toru wodnego. Jej piękne ciało mogłoby wtedy zostać rozszarpane przez śrubę przepływającego statku. A to przecież byłoby straszne — pomyślał.

Przywiązał łódź do tyki z wiechą <sup>7</sup> i przypomniał sobie słowa Kurta Knittela — przewodnika pieszych wędrówek po Morzu Wąttów. W czasie jednej z takich wycieczek na wyspę Norderney opowiedział on dzieciom taką anegdotę:

— A wiecie, dlaczego mieszkańcy Fryzji Wschodniej sadzą tutaj w morzu drzewa? No więc, Fryzycy bardzo kochają zwierzęta, a orientujecie się przecież, gdzie pieski lubią podnosić nóżkę. Przy drzewku. A ponieważ tutaj jest mnóstwo fok, które nazywamy morskimi psami...

Uśmiechnął się pod nosem. Właśnie wtedy, w czasie wędrówki z Kurtem Knittelem, wpadł na pomysł, by pokazać syrenkę wyłaniającą się z morza. Jutro pierwszy prom płynący na Norderney opuści przystań jeszcze w trakcie odpływu. Będzie powoli sunął torem wodnym ku wyspie i wszyscy turyści ją zobaczą — zobaczą jego syrenkę.

Zaplótł długie jasne włosy w gruby warkocz i włożył na jej głowę złotą koronę — misternie wykonaną ze starej biżuterii matki. A ponieważ słusznie się obawiał, że fale mogą zerwać jej tę koronę z głowy, to

po prostu przybił ją do czoła Carolin Haase. Kobieta i tak już była martwa.

Wypłynął teraz poza tor wodny i w miejscu, które już dawno sobie wypatrzył, ostrożnie włożył do wody swoją syrenkę. Na koniec zarzucił łańcuch z kotwicą, który przymocował do jej prawej nogi. Na szczęście dzisiejszej nocy morze było bardzo spokojne. Nie musiał się obawiać, że fale zerwą ciało z kotwicy. W swoim ostatnim sennym koszmarze widział, jak kobieta traci stopę, a potem morze wyrzuca ją nagą, z koroną na głowie, na plaży w Norddeich.

Aż się zdrygnął na tę straszną myśl. Skierował łódź z powrotem ku przystani Norddeich-Mole. W domu przebrał się i poszedł jeszcze do Backstube, by zafundować sobie lampkę wytrawnego wina.

W STACJI RADIOWEJ NDR zapowiedziano dla Dolnej Saksonii duże zachmurzenie. I rzeczywiście, było w Hanowerze i Oldenburgu, ale nad samym morzem wschodniofryzyjskie słońce kpiło sobie prawie z każdej prognozy pogody. Urlopowicze, którzy nie dali się nabrać na nietrafioną prognozę, mogli spodziewać się cudownego dnia.

Internetowa prognoza holenderskiego urzędu meteorologicznego, którą kierowali się rolnicy z Fryzji Wschodniej, a także morderca, była jak zwykle zaskakująco precyzyjna. Bez tych konkretnych wskazań Fryzjer w ogóle nie byłby w stanie urzeczywistnić swojego planu.

Turyści na promie Frisia V jak zwykle ruszyli od razu na pokład i walczyli tam o najlepsze miejsca widokowe. Już trzeci raz rozległ się komunikat, że uprasza się nie karmić mew, a poza tym palenie jest zabronione na całym statku.

To był czas odpływu. Promienie słońca błyszcząły w kałużach wody na odsłoniętym dnie. Płynęli ku słońcu i wyspie Norderney. I on był w tym tłumie. Miał przy sobie dwa aparaty cyfrowe. W żadnym razie nie chciał sobie popsuć widowiska z powodu zepsutego aparatu fotograficznego. Nie potrzebował tych zdjęć dla siebie, bo obraz, jaki ujrzał choćby jeden raz, na zawsze zapadał w jego pamięci. W jego wewnętrznej bazie danych zgromadzone były miliony zdjęć o najwyższej rozdzielczości, ukazujące najdrobniejsze szczegóły. Ale wołał, gdy prasa korzystała z jego wizji, a nie z bylejakich zdjęć amatorów.

Mały Kai tak długo marudził, aż wreszcie ojciec kupił mu lody Magnum w białej polewie, chociaż Kai wcześniej nie zjadł śniadania. Ale ojciec nie chciał sobie psuć wakacyjnego nastroju. Kai przepchnął się na bakburtę i stanął przy relingu, nie przypuszczając, że stoi obok bardzo niebezpiecznego człowieka, który w żadnym razie nie ustąpi mu tego miejsca, bo dobrze wie, z której strony ukaże się zaraz jego syrena. I z tego miejsca miał najlepszy widok na morze. Za chwilę wszyscy tu przybiegną i będą się tłoczyć na lewej burcie.

Kai wspinając się na ławkę, upuścił swoje nadgryzione Magnum. Lody zrobiły wielką plamę na spodniach nieznanego, którego twarz w pierwszej chwili zapłonęła gniewem, ale jego głos zabrzmiał zupełnie inaczej. Ciepłym głosem powiedział do dziecka, że przecież nic się nie stało i nie ma najmniejszego problemu. Natychmiast przy chłopcu znalazł się jego ojciec i odciągnął syna. Matka chciała koniecznie pomóc w wyczyszczeniu plamy albo zapłacić za pralnię chemiczną, ale mężczyzna machnął ręką i nasunął swoje kepi głębiej na czoło. Jego okulary przeciwsłoneczne były tak wielkie, że przypominał trochę Bzyka Brzęczymuchę z *Pszczółki Mai*. Mężczyzna był pewien, że gdyby ktoś chciał potem opisać jego wygląd, nie będzie w stanie ocenić jego wieku dokładniej niż w przybliżeniu do dziesięciu lat, nie mówiąc już o kolorze oczu czy włosów.

To mały Kai pierwszy zobaczył martwą kobietę. Zawołał:

— Patrz, patrz, tatusiu, goła pani!

Chwilę potem ponad osuchami rozległy się przejmujące krzyki. Jakaś starsza pani i jakiś młodzieniec zemdleli. Rodzice próbowali skłonić dzieci, by patrzyły gdzie indziej, matki odciągały synów od burty,

zasłaniając im oczy, kilku twardzieli dobyło swoich komórek i zaczęło pstrykać fotki z wakacji, jakich jeszcze nikt nigdy nie widział na żadnej pocztówce.

Próbował się stamtąd wycofać. Nie chciał, by ktoś go sfotografował. Jakoś nie przyszło mu wcześniej do głowy to zagrożenie. Wszystkie te błyskające komórki, aparaty cyfrowe — kto mu zagwarantuje, że przypadkowo nie trafi na jedno ze zdjęć? Nie mógł się stąd ruszyć, bo ludzie przyciskali go do relingu zupełnie tak, jak ostatnio na koncercie Rolling Stonesów, gdy stał pod sceną i miał wrażenie, że zaraz zostanie zmiażdżony przez napierający tłum.

Młodzi ludzie podskakiwali, trzymając w powietrzu swoje komórki, i robili zdjęcia na oślep. Naciągnął kepi głębiej na głowę i zasłonił twarz rękoma. I chociaż tak bardzo potrzebował publiczności, to teraz najchętniej wszystkich by stąd przepędził. Ten motłoch sprofanował jego dzieło sztuki swoją żądzą sensacji i zajadłym wścibstwem.

WIADOMOŚĆ DOTARŁA do Ubbo Heidego przy śniadaniu, gdy właśnie obcinał czubek jajka. Trafiła go jak cios w żołądek. Od razu odechciało mu się jeść. Wiedział, że ma już ten dzień z głowy.

Rupert zupełnie serio robił awanturę swoim wirusom grypy żołądkowej, jakby były istotami, z którymi można negocjować:

— Zrozumiałem, co mi chcecie powiedzieć. Nie będę już nigdy więcej jeść śmieciowego żarcia i odtąd już wszystko porządnie przeżuję. Ale nie teraz! Wielkie nieba, nie teraz! Muszę tam być, kapujecie?

Weller i Ann Kathrin już wcześniej umówili się, że zjedzą razem obiad w restauracji Kontor, ale oczywiście nic z tego nie wyszło. Weller wysłał Ann Kathrin esemesa:

Meuling znowu uderzył. Dokładnie tak, jak przewidziałaś. Tym razem w wodzie.

Ann Kathrin odczytała wiadomość, gdy weszła do kuchni z mokrymi włosami prosto spod prysznica. Przywitała ją tam komórka, która leżała na stole i świeciła. Po odczytaniu wiadomości stała przez chwilę bez ruchu. Czuła pod stopami dotyk kamiennych płytek. Przez uchylone kuchenne okno wpadł z gwizdem wiatr, korzystając z okazji, że tarasowe drzwi w salonie otwarte były na oścież.

On naprawdę odtwarza żywioły — pomyślała Ann Kathrin. Następny będzie ogień.

Zadzwoiła do Wellera. Właściwie nie bardzo chciał z nią rozmawiać. Siedział już w helikopterze i martwił się o Ubbo Heidego, który wyglądał jak człowiek chorobliwie bojący się latać, ale pod żadnym pozorem niechcący się do tego przyznać.

Weller wrzasnął do słuchawki, próbując przekrzyczeć huk helikoptera:

— Tym razem zrobił jeszcze większą inscenizację! Zależy mu na publiczności. To był prom pełen turystów. Wszyscy przepłynęli obok jego ofiary i nie można już było tego zataić. Założę się, że w robocie była setka aparatów fotograficznych. Za chwilę w sieci pojawią się pierwsze filmiki. Ann, jeśli nie zapanujemy nad sytuacją, to...

— Następna kobieta spłonie — powiedziała Ann Kathrin. — Może uda się nam jeszcze temu zapobiec?

Prawie nie słyszał, co powiedziała.

— Czyli jak?

— Przy jego zamiłowaniu do inscenizacji z pewnością nie zaciągnie jej do jakiejś starej szopy i tam nie podpali. Będzie szukał miejsca, które rzuca się w oczy. Jakiegoś pagórka, jakiejś...

Weller gorzko się roześmiał.

— No jasne, pagórki we Fryzji Wschodniej. To nie Alpy, Ann. Tu nie ma nic wyższego od wież kościelnych. — Równocześnie Weller zdał sobie sprawę, co w ten sposób powiedział. — Oj, do

cholery... sądzisz, że on naprawdę mógłby...

— Tak, Frank, być może masz rację. Wieża kościelna, ramiona wiatraka...

Weller przekrzykiwał obracające się śmigło helikoptera:

— Wiatraka elektrycznego?

— Tak, czegoś w tym stylu. On ją przywiąże i wszystko podpali.

Ubbo Heide dał Wellerowi znak, by natychmiast zakończył rozmowę. Weller zobaczył w jego twarzy obawę, że zaraz spadną na ziemię. Prawie go to rozśmieszyło. Jego szef bał się latać — tutaj, kilka metrów nad osuchami. Koń by się uśmieł.

— Nie jesteśmy przecież w samolocie pasażerskim lecącym na Majorkę! — wrzasnął Weller. — Naprawdę się boisz, że moja komórka zakłóci aparaturę? Ann ma pewien pomysł.

Ubbo Heide zatkał sobie uszy. Hałas był dla niego jak trucizna. Od razu dostawał zgagi i nerwowego tiku powiek. I znowu pomyślał, że przyszedł czas na wcześniejszą emeryturę, zanim jeden z tych morderców wykończy jego, a co najmniej jego żołądek. Ta uporczywa walka z przestępstwami we Fryzji Wschodniej zrobiła ze mnie wrak człowieka — rozmyślał ponuro. Tak się właśnie czuł — jak tonący statek, który z zepsutym silnikiem dryfuje po morzu i powoli nabiera wody.

— Wyłącz natychmiast tę cholerną komórkę!

DWÓCH PSYCHOTERAPEUTÓW i jakaś bioenergoterapeutka, którzy spędzali urlop na Norderney, zgłosili się natychmiast do pomocy psychologicznej. Jednak gdy prom dopłynął do przystani, mało kto odczuwał potrzebę rozmowy z psychologiem. Większość uznała, że musi raczej wypić kieliszek sznapsa. Inni natychmiast chcieli dostać się do Internetu. Nikomu nie zbierało się na wymioty, ale prawie każdy odczuwał potrzebę, by zadzwonić i opowiedzieć krewnym i znajomym, co się wydarzyło.

Ann Kathrin wróciła do łazienki, żeby wysuszyć włosy. Robiła to powoli, w zamyśleniu, jakby medytując. Jej długie jasne włosy, napuszone od gorącego powietrza, uniosły się wokół głowy i przypomniały jej Mareike Henning nadzianą na pręty w parku zamkowym. A potem Verenę Glück z włosami zaplątanymi w zarośla rokitnika.

Latarnia morska. Może tym razem wybierze latarnię morską.

Chciała zadzwonić do Wellerera i mu to powiedzieć. Ale w tej chwili zmroziła ją myśl, że morderca jest na pokładzie promu. Latarnia morska natychmiast zeszła na drugi plan. Jeszcze raz wybrała numer Wellerera, przyciskając klawisz szybkiego dostępu.

On stał już tymczasem po łydki w mule obok martwej Carolin Haase. Trzeba było natychmiast zatrzymać ruch promowy. W żadnym razie nie mógł tędy przepłynąć kolejny prom z turystami. Z tego powodu w Norddeich natychmiast utworzył się potężny korek. Pociąg z Kolonii przybył punktualnie, ale turyści nie mogli pojechać dalej i musieli się zadowolić lakonicznym komunikatem o odwołaniu promu. Trudno było w takiej sytuacji o dobry nastrój, za to bar szybkiej obsługi w porcie odnotował potężne zyski.

Weller widział już wiele zwłok, ale ta sytuacja sprawiała, że czuł się bezradny. Co niby mieli zrobić technicy kryminalistyczni? I ile mieli na to czasu? Przypłył już wciskał wodę z powrotem do wodnych korytarzy w dnie, zwanych prilami. Trzeba było jak najszybciej zabrać stąd ciało. Jak mieli zabezpieczyć miejsce zbrodni?

Weller najchętniej zadzwoniłby teraz do przewodnika Kurta Knittela. W trybie pilnym potrzebował teraz kogoś, kto dokładnie znał Morze Wattów i wiedział, co było tu możliwe, a co nie. Kiedyś, w okresie najgłębszego kryzysu małżeńskiego, razem ze swoim kumplem Heinerem Zimmermannem dołączyli do wędrówki przez osuchy, prowadzonej przez Kurta Knittela na wyspę Norderney. Od pierwszego wejrzenia przypadł mu do gustu ten Fryzyjczyk z krwi i kości, a teraz właśnie potrzebował kogoś, kto

mógłby mu służyć niezawodną radą.

— Ann, teraz nie mogę, naprawdę...

Nie dała się zbyć. Wrzasnęła tak głośno do mikrofonu, że usłyszał to nawet Ubbo Heide, oddalony o dobre trzy metry od Wellera.

— On jest na pokładzie promu, Frank!

— Jak to? Skąd ci to przyszło do głowy?

— Myślisz, że podarowałby sobie tę przyjemność? Przecież on to wszystko zaplanował i przygotował. Chce przy tym być! Musicie spisać wszystkich ludzi, którzy byli na pokładzie. On na sto procent tam jest!

Już po wszystkim, chciał powiedzieć Weller, ale poczuł, że sprawa nie jest jeszcze stracona. Później, w trakcie analizy całego śledztwa, każdy przełożony i każdy psycholog policyjny będą w stanie dokładnie określić, co zrobili źle i dlaczego. Ale teraz nie było czasu na długie rozmyślania i analizy. Trzeba było decydować natychmiast. Wszystko musiało działać się równocześnie. I chociaż Weller uczestniczył w różnych szkoleniach, jeszcze o takiej sprawie nie słyszał.

— Wszyscy turyści zeszli już na wyspę — powiedział spokojnie — ale póki co nie mogą wrócić na stały ląd. Nie wpuszczamy i nie wypuszczamy żadnych promów, zanim nie zabierzemy stąd ciała.

— A ile to potrwa?

— Mam nadzieję, że damy radę zrobić to przez następną godzinę, Ann. W końcu mamy tutaj do czynienia z odpływem i przypływem.

Ubbo Heide podszedł do Wellera i potrząsnął nim.

— Czy możecie prowadzić swój miłosny dialog wieczorem po pracy? Musimy zabrać stąd ciało, ale chcę, żeby najpierw zobaczył je prokurator. Wszystko, co teraz zrobimy, może okazać się błędem, dlatego chcę, żeby i on wziął na siebie odpowiedzialność, a potem...

Weller odepchnął od siebie szefa:

— Ona ma dla nas ważne informacje! Cieszyłbym się, gdyby teraz była tu z nami. Przecież zupełnie nie wiemy, co on zamierza. Może po prostu robi sobie na wyspie trzytygodniowy urlop. A może wróci na ląd następnym promem. Na Norderney jest w tej chwili kilka tysięcy turystów. To szczyt sezonu. My...

— Dość tego! — ryknął Ubbo Heide i szarpnął Wellera za rdzawoczerwoną letnią marynarkę. Komórka Wellera upadła w muł. Pochylił się, by ją podnieść. Jeszcze słyszał głos Ann Kathrin, ale po chwili słona woda całkowicie uszkodziła telefon.

W TEJ SAMEJ CHWILI na osieroconym biurku Ann Kathrin w inspektoracie policji w Aurich wylądował raport z sekcji zwłok Vereny Glück. Kobieta została uduszona. Nie było śladów gwałtu ani żadnych innych uszkodzeń ciała. Za to brakowało jej ponad dwóch litrów krwi. W zgięciu prawego łokcia widoczny był krwiak i ukłucia. Lekarka sądowa przypuszczała, że krew pobrano od kobiety krótko przed śmiercią.

PONIEWAŻ RUPERT spędzał wiele czasu między łóżkiem a toaletą, ustawił swój telewizor w taki sposób, by mógł widzieć ekran zarówno z sypialni, jak i z sedesu, na którym siedział przy otwartych drzwiach. We Fryzji Wschodniej ekipy telewizyjne walczyły właśnie o ostatnie miejsca hotelowe i apartamenty wakacyjne. Prawie każdy nadawca przysłał na miejsce swoich ludzi, którzy próbowali teraz zdobyć materiał do nowych, sensacyjnych doniesień. Reporterzy wykazywali się wielką wyobraźnią, robiąc wywiady z ludźmi, którzy wprawdzie nic nie widzieli, za to snuli rozmaite przypuszczenia.

Rupert zastanawiał się ponuro, czy jest we Fryzji Wschodniej ktoś poza nim, kto jeszcze nie zaprezentował w telewizji swojej opinii. Nawet młody posterunkowy, którego Weller widział pierwszy raz w życiu, zdążył już oświadczyć z dumą, że gdy tylko usłyszał o morderstwach, natychmiast przerwał

swój urlop na Majorce i przyleciał pierwszym samolotem, żeby stanąć u boku swoich kolegów.

Rupert wrzasnął do telewizora:

— No, wielkie dzięki!

Przypuszczał, że ten młody posterunkowy był w rzeczywistości marnie opłacanym aktorem.

Rupert poszedł do kuchni i tak długo lał wodę z kranu do zlewu, aż uznał, że pozbył się już wszelkiej stęchlizny. Potem przystawił usta pod strumień i pił łapczywie. Ten wirus grypy żołądkowej groził odwodnieniem. Miał już spierzchnięte wargi, a jego kości trzeszczały jak suchy chrust.

W telewizji ZDF można było zobaczyć Rieke Gersemę, rzecznikę prasową inspektoratu policji w Aurich. Przynajmniej ona była prawdziwa! Ale Rupert nie poznałby jej w pierwszej chwili, gdyby nie pojawiło się nazwisko.

Zbliżył się do telewizora. Rzeczniczka zrobiła sobie tak jaskrawy makijaż, jakby nagle stała się daltonistką. To wszystko powoli zamieniało się w jakąś medialną operetkę. W niemieckiej telewizji chwilowo nie leciał żaden „Idol”, więc możliwe, że cały kraj postanowił wyruszyć na poszukiwanie seryjnego mordercy. Z kolei w RTL ktoś udowadniał, że jest mądrzejszy od wschodniofryzyjskiej policji, przy czym, wypowiadając słowo „wschodniofryzyjski”, znacząco unosił brwi, jakby dla każdego musiało być jasne, że w policji we Fryzji Wschodniej mogą pracować wyłącznie idioci z popularnych dowcipów.

Ten dziennikarz, któremu Rupert życzył nagłej i bolesnej śmierci, dowodził za pomocą zdjęć i krótkich, lakonicznych komentarzy, że seria morderstw w żadnym razie nie rozpoczęła się w kwietniu w Lütetsburgu, lecz już dwanaście lat wcześniej w Stanach Zjednoczonych. Otóż, siedem kobiet zostało tam zabitych przez mordercę zwanego „miłośnikiem krajobrazów”, czy też „mordercą z Wielkiego Kanionu”, bo właśnie tam umieszczał ciała zamordowanych. Na jednym ze zdjęć Rupert najpierw w ogóle nie dostrzegł żadnej kobiety. Dopiero gdy za pomocą czerwonej kropki wskazano, że znajduje się ona między skałami, zobaczył pomalowane farbami ciało. Było ustawione na tle krajobrazu w taki sposób, by wyglądało jak wykute z granitu. Ze Stanów Zjednoczonych morderca przeniósł się jakoby do Anglii, a teraz kontynuuje swą pracę we Fryzji Wschodniej.

Jeśli to wszystko prawda — rozmyślał Rupert — to dlaczego my nic o tym nie wiemy? I dlaczego nie prosimy o pomoc naszych kolegów z policji amerykańskiej? Czy nasza komisja specjalna powinna częściej oglądać telewizję?

Jego wściekłość na media imacherów z telewizji ciągle rosła, ale nie wyszło to na dobre jego jelitom. Rupert znowu siedział na sedesie, podpierając głowę dłońmi, z łokciami opartymi o kolana.

Dlaczego — zastanawiał się — dlaczego tak szybko straciliśmy z oczu tego Gunnara Peschke i całkowicie skupiliśmy się na Meulingu? Czy to z lęku przed macherami z telewizji? A może Ann Kathrin zadurzyła się w tym dziennikarzu?

Rupert wlaźł do łóżka z laptopem i zaczął surfować po sieci. Rozpoczął własne dochodzenie śledcze w oparciu o powszechnie dostępne źródła.

I rzeczywiście okazało się, że Peschke przez jakiś czas przebywał w USA. Rupert przeciągnął się w łóżku i wziął głęboki wdech. Dopadnę cię — pomyślał — dopadnę cię!

Wyobraził sobie swój powrót do pracy jak triumfalny pochód. W końcu wręczył im mordercę na srebrnym talerzu. Żadnego utajnionego dochodzenia, żadnych męczących przesłuchań świadków. Nic z tych rzeczy. Po prostu trochę poszukiwań w Internecie i siła dedukcji.

Dopadnę cię, Peschke, już ja cię dopadnę!

WELLER Z INNEJ komórki wysłał esemesa do Ann Kathrin.

To świństwo, że wołowina jest taka droga, ale i tak kupiłem dla Ciebie filet. Dzisiaj wieczorem będę cię rozpieszczał.



Spodobała jej się to, co napisał, ale nie odpowiedziała od razu. Wtedy odezwał się jeszcze raz:

Możemy zorganizować sobie miły wieczór w domu. W telewizji leci dziś „King Kong”.

Teraz odpowiedziała:

Widzę, że dopadł cię mały humor.

Weller uśmiechnął się pod nosem.

ABEL PRZEKIEROWAŁ rozmowę telefoniczną do Wellera, dodając od siebie, że dzwoni „jakiś świr”, który swoich tajnych informacji nie chce powierzyć nikomu innemu z całej policji. Mężczyzna chce rozmawiać albo z Wellerem, albo z nadkomisarz Klassen, którą w denerwujący sposób nazywał bezustannie „Klaussen”.

Ale już w pierwszych sekundach rozmowy Weller wiedział, że to był strzał w dziesiątkę. W głosie mężczyzny było coś, co nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Nie rozwodził się nad pobocznymi tematami, jak to często robią wariaci, którzy próbują w taki sposób zaistnieć. Ten człowiek postawił jasne pytanie i miał zamiar ubić konkretny interes. Chciał pieniędzy.

— Czy to prawda, że za ujęcie sprawcy wyznaczono nagrodę dziesięć tysięcy euro?

— Sprawcę ujmijemy my. Nagroda jest wyznaczona za wskazówki, które doprowadzą do ujęcia — doprecyzował Weller i poczuł mrowienie w rękach.

To gorący trop — myślał. Bardzo gorący.

— Wiem, gdzie ukrywa się Meuling.

— Tak? Skąd pan to wie? Czy mogę zanotować sobie pańskie nazwisko i adres? Niechętnie sprawdzamy anonimowe wskazówki.

— Jestem prywatnym detektywem.

Trudno — pomyślał Weller. Pomyliłem się. Czyli jednak świr...

— Dieter Meuling jest winny paru osobom kilka paczek pieniędzy. Mój klient przed ponad rokiem przekazał mu większą kwotę w gotówce.

— Brudnych pieniędzy? — przerwał mu Weller.

— Ale gdzie tam! To były żetony do gry w Monopol... Oczywiście mój klient musi być chroniony. Mam za zadanie odzyskać pieniądze. I udało mi się znaleźć miejsce pobytu Meulinga plus kilka jego kont.

Weller przełknął ślinę:

— Słucham pana...

Od tej chwili zaczął nagrywać całą rozmowę. Powinien był właściwie poinformować o tym swojego rozmówcę, ale pominął tę kwestię milczeniem.

Numer telefonu, z którego dzwonił mężczyzna, nie był widoczny na wyświetlaczu Wellera. Najwyraźniej detektyw używał numeru zastrzeżonego.

— Meuling zachowuje się według klarownego wzorca.

Najchętniej Weller powiedziałby teraz: „Ho, ho, to wie pan więcej od nas!”, ale powstrzymał się od tej uwagi.

— Zawsze podrywa samotne kobiety. Preferuje młode wdowy albo kobiety, które mają za sobą jakieś ciężkie przeżycia, tkwią w samym środku rozwodu czy coś w tym stylu. Pociesza je i ochrania. Doradza im, jak mogą rozprawić się ze swoim eksami i...

Weller miał wrażenie, że w jelitach i w okolicach żołądka ma rozżarzone węgle. Czy jego Renate też trafiła na takiego typka? Ilu facetów tego gatunku chodzi po świecie? Pocieszyciele kobiet, którzy tak cudownie różnią się od ich byłych mężów. To oni są wspaniali, a byli mężowie źli, a tak naprawdę

chodzi tylko o to, żeby się dostać do ich pieniędzy.

— Z tego powodu zwykle wybiera miejscowości wypoczynkowe. To daje mu okazję poznać kobiety po przejściach. Doznawszy życiowego rozczarowania, dobrze jest najpierw pojechać nad morze. Jego terenem łowieckim są wschodniofryzyjskie wyspy, jak również miejscowości Katwijk, Nordwijk i Groningen. Zawsze unikał odległych kurortów. Nie trzeba lecieć na Karaiby, żeby poznać samotną kobietę. Poza tym musiałby tam konkurować z tymi wszystkimi pięknymi, czarnymi, muskularnymi żigolakami, którzy we Fryzji Wschodniej są raczej skromnie reprezentowani.

Weller próbował skierować rozmowę na bardziej konkretne tory, ale musiał przyznać, że i tak dowiedział się czegoś nowego o Meulingu. To wszystko pasowało do obrazu. A oni dotąd nie mieli o tym pojęcia.

— I gdzie on teraz przebywa?

— Czy możemy najpierw wyjaśnić kwestię wynagrodzenia? Jeśli wy aresztujecie typka, a ja nie będę mógł oddać pieniędzy mojej klientce, wówczas zostanę z pustymi rękoma. Dostaję dość skromną dniówkę, a żyję z honorariów wypłacanych po zakończonej sprawie.

— Wie pan, że łatwo może pan stracić licencję?

— Stroi pan sobie ze mnie żarty, panie Weller? Nic nie jest dzisiaj prostsze niż zarejestrowanie się w fachu prywatnego detektywa. Idzie się do urzędu do spraw porządku i bezpieczeństwa publicznego i składa wniosek o pozwolenie na prowadzenie działalności gospodarczej. A kiedy tylko wpłaci się dwadzieścia euro, już się jest prywatnym detektywem. To nie jest zawód chroniony — wie pan to tak samo dobrze jak ja. Nie może mi pan odebrać żadnej licencji, bo ja jej po prostu nie mam. To jest taki gag z amerykańskich filmów. Więc niech mi pan nie grozi, panie komisarzu. Wiem, gdzie jest Meuling. I chcę sprzedać tę informację możliwie jak najdrożej.

— Obiecuję panu, że wstawię się za panem. Jeśli rzeczywiście dopadniemy Meulinga, to...

— Nie dam się zrobić w bambuko, panie komisarzu.

— Już dawno sprawdziliśmy, z jakiego numeru pan dzwoni — zablefował Weller. — Wszystkie rozmowy telefoniczne są przez nas rejestrowane i...

— Ciągłe próbuje pan wywrzeć na mnie nacisk.

— Boże drogi, a czego pan się spodziewał? Mamy za sobą kilka koszmarnych dni. Prawie nikt z nas nie spał ostatnio więcej niż trzy godziny na dobę. Wszyscy mamy nerwy na wierzchu. Jeśli może nam pan pomóc, niech pan to zrobi szybko. Jesteśmy przekonani, że on wyszukał już sobie następną ofiarę.

— I możecie mieć rację. Nawet widzę ją teraz. Właśnie pije z nim kawę. To już trzecia filiżanka. Kobieta ma długie blond włosy, rozmiar ubrania trzydzieści osiem, najwyżej czterdzieści. Dobiega czterdziestki, ale udaje trzydziestkę, na co spokojnie można się nabrać. Jest mądra i wykształcona. Facet zostawił ją po trzech latach małżeństwa. Ta naiwna gęś nie spisała intercyzy. Tatuś podarował jej w prezencie ślubnym dom letniskowy w Groningen i mieszkanie własnościowe w Düsseldorfie. A jej facet wyczyścił wszystkie konta i wydał mnóstwo pieniędzy na swoją czekoladową przyjaciółkę z Mozambiku. Przy rozwodzie walka będzie szła — tak na oko — o mniej więcej siedemset tysięcy euro. Plus minus dziesięć procent.

— Skąd pan to wie?

— Czy wspominałem już, że jestem prywatnym detektywem?

Weller ze wszystkich sił próbował zachować cierpliwość. On chce współpracować — myślał. Czy w przeciwnym razie mówiłby o Groningen czy Düsseldorfie? Czy też były to tylko szczególnie cwane próby, by wypuścić go w maliny, a Meuling w rzeczywistości przebywał zupełnie gdzie indziej?

— Bierze pan teraz na siebie ogromną odpowiedzialność. Jeśli pan widzi w tej chwili Meulinga i jego następną ofiarę, to proszę nic nie robić. Ale niech pan z nami współpracuje. Niech pan trzyma się blisko,

ale w żadnych razie nie tak blisko, by on mógł nabrać podejrzeń. Proszę, niech nam pan udzieli dokładnej informacji, gdzie teraz jesteście. Być może w ten sposób uratuje pan życie tej kobiecie.

— Pan myśli, że on chce ją zabić?

— Już dwa razy zamordował.

— Myślę, że on chce ją tylko wykorzystać. Wy szukacie samotnego wilka, a nie zakochanej pary. On z nią po prostu spędza urlop — może się schronić w jej domku letniskowym i trochę ją pocieszyć, gdy policja szuka go po całym kraju. Założę się, że nie wychodzą z łóżka i nawet nie mają czasu na telewizję. Ona jest w niego wpatrzona jak w obrazek. Meuling potrafi być czarujący — niech pan mi wierzy. Obydwaj moglibyśmy dużo się od niego nauczyć.

Weller próbował sobie przypomnieć, czy w Groningen w ogóle jest jakaś plaża. Był tam dwa razy z Renate i dziewczynkami. Uznali, że Groningen to najlepsze miejsce w okolicy, by wybrać się na zakupy. Wtedy był jeszcze żonaty i nie musiał tak bardzo uważać na ceny.

Cudownie się wtedy czuł, gdy kupował swoim trzem kobietkom połyskujące zielenią i błękitem bransoletki, łańcuszki i kolczyki. Do teraz miał w uszach radosny pisk dzieci. I słowa Renate, która potem w kawiarni powiedziała przy wszystkich:

— Kiedyś mężczyźni musieli przynosić swoim rodzinom upolowaną zwierzynę, a ze szponów i zębów robiono potem ozdoby. Teraz mężczyźni nie muszą już mieć instynktu łowieckiego. Nie muszą ryzykować życiem. Wystarczy im czas, cierpliwość i trochę drobnych.

Wtedy w kawiarni Jule usiadła mu na kolanach. Przytuliła się do niego. Sabrina też długo nie wytrzymała i usiadła na jego drugiej nodze. To była dla niego dość niewygodna pozycja i nie był w stanie wypić swojej kawy. W końcu kawa mu ostygła, a on objął dzieci ramionami, zamknął oczy i oddychał głęboko.

To mu się kojarzyło z Groningen. A teraz siedział tam Meuling, który właśnie wyszukał sobie nową ofiarę.

— Na Boga — zaczął zaklinać mężczyznę. — Jeśli on ją zabije, jak pan będzie dalej żył z poczuciem winy? Niech mi pan powie, gdzie pan się teraz znajduje, i to zaraz!

— A nie możemy się najpierw porozumieć co do kwoty, panie komisarzu? A może zrobmy tak: pan mi przywiezie pieniądze, a ja panu powiem, gdzie...

Weller był już przyzwyczajony do niejednego, ale czegoś takiego jeszcze nie przeżył. Wybuchnął:

— Mówi pan poważnie? Myśli pan, że przyjadę z walizką pieniędzy, żeby odkupić od pana te informacje?

— A czy już pan tego nie robił?

— Nie, nigdy w życiu.

— Niech mnie pan nie okłamuje. Wasza policyjna gwiazda zapłaciła Meulingowi pięćdziesiąt tysięcy euro, żeby zaczął śpiewać.

Weller zacisnął pięść.

— To nie jest branża rozrywkowa. U nas takich rzeczy się nie robi.

Mężczyzna, który tak dużo wiedział o Meulingu, parsknął i zakaszłał, jakby się zakrztusił, a potem te dźwięki, podobne do skrzeku mewy, przeszły w iście homerycki śmiech. Gdy się już uspokoił, w jego głosie nadal pobrzmiwało rozbawienie:

— Panie komisarzu, niech się pan nie kompromituje. Przecież ona już jest gwiazdą mediów. Jak pan myśli, czemu ją odstawiono na boczny tor? Bo gdyby nadal brała udział w tym śledztwie, to w końcu rozwiązanie zagadki przypisano by wyłącznie jej. I wtedy ostatecznie zyskałaby rangę ikony kryminalistyki. Jeśli pan nie da mi pieniędzy, panie Weller, to może powinienem zapytać o to pana życiową partnerkę? Ona z pewnością nie jest taka małostkowa.

Weller poczuł, jak żołądek zaciska mu się na supeł. I o czym jeszcze wiedział ten typ? Czy to był może jeden ze współników Meulinga? Czy Meuling raz jeszcze próbuje go wystrychnąć na dudka za pomocą swoich tanich trików?

Weller postąpił teraz tak, jak podczas ostatniego turnieju gry w skata. Postawił wszystko na jedną kartę, chociaż nie wiedział, jakie karty są w banku.

— Albo teraz mi pan powie, gdzie mogę pana znaleźć, albo odkładam słuchawkę.

Trafiony. Przez chwilę informator nie wiedział, jak ma zareagować. Potem powiedział ostro:

— Nie musi pan tego robić. Ile czasu pan potrzebuje, żeby przyjechać do Groningen?

— Dobrą godzinę, być może półtorej. Czy tam pan przebywa w tej chwili?

— Nie, jeszcze nie. Oni właśnie spacerują sobie po plaży w... cha, cha, cha, chciałby pan to wiedzieć, co? I już by mnie pan z tego wygryzł. Ale wiem dokładnie, że oni wrócą do Groningen. I proszę się nie martwić, ja ich nie zostawię. On jej dzisiaj nie zabije. Zamówił stolik dla dwóch osób. Wiem, o której i gdzie. Jeśli przywiezie pan pieniądze, będzie pan mógł spotkać ich tam wraz ze mną. Jeśli nie, niech pan o wszystkim zapomni. Spotkamy się w Grand Café przy Poelestraat.

— Jak pana poznam?

— Nie pozna pan. Ale ja poznam pana.

WELLER SPOJRZENIEM dał Ubbo Heidemu do zrozumienia, że chce z nim porozmawiać na osobności. Nie było to w smak szefowi, bo przeczuwał, że będą z tego kłopoty.

Weller szybko zrelacjonował sytuację. Twarz Ubbo Heidego zrobiła się popielatoszara. Mięsień pod jednym okiem niezdrowo drgał. Jabłko Adama podskakiwało w dół i w górę, chociaż nic nie mówił, a tylko się przysłuchiwał. Oddychał przy tym jak astmatyk.

A potem potrzęsął głową, jakby nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

— Czemu on tak z nami pogrywa? Czy ma do nas jakiś osobisty uraz?

— Szefie, to jest nasza szansa. Jeśli ten typek ma rację, to...

— Nie możemy tak po prostu pojechać do Holandii, przekazać tam gotówki informatorowi, a na koniec arestować obywatela Niemiec. To narusza mnóstwo przepisów i umów międzynarodowych. Musimy zawiadomić policjantów na miejscu...

Weller potrzęsął głową.

— Nie, dziękuję. Ten typ zna mnie bardzo dobrze. To on mnie tam zagadnie. Beze mnie to się nie uda. Ale może na drodze urzędowej możemy...

— Zrobimy to inaczej, nieoficjalnie.

I Ubbo Heide zadzwonił do swojego starego kumpla. Był to *hoofdinspecteur* Piet Heyker. Poznali się niecałe dziesięć lat temu przy grze w bule i od razu się polubili.

Po kilku minutach wypełnionych *small talkiem* i wymianą najnowszych informacji o wynikach gry w bule Ubbo Heide poprosił swojego przyjaciela o przysługę.

WELLER ZAPARKOWAŁ na krytym parkingu w pobliżu Grand Café. W drodze na ulicę Poelestraat rzuciła mu się w oczy grupa okazałych rzeźb. To musiały być te syreny jego kumpla Heinera Zimmermanna. Przyjrzał się im dokładniej. Jedna z nich, z jędrnymi, nagimi piersiami już na pierwszy rzut oka wydała mu się podobna do Renate. Wellerowi od razu skoczyło ciśnienie. Czy Renate w ten sposób chciała się na nim zemścić? Zaczął się zastanawiać, komu jeszcze pokazywała piersi, i natychmiast poczuł, jak ogarnia go wzburzenie.

Gdy wreszcie znalazł Grand Café, ciągle jeszcze gotował się z wściekłości. Policjanci z Groningen już wcześniej założyli pluskwy w całym lokalu, ale Weller nie był w stanie rozpoznać, którzy z gości to

koledzy po fachu. Łagodne słońce padało na krzesła wystawione przed kawiarnią i mało kto siedział w środku, bo wszyscy goście woleli zażyć słonecznych promieni.

Weller usiadł przy pojedynczym stoliku i zamówił sobie *espresso* i wodę mineralną. Dwa stoliki dalej siedział mężczyzna koło czterdziestki o kanciastej twarzy i wystających kościach policzkowych — najwyraźniej specjalnie niedogolony i dość niedbale ubrany w ciemnobrązowe spodnie i jasnobrązową letnią marynarkę, spod której wзираł biały T-shirt. Mężczyzna jadł kawałek malinowego tortu z potężną czapą bitej śmietany, ale wcale nie wyglądał na wielbiciela słodczy. Wszystko to było jednym wielkim kamuflażem. Prawdopodobnie ten typek na co dzień nosił eleganckie garnitury.

Bacznie przyglądał się Wellerowi. Omiatał go przenikliwym spojrzeniem, jakby za pomocą promieni Roentgena chciał sprawdzić, czy Weller ma przy sobie broń.

Weller sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej komórkę. Wiedział, że wybrzuszenie kieszeni wielu ludziom może się kojarzyć z kaburą na służbową broń.

Mężczyzna wstał, ruszył w kierunku Wellera i zatrzymał się przy jego stoliku. Oparł niedbale palce o blat, zabębnił krótki takt na trzy czwarte i zapytał:

— Czy ma pan coś dla mnie, panie Weller?

Weller kiwnął twierdząco głową i wyjął kopertę z kieszeni na piersi.

— Pięć tysięcy euro...

Mężczyzna wykrzywił usta w impertynenckim grymasie.

— Wystawiam wam seryjnego mordercę! Może pan uratować ludzkie życie! I przynosi mi pan pięć tysięcy euro? Ile by pan wyłożył na stół, jeśli zamiast ludzkiego życia zaoferowałbym panu płytę CD z informacją o klientach banków w Szwajcarii?

Weller oczywiście od razu wiedział, do jakiego skandalu z przełomu lat 2007 i 2008 <sup>8</sup> nawiązywał mężczyzna.

— Nie jestem z policji podatkowej — powiedział — a to nie są moje prywatne pieniądze. Jak pan myśli, ile będę musiał napisać raportów, jeśli pańskie informacje okażą się bezwartościowe? Poruszamy się tutaj na granicy legalności, prawda?

Mężczyzna odkaszlnął, a potem wskazującym palcem zrobił nieznaczny ruch w kierunku Wellera. Weller przesunął w jego stronę kopertę.

— Czy chce pan przeliczyć?

— Oczywiście.

Mężczyzna wsunął serdeczny palec w kopertę i rozerwał ją.

— Dwadzieścia pięć setek. Pięćdziesiąt pięćdziesiątek.

Weller nerwowo poruszał czubkiem stopy w górę i w dół. Myślał o filetach wołowych schowanych w nagrzanym bagażniku samochodu, które chciał usmażyć na *medium*, a potem zjeść razem z Ann Kathrin i popić kieliszkiem dobrego białego wina.

— Potrzebuję pańskiego podpisu. — Weller podsunął mu pokwitowanie. Dokument był złożony podwójnie na pół, więc Weller rozprasował papier wierzchem dłoni.

— Pan chyba nie myśli poważnie, że podpiszę jakieś pokwitowanie?

— A jak niby ja mam się z tego rozliczyć? Przecież równie dobrze mógłbym to sobie schować do kieszeni. Płatnicy podatków mają chyba prawo do tego, by...

— Niech mi pan nie wciska kitu, panie komisarzu.

Weller wstał.

— Okej, zapomnijmy o tym. Proszę mi oddać pieniądze. Sprawa jest zamknięta. Bez pokwitowania nie ma wypłaty. Poza tym potrzebuję nie tylko pańskiego podpisu, ale i wiarygodnego adresu, żeby móc się potem z panem ewentualnie skontaktować.

Rzekomy prywatny detektyw się cofnął. Jego wargi się zwięziły i zbladły. Wysilił się na uśmiech. A potem powiedział:

— W porządku. Zarezerwowali stolik w De Parelvisser przy Gelkingestraat. Albo już tam są, albo mogą się zjawić w każdej chwili.

Natychmiast te pięć tysięcy euro przestało być dla Wellera ważne. Trzeba zdawać sobie sprawę, jakie są priorytety, gdy chodzi o ludzkie życie. Żadna, nawet najbardziej uzasadniona formalność nie może mu przeszkodzić w wyrwaniu z rąk Meulinga kolejnej ofiary.

Weller wypadł z kawiarni. Jego informator zawołał za nim:

— Zapłacę za pana! Nie chcemy przecież, żeby pan został aresztowany za niepłacenie rachunków, prawda, panie komisarzu?

Dwa kroki za drzwiami ktoś zatrzymał Wellera. Mężczyzna około sześćdziesiątki o puciołowatej, bliznowatej twarzy, który wyglądał, jakby w dzieciństwie przeszedł dżumę dymieniczą, chwycił go za rękaw.

— Chwileczkę, panie Weller. Jestem *hoofdinspecteur* Piet Heyker. Wszystko słyszałem. Meuling pana zna. Pan nie może go aresztować. Znajduje się pan poza terytorium swojego państwa.

— Wiem, ale...

— Mam tutaj zespół specjalistów. Pójdziemy teraz do tej restauracji. Przypadkiem znam dobrze jej właściciela. Będziemy wszystko słyszeć z sąsiedniego stolika. Nasze mikrofony kierunkowe są małe, ale efektywne. Jeśli Meuling tam jeszcze nie dotarł, możemy umieścić mikrofon pod stolikiem i...

— Nie chcę słuchać audycji radiowej. Chcę go aresztować.

Piet Heyker nie tolerował sprzeciwu. Pociągnął za sobą Wellera i przekazał dwóm holenderskim policjantom. *Hoofdinspecteur* Heyker najpierw sam poszedł do restauracji De Parelvisser, porozmawiał tam krótko z kelnerem, po czym zniknął w kuchni. Stamtąd widać było całą restaurację. Meuling i jego nowa ofiara jeszcze nie dotarli na miejsce. Ale kelner już mógł wskazać komisarzowi zarezerwowany stolik.

Kilka minut później pod krawędzią stołu przyklejono mikrofon radiowy wielkości paznokcia. Weller dostał słuchawki, podobnie jak Piet Heyker i dwóch pozostałych policjantów.

Wellera zaprowadzono do restauracyjnej kuchni, bo Meuling w żadnym wypadku nie mógł go zobaczyć. W kuchni Weller miał czekać razem z milczącymi kolegami po fachu z Holandii, między garnkami, łyżkami i cudownie pachnącymi potrawami.

Ponieważ kuchnia była dobrze widoczna z restauracji, jeden z policjantów kucnął na podłodze przy koszu na śmieci, podczas gdy Weller przykleił się do ściany obok okienka do wydawania potraw, tak by Meuling go nie dostrzegł.

Tuż obok Wellera stało sześć deserów. Z trudem się opanował. Najchętniej od razu wetknąłby palec w biały *mousse au chocolat* i pożarł go do ostatniej wisienki. Stał w niewygodnej pozycji i ciągle zawadzał, bo w kuchni panował gorączkowy ruch. Kiedy do restauracji wszedł Meuling z młodą kobietą, prawie wszystkie stoliki były już zajęte.

Weller pocieszał się myślą, że przecież nie przybył tutaj, by się relaksować i że już niedługo wróci do domu z raportem o wspaniałym sukcesie. A potem zdąży jeszcze usmażyć steki. I jeśli nawet zrobi się z tego nocny posiłek, to i tak do ich związku wróci wreszcie normalność. Coś na kształt zwykłego życia. Miał poczucie, że w ten sposób naprawi błąd, jaki popełniła Ann Kathrin, a on przyczyni się do jej rehabilitacji.

Godzinę później, gdy zaczęły go boleć plecy, a prawa stopa zupełnie zdrętwiała, zaczął się zastanawiać, kiedy holenderscy koledzy ruszą wreszcie do akcji. Nie był w stanie dłużej znieść gruchania Meulinga. Podczas gdy na oczach Wellera przygotowywano właśnie *coq au vin*, Meuling mówił do swej

nowej ofiary:

— Tak, Birgitto, to nic nie kosztuje, gdy budujemy zamki na lodzie, ale płacimy wysoką cenę, gdy musimy je zburzyć.

Ona westchnęła, czuła się naprawdę rozumiana, i po raz szósty tego wieczoru stwierdziła, że jej były mąż wypatroszył ją jak bożonarodzeniową gęś. Była taka obolała i wykorzystana, a Meuling aż się palił, by lizać jej rany. Obiecał jej, że rozprawi się z byłym mężem. A potem coś zaskrzypiało. Holenderscy policjanci niezbyt się tym przejęli, Weller dostrzegł ich znudzone spojrzenia. Jego samego jednak słuchawki zaczęły palić w uszach.

Do kuchni wszedł kelner i zabrał dwie porcje *coq au vin*. Uchylnie drzwi, przed które wyszedł, kilkakrotnie zachybotwały. Weller odkleił się od ściany i zauważył, że Meuling wstał.

— Do ataku! — wezwał Weller. — Do ataku!

Jego wciąż jeszcze bezimienny kolega po fachu dał mu znak lewą ręką, by się uspokoił. A przy Wellerze stanął już *hoofdinspecteur* Heyker.

— Musimy atakować. Zauważył mikrofon.

Heyker potrząsnął głową.

— Proszę się nie martwić. Może zahaczył o mikrofon kolanem albo stół się trochę zachwiał. Te urządzenia są bardzo wrażliwe. Przekazują najcichszy dźwięk.

— Ale on ucieka. Wyczuł pismo nosem.

Weller już nie mógł czekać. Musiał się stąd wydostać i dopaść Meulinga. Nie był w stanie ocenić, czy zaraz wszystko popsuje, czy też wręcz przeciwnie.

— Meuling poszedł do toalety — powiedział Heyker — nie ma powodów do zdenerwowania.

— Dlaczego go nie aresztujemy? Co tu się w ogóle wyprawia?

— Spokojnie, ta rozmowa nie zawierała dotąd żadnych sugestii, że Meuling ma zamiar popełnić jakiś czyn karalny na terenie Holandii. Nie jest agresywny i nie robi wrażenia osoby niebezpiecznej. Przeciwnie, można odnieść wrażenie, że to bardzo wrażliwy mężczyzna, który wykazuje wiele zrozumienia dla...

Weller uderzył się otwartą dłonią w czoło.

— No świetnie! Czyście wszyscy upadli na głowę? Przecież on tu odstawia teatr! To jest oszust, morderca...

— Nasz kolega, van der Waal, poszedł za nim do toalety. Proszę się nie bać. Meuling nie ucieknie przez okno. Zresztą na zewnątrz też mamy ludzi...

Kilka sekund później dobiegło ich wołanie o pomoc. Van der Waal ryczał, jakby ktoś mu wyrwał rękę.

Teraz wszyscy ruszyli do toalety, zrzucając na ziemię wszystkie talerzyki deserowe. Za Wellerem rozległ się brzęk tłuczonych naczyń.

Drzwi do toalety otworzyły się i stanął w nich wyprostowany van der Waal. Miał szeroko otwarte oczy. Z jego splotu słonecznego wystawał trzonek noża do steków.

— Zijn wapen! Hij heeft zijn wapen!

Meuling popchnął stojącego przed nim van der Waala w plecy. Policjant stracił przytomność i upadł na podłogę. Meuling zaczął wymachiwać jego pistoletem. Padł strzał. Na szczęście kula wbiła się w sufit.

A potem Weller i Meuling stanęli oko w oko. Weller zastawił mu przejście do drzwi wyjściowych.

— Odsuń się, bydlaku, albo cię ukatrupię! Nie macie jeszcze dość, cholerne wschodniofryzyjskie śledzie? — wrzasnął Meuling.

Wyglądał, jakby zaraz miał dostać zawału. Twarz miał purpurową, a oczy wychodziły mu z orbit.

Jakiś turysta z Japonii uznał, że to napad rabunkowy z bronią w rękę, i gorliwie wyciągnął przed siebie rękę z portfelem.

Meuling przecisnął się w stronę Birgitty, a potem wrzasnął:

— Mam zakładnika. Rozwalę jej łeb, jeśli ktoś podejdzie za blisko. Dajcie mi wreszcie spokój!

Jakiś student z Heidelbergu zaczął przy drzwiach strugać bohatera. Podstawił Meulingowi nogę. Ten potknął się i przewrócił, ale plecami uderzył w drzwi wejściowe. Na kilka sekund wypadła mu z rąk broń van der Walla, ale szybko ją podniósł i natychmiast skierował na Wellera. Sprawnie podniósł się z ziemi i wypchnął przed sobą Birgittę przez drzwi na zewnątrz.

Weller wyjął swoją służbową broń, której tak naprawdę nie miał prawa tutaj nosić, i zagrział:

— Stój, Meuling, ręce do góry!

Meuling odkrzyknął, nie odwracając się:

— Pocałuj mnie w dupę!

Birgitta zgubiła prawy but. Meuling popychał ją przed sobą. Weller biegł za nimi ulicą.

Meuling odwrócił się do Wellera i skierował wylot lufy w kierunku jego głowy.

Weller upadł na jedno kolano i wypalił.

Potem Weller będzie utrzymywał, że tępy huk strzału nie tylko ogłuszył jego słuch, ale i rozum. Ale teraz był przekonany, że działa w sposób racjonalny i przemyślany, gdy po raz drugi nacisnął na spust. Przypuszczał, że chybił, w każdym razie nie trafił jak trzeba, bo Meuling zachwiał się, ale ciągle nie wypuszczał broni z ręki.

Trzecia kula trafiła Meulinga w pierś i rozerwała mu serce.

BEZ WĄTPIENIA wyspa Juist także zasłużyła na swoje zwłoki. Bawiła go myśl, że mieszkańcy Juist mogliby mieć mu za złe, że ich wyspa została wyłączona ze spektakularnej serii morderstw. Może będą się zastanawiać, czy uroda ich wyspy nie jest wystarczająca jako tło dla jednego z jego dzieł sztuki? Tak naprawdę kochał tę wyspę. Mimo to wiązały się z nią pewne kłopoty. Po pierwsze, promy na wyspę były zależne od przyływów. Ale nawet gdyby rozwiązał problemy logistyczne, to i tak uważał, że nowo zbudowany znak nawigacyjny, który stał się symbolem Juist, jest żaloszny. Miał on prawdopodobnie wyglądać jak żagiel, ale raczej przypominał hotel Burj al Arab w Dubaju, ów jedyny siedmiogwiazdkowy hotel na świecie o wysokości trzystu dwudziestu jeden metrów, zbudowany za 1,2 miliarda dolarów. Był to dla niego wstrętny symbol dekadencji i bezguścia. Namalował go kiedyś. Na jego obrazie hotel zanurzał się w morzu, a na jego szczycie powiewała flaga z napisem: „Jesteśmy bogaci i strzelamy do biednych”.

Ta nowa konstrukcja, która tak bardzo chciała stać się symbolem Juist ze swoją wysokością szesnastu i pół metra, może i nie była świadectwem nadmiernego przerosu ambicji, ale mimo to raniła jego estetyczne odczucia. Może i nie wytrzymywała porównania z hotelem w Dubaju, w którym najtańszy nocleg kosztował podobno dwa tysiące euro, ale za to przypominała mu statek, częściowo zatopiony w morzu, którego dziób jeszcze wystawał na powierzchnię.

Właściwie było to idealne miejsce, by spalić tam jakąś blond piękność. Ale to kojarzyłoby się ludziom z czymś na kształt stosu do palenia czarownic. Ta myśl niezbyt mu się spodobała, bo on nie palił przecież czarownicy, tylko anioła. Jego dzieło miało być raczej światłem nawigacyjnym pośród nocy — pełnym przerażającego piękna, jak z obrazów Hieronima Boscha.

Od jak dawna pozostawał pod wpływem wizji jego fantastycznych światów? Tak długo go podziwiał i czcił, że trudno mu było iść własną drogą, skończyć z naśladowaniem Mistrza.

Ale w porównaniu z jego własną realistyczną twórczością piekielne wizje Hieronima Boscha będą kiedyś robić wrażenie malarstwa naiwnego.

Tak jak Hieronim Bosch ukazywał chaos kończącego się średniowiecza i dał sygnał do rozpoczęcia nowej ery w sztuce, tak i on kiedyś będzie postrzegany jako artysta, który zainicjował nową epokę.



Będzie kimś, kto jak czuły sejsmograf rejestrował zmiany w ludziach i społeczeństwie, ukazywał je jak w zwierciadle i tym samym zapoczątkował nowe czasy. Ludzie patrzą teraz na średniowiecze już tylko z kpiną i odrazą, ale tak samo będą kiedyś oceniać nas. Ten śmiechu warty kolorowy kicz, który zapełnia muzea, jest sygnałem, że oto nadszedł wreszcie czas jego wielkości.

Kiedyś będą tu przyjeżdżać autokary z turystami i studentami sztuk pięknych, by poczuć magię miejsc, w których on dokonał swoich wielkich artystycznych happeningów. Nie będzie sprzedawał biletów wstępu. Nie będzie potrzebował pokłasku. Nie będzie musiał zabiegać o popularność i brać udziału w telewizyjnych *talk shows*. On poświęcił swoje życie dla sztuki. Ze sztuki uczynił swoją religię z sobą samym jako arcykapłanem.

Był przekonany, że teraz ma już więcej uczniów niż Akademia Sztuk Pięknych w Münster. Przed prawie dwudziestu laty odrzucili jego podanie, zarzucając mu brak talentu. A przecież już niedługo będą mogli z dumą nazwać swoją uczelnię jego imieniem.

Nie, on nie ma zamiaru nobilitować tego szkaradnego żagla z Juist swoją sztuką. Już bardziej odpowiada mu latarnia morska.

Bo i on kiedyś będzie przyrównywany do latarni — jako światło w ciemnościach nocy. Jako pomoc tym, którzy bez kompasu ciemną nocą zagubili się na szalejącym morzu.

Ta myśl przypadła mu do gustu.

WELLER MIAŁ przed oczami swoje dzieciństwo, przypominające teraz ponure bagno, w którym powoli się zapadał. Najgorsze proroctwa jego ojca stały się rzeczywistością. Miał w sobie coś złego, co musiało być trzymane w ryzach za pomocą surowych zasad. To dzięki zwierzę, które nagle traciło nad sobą panowanie, które sprzeciwiało się wszelkim regułom i przepisom, umiało robić złe rzeczy. Skłaniało go na przykład — jego, wielbiciela ryb — by w piątki, gdy mama stawiała na stół smażone śledzie lub pstrągi, biec potajemnie do baru i jeść tam kiełbaski z musztardą.

Wciągnął głowę w ramiona. Siedział w napięciu, jakby się spodziewał, że w każdej chwili ktoś może zaatakować go od tyłu. Wyrok, jaki mógłby wydać w jego sprawie nieżyjący ojciec, był druzgoczący.

Wszystko zrujnował. Swoje małżeństwo. Swoją zawodowy prestiż. A teraz miał jeszcze na sumieniu ludzkie życie.

Ann Kathrin nie mogła na niego patrzeć, gdy tak siedział pogrążony w rozpacz. Chciała coś dobrego dla niego zrobić, coś mu zaproponować. Jego ukochane *espresso* wydało się jej nagle zupełnie nie na miejscu. Zamiast tego zaparzyła herbatę miętową. Wypił ją małymi łydkami, prawie nie czując smaku — bardziej z poczucia obowiązku.

— Jestem załatwiony — powiedział i spojrzał nieobecny wzrokiem na kamienne płytki podłogi.

Przekonywała go, że działał w obronie własnej, ale on tylko potrząsnął głową.

— Nie, wcale nie.

— Frank, nie opowiadaj takich bzdur. Zeznania kolegów z Holandii są zupełnie jednoznaczne. U niewinniają cię w stu procentach. Meuling zauważył, że jest podsłuchiwany. Próbował uciec przez toaletę. Van der Waal chciał go zatrzymać, a Meuling wbił mu pod żebro nóż do steków. Życie van der Waala nadal jest zagrożone. Meuling strzelał i celował w ciebie, a ty... byłeś po prostu szybszy. Na szczęście!

Weller spojrzał na nią z niedowierzaniem. Włosy sterczały mu w nieładzie, ale nie wyglądał teraz na słodkiego i rozkochanego faceta, jakim wydawał się czasem rano, gdy się budził. Przypominał raczej narkomana na głodzie, który wypadł właśnie z programu metadonowego i pilnie potrzebuje kolejnej dawki.

— Chciałem go zabić. Chciałem go zabić już wtedy w kuchni. Nie mogłem wytrzymać jego gładzenia.

Ja...

Uklękła przed nim i z dołu spojrzała mu w oczy. Postanowiła, że nie dopuści do utraty kontaktu wzrokowego. Potrząsnęła nim.

— Frank! Nie wolno ci tak mówić! Nigdy! Nawet nie wolno ci tak myśleć. Celowałeś w rękę. W ramię. On się potknął i dlatego trafiłeś go w serce. Jasne, że to był wypadek. Pozostali policjanci opisali to bardzo dokładnie. Jeśli twierdzisz inaczej, to wbijasz nóż w plecy sobie i swoim ludziom.

Przez chwilę milczał z zaciętą miną. Mięśnie twarzy mu drgały. Potem podniósł się nagle, prawie przewracając Ann Kathrin.

— Nie byłem w stanie wytrzymać jego gadki. To było wstrętne. Jego słowa wnikały we mnie jak trucizna.

— A co on takiego mówił?

— Ten bydlak ją urabiał. Napuszczał ją na byłego męża i wywyższał się jego kosztem, rozumiesz? Mówił jak zakłamany pastor, który wygłasza kazania o miłości bliźniego i poświęca się pracy z młodzieżą, a tak naprawdę chodzi mu tylko o seks z dziećmi. Tak bardzo liczyłem, że ona to zauważy, nawrzeszczy na niego, da mu po gębie, ale nie. Nie i nie. Jego podstęp zadziałał, a ona to wszystko łyknęła.

Ann Kathrin ostrożnie podeszła do Wellera. Położyła prawą dłoń na jego plecach. Nie odtrącił jej.

— Mogę sobie wyobrazić, że cię to rozwścieczyło, Frank. Ale przecież z takiego powodu nie zabijasz ludzi.

Słowa wystrzeliły z niego jak para z czajnika. Z ust spadały mu drobinki śliny.

— Wiesz, ja w ogóle nie widziałem tej kobiety. Ona z każdą chwilą zmieniała się w moim odczuciu w Renate. Miałem wrażenie, że właśnie jej to wszystko opowiada. Że to ze mnie robi ostatniego dupka. Że to przeciw mnie ją nastawia i...

Weller mówił dalej, ale jego słowa już nie docierały do Ann Kathrin. Poczła się dotknięta. Zraniło ją, że myślał wtedy o swojej byłej żonie, a nie o niej. Poczła ukłucie palącej zazdrości, a równocześnie uświadomiła sobie, że on jeszcze nie uporał się z rozwodem z Renate. Jasne, był rozwiedziony i mieszkał teraz z nią w domu przy Distelkamp. Był czułym kochankiem i wrażliwym partnerem życiowym, ale w środku ciągle jeszcze mocniej związany był z Renate niż z nią.

— A gdy powiedział: „To nic nie kosztuje, gdy budujemy zamki na lodzie, ale płacimy wysoką cenę, gdy musimy je zburzyć”, to już wiedziałem, że go zabiję.

Ann Kathrin znowu spróbowała przemówić do Wellera.

— A ty z Renate zbudowałeś aż tyle zamków na lodzie? — zapytała.

— Kto tego nie robi? A potem taki jeden wszystko to nurza w błocie i...

— I na koniec zabija swoje ofiary — powiedziała Ann Kathrin. — I ty na to nie pozwoliłeś. Jeśli już tak bardzo chcesz wiedzieć, uratowałeś życie tej swojej Renate.

— Co? — Weller szybko się odwrócił.

Dostrzegł, że zranił czymś Ann Kathrin, ale jeszcze nie pojmował, co takiego zrobił.

— Przecież ciągle jeszcze chcesz ją chronić przed złem tego świata, prawda? Przed podstępными kochankami, przed oszustami matrymonialnymi, a zwłaszcza przed facetami, którzy nastawiają ją przeciwko tobie.

Weller zagryzł wargi i przytaknął.

— Tak, do cholery, tak właśnie jest.

— Ciągle jeszcze ją kochasz — stwierdziła Ann Kathrin zimnym głosem.

— Nie, nie kocham jej. To nie tak, jak myślisz. Ja... ach, daj mi z tym teraz spokój, Ann. Właśnie zastrzeliłem człowieka.

— No, wygląda na to, że niedługo będziemy mogli otworzyć naszą budkę z rybnymi burgerami w Norddeich — jeśli nadal chcesz mnie za współnika. Chyba że wolisz prowadzić ten biznes ze swoją Renate.

— Przestań! Jestem załatwiony. Czy musisz teraz jeszcze po mnie skakać? Sprawia ci to przyjemność?

— A sprawiało to przyjemność twojej Renate? — wrzasnęła na niego Ann Kathrin. — Czy muszę teraz odpokutować za coś, co ci robiła? Właśnie próbuję być dla ciebie rozumiejącą partnerką, próbuję dać ci oparcie i...

— Jestem załatwiony, Ann. Odbiorą mi moją odznakę służbową, pensję i...

— I co? — krzyknęła. — Naprawdę tego potrzebujemy? Tego brudu dzień w dzień? Tych świrów, z którymi ciągle musimy się zmagać? Ciągłe ktoś cię okłamuje, ciągle przyjeżdżamy za późno. Wyzywają nas od psów. Potrzebujesz tego do szczęścia? My wcale nie dostajemy pensji, tylko zadośćuczynienie za doznane krzywdy!

Ktoś zadzwonił do drzwi. Ann Kathrin poszła otworzyć. Przez mleczną szybkę w drzwiach ujrzała długowłosego młodzieńca z dwoma bukietami kwiatów: jeden bukiet składał się z żółtych róż i białych lewkonii, drugi to były różowe gerbery, niebieski osiet ozdobny i jakieś białe kwiaty, których nazwy nie знаła.

Ann Kathrin zawahała się przez chwilę, zanim otworzyła drzwi. Właściwie wolałaby być teraz sama z Wellerem. Domyślała się, że kwiaty były dla jakiegoś sąsiada na urodziny, o których niestety znowu zapomniała.

Młody człowiek miał krzywe, pałkowate nogi, co tylko podkreślały jego dzinsy rurki. Na jego koszulce widniał napis: „Koniec świata był wczoraj — ale prawdziwe kłopoty zaczynają się dzisiaj”. Popatrzył na nią jak drapieżnik, który sprawdza szybko, czy obiekt pasuje do jego wyobrażenia zdobyczy.

— Czy mieszka tutaj niejaki pan Weller? — zapytał. — Adres się zgadza. Distelkamp trzynaście, prawda?

— Tak, jest w domu. — Ann Kathrin kiwnęła głową. — Przekażę mu kwiaty.

Przy każdym bukiecie była karteczka. Na jednej napisano: „Jest Pan moim bohaterem”, na drugiej: „Serdeczne gratulacje”.

Ann Kathrin natychmiast porównała pismo. Na obydwu karteczkach bez wątpienia było to same, niemalże dziecięce pismo i ten sam długopis.

Posłaniec kwiatowy wskazującym palcem poprawił okulary na nosie i odezwał się:

— Pismo nie pochodzi od osoby, które przysyła kwiaty. Jedno zlecenie przyszło telefonicznie, drugie przez Internet. Tekst na kartkach pisałem ja.

— Od kogo są te kwiaty?

— Mogę to sprawdzić w domu. Ale adres nie musi być prawdziwy. Jeśli ktoś korzysta z serwisu kwiatowego, zamawia u nas bukiet i za niego płaci, nie musi nam przecież okazywać dowodu osobistego. Jak pani myśli, ile kwiatów wysłała się anonimowo? — Uśmiechnął się pod nosem z miną znawcy. — Ale czy to jest teraz dla pani jakiś problem?

— Nie, dziękuję.

Ann Kathrin postanowiła pozbyć się młodzieńca jak najszybciej. Zastanawiała się, czy ma mu dać napiwek. Ten mężczyzna denerwował ją, w dodatku zapytał, czy może skorzystać z łazienki.

Wychowano ją na miłego, pomocnego i przyzwoitego człowieka, ale czasem zastanawiała się, czy w życiu bardziej jej to szkodzi, czy pomaga. Na przykład teraz. Nie potrafiła jednak tak po prostu powiedzieć „nie”.

Pokazała mu drogę do łazienki, a sprężysty krok, którym przemierzył korytarz, rozglądając się na boki, jeszcze bardziej ją rozstroił.

Na pewno sądzi, że jestem teraz sama — myślała. A kwiaty są dla mojego faceta od jakiejś panienki w podziękowaniu za namiętą noc. I teraz ten młodzieniec myśli, że wybuchnę płaczem, gdy tylko zamknie drzwi za sobą. Z pewnością chętnie by mnie pocieszył.

Jego zachowanie bardzo przypominało jej zachowanie Meulinga. Ale potem zawstydziła się tych myśli. Może była dla posłańca niesprawiedliwa?

Mężczyzna długo siedział w toalecie. Zdążyła umieścić obydwie bukiety w wazonach i zanieść je Wellerowi do salonu, gdy wreszcie usłyszała dźwięk spłuczki.

Zanim pożegnała młodzieńca przy drzwiach, ten wyszeptał jeszcze:

— Jeśli pani chce, mogę dla pani sprawdzić, skąd dokładnie są te kwiaty.

Chciał jej wręczyć swoją wizytówkę, ale ona wypchnęła go za drzwi:

— Nie, dziękuję.

Weller nadal nie pojmował, że kwiaty są dla niego. Zrezygnowany powiedział:

— No, szybko poszło.

— Ale co?

— Twój były na pewno już przeczuł, że może cię odzyskać po tym żalnym numerze, który wyciąłem.

Ann Kathrin nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Naprawdę myślisz, że kwiaty są od Hero?

W DYŻURCE INSPEKTORATU POLICJI w Aurich przy Fischteichweg ktoś inny również zostawił bukiet kwiatów dla Franka Wellera, a do tego paczkę pralinek z cukierni Remmes w Norden. Do skrzynki na listy w kawalerskim mieszkaniu Wellera w Aurich Jutta Spiekermann osobiście wrzuciła czterostronicowy list. Opisała w nim, jak siedziała przed telewizorem, oglądając wiadomości o wydarzeniach w Groningen, i zrozumiała, dlaczego nie kocha już swojego męża. On po prostu na wszystko pozwala. Dzieci pomiatają nim tak samo, jak i jego szef. Próbuje wszystkim dogodzić i przez to już sam nie wie, kim jest. Coraz bardziej stawał się szklanką, do której każdy mógł wlać, co chce. I raz był szklanką piwa, raz szklanką mleka, raz szklanką wody — nie miał już żadnej osobowości. Stał się potulnym pieskiem kanapowym. Gdyby choć raz całym sercem czemuś się poświęcił! Gdyby choć raz podjął próbę, aby zaatakować albo się obronić. Głęboko w swym sercu pragnęła, by kochał ją bohater, a nie ścierka do naczyń. Napisała więc do Wellera list miłosny. Pierwszy list od dwudziestu jeden lat. Przełała do niego całą frustrację swojej duszy: „Póki istnieją tacy mężczyźni, świat nie jest jeszcze stracony. Żyję w stabilnym związku — mam męża i dwoje dzieci. Nigdy nie spotkałam pana osobiście, ale wiem, panie Weller, że wystarczy jedno pana słowo, a odejdę od męża...”

Zamiast podpisu papier ozdabiał odcisk jej warg.

Do inspektoratu policji w Aurich dotarł ponad tuzin mejli, w których nadawcy wylewnie poklepywali Wellera po ramieniu. Ubbo Heide otrzymał gratulacje z powodu tak odważnego pracownika. Dwóch młodzieńców wystawało dość długo przed budynkiem inspektoratu, aż w końcu się przyznali, że czekają na Wellera, żeby dostać od niego autograf. Bo nikt nie jest tak *cool* jak on.

W chwili swej największej klęski życiowej Weller po raz pierwszy zaczął dostawać listy od wielbicieli. Ale nie był jeszcze w stanie pojąć w pełni tej ironii losu.

POGWIZDYWAŁ RADOSNĄ melodię jakiejś dziecięcej piosenki i wystukiwał rytm palcami na kierownicy. Śmiał się głośno, a tylne lusterko ustawił tak, by nie tyle widzieć ruch samochodowy za sobą, co swoją twarz.

Czyż to nie był cudowny dzień?

— Dzięki, Frank — roześmiał się. — Właśnie takiego wsparcia potrzebowałem. Macie mordercę, a jeszcze na dodatek od razu go zastrzeliłeś. Teraz mogę w spokoju przygotować moje kolejne dzieło, a młode kobiety znowu będą bardziej ufne. Co za dzień!

Przejechał językiem po zębach i postanowił, że musi sobie kupić wybielającą pastę.

— Teraz znowu mogę sobie wybrać ofiarę, jaką zechcę. A mam ich jeszcze kilka na liście.

Zaparkował dwie przecznice dalej, a resztę drogi do profesora przebył na piechotę. Nikt dzisiaj nie byłby w stanie odtworzyć związku między nim a profesorem Dieboldem. Być może ten kiepski pacykarz nawet mnie już nie pamięta? — zastanawiał się. Byłem przecież dla niego jednym spośród wielu numerów na liście.

Moje obrazy były dla niego zwykłą ozdobą do salonu — tak samo kiepską jak ryczący jeleń wiszący nad kanapą obok dębowej meblościanki. Tak, właśnie tak się wtedy wyraził. Uprzejmie jak zawsze — z uśmiechem na swojej zakłamanej gębie.

Ten profesor nazwał go wtedy artystycznym zerem, a jego obrazy po prostu wyśmiał. Powiedział, że są pozbawione treści i jakiegokolwiek przesłania. A powiedział to ten, który profanuje budynki użyteczności publicznej swoimi gryzmołami, niezdarnie nabazgranymi formami geometrycznymi. W proteście przeciw tym muralom zdążyły już nawet powstać inicjatywy obywatelskie.

Ciekawe, czy dalej będziesz się śmiał z moich dzieł, gdy rozpoznasz na jednym z nich swoją córkę — krzyczącą z bólu, przywiązaną do płonącej latarni morskiej w Pilsum? Dawno temu zakradłem się na twoje zajęcia i byłem świadkiem intelektualnego bankructwa. To było żałosne, po prostu żałosne i żenujące równocześnie. Gorsze od tego są tylko twoje artystyczne manifesty i twoje bezideowe pacykarstwo.

Czy nie rozpoznałeś mojego talentu, bo byłeś ślepy, co zresztą wyraźnie potwierdzają twoje obrazy? Czy też jednak wyczułeś, że oto stoi przed tobą geniusz malarstwa? Może przestraszyłeś się, że twoje obrazy okażą się płaskie jak znaczek pocztowy, gdy tylko zrobię swoją pierwszą dużą wystawę, i pojąłeś, że nikt już tych twoich śmieci nie nazwie sztuką? Próbowaleś wyciąć konkurencję? Czy dlatego zostałeś profesorem? Czy z tego powodu stałeś się piewcą przeciętniactwa, a potem wszystkich tych przeciętniaków przyjąłeś do swojej klasy mistrzowskiej, żeby nikt nigdy nie podważył twojej pozycji?

Wszystko na nic, profesorku! Ja dopełnię tego, co rozpoczął Hieronim. I będą wymieniać moje nazwisko na jednym wydechu z Dalim i Picassem, wtedy gdy już żaden człowiek nie będzie pamiętał, że kiedykolwiek istniałeś.

A jeśli nawet ktoś wymieni twoje nazwisko, to tylko w związku z moim dziełem. Bo twoja córka dostąpi zaszczytu wyniesienia do rangi dzieła sztuki. A tobie pozostanie hańba, że mnie odrzuciłeś — obojętnie z jakich pobudek. Mogłeś być moim mistrzem. Być może jeden czy dwa z twoich obrazów trafią do katalogu z moją sztuką, ale będą tam miały wielkość znaczka pocztowego. I powinieneś się

cieszyć, że nie będą większe, bo wtedy ludzie od razu poznaliby różnicę między małym pozerstwem a autentyczną wielkością.

Z domu wyszła jakaś kobieta. Nie był w stanie ukryć uśmiechu. Tak, to musiała być pani profesorowa Diebold. Jak dwoje tak brzydkich ludzi mogło począć tak piękną córkę? — zastanawiał się. Poczł rozbawienie, gdy pomyślał, że żona profesora wraz ze swym mężem wyglądają dokładnie tak, jakby brakowało im wszelkiego zmysłu piękna.

Miała na sobie marynarkę w biało-czarny wzór „pieprz i sól”, spódnice w kolorze gołębiego błękitu i brązowe buty z okrągłymi czubkami. Jej włosy były krótko obcięte — czarne z kilkoma jasnymi pasemkami. Gdyby miała trochę większe okulary, mogłyby spokojnie imitować rower, a teraz po prostu zasłaniały tę jej głupkowatą twarz.

Ale córka mu się podobała. Była właśnie u rodziców z kilkudniową wizytą i mieszkała na górze w swoim dawnym pokoju dziecięcym pod samym dachem. Bez problemu mógłby wejść do jej pokoju przez balkon, ale prawdopodobnie kosztowałoby to zbyt wiele zachodu i w ogóle nie było konieczne. Wiedział, gdzie dziewczyna bywa. Przesiadywała w Barze pod Beztalenciem wraz z tymi, pozał się Boże, artystami, którzy zamiast malować prawdziwe obrazy, marzyli tylko o wielkiej karierze. Żaden z nich nie zostanie malarzem — chyba że pokojowym. Kilku z nich będzie kiedyś wydawać czasopisma albo zostanie dyrektorami muzeum, a przy tym będą mieli tylko jedno zadanie: sekować prawdziwych artystów, których dzieła są buntem przeciw bezdennej miernocie. Każde prawdziwie wielkie dokonanie zawsze musiało zmagać się z oporem armii przeciętniaków.

Każdy naprawdę wielki artysta stanął kiedyś przed murem głupoty i ignorancji. Niejednego geniusza doprowadziła do rozpaczki banda nieudaczników, którzy bojąc się wszelkiej kiełkującej wizji czegoś nowego, niszczyli ją. Ale on znalazł sposób, żeby sobie z tym poradzić. I był z siebie dumny. A od śmierci Meulinga znowu miał wolną rękę.

ANN KATHRIN ucieszyła się z wizyty Heinera Zimmermanna. W takiej sytuacji człowiek potrzebuje przyjaciela. A Heiner był przyjacielem Franka — odczuła to bardzo wyraźnie, gdy zobaczyła, jak tych dwóch się obejmuje i stoi bez słowa — niemalże jak para kochanków. Jeden drugiego przyciskał tak mocno, że obydwoj niemal stracili oddech.

Dostrzegła łzy w oczach Franka. Tak to jest, gdy się ma przyjaciela. On nie ocenia, słucha, jest przy tobie — także w chwilach kryzysu.

Zastanawiała się, czy jej były mąż Hero też ma takiego przyjaciela. Czy istniał jakiś mężczyzna, przed którym Hero mógłby się otworzyć? Akurat on każdą męską istotę w swoim otoczeniu traktował jak konkurencję — otoczony pacjentkami, psychoterapeutkami i pracowniczkami opieki społecznej. Czy w jego życiu istniał jeszcze, poza synem, jakiś mężczyzna, którego tolerował?

Gdy oglądał swoje ulubione transmisje z walk bokserskich, siedział przed ekranem sam. Nie, w świecie Hero nie istniały męskie przyjaźnie.

Frank był inny. Grał w skata, spotykał się z kumplami. Nie wykorzystywał każdej wolnej minuty, by ganiać za kobietami.

Zaparzyła kawę i z lodówki przyniosła sok dla obydwo panów. Gdy weszła do salonu, otoczyła ją chmura papierosowego dymu. W jej domu obowiązywał zakaz palenia, a pogoda była sprzyjająca, na tarasie stały wygodne meble i w koszu plażowym czekała już miska z piaskiem, której goście czasem używali jako popielniczki. Ale nie chciała teraz zrzędzić i psuć atmosfery.

Heiner Zimmermann przysłuchiwał się i kiwał głową. Był całkowicie skupiony na swoim przyjacielem Franku i palił przy tym, zaciągając się głęboko, a gdy wydychał dym, wydawał z siebie potakujące jęknięcie.

A do kogo ja bym poszła, żeby się wygadać? — zastanawiała się Ann Kathrin. Do mojej przyjaciółki Ulrike? Czy ona jest jeszcze moją przyjaciółką? Co my teraz o sobie wiemy, odkąd została gospodynią domową i matką? Postanowiła, że zadzwoni do Ulrike, ale jeszcze nie teraz. Teraz ważniejszy był Frank. Tylko że nie bardzo wiedziała, czy przeszkadza obydwu mężczyznom w salonie, czy też jej obecność może wzbogacić rozmowę.

Postawiła tacę na stole. Heiner Zimmermann zarejestrował jej przyjacielski gest spojrzeniem z ukosa i lekkim kiwnięciem głowy, ale żaden z mężczyzn nie sięgnął po napoje.

Stosik popiołu na papierosie Heinera Zimmermanna robił się coraz dłuższy. Tutaj w domu nie było żadnych popielniczek — jedyna stała na tarasie.

Słowa Franka bardzo zdeprymowały Ann Kathrin. Jego szczerość sprawiła, że poczuła ucisk w gardle.

— Boję się samego siebie, Heiner, rozumiesz? To nie była obrona własna. Ja go naprawdę zakatrupiłem. Strzelałem do niego z czystej wściekłości. Gdy przyjechałem do Groningen, zobaczyłem tę rzeźbę, którą zrobiłeś — tę syrenę. Miała piersi jak...

Weller nie dokończył przez wzgląd na Ann Kathrin i zagryzł wargi, ale Heiner Zimmermann powiedział to za niego:

— Jak Renate. Tak. Prawą pierś ma trochę większą niż lewą. Otoczkę piersi ma z takim małym wgórkiem, jakby tam miała pojawić się kolejna brodawka. To jest naprawdę piękna kobieta, Frank. Ale co moje dzieło ma wspólnego z tym, że ty załatwiłeś tego mordercę? Przecież nie byłeś wcale zazdrosny o mnie, gdy ją malowałem i rzeźbiłem?

Frank gwałtownie potrząsnął głową.

— Nie, oczywiście, że nie. Nie byłem wściekły na ciebie, tylko na siebie. I na Meulinga. I na wszystkich tych zwycięzców, bo to oni zrobili ze mnie nieudacznika.

— Nieudacznika? — Heiner Zimmermann zgasił swój papieros o spodek, skoczył na równe nogi, obrócił się, wyrzucając przed siebie ramiona, i zaczął się gwałtownie śmiać z Wellera. Ann Kathrin przestraszyła się, że w ten sposób tylko pogorszy sprawę, ale tak się nie stało.

— No jasne! Jesteś nieudacznikiem. Mieszkas w tym pięknym domu, masz tę cudową kobietę i stałą pracę, w której wypłacają ci trzynastki — drwił Heiner Zimmermann.

— Z pracą to już jest prawdopodobnie nieaktualne — powiedział Weller i spuścił wzrok.

— Frank, po co żyjemy? Po co jesteśmy na świecie? O co tak naprawdę chodzi? O wypasiony samochód? O grube konto w banku?

I już Heiner Zimmermann znowu był przy Wellerze. Chwycił go za ramiona i potrząsnął.

Ann Kathrin nie wiedziała, czy ma stać, czy może usiąść, czy też byłoby lepiej, gdyby wyszła z pokoju. Musiała się mocno hamować, by nie rozpocząć swego automatycznego chodu, w który popadała w trakcie przesłuchań: trzy kroki, w tył zwrot, trzy kroki, w tył zwrot.

A potem przysiadła połówką pupy na oparciu fotela. W ten sposób nie stała obok mężczyzn, ale też do końca nie siedziała. Nie była całkowicie tutaj, ale też nie była całkowicie nieobecna. Takie bycie pomiędzy świetnie odzwierciedlało jej obecny stan ducha. Zafascynowana przyglądała się tym dwóm, prawie że zazdrosna o bliskość, jaką ze sobą dzielili.

— Jak to było z tobą, gdy byłeś dzieckiem, Frank? Kim chciałeś zostać? Jakie miałeś marzenia?

Frank uwolnił się z uścisku Heinera Zimmermanna, spojrział mu prosto w oczy i stwierdził:

— Nie miałem czegoś takiego, Heiner. Nie byłem taki jak ty. Nie miałem marzenia, dla którego byłbym gotowy postawić wszystko na jedną kartę i zaryzykować. Chciałem się jakoś prześlizgnąć. Chciałem czegoś, czym mógłbym zadowolić rodziców. Czegoś, co ukryłoby fakt, że niewiele potrafię, że nie mam szczególnych zdolności albo że...

Ale Zimmermann nie odpuszczał:

— Jakie miałeś marzenia, Frank? Pytam o twoje marzenia.

— Marzyłem o lodach. O smacznym deserze. To wszystko było o wiele mniejsze niż u ciebie, rozumiesz? To ty zawsze potrafiłeś urzeczywistniać swoje marzenia, Heiner.

Zimmermann roześmiał się gorzko i klasnął w dłonie.

— Brawo, brawo! Co to ma być? Komedia? Odrzuciły mnie wszystkie wyższe uczelnie i akademie sztuk pięknych. W wielkich muzeach bywam jako zwiedzający, który wykupił bilet wstępu. Moje obrazy tam nie wiszą. W lokalnych gazetach więcej piszą o twojej żonie niż o mnie!

W uszach Ann Kathrin zabrzmiało to jak wyrzut. Równocześnie spodobało się jej, że powiedziała „twoja żona”, bo tak się właśnie czuła. Jakby była już żoną Wellera. Chociaż nadal była żoną Hero i nigdy nie rozmawiała z Frankiem o małżeństwie, to czuła się teraz o wiele bardziej żoną niż kiedykolwiek w czasie swojego poprzedniego małżeństwa.

— Ale przecież ty urzeczywistniasz w swoim życiu to, kim jesteś — powiedział Weller i spojrzał na swojego przyjaciela niemalże z błaganiem w oczach, jakby potrzebował potwierdzenia, że przynajmniej jeden z nich jest szczęśliwy.

Heiner Zimmermann na moment zamarł i spojrzał zakłopotany przed siebie. A potem odezwał się skrzypiącym głosem, jakby nagle zaschło mu w gardle.

— Tak, być może masz rację. Tak robię. Ale płacę za to wysoką cenę. Nie myśl, że coś takiego dostaje się w prezencie. Całe mnóstwo ludzi próbowało mnie zablokować. Ciągłe odbijałem się od zamkniętych drzwi.

Ale Weller nie chciał przyjąć tej wersji wydarzeń.

— Wszystkie kobiety chcą, żebyś je malował, jesteś zdolny, lubiany i popularny, bo masz w sobie wyjątkową empatię, bo potrafisz z nimi rozmawiać, bo umiesz dotrzeć do ich wnętrza i...

— Tak, Frank, jeśli o to chodzi, to masz rację. One wszystkie chcą, bym je malował. Ale potem? Potem proszą mnie, żebym nie wystawiał tych obrazów. Płacą mi za to, żebym ich nie pokazywał. Czasem któraś z nich kupi obraz, żeby nikt go już nigdy nie zobaczył. A przecież prawdziwe dzieło sztuki powstaje dopiero dzięki oku oglądającego. Dziełu, które nie jest oglądane, brakuje istotnego wymiaru. Najważniejszego wymiaru!

Frank Weller nie chciał się wdawać w tę dyskusję. I tak wiedział, że będzie musiał się poddać.

W milczeniu sięgnął po swoją filiżankę z *espresso* i bez przyjemności wypił podwójną porcję czarnej kawy.

Heiner Zimmermann skręcił sobie teraz nowego papierosa, polizał bibułkę i spojrzał w kierunku Ann Kathrin. Z jego oczu biła otucha. Miała wrażenie, jakby chciał jej powiedzieć coś w stylu: „Nie martw się, już ja to załatwię. Postawię go na nogi”.

Weller był myślami w innym miejscu. Jego twarz nabrała dziecięcego wyrazu. Nagle uśmiechnął się szeroko, a potem roześmiał, aż w końcu przemówił z powagą:

— Gdy byłem mały, chciałem zostać piratem.

Zawstydził się swoich słów, a jednocześnie poczuł ulgę, że je wypowiedział.

Heiner Zimmermann zareagował na to euforyczną radością. Na Ann Kathrin jego reakcja zrobiła wrażenie nieco przesadzonej, ale nie wiedziała dlaczego.

— No, serdeczne gratulacje, Frank! Wreszcie! Chciałeś zostać piratem! Jakie to piękne! Przypomnij sobie, jak to było! Czy razem o tym nie marzyliśmy? Pamiętasz jeszcze, jak chcieliśmy rzucić naszego nauczyciela matematyki, Knocksa...

— ...rekinom na pożarcie — dokończył zdanie Weller.

Teraz Ann Kathrin miała wrażenie, że widzi małego łobuziaka.

— Tak, czasem tylko dzięki takim fantazjom byłem w stanie przeżyć lekcje matematyki — mówił dalej



Frank. — Wyobrażałem sobie, jak każę mu w samym gaciach szorować pokład. A potem za karę wysyłam go na spacer po krawędzi burty.

Heiner Zimmermann tanecznym krokiem oddalił się od Wellera, wykonując ruchy jak szermierz, jak gdyby właśnie znajdował się na statku pirackim i walczył z żołnierzami jego królewskiej mości.

— Kiedyś mówiłeś też, że wciągniemy go na maszt i będzie tam wisiał na postrach.

Frank przypomniał to sobie i pokiwał głową.

Teraz Ann Kathrin poczuła, że musi się napić. Wlała w siebie spory łyk soku pomarańczowego.

Heiner Zimmermann zamaszystym ruchem schował swoją niewidoczną szpadę do wymaginowanej pochwy i powoli, acz uparcie, zaczął zbliżać się do Franka Wellera. Gdy już stanął przed nim, upadł na kolano, tak jak muszkietierowie na filmie klękają przed swoim królem, i powiedział:

— Tak jest, bracie, dokładnie tak było. Chcieliśmy zostać piratami i właśnie dlatego obydwaj mieszkamy teraz na brzegu morza.

Weller się roześmiał.

— A wiesz, co się wydarzyło, gdy zastrześliłeś tego gnoja? — zapytał Heiner Zimmermann.

Weller utkwiał wzrok w przyjacielu i przełknął ślinę.

— Urzeczywistiłeś swoje marzenie o byciu piratem. Ten pirat ciągle żył w tobie i właśnie w tym momencie przystąpił do ataku.

Ann Kathrin nie mogła zrozumieć, co się teraz działo. Patrzyła na nich z przerażeniem, ale jednocześnie odczuwała autentyczność tej chwili. Obydwaj mężczyźni znowu padli sobie w ramiona — tak jak przy powitaniu.

— A gdy go rozwalileś, zwyciężyłeś też Knocksa, tego bydlaka. Teraz jesteśmy wolni. Obydwaj.

Weller nie był w stanie wydobyć z siebie słowa, ale kontakt cielesny dobrze mu robił.

Ann Kathrin już nie mogła tego wytrzymać. Po cichu wyszła z pokoju. Coś ją przestraszyło, a jednocześnie męczyło ją uporczywe pytanie: Czy i ja miałabym kogoś takiego, kto tak by mnie wspierał jak Heiner Franka? Czy w takiej sytuacji Ulrike by mnie zwyczajnie nie zjechała? Heiner przedstawił zabicie człowieka jak logiczną kontynuację ich dzieciństwa — jak akt wyzwolenia — jak coś, co po prostu trzeba było zaakceptować. To się po prostu musiało zdarzyć.

Dla komisarza policji takie podejście było zupełnie nie do przyjęcia, ale przecież nie była tylko komisarzem policji. Czuła też wielką tęsknotę za akceptacją i zrozumieniem. Póki szło się prostą i właściwą drogą, nie było trudno o przyjaciół. Dopóki przechadzasz się po słonecznej stronie życia, nikt niczego nie ryzykuje, poklepując cię z aprobatą po ramieniu. Ale gdy zdarzy się coś złego? Gdy pobłądzisz, gdy się potkniesz, gdy staniesz przed rumowiskiem własnych czynów i nie wiesz, w którą stronę masz iść?

Rozgniewana pomyślała teraz o swoim byłym mężu Hero, który w ostatniej fazie ich małżeństwa nie był już nawet w stanie zrozumieć, że ona musi brać nadgodziny w pracy.

Poszła na górę, do jego byłego gabinetu terapeutycznego. Spojrzała przelotnie na swoje notatki opisujące przebieg morderstwa ojca. Wzięła jego zdjęcie z biurka, usiadła na podłodze, oparła się plecami o ścianę, wyprostowała nogi i spojrzała na twarz z fotografii.

— Ty byłbyś po mojej stronie, tatusiu. Tylko ty. I nikt inny. Nawet mama nie — powiedziała, nie hamując już łez.

MIAŁA CZERWONE WŁOSY, które mogłyby pasować do barw ognia. Wyobrażał sobie, jak je tapiruje, by kosmyki sterczały w górę jak płomienie. Jednak ta akurat czerwień jej włosów wcale mu się nie podobała. To była brudna, miedziana czerwień. Henna i jakaś tania farba pod spodem, jak przypuszczał. Było już widać czarne odrosty u nasady. A końce wyglądały na rozdwojone.

Nie, najpierw będzie musiał nad nią popracować. Teraz nie była gotowa.

Najchętniej wydłużyłby jeszcze jej brwi i rzęsy.

Była jak nieoszlifowany diament i czekało go mnóstwo roboty, zanim stanie się dziełem sztuki.

Zdecydował się na latarnię morską w Pilsum, oddaloną niecałe cztery kilometry na południowy zachód od Greetsiel. Tam właśnie chciał z niej zrobić żywą pochodnię.

Ktoś zastrzegł tę latarnię jako znak towarowy i próbował teraz pobierać opłaty od tych, którzy używali jej wizerunku na okładkach książek czy kartkach pocztowych. Wystąpił też podobno przeciwko pewnej cukierni, która chciała robić jej miniaturkę z marcepana. Czytał o tym długi artykuł w „Kurierze”.

Na jakie absurdalne pomysły wpadają ludzie, żeby zarobić pieniądze — rozmyślał. Jeśli teraz każdy, kto chce sfotografować tę latarnię, musi ci płacić, to wkrótce stajesz się bogatym człowiekiem. Już niebawem ta latarnia będzie miała znaczenie nie tylko dla turystów odwiedzających Fryzję Wschodnią, lecz dla całego świata. Dorówna sławą Kaplicy Sykstyńskiej.

Kolory elewacji latarni: czerwień i żółć, dobrze korespondowały z ogniem. Wszystko do siebie pasowało. Żółć jako barwa światła i siły życiowej. Jeszcze lepsza byłaby biel jako symbol niewinności, ale raczej nie dałby rady pomalować latarni na nowo. Podobała mu się też czerwień jako sygnał ostrzegawczy. Spróbuje przefarbować jej włosy na taką samą czerwień jak pasy na latarni.

Był jednak problem, którego jeszcze nie rozwiązał: co zrobić, by również tym razem być świadkiem wydarzenia? Bo potrzebował zdjęć, musiał jakoś uwiecznić ten happening. Nie mógł zdać się na nieostre fotki turystów czy fotografie policyjne. Ile czasu upłynie, zanim paląca się latarnia przyciągnie ludzi? Kiedy policja odgrodzi okalający teren, a straż pożarna zacznie niszczyć jego dzieło?

Musiałby się do czegoś przywiązać jak Odyseusz, który nie chciał ulec kuszącym go syrenom. Przygotowywał inscenizację z myślą o wszystkich ludziach, ale on sam nie mógł w niej swobodnie uczestniczyć, tak jak ostatnio na promie. Postanowił, że raz jeszcze dokładnie obejrzy sobie to miejsce. Musi znaleźć jakiś punkt, z którego będzie mógł bezpiecznie obejrzeć to widowisko. Obawiał się jednak, że na tym najbardziej płaskim z wszystkich miejsc na świecie takiego punktu po prostu nie ma. Poza tym policja też już się czegoś nauczyła. Jedynie noc mogła dać mu jakieś schronienie. Bo tym razem nie będzie to wschód słońca. Tym razem uderzy o najciemniejszej godzinie.

Były tak naprawdę tylko dwie opcje: ktoś zobaczy ogień i zadzwoni pod numer 112 albo pod numer 110. Jeśli zadzwoni na 112, to zostanie połączony z dyspozytorem straży pożarnej w Aurich. Wtedy nadjadą wozy strażackie z Pewsum, Manslagt lub Greetsiel, co zajmie przynajmniej dziesięć albo i piętnaście minut.

Gdyby w ciągu dnia ktoś zadzwonił na numer 110, przyjechałaby policja z Pewsum, ale przecież zamierzał podpalić latarnię nocą, a wtedy pojawią się funkcjonariusze z Norden. Nawet jeśli będą bardzo szybcy, to i tak muszą mieć co najmniej dwadzieścia minut. A jeśli będą mieli za mało ludzi albo inne sprawy, jak to zwykle bywa, wówczas będzie miał dobre pół godziny.

W każdym razie najpierw należało spodziewać się straży pożarnej. Prawdopodobnie policja z Norden sama skontaktuje się ze strażą i wyśle ją do latarni. Zanim wszyscy zorientują się w sytuacji, będzie miał niecałe pół godziny. Potem wezwą też posiłki policyjne z Emden i Aurich. Ale i tak nie wystarczy im ludzi, żeby zablokować drogi dojazdowe do całej gminy Krummhörn, w której znajduje się latarnia.

Mimo to sprawa wydawała mu się dość niepewna. Chciał przyglądać się swemu dziełu najdłużej jak się da. Być może należało przywiązać Christinę Diebold od strony morza. W ten sposób przez jakiś czas będzie ukryta przed oczami strażaków. Będzie to bardziej przypominało pożar niż morderstwo. On sam mógłby obserwować spalenie anioła z wody, a potem uciec morzem w kierunku Greetsiel albo Norddeich. Kto po nocy szukałby na Morzu Północnym sprawcy?

Latarnia miała trzynaście metrów wysokości. Za pomocą dobrego teleobiektywu mógłby z pewnością

wykonać kilka przejmujących zdjęć. Jedynym źródłem światła będą płomienie i nawet jeśli zjadą się samochody i zniszczą tę mistyczną atmosferę swoimi obrzydliwymi reflektorami, to jemu — na morzu — to oświetlenie nie będzie przeszkadzać. Grobla odgrodzi go od tego gówna.

Tak, punkt obserwacyjny na Morzu Północnym to była dobra koncepcja. Wtedy jednak musiałyby dowieźć na miejsce Christinę Diebold samochodem. Drogą morską było to zbyt skomplikowane. Jednak nie mógł zostawić samochodu w okolicy... Czuł, że ma do rozwiązania trudny problem.

Jego sztuka nie miała wsparcia finansowego ze strony państwa. Nie otrzymywał pieniędzy od sponsorów. Nikt nie dał mu żadnej nagrody, poklepując go z uznaniem po plecach. O jego dzieła nie zabiegali maklerzy, agenci czy właściciele galerii sztuki. Przeciwnie. Miał przeciwko sobie cały system. Tym bardziej triumfalnie fetowane będzie później jego bezkompromisowe dzieło.

Uznają mnie za niepoczytalnego — pomyślał. I dobrze. Będę mógł potem siedzieć w więzieniu i tam jako najślawniejszy artysta świata malować z pamięci swoje dzieła. W ten sposób sam stanę się dziełem sztuki — symbolem wewnętrznej wolności i niezależności. W pudle powstaną najbardziej znaczące z moich dzieł — nie w akademiach czy w renomowanych pracowniach!

Czekał na to. Miał przed sobą wspaniałą przyszłość. Musiał jeszcze tylko stworzyć kilka dzieł, które wstrząsną światem.

Organizował teraz swoją kolejną spektakularną wystawę. Na jej otwarcie nie pisał listów z zaproszeniami. Nie przygotowywał plakatów. Sztuka wydarzała się tam, gdzie on ją tworzył. To on decydował kiedy, gdzie i jak — był jak partyzant malarstwa. Wciąż wymyślał dla siebie nowe określenia i po cichu je sobie powtarzał.

Udzielał też wywiadu wymyślonymu reporterowi. Musiał to przećwiczyć, bo już niedługo rzuca się na niego z mikrofonami i kamerami.

Reportera nazwał imieniem „Mike”. Wyobrażał sobie, jak stoi przed nim i jak z nim rozmawia.

— Widzi pan, Mike, żeby powstało nowe, stare musi zginąć. Wszędzie tak jest. Niech się pan rozejrzy wokół. Z gąsienicy powstaje motyl. Żeby powstał dobry chleb, trzeba ściąć te cudownie piękne rośliny, które pną się ku słońcu. Z kłosów wyrywane są ziarna. Ziarna są miażdżone. Mielone! Na końcu wszystko wpycha się do gorącego pieca. Z perspektywy rośliny wygląda to z pewnością bardzo brutalnie. To wręcz masakra. Ale pomimo to otrzymujemy na końcu cudownie pachnący chleb — niezbędny nam do życia, dający energię. Piekarz zbiera pochwały, jest rozchwytywany... Mike, niech pan nie robi takiej miny, jakby pan nie rozumiał, o czym mówię. Tak, może mnie pan nazwać szaleńcem. Nie przeszkadza mi to. Ale dostrzegłem ten gorączkowy blask w pańskich oczach, gdy oglądał pan moje obrazy. Po prostu szczęka panu opadła. Tak właśnie pan wyglądał, Mike. O, tak właśnie. I co? Jest pan teraz zdziwiony, prawda?

Kiedy ostatni raz był pan na jakiejś wystawie? Jaki obraz zapadł panu w pamięci? I co pan przy tym czuł? No i sam pan widzi... Od razu zaczyna pan nerwowo grzebać w pamięci. Ale jeśli za dwadzieścia lat ktoś zapyta o moje obrazy, to od razu ujrzy je pan przed oczami i będzie mógł każdemu o tym opowiedzieć: o swoich uczuciach i wrażeniach. To właśnie jest różnica między moją sztuką a tym przyziemnym pacykarstwem. Moich dzieł nigdy pan nie zapomni. Moje wizje będą pana prześladować w snach. Powoli staną się pana własnymi wizjami. Kiedyś, Mike, gdy będzie pan spać ze swoją żoną, okaże się, że widzi pan moje obrazy, gdy tylko zamknie oczy. A później będzie pan je widział, nawet gdy oczy będzie pan miał otwarte. Bo moje dzieła będą wtedy częścią pana wewnętrznego świata — zdominują inne obrazy i po prostu zastąpią te dotychczasowe, nic nie znaczące śmieci.

Okej, Mike. Musi pan już kończyć. Nie, proszę się nie bać, nie będę rozmawiał z innymi dziennikarzami. Ma pan wyłączność na moją historię. Bez wątplenia mógłbym za nią zażądać milionów, ale pieniądze mnie nie interesują. Dobrze mi się tutaj żyje. Otrzymałem, można by powiedzieć,

stypendium państwowe i to dożywotnio. Oni nazywają to więzieniem, ale ja nazywam to najwyższą formą wolności. Wszystko, czego potrzebuję, to płótno i farby. Z krwi muszę niestety zrezygnować, ale dzieła okultystyczne powstają także i bez niej. A więc do jutra, Mike. Teraz muszę zabrać się do roboty. Zaczyna się właśnie mój zwykły dzień pracy.

CZUŁ, JAK NARASTA W NIM podniecenie, gdy podchodził do niej powoli w Café Lenzig. Była odwrócona do niego tyłem i nic nie podejrzewając, grała na flipperze. Miała długie, polakierowane, ale niezbyt zadbane paznokcie. Potrzebny będzie manicure. Czeka go jeszcze wiele pracy. Ale na koniec będzie niemalże idealna.

Srebrna kuleczka uderzona przez dźwignię wpadła do otworu. Rozczarowana dziewczyna uderzyła dłonią w szklaną szybę. Automat, jakby chcąc poprawić jej humor, zaoferował ostatnią partię gry gratis, wydając przy tym taki dźwięk, jakby jakiś potwór jęczał z powodu bólu zębów.

— Tak! — zawołała. — Wielkie dzięki!

— Serdecznie gratuluję — odezwał się.

Nie zwracając na niego uwagi, dziewczyna rozpoczęła grę i posłała pierwszą kulę na tor mieniący się kolorowymi światełkami.

— Co pani powie na grę w parze? — zapytał. — Nazywają mnie w Münster królem flippera.

Od razu zrobiła mu wolne miejsce po prawej. Ramię w ramię stali teraz obok siebie, każde grało tylko jedną ręką, a wspólna gra od samego początku wspaniale im wychodziła. Miała poczucie, że jeszcze nigdy nie miała kulki tak długo w grze, jak właśnie teraz, z tym mężczyzną. Miała tylko ułamek sekundy, by mu się przyjrzeć. Była pewna, że jeszcze nigdy go nie widziała. Był co najmniej piętnaście do dwudziestu lat starszy od niej, ale od razu wzbudził w niej zaufanie. Dobrze pachniał: farbami olejnymi, terpentyną i mocnym, czarnym tytoniem. Najlepsi ludzie, jakich знаła, wydzielali taki właśnie zapach. Tak właśnie pachniało w atelier jej ojca. Czasem wachała pędzle i prawie upajała się tym zapachem. Gdy była mała, wierzyła, że jej ojciec maluje tylko dlatego, że uzależnił się od tego magicznego zapachu.

Mężczyzna jej marzeń nie był muzykiem rockowym, nie był aktorem czy politykiem. Potrzebowała kogoś, kto pachniał jak Picasso. Jak jej ojciec. Jak wszyscy ci wielcy bogowie malarstwa. Potrzebowała kogoś, kto pachniał farbami olejnymi.

Przy stole bilardowym jakiś student głośno wiwatował z powodu udanego strzału.

— Wpadła! Wpadła!

A nieznajomy wrzucił do otworu dwa euro i zafundował następną partię. Grali dalej w parze i już przy trzeciej grze zaczęli rytmicznie uderzać się biodrami. Ich ruchy były jak echo powtarzające ruchy kulki. Już dawno stało się jasne, że byli na siebie gotowi i że tę noc spędzą razem.

Prawie go to nudziło, takie było proste.

Knajpa powoli się zapełniała. Ich chichoty i taniec godowy uprawiany przy automacie przyciągały uwagę samotnych gości siedzących przy barze. Ale oni najmniej go martwili. Ci będą i tak pamiętać tylko dupę Christiny.

Siedzący bliżej drzwi karciarze ciągle zezowali w ich stronę, ale co oni będą mogli o nim powiedzieć? Że widzieli mężczyznę w dżinsach w niebieskim, a może zielonym swetrze z dekoltem w serek. Że miał warkocz i był trochę starszy od niej. Niewiele więcej się po nich nie spodziewał.

Bardziej niebezpieczni byli studenci, którzy rozgorączkowni dyskutowali przy stoliku o niesprawiedliwych ocenach i działalności samorządu studenckiego. Jeden z nich spoglądał w ich kierunku dziwnie zazdrośnie. Czy i jemu Christina wpadła w oko?

Była najwyższa pora, by stamtąd wyjść. Potrzebował tylko jakiegoś pasującego tekstu. Chciał najpierw spróbować z „Idziemy do ciebie czy do mnie?”, ale potem wydało mu się to zbyt płaskie i zbyt

ryzykowne. Ciągłe jeszcze wszystko między nimi było niewypowiedziane. Nadal mógł to popsuć jedną fałszywą odzywką. „Idziemy do ciebie czy do mnie?” — to było już nieco przeterminowane hasło. I utrzymywała różnicę wieku między nimi. Potrzebował czegoś, co by go w jej oczach czyniło bardziej atrakcyjnym.

Przysunął usta do jej ucha. Jej włosy łaskotały go w nos.

— Chcę pić szampana z twojego pępka...

Zapisała, jakby właśnie oblał ją pianistym gazowanym napojem, ale ten pisk był tylko spontaniczną reakcją na udany strzał prosto w *multiple choice gate*. Po chwili spojrzała na niego pytająco, a on postanowił udawać światowca:

— W tłustych latach trzeba sobie pozwalać na przyjemności, żeby w latach chudych wiedzieć, jak to jest.

Roześmiała się perliście. Dobrze wiedziała, że jej mocną stroną są wydatne usta i białe zęby, i umiała to wykorzystać.

— Prawdziwego szampana? Dostałeś majątek w spadku?

Uśmiechnął się triumfująco.

— Sprzedałem obraz. A teraz szukam kogoś, z kim mógłbym świętować.

Czyli malarz. Dokładnie tak, jak przypuszczała. I do tego malarz, który odnosi sukcesy. Wreszcie ktoś, kto nie tylko narzeka na rynek sztuki i ze wstrętem wypowiada się o guście mas, lecz ktoś, komu rzeczywiście udaje się sprzedawać obrazy.

Przestali zajmować się kulką. Bez problemu mogliby ją teraz podbić i wrzucić do strefy *high score*, ale już stali tyłem do automatu, a kulka potoczyła się na out.

Przed lokalem zaczęła rozglądać się za jego samochodem. Ale musiał ją rozczarować.

— Przyjechałem taksówką. Kiedy się upiję, nigdy nie prowadzę.

— A upiłeś się? — zapytała zdziwiona.

Potrząsnął głową.

— Nie, ale miałem zamiar powolutku się upić... zanim cię zobaczyłem, rzecz jasna.

Przeszli przez Hammer Strasse i podeszli do jej srebrnoszarego golfa. Zanim wsiedli do samochodu, zapytała go o imię, a on uznał, że powinna sobie jakieś wybrać. I powiedział też, że wcale nie chce wiedzieć, jak ona ma na imię, bo to tylko niszczy całą magię. A potem zaproponował, że nazwie ją „śnieżynką”. W tę parną noc zabrzmiało to w jej uszach bardzo odświeżająco i uznała nadane jej miano za bardzo poetyckie. Ale mimo to miała zastrzeżenia.

— Śnieżynki — powiedziała — nie żyją długo.

Uśmiechnął się, jak gdyby tylko na to czekał, i odrzekł:

— One nie umierają. Topią się i zmieniają formę.

— Okej — roześmiała się — ale w takim razie ja nazwę ciebie „szczurzy ząb”.

Mimowolnie obmacał swoje wargi.

— Szczurzy ząb? Ale dlaczego? Nie, „szczurzy ząb” w ogóle mi się nie podoba. Czy ja mam zęby jak szczur?

— Nie — powiedziała — chciałam tylko, żebyś poczuł się mniej pewnie.

Jego twarz rozjaśniła się jak u rozradowanego chłopca.

— W takim razie jak mnie nazwiesz? Kim mogę dziś być dla ciebie?

— Chagall? — zaproponowała, ale on potrząsnął głową.

— Nie lubisz go?

— Jest zbyt słodziutki.

Sięgnęła do innej szuflady.

— Jeff Koontz?

Wykrzywił drwiąco usta i machnął ręką.

— To, co on robi, to nie sztuka. To odpust. Kolorowy, wrzaskliwy kicz.

Nie chciała znowu przestrzelić i postanowiła powoli zbliżyć się do rozwiązania.

— Coś klasycznego — zaproponowała. — Goya albo powiedzmy...

Już chciał ją poprosić, by powiedziała „Hieronim”, ale mógł się w ten sposób zbyt obnażyć.

Potrząsnęła włosami w odcieniu brudnej czerwieni.

— Wiesz co? Najpierw obejrzę sobie twoje obrazy, a potem ci powiem, kim dla mnie jesteś.

Tak — pomyślał — gdy obejrzysz moje obrazy, będziesz wiedziała, kim jestem. Ale wtedy nie będziesz dla mnie wybierać pieszczotliwych określeń, tylko prosić, bym darował ci życie.

— Jeśli masz w domu żonę albo kogoś innego, kto mógłby nam robić problemy, możemy pojechać do mnie. Moi rodzice to bardzo liberalni ludzie. Poza tym mam osobne wejście.

Ona naprawdę chce mnie zabrać do swojego domu, profesorku.

Ta myśl wywołała dreszcz na jego plecach. Coś w tym pomysłe mu się spodobało, ale z drugiej strony nie chciał postępować zbyt lekkomyślnie.

— Pojedźmy lepiej do mnie — powiedział — tutaj w lewo, a potem drogą ekspresową.

Wskazywał jej drogę przez noc — ku zasadzce, którą dla niej przygotował.

Szukała nerwowo jakiejś stacji radiowej, aż zatrzymała się na audycji, w której porównywano oryginalne piosenki Toma Waitsa z ich coverami wykonywanymi przez Gerda Köstera, pieśniarza z Kolonii, w gwarze jego miasta.

Zatrzymali się na stacji benzynowej. Pobiegł do środka, kupił red bulla i dwie małe butelki wódki. Potem poszedł do ubikacji i doprawił jej red bulla paroma kroplami *liquid ecstasy*.

Christina piła razem z nim. Trochę się całowali, ale ciągle jeszcze nie zasypiała. Żeby zyskać na czasie, postanowił skrócić sobie papierosa. Gdy jego język dotknął bibułki, ona poczuła to na swoich udach, jakby sunął językiem po jej nogach, a nie po pasku kleju na bibułce. Była gotowa zrobić to z nim zaraz teraz — tutaj na parkingu. Nie poznawała samej siebie.

A potem dopadło ją to niewiarygodne uczucie zmęczenia.

GDY SIĘ OBUDZIŁA, znajdowała się w zupełnie ciemnym pomieszczeniu. Wszystko wokół było czarne, tak że przez chwilę nie wiedziała, czy jest na dworze czy gdzieś pod dachem. Brakowało jakichkolwiek wrażeń zmysłowych. Nie było kolorów, zapachów, podmuchu powietrza na skórze. Nie było nic. Jakby straciła możliwość odczuwania zmysłami. Ale jej umysł pracował na najwyższych obrotach i próbował wyrobić sobie jakiś ogłąd sytuacji.

Musiała znajdować się w jakimś pomieszczeniu, bo inaczej czułaby ruch powietrza. Musiałaby zobaczyć jakąś gwiazdę na niebie. Usłyszeć odgłos odległej drogi lub przynajmniej jakichś ptaków. Tutaj nie było niczego. Zupełnie niczego.

Chciała dotknąć siebie, by poczuć swoje ciało, ale dopiero teraz poczuła, że ręce i nogi ma skrepowane.

Nagle zapaliło się światło. Było jak rozświetlająca wszystko błyskawica, której gwałtowność natychmiast oślepia. Zamknęła oczy i udawała, że śpi, ale jej oddech podejrzanie szybko unosił klatkę piersiową.

Zastanawiała się, co rozsądnego mogłaby teraz zrobić, i próbowała przemyśleć sytuację jak zadanie matematyczne. Jakie miała możliwości? Jakie szanse? Czy to wszystko mogło być jakimś sztubackim żartem?

Z trudem próbowała sobie przypomnieć, co się stało. Bolała ją głowa. Czy wzięła narkotyki? Czy

wdała się w jakieś erotyczne zabawy? Czy to był jakiś numer sado-maso?

Nie mogła przełknąć śliny. Miała w ustach coś, co natychmiast wywołało w niej odruch wymiotny. Próbowwała to wypluć, chciała się podnieść i zobaczyć go, ale w tej chwili na prawej łydce poczuła pędzel. Czy malował ją farbami? Nie była nawet w stanie odkaszląć. A potem poczuła dotyk ostrza. Mężczyzna golił jej nogi.

Zauważył, że się ocknęła, ale spokojnie i bez jednego słowa dokończył swoją czynność. Jej lewa noga już była ogolona. Gdy starannie zgolił włosy z prawej, osuszył skórę, a potem wtarł łagodzący balsam chłodzący. Kosmetyk pachniał migdałami, a ten aromat przywiódł jej na myśl wspomnienia z Majorki.

Zapach wydał się jej tak normalny, tak miły, tak niesłychanie właściwy, że popłynęły jej łzy i zmoczyły chustkę, którą wcześniej zawiązał jej oczy.

Odwiązał chustkę. Oślepiło ją światło. A potem cofnął się o dwa kroki od posłania, by lepiej się jej przyjrzeć. Jej włosy były wilgotne i paliła ją skóra na głowie. Zrobił coś z włosami. Pierwsze, co zobaczyła, to były jego palce. Były ubrudzone pianką do golenia.

Odłożył pędzel na pomocniczy stolik i wytarł ręce. Nie spieszył się. Cały czas nie odwracał od niej wzroku niezależnie od tego, co akurat robił. Wszystko wykonywał bardzo wolno, jakby rozkoszował się każdą sekundą i chłonał każde wrażenie. Jego oczy przypominały bardzo wydajny odkurzacz. Poczuła niemal strach, że zaraz w nich zniknie, że on połknie ją swoim spojrzeniem.

Pomyślała o matce, która powiedziała kiedyś o pewnym sąsiedzie, że robi na niej nieprzyjemne wrażenie, bo w jego pobliżu zawsze ma poczucie, że on zjada ją wzrokiem. Teraz wiedziała, co matka miała na myśli.

Dostrzegła, że znajduje się w pomieszczeniu o izolowanych ścianach, które pokryte były wytłoczonymi płytami z szarej, melaminowej pianki. Ich kształt przypominał jej opakowania, w których na rynku w Münster sprzedaje się jajka.

Widziała już takie pomieszczenia. Dwa razy pewien student gitarzysta próbował jej zaimponować i zabrał ją do studia nagrań.

Dlaczego — zastanawiała się — wcisnął mi do ust tę szmatę, jeśli nikt nie usłyszy moich krzyków? Jeszcze raz próbowała wypluć to coś z ust.

Podszedł do niej i koniuszkami palców chwycił rąbek knebla.

— Proszę, obiecaj mi, że nie będziesz krzyczeć — powiedział. — I tak nikt cię nie usłyszy. A mnie to denerwuje. Psuje cały nastrój. Nie znoszę przenikliwych dźwięków. Płacz niemowlaka mnie dobija... — Uśmiechnął się.

No dobrze, ty gnoju — pomyślała — teraz przynajmniej wiem, jak mogę cię wykończyć. Ale nie wydała żadnego dźwięku. Miała wysuszone usta. Jej język był obłożony i spuchnięty. Od razu wyczuł, w czym problem, i wziął ze stolika szklankę wody. Podsunął jej do ust razem ze słomką. Łapczywie wypijała chłodną kranówkę, mając nadzieję, że nie dodał do niej jakiegoś świństwa.

Pijąc, uniosła wyżej głowę. Podtrzymał ją jedną ręką jak troskliwy pielęgniarz. Z tej nowej perspektywy mogła popatrzeć na stolik, z którego wziął szklankę i ręcznik. Leżało tam więcej przyrządów. Obok kilku pędzli leżały jednorazowe maszynki do golenia firmy Wilkinson. Strzykawka, gumowa rurka i woreczek na krew. W szpitalu po wycięciu wyrostka robaczkowego założyli jej cewnik. Wyglądał zupełnie tak samo.

Co ten chory świr ma zamiar ze mną zrobić?

— Proszę — odezwała się cichutko, żeby go nie rozwścieczyć. — Zrobię, co pan zechce. Ale proszę mnie wypuścić.

Delikatny dźwięk jej głosu przypadł mu do gustu i złagodził jego humor. Ale nie odpowiedział, tylko przeszedł w ten kąt pokoju, który nie był dla niej widoczny. Wrócił stamtąd z wielkim lustrem.

Przytrzymał je wysoko, tak by mogła zobaczyć w nim swoje odbicie prawie w całości.

— Podobasz się sobie? — zapytał.

Od razu zauważyła, że pofarbował jej włosy. Była zupełnie naga i ogolona pod pachami. Włosów łonowych też już nie miała.

Oczywiście wiedziała, kto to Fryzjer. Czytała o nim dużo w gazetach i oglądała relacje w telewizji. Ale teraz nie był już niebezpieczny, bo przecież nie żył. Zabił go jakiś policjant, a ona i jej ojciec uznali, że ten policjant słusznie postąpił, bo działał w obronie obywateli.

— Lepiej tak, niż gdyby po dziesięciu latach miał go wypuścić na wolność jakiś sędzia niespełna rozumu — powiedział wtedy przy śniadaniu ojciec, podkreślając jednak, że nadal jest przeciwnikiem kary śmierci, gdyż państwo nie może wchodzić w rolę mordercy.

Jej ojciec formułował czasem takie sprzeczne tezy. Dzięki niemu nauczyła się myśleć, dostrzegając i rozumiejąc sprzeczności. Sprawy nie były czarne albo białe, lecz zwykle trochę takie, a trochę takie. W wielu słusznych twierdzeniach było coś niesłusznego, a w złych sytuacjach można było odkryć coś dobrego.

Rozmowy z ojcem przy śniadaniu przebiegały jej teraz przez głowę, jakby musiała się czegoś uchwycić, żeby nie zwariować.

ANN KATHRIN nie wytrzymała już z Wellerem w domu przy Distelkamp. Nie chodziło o to, że bała się wpaść w depresję, przebywając w jego pobliżu. Jego nastrój nie był zaraźliwy. Nie próbował jej zarazić swoim stanem. Po prostu siedział sam ze swoim bólem, a ona nie potrafiła na to patrzeć, jeśli nie mogła mu pomóc. Wykańczało ją po prostu, że jest bezradna, że musi to znosić i że nie może rzucić ukochanemu człowiekowi koła ratunkowego.

Pojechała rowerem na groblę w nadziei, że tam będzie mogła pomyśleć o czymś innym. Sama przeżywała właśnie głęboki kryzys związany ze swoją tożsamością i pracą. Przypomniała sobie ojca, który kiedyś wrócił do domu upokorzony i popielaty na twarzy. Nie chciał z nikim rozmawiać. Nawet nie napił się swojego ulubionego Doornkaata. Siedział tylko i gapił się na ścianę. Nie interesował go nawet ogródek i nie reagował na pytania żony, co też się z nim dzieje. Ann Kathrin pamiętała, że funkcjonował tak przez kilka straszliwych dni — pozbawiony sił i niczym nie zainteresowany. Potem powoli wróciła mu życiowa energia, a na jego twarzy znowu zagościł przebiegły uśmiešek. Nigdy nie opowiedział im, co się wtedy wydarzyło. A gdy pytali go o to zdarzenie, mówił:

— Rozwój, Ann Kathrin, ma zawsze początek w kryzysie. Albo sprawy cię wykończą, albo popchną do przodu.

Czy to była taka właśnie sytuacja?

Odstawiła rower przy stacji obserwacji fok i resztę drogi przebyła piechotą. A potem zaczęła biec po grzbiecie grobli. Patrzyła na Morze Wattów i nadmorskie „solne” łąki. Norderney leżała przed nią jak jaśniejące zaproszenie. Ann Kathrin biegła w cieniu białych chmur, ale nad Norderney otworzyło się niebo, podczas gdy Juist prawie niknęła w dziwnych oparach. Ann Kathrin uznała to za symbol albo raczej wskazanie, że czegoś w tej chwili nie dostrzega. Czegoś rzeczywistego, co kryje się w ciemnościach, podczas gdy ona kieruje wzrok ku tej jasno oświetlonej, jaskrawej części. Czy coś przeoczyła? Odniosła te refleksje do śmierci ojca. Ale potem coś błysnęło na samym skraju jej świadomości. Przeszyło ją jak błyskawica. Poczowała mrowienie na skórze.

Gdzie było ubranie trzeciej ofiary? Meuling z pewnością nie wrzucił go po prostu do morza. Przestępca, który wszystko skrupulatnie inscenizuje, żeby zaszokować ludzi, nie zrezygnuje przecież z przyjemności zapakowania kolejnego „prezentu” dla policji. Nie mógł tak po prostu wrzucić ubrań do wody. Musiał znaleźć jakieś bezpieczne miejsce. Miejsce, które nie było zbyt oddalone od ofiary.



Widziała, jak z przystani Norddeich-Mole wypływa prom Frisia V. No jasne — pomyślała. Prom. Gdzieś na promie ukrył paczkę z jej ubraniem i dokumentami. To już wprawdzie nie miało żadnego znaczenia, ale śledztwo trzeba było porządnie domknąć. Usiadła na łące i zadzwoniła do Ubbo Heidego.

Ten siedział właśnie nad raportem z laboratorium, z którego nie rozumiał połowy. Złota korona, którą morderca przybił Carolin Haase do głowy, została przebadana pod kątem metalurgicznym. Ubbo Heide nie był pewien, czy właściwie interpretował raport, ale jeśli tak, to znaczyło, że w tej koronie zostały stopione ze sobą różne metale szlachetne: złoto, miedź, srebro. Całe złoto zostało zniszczone — jakiś dyletant wszystko to razem przetopił, jak zżymał się w raporcie rzeczoznawca.

Ubbo Heide zastanawiał się, skąd pochodziło to złoto. Autor raportu przypuszczał, że wszystko wygląda tak, jakby ktoś na chybił trafił przetopił czyjaś biżuterię i zrobił z tego coś nowego. Można tam było znaleźć nawet blachę, z jakiej robi się konserwy.

Meuling musiał zatem mieć jakiś piec, w którym mógł osiągać temperatury ponad tysiąca stopni, bo poniżej tej temperatury złoto się nie topi.

Ubbo Heide był zadowolony, że pozbył się wreszcie komisji specjalnej. Miał nadzieję na kilka spokojnych tygodni. Potrzebował ich bardzo pilnie. Już dawno zapisał się do doktora Ekkeharta Woltera na badania okresowe i obawiał się, że wyniki przyniosą więcej niemiłych informacji o gospodarce rabunkowej, jaką uprawiał wobec swojego organizmu, niż chciałby to przyznać.

— Halo! Jak się masz, Ann Kathrin?

Nie odpowiedziała na pytanie, tylko o razu przeszła do sedna.

— Coś przeoczyliśmy. Gdzieś musi być paczuszka z ubraniami. Założę się, że schował ją na promie.

— Jak się ma Weller? — zapytał Ubbo Heide. — Myślę, że powinien porozmawiać z naszą policyjną psycholożką... Weller to w końcu jeden z naszych najlepszych ludzi. Nie chcę go stracić.

— Tak — powiedziała Ann Kathrin — wiem.

I zrozumiała, że właściwie nikt już nie interesuje się Fryzjerem i jego morderstwami. W odczuciu wszystkich śmiertelnie kula Franka Wellera załatwiła sprawę. Wyczuwało się ulgę. Można było wrócić do zwykłych spraw.

— Prokurator będzie nam zadawał pytania, Ubbo. W taki sposób nie damy rady przed sądem. My...

— Daruj to sobie, Ann Kathrin. Mamy to już za sobą. Nie będzie postępowania sądowego. Morderca nie żyje.

— Tak, ale czy on nie musi być przynajmniej formalnie skazany? Chodzi mi o to, że w ten sposób...

— A co to komu da?

— Tak, ale...

Skończyły się jej argumenty. Czy to nie było tak jak z zamordowaniem jej ojca? Niektóre śledztwa nie wytrzymują próby czasu. Po prostu nikną pośród codziennych działań, kończą swój żywot w szafie z aktami. Zostają zapomniane, wykreślone, zamknięte.

Nauczyła się od swojego ojca, że nie wolno zostawiać żadnych nierozwiązanych luźnych wątków. Że trzeba je ze sobą połączyć, by zamknąć sprawę i zakończyć śledztwo. Perła za perłą, nanizane na długi sznurek — tak, jej zdaniem, powinien wyglądać łańcuch dowodowy. Na końcu wszystko musiało być logiczne i uporządkowane, by doprowadzić do zadowalającego finału.

Chciała już to powiedzieć, ale Ubbo Heide ją ubiegł:

— Niektóre rzeczy, Ann Kathrin, trzeba po prostu zaakceptować. Nie wszystko udało się zrobić optymalnie, ale teraz już koniec. Wszyscy musimy się z tym uporać. Każdy ze swoją winą i swoim niepowodzeniem. Nie jesteśmy herosami ani bogami, lecz niedoskonałymi ludźmi. I mamy czasem prawo stracić nerwy. Najlepiej będzie, jeśli z Wellerem pójdziecie na roczny urlop. Niech sprawa trochę przycichnie, a potem...

Nagle gwałtowny wiatr rozdarł czapę mgły nad Juist. Ubbo Heide powiedział do telefonu, że źle słyszy, bo wiatr gwiżdże w słuchawce komórki Ann Kathrin. Ostrygojady i czajki zaczęły skarżyć się płaczącymi głosami.

Ann Kathrin schowała telefon do kieszeni. Prawdopodobnie szef się ucieszy — pomyślała — jeśli się mnie pozbędzie. Jestem w tej chwili taka pogmatwana... sama ze sobą nie daję rady. Nie potrafię pomóc Frankowi, nie mam kontaktu z własnym synem. Kiedy ostatnio się do mnie odzywał? A potem nagle poczuła, jakby sama do siebie już dawno się nie odzywała, i postanowiła zacząć nowe życie. Jeszcze dzisiaj.

Na drodze stanęła jej dorosła czajka. Ptak nie ruszył się, a swój czub nastroszył jak do walki. To był samiec o smolistoczarnym upierzeniu i białej piersi. Ann Kathrin zatrzymała się i zagadnęła ptaka:

— No co, i ty też się mnie czepiasz?

— Krahee! — odpowiedział ptak. — Kii-ja, kii-ja.

A potem odleciał, niespiesznie bijąc skrzydłami.

Ann Kathrin wróciła do stacji obserwacji fok, wsiadła na rower i pognęła na Distelkamp, mijając kolumny samochodów parkujących przy Norddeicher Strasse. Tam stanęła przed Frankiem i powiedziała przekornym, rozgniewanym głosem:

— Chcę odzyskać moje życie, Frank.

Energia, która z niej biła, gdy tak nagle przed nim stanęła, oraz zdecydowanie, z jakim wypowiedziała te słowa, sprawiły, że się wzdrygnął.

— Czy to początek rozmowy o naszym związku, a na zakończenie się mnie pozbędziesz? — zapytał ze skruszoną miną świadcząca o tym, że jak najbardziej bierze taką możliwość pod uwagę.

— Nie — odpowiedziała — wcale nie. Mam na myśli dokładnie to, co powiedziałam. Chcę odzyskać moje życie. Meuling nam je ukradł. Zniszczył je swoimi morderstwami. Doprowadził nas oboje do granic wytrzymałości. Ale życie to coś więcej niż tylko takie pokręcone świry. Dobrze, że położyłeś temu kres. Powinnam to zrobić już wtedy, w parku zamkowym Lütetsburg. Carolin Haase by żyła. Ale nie mówmy już o tym. Może gdzieś wyjdziemy?

— Wyjdziemy?

— Nie patrz tak na mnie, jakbym ci właśnie zaproponowała udział w seksie grupowym. Chcę się trochę rozerwać, porozmawiać z tobą o innych rzeczach i...

— Będą nas zagadywać o tę sprawę, Ann. Dokąd mielibyśmy pójść? Dla jednych jestem bohaterem, dla innych tylko cholernym gliną o zbyt nerwowym palcu na spuście.

— Pojedźmy do Bremy, Frank. Pójdziemy na lotnisko i kupimy najbliższy lot *last minute*. Nieważne dokąd. Najważniejsze, żeby było ciepło.

— Tutaj jest ciepło.

Prawie zaczęła go błagać:

— Potrzebujemy kapitalnego remontu.

— Nie jestem w stanie, Ann. Nie zniosę tego.

— Czego nie zniesiesz?

— Lotniska. Rozbawionych ludzi. Urlopowego nastroju. Chłodnych drinków. To w tej chwili nie jest mój świat. Ja...

— No to pojedźmy do Emden do galerii sztuki.

Spojrzał na nią zdumiony.

— Chcesz jechać teraz do galerii sztuki?

— Tak, muszę zobaczyć coś innego.

— Co?

— Wszystko jedno. Byle nie morderców. Równie dobrze możemy pójść do Backstube. Albo... a byłeś kiedyś w Muzeum Herbaty w Norden?

— Czy to ma być wycieczka szlakiem muzeów?

Gwałtownie się od niego odwróciła. Czuła się nierozumiana, ale nie chciała dopuścić, by teraz wszystko jej popsuł.

Podszedł do niej bezszelestnie i położył jej rękę na ramieniu.

— Masz rację, Ann. Nie możemy pozwolić, by ten bydlak zrobił z nas swoje ofiary.

Narzucił na swój przepocony biały T-shirt błękitną, płócienną marynarkę i powiedział zachęcająco:

— W porządku. Jeśli chcesz mnie ze sobą zabrać, to chodźmy. Dokąd tylko chcesz.

RUPERT POPIJAŁ ciepłą colę, jadł słone paluszki, zażywał co dwie godziny węgiel, aby zapanować nad swoimi jelitami — i deptał Gunnarowi Peschke po piętach.

W telewizji ZDF z chęcią udzielono mu informacji. Dziennikarza nie było w firmie, bo wyjechał na nagranie. Przebywał podobno w Wiesbaden w firmie MES-Filmproduktion, żeby z jakąś pieśniarką dziecięcą nagrywać piosenki o piratach dla programu Musikboxx.

Rupert kazał sobie podać numer jego komórki i zlokalizował go. Mężczyzna musiał przebywać w Norddeich w okolicach portu. Aha, jesteś w Wiesbaden. Znowu tu grasujesz, szukając kolejnej ofiary, tak? Pewnie pękasz ze śmiechu, że mój zaburzony kolega Weller ukatrupił tego Meulinga... Teraz czujesz, że masz wolną drogę, co? To musi być cudowne uczucie zostać uniewinnionym, zanim kiedykolwiek ktoś cię oskarżył. Jak na redaktora ZDF z Moguncji zadziwiająco często bywasz we Fryzji Wschodniej. A może urządziłeś sobie tutaj małe studio nagraniowe? Takie, w którym nie słychać krzyków ofiar? O pięknych, dźwiękoszczelnych ścianach? Dopadnę cię, Peschke, już ja cię dopadnę!

Rupert nie był już w stanie myśleć o niczym innym. Nie działał intuicyjnie jak Ann Kathrin. Nie pozwalał, by kierowały nim uczucia. Potrzebował danych, faktów i dowodów. Nie wiedział więcej niż koledzy z pracy, ale inaczej oceniał poszlaki, bo nie miał żadnego respektu dla tych ważniaków z telewizji.

Sprawdził swoją broń służbową, wyjął magazynek i załadował go na nowo. Potem odbezpieczył broń. Czuł się przy tym jak bohater, słysząc metaliczny dźwięk pocisku przesuwającego się do lufy. A potem pojechał do Norddeich.

Ustalił położenie Peschkego z dokładnością do trzydziestu metrów. Na szczęście mężczyzna nie prowadził samochodu i nie siedział na rowerze. Od ponad godziny nie ruszył się z miejsca.

Rupert jechał do niego i znowu czuł, jak ściska mu się żołądek.

JEGO KOMÓRKA zadzwoniła. Nie wiedziała, skąd zna tę melodię, ale to była jakaś piosenka dla dzieci. Była tego pewna. Wyjął telefon z kieszeni dżinsów, rzucił krótkie spojrzenie na wyświetlacz i wychodząc z pomieszczenia, kiwnął do niej głową z przeproszającym wzruszeniem ramion. Jakby było mu głupio, że ich wspólne sprawy właśnie teraz zostały przerwane przez rozmowę telefoniczną. Opuścił dźwiękoszczelny pokój, nie chcąc rozmawiać w jej obecności.

Ręce bolały ją w tej pozycji. Nie dopływała do nich krew i lewa dłoń już jej zdrętwiała, ale przy prawej miała trochę więcej luzu. Próbowwała drapać linkę paznokciami w nadziei, że uda się ją przerwać. Człowiek potrzebuje nadziei...

Mężczyzna wrócił. Gdy tylko wszedł do pokoju, do jej nozdrzy dotarł zapach zmywacza do paznokci. Mężczyzna robił wrażenie zadowolonego. Rozmowa przez telefon najwyraźniej sprawiła mu przyjemność. Wyglądał na kogoś, kto żyje w harmonii ze sobą i światem.

Prawie że z czułością i bardzo starannie zmył jej lakier z paznokci. Potem znowu wyszedł

z dźwiękoszczelnego pokoju i wrócił z pilniczką do paznokci, nożyczkami i miską, w której chlupotała ciepła woda. Wlał do wody kilka kropli płynu do kąpieli, który pachniał cytryną. Potem usiadł po jej prawej stronie, ułożył jej dłoń tak, by mogła zanurzyć paznokcie w miseczce. Baw się w to razem z nim — pomyślała — po prostu się w to baw. Póki robi ci manicure, póty cię nie zabije. Wiedziała, że ją do czegoś przygotowuje. Do czegoś, w co nigdy dobrowolnie by się nie bawiła. Do czegoś, co ma skończyć się jej śmiercią. Przypomniała sobie doniesienia o Fryzjerze. Nie gwałcił kobiet. Przynajmniej to zostanie jej oszczędzone. Ale może to jest tylko jakiś jego naśladowca? Ktoś, kto zainspirował się czynami Fryzjera?

Osuszył w końcu jej palce i przyjrzał się paznokciom, potrząsając głową.

— Źle się odżywasz — powiedział. — To naprawdę wstyd.

— Jestem głodna — wyszeptała, by zyskać na czasie.

— Powinnaś jeść więcej owoców i warzyw, a nie wyłącznie śmieciowe żarcie. Widać to po twoich paznokciach i po twoich włosach. Masz niedobór wapnia i awitaminozę.

Przemawiał do niej z troską jak ojciec. Łzy napłynęły jej do oczu, bo znowu zakiełkowała w niej nadzieja. Może jednak pozwoli jej żyć?

— Tak — powiedziała — byłam głupia. Nigdy nie znajdowałam czasu, żeby coś sobie ugotować. A to na szybko jakiś hamburger, a to hot dog... czy to naprawdę widać po paznokciach?

Małymi nożyczkami obcinał teraz paznokcie jej prawej dłoni, nadając im równomiernie owalny kształt. Jego telefon znowu zadzwonił. Teraz poznała melodię. To była piosenka *Chodzi straszdyło koło drogi*<sup>9</sup>. Dobrze pamiętała tę melodię. Czasem bawili się przy niej na urodzinach w dzieciństwie.

Te małe nożyczki zostawił przy jej prawej dłoni. Chciał ją wystawić na próbę? Czy to był jakiś podstęp? Czy tak bardzo chciał, by odzyskała nadzieję, czy po prostu było to niedopatrzanie?

Wygięła ciało, wyciągnęła palce i rzeczywiście udało się jej chwycić nożyczki. Natychmiast cała oblała się potem. Wszystkie jej członki zeszywniały z przerażenia, że może upuścić nożyczki na podłogę.

Odchyliła nadgarstek mocno do tyłu i zaczęła piłować swoje więzy ostrzem otwartych nożyczek. Linki do suszenia bielizny nie można było przerwać jednym cięciem, ale pojedyncze nitki już pękały. Euforyczna nadzieja wstrząsnęła jej ciałem.

Udało się jej przeciąć więzy na prawym nadgarstku. Lewy pójdzie szybciej! Teraz miała większą swobodę ruchów. Już prawie mogła uklęknąć i w zapamiętaniu piłowała kolejne więzy.

W tym dźwiękoszczelnym pomieszczeniu nie mogła oczywiście usłyszeć, czy on nadchodzi. Drzwi za jej plecami otworzyły się niespodziewanie. Od razu zauważył, co robi, i doskoczył do niej. Próbował wyrwać jej nożyczki z ręki, ale szarpnęła się i próbowała go ugryźć, wywijając przy tym małymi ostrzami jak bronią. Mężczyzna nie walczył szczególnie żarcie. Spoliczkował ją, ale zachowywał się jak ktoś, kto boi się zranić swojego przeciwnika. Jednak gdy wbiła ostrze w jego lewe ramię, wrzasnął z bólu. Zatoczył się do tyłu i stał teraz oparty plecami o dźwiękoszczelną ścianę.

Kłęczała na łóżku z lewą ręką nadal przywiązaną do leżanki. Prawą ręką wymachiwała w powietrzu. Odslaniała zęby jak drapieżne zwierzę. Czuła, że jest gotowa wbić mu nożyczki w szyję.

Obmacał ramię i prawie z niedowierzaniem przyjrzał się swoim palcom, które teraz oblepiała jego własna krew. A potem uniósł krzesło i uderzył.

Zamoczona opadła z powrotem na łóżko, ale nadal jeszcze była gotowa się bronić i wygrażając mu, ścisnęła w dłoni nożyczki. On, potrząsając smutno głową, uniósł krzesło i uderzył jeszcze raz. Wyglądało na to, że robi to z żalem. Potem rzucił się na nią, obydwoma rękami chwycił ją za prawe przedramię, wykręcił rękę do tyłu, odebrał jej nożyczki i ponownie ją przywiązał.

Wiergała, wyła, krzyczała, ale nie miała już żadnych szans.

Zniknął na chwilę, by opatrzyć swoją ranę. Próbowała dojrzeć, co jest za drzwiami. Czy tam był sprzęt

do nagrywania? Komputer? Zamknął ją w studiu nagrań?

Nie było go dłużej czas, a gdy wrócił, miał na sobie wyprasowaną błękitną koszulę i było widać, że właśnie wziął prysznic. Przyjrzał się jej ze smutkiem. Zadrapania i otarcia, które pozostawiły na jej ciele nogi od krzesła, obmacał delikatnie jak pediatra. Potrząsając głową, powiedział:

— Wszystko popsukaś. Wszystko. Twoja skóra miała być dla mnie jak płótno. Jak płótno i jak obraz. Ale ty nic nie rozumiałaś. Zupełnie nic. To potrwa całe dni, jeśli nie tygodnie, aż znowu będziesz gotowa.

Jej umysł pracował na szalonych obrotach. Dni? Tygodnie? To oznaczało, że nie zamierza jej natychmiast zabić. Kiedyś zaczną jej szukać i znajdą ją w tym studiu. Może niedługo ktoś tu przyjdzie, zechce coś nagrać? Przecież nikt nie buduje czegoś takiego, żeby potem stało puste.

Przykrył ją i zostawił samą w pomieszczeniu. Zgasił światło zewnętrznym wyłącznikiem. Znowu pogrążyła się w całkowitych ciemnościach. Ale nadal mogła wyczuć jego obecność. Poza tym ciągle czuła zapach zmywacza do paznokci. Balsamu, który w nią wcierał. I nawet pianka do golenia, której użył, by usunąć włosy z ciała, pozostawiła swój zapach. Im mniej było innych wrażeń, tym dokładniej mogła stwierdzić, gdzie w tym pomieszczeniu rozmieszczone są te zapachy.

Zaczęła myśleć o swoich rodzicach, którzy aż za bardzo martwili się, gdy nie wracała na czas do domu i nie powiedziała wcześniej, dokąd się wybiera. To było w czasach, gdy jeszcze chodziła do szkoły.

Proszę, nie zapomnijcie teraz o mnie!

RUPERT ZNALAZŁ Gunnara Peschke. Siedział w hotelu Fährhaus, jadł śledzie matjasy przyrządzone domowym sposobem i popijał je pszenicznym piwem. Spoglądał zamyślony na port i robił wrażenie bardzo zadowolonego.

Wyszukał już sobie nową ofiarę — pomyślał Rupert — i był gotowy założyć się o roczną pensję, że tak właśnie jest.

Potem na parkingu przy porcie stanął czarny samochód dostawczy z tablicą rejestracyjną z Wiesbaden. Na samochodzie wielkimi literami napisane było: MES-Filmproduktion. Z wozu wysiadł jakiś ciemnowłosy mężczyzna. Rupert ocenił na oko, że dobiega pięćdziesiątki. Jego nos zdradzał ślady po boksterskich ciosach. Mężczyzna nieco utykał, ale sprawiał wrażenie wysportowanego i rzeczywiście był zwinny jak wiewiórka. Nie kupując biletu w parkomacie, wszedł od razu do hotelu i przysiadł się do Gunnara Peschke.

Tak właśnie myślałem — jest was dwóch. Czy ktoś byłby w stanie to wszystko zrobić w pojedynkę? A to jest samochód dostawczy, którym transportowaliście te panny. Prawdopodobnie same chętnie do niego wsiadały. Produkcja filmów! Na tym polegał wasz podstęp. Te wszystkie inscenizacje — w parku, na Norderney, w morzu — coś takiego mogli wymyśleć tylko filmowcy. Od razu powinniśmy byli na to wpaść.

Rupert sprawdził ułożenie broni. Postanowił, że na razie będzie śledził tych dwóch typków. Przechadzał się przed wejściem do hotelu, starając się wyglądać jak turysta, który czeka na następny prom.

Mężczyzna wypił z Gunnarem Peschke piwo pszeniczne i zamówił coś do jedzenia. Po skończonym posiłku wyszedł z pośpiechem. Pobiegł do swojego samochodu, kupił bilet w parkomacie i wytaszczył z wozu walizkę. Wszedł do hotelowej recepcji i wziął klucz do pokoju.

Dwie minuty później w recepcji stał już Rupert i bez większych ceregieli dopytywał się o mężczyznę, który właśnie przybył do hotelu. Jak się okazało, mężczyzna nazywał się Matthias Omonskey [10](#), podobno producent filmowy z Wiesbaden. Młoda dziewczyna o regularnych rysach twarzy powiedziała to Rupertowi z przyjaznym uśmiechem.

CZASEM MÓWIŁA tylko po to, żeby przełamać ciszę. Cisza była najgorsza. Powoli zaczynała miewać halucynacje. Zaczynało się jej zdawać, że widzi coś w ciemnościach. Czy ktoś siedzi tam w kącie na krześle? Czy słyszy czyjś oddech, czy to ona sama oddycha?

Straciła poczucie czasu, nie miała pojęcia, jak długo tu leży. Raz jakiś pajak przeszedł po jej lewej nodze. Najpierw wydało się jej to wstrętne, potrząsnęła nogą, chcąc się go pozbyć, ale potem zaczęła z nim rozmawiać. Przecież lepiej mieć pajaka, niż w ogóle nie posiadać żadnego domowego zwierzątka — pomyślała.

Wciąż na nowo rozważała, czy istnieje jakaś możliwość, żeby wyjść stąd cało. Postanowiła, że zdobędzie jego zaufanie. Wszystkie kryminały i thrillery psychologiczne, jakie oglądała lub czytała w ostatnich latach, były teraz jej podręcznikami instruktażowymi. Wynikało z nich, że powinna rozmawiać z szalonym mordercą i próbować pozyskać jego sympatię. On na sto procent nie miał nikogo, komu mógłby się zwierzyć. Postanowiła, że spróbuje zostać jego powierniczką. Może wtedy ją oszczędzi i opowie o wszystkim, co go gnębi i co ma na sumieniu. Może uda się jej osiągnąć tyle, że stanie się on znowu tym miłym facetem, jakim był przy automacie do gry. Czy mieszkały w nim dwie dusze? Czy żył w odmiennych stanach świadomości? Czy był osobowością schizoidalną? A może był tylko mistrzem pozorów i manipulacji i po prostu ją podszedł?

Ta druga możliwość napawała ją największym strachem. Jeśli jest zimny i wyrachowany, jeśli gra jak aktor, wówczas nie miała żadnych szans. Jeśli jednak jest chory, a jakaś część jego osobowości jest rozszczepiona, wówczas może próbować nawiązać kontakt z tym, co jest w nim zdrowe. Przecież, jakkolwiek by patrzeć, całkiem niedawno prawie się w nim zakochała. Będę go nazywać „Picasso” — pomyślała. Być może to sprawi, że wróci do stanu, w którym go poznałam.

Teraz nie potrafiła pojąć, dlaczego tak chętnie z nim poszła, ale w knajpie wydawało się jej to zupełnie logiczne. Coś w nim pozwalało jej nabrać przekonania, że jest doświadczonym, czułym kochankiem.

A może — myślała — uda mi się go uwieść jeszcze teraz... może to nastroi go bardziej łagodnie? Może zostawi mnie przy życiu, jeśli...

Także tym razem nie usłyszała, że nadchodzi. Nagle drzwi otworzyły się, zapaliło się światło. Oślepią kuliła się i mrugała oczami. Dostrzegła tylko zarys jego postaci.

Gdy zaczął zakładać jej pętlę na szyję, zaczęła go błagać, żeby ją wypuścił.

— Nikomu nic nie powiem. To zostanie tylko między nami. Przecież nic się nie stało. Nawet mnie nie tknąłeś — tylko pofarbowałeś mi włosy i pomalowałeś paznokcie. Wyglądam, jakbym wróciła z weekendu spędzonego w spa. Nikomu się nie wygadam, na pewno nie! Nawet nie wiem, jak się nazywasz. Czy w przeciwnym razie mówiłabym do ciebie Picasso? Zakochałam się w tobie, ja... Wróćmy do punktu wyjścia. Przecież wcale nie musisz mnie wiązać. A jeśli bardzo lubisz mnie golić, to też mi to nie przeszkadza, Picasso. Podoba mi się to. Nie wiedziałam, jak bardzo to lubię — dopiero ty mi to uświadomiłeś. Proszę! Co tam robisz przy mojej szyi? Wcale nie chcesz tego zrobić! Chcesz mnie tylko przestraszyć... nie możesz tego zrobić, Picasso!

— Cii, Śnieżynko — szepnęła. — Bądź teraz cicho. Będę dla ciebie słońcem, które przekształci twoje przepiękne kryształki lodu w wodę. Wodę, która nakarmi ziemię i sprawi, że wyrosną nowe owoce.

I zacisnęła pętlę.

NAGLE NASZŁY GO WĄTPLIWOŚCI i poczuł się jak ostatni nieudacznik. Co powiedziałyby na to świat? Prześladowały go koszarne wizje. Reporter Mike zagoniłby go w kozi róg swoimi pytaniami. Przecież inni wielcy artyści używali przedmiotów wyrzuconych na brzeg morza po to, by stworzyć swoje dzieła z nurtu *objets trouvés*. To przecież nie muszą być zawsze tylko płótno i farby czy też marmur i staliwo.

Joseph Beuys używał tłuszczu i filcu, pomp powietrznych i miodu. Günther Uecker — zardzewiałych gwoździ. Daniel Spoerri mocował klejem resztki niedokończonych posiłków na stołach, przez co powstawały trójwymiarowe martwe natury. Dieter Roth zmielone kartki książek mieszał z żelatyną, tłuszczem i przyprawami, a potem wpychał je do kiełbasianych osłonek, produkując swoje „literackie kiełbasy”. W taki właśnie sposób przerobił na wędlinę *Blaszany bębenek* Güntera Grassa. Pablo Picasso użył siodełka od roweru jako czaszki, a kierownicy jako rogów, tworząc słynny odlew z brązu, przedstawiający czaszkę byka. Robert Rauschenberg umieszczał w swoich dziełach opony samochodowe, piłeczki do tenisa, wypchane kozy i rowery. Wszystko, czego swym palcem dotknęli prawdziwi artyści, stawało się sztuką. Marcel Duchamp wstawił do muzeum pisuar, nic w nim nie zmieniając, i ogłosił, że to dzieło sztuki.

A on nie był w stanie poradzić sobie z odrobiną zadrapanej skóry. Wielcy artyści będą nim za to gardzić. Widział, jak Beuys, Uecker, Rauschenberg, Spoerri, Roth, Picasso i Duchamps stoją w grupie i śmieją się z pogardą.

— I co pan na to powie? Rauschenberg i Picasso uważają pańską sztukę za zmanierowaną. Duchamp ma pana za egzaltowanego snoba, za dyletanta, który nie opanował warsztatu.

A Beuys odezwał się do niego:

— Każdy człowiek jest artystą. Każdy, tylko nie ty.

I po tych słowach odwrócił się z pogardą.

— Ej, jestem jednym z was! — zawołał i chciał za nimi pobiec, ale Mike go przytrzymał.

— Myślę, że oni nie traktują pana poważnie. Pan tak naprawdę nie jest jednym z nich. Oni nie chcą mieć z panem nic wspólnego. Ciekawe czemu?

— Wasza sztuka nie jest sztuką! — krzyczał. — Zadowoliliście się tandetą. Ale ja zniszczę to, co dla was prawdziwe, wielkie i piękne. Chcę zobaczyć wasze przerażenie! Całe to dążenie do piękna i doskonałości to nic innego jak strach przed śmiercią. Na pewno pan to rozumie, Mike. Ja łączę to, co najpiękniejsze, z tym, co najstraszliwsze. W taki sposób powstaje prawdziwa sztuka, taka, która poszerza naszą świadomość. Nie mogę po prostu podnieść czegoś z ziemi i ogłosić, że to dzieło sztuki. Siodełko od roweru to nie głowa byka, Pablo! Twój tłuszcz śmierdzi, Joseph! Twoja sztuka gnije w muzeum. Sprzątaczką usunęła twoją wystawę, bo myślała, że to kupa śmieci. Śmieci!

Wziął głęboki wdech. Musiał zapanować nad nerwami. Nie wolno mu było dać się publicznie sprowokować — nawet jeśli to byli wielcy dawni mistrzowie. Odchrząknął, zrolował sobie papierosa, ssąc jednocześnie miętowego cukierka.

— Przepraszam, Mike, że tak mnie poniosło. Czasem bierze we mnie górę moja pasja. Zbyt długo pracowałem. Napiję się teraz wody i zrobię sobie małą przerwę. — Roześmiał się. — Mówię już jak pracownik korporacji, co? Tak, niech się pan ze mnie śmieje. Wiem, że zrobiłem błąd. Powinienem być bardziej cierpliwy. Za kilka dni jej skóra byłaby znowu nienaganna. Ale czy Beuys był zadowolony, gdy sprzątaczką usunęła z jego wanny plastry? Czy nie wybuchł wtedy potężny skandal? A co by się stało z całym tym kramem, który wystawili w muzeum Duchamp, Rauschenberg i Uecker? Przecież to wszystko wyładowałoby na wysypisku śmieci, prawda? I dokładnie to zrobiłem z Christiną Diebold. Po prostu wyrzuciłem ją do śmieci.

— Jest pan artystą — powiedział Mike — ale działa pan jak Bóg. Decyduje pan o życiu i śmierci, o tym, co jest sztuką, a co nią nie jest...

— Robi pan postępy, Mike. Zaczyna pan widzieć moje dzieło krytycznie i wcale pan nie trwa w uporczywym zachwycie. Tak, tak, proszę nie zaprzeczać. Uważam, że to dobrze. Potrzebujemy krytycznych młodych ludzi. Pan nie jest jednym z tych zwykłych pismaków. Pan chce dotrzeć do sedna sprawy, dlatego pana wybrałem. To pan ma wyłączność na mój wywiad. I ma pan rację — jako artysta



działam jak Bóg, który stworzył świat i zesłał nań potop. Usuwać to, co niepotrzebne i grzeszne, i stwarzam nowe, takie, w którym mam upodobanie.

— Czy pana dzieło pozostanie teraz niedokończone?

— O nie, Mike. Nie. Mogę pana uspokoić. Spalenie anioła odbędzie się. Niestety już bez udziału córki profesora Diebolda. Tym samym ostatecznie zniknie on z historii sztuki. Jego jedyną szansą było włączenie córki w moje dzieło. Ale sama to sknociła.

WIZYTA W MUZEUM Henriego Nannena w Emden dobrze im zrobiła. Rzeczywiście dyskutowali o obrazach zamiast o mordercach, o intencjach artystów, a nie motywach przestępców. Byli już z powrotem przy Distelkamp. Weller otworzył butelkę Bordeaux, a Ann Kathrin powiedziała mu, że istnieje coś jeszcze, co pozwala człowiekowi wrócić na słoneczną stronę życia. Seks. Prosty, nieskomplikowany seks.

Sposób, w jaki to powiedziała, miał w sobie coś, co zupełnie rozbroiło Wellera. Prawie wypuścił z rąk butelkę czerwonego wina. A ona zaczęła zdejmować z niego ubranie, szepcząc:

— Przypomnij sobie, że masz ciało, a nie tylko umysł i sumienie.

Kochali się namiętnie, gdy zadzwonił telefon. Ubbo Heide próbował na wszelkie sposoby się do nich dodzwonić. Najpierw na telefon stacjonarny, potem na komórkę Wellera i wreszcie na komórkę Ann Kathrin. Nagrał się na każdej automatycznej sekretarce i na każdej poczcie głosowej:

— Potrzebuję was tutaj i to natychmiast. Znaleźliśmy ciało w niebieskim kontenerze na papier należącym do powiatu Aurich. W Hage, przed gabinetem ginekologicznym doktora Joannisa Hatzigeorgiou. Dokładnie naprzeciwko greckiej restauracji Alexisa Sorbasa. Kontener nie należy ani do restauracji, ani do gabinetu. Został prawdopodobnie skądś skradziony i tam go po prostu postawiono. Proszę, przyjedźcie natychmiast. Obawiam się, że za pół godziny rozpęta się tu piekło.

Podczas gdy Ann Kathrin zwinęła się w pozycji embriona i odprężona leżała pod kołdrą, Weller walczył z chęcią zapalenia papierosa. To był dla niego największy problem, by zrezygnować z „papierosa po”. Wprawdzie butelka wina była już otwarta, ale wino i kieliszki stały w kuchni. Ann Kathrin nie miała ochoty się podnosić. Bardzo lubiła robić sobie w łóżku jaskinię z kołdry i chować się w niej.

Weller wstał, by przynieść wino. Jego komórka migąła. Wiedział, że cały czas będzie się zastanawiał, kto do niego dzwonił, jeśli teraz nie odsłucha poczty głosowej. Nie potrafił tego zignorować. Sam siebie nazywał telefonicznym ćpunem. Zawsze odbierał telefon.

Gdy odsłuchał wiadomość od Ubbo Heidego, zaczął się zastanawiać, jak to przekazać Ann Kathrin w najbardziej delikatny sposób. Może ona będzie na niego zła albo obrażona, że zaraz po odbytych stosunku pognął do telefonu, żeby odsłuchać pocztę głosową. Kiedyś w podobnej sytuacji Renate kompletnie wyszła z siebie. Zaczęła nawet rzucać w niego różnymi przedmiotami. Najpierw nadgryzionym jabłkiem — po seksie chętnie jadła owoce — potem winogronami, a na końcu poleciał w jego kierunku talerz. Miał nadzieję, że Ann Kathrin zareaguje spokojniej.

Nie przyniósł więc do sypialni kieliszków, tylko po prostu puścił jej wiadomość z komórki. A ona słowem nie odezwała się do Wellera, wyjęła mu z ręki telefon i oddzwoniła do Ubbo Heidego. Nie przywitała się, nie zapytała o samopoczucie, tylko powiedziała wprost:

— Myślałam, że mamy wziąć roczny urlop.

— Nie teraz — sprzeciwił się Ubbo Heide — nie teraz. Sytuacja się zmieniła.

— Okej, to pogadaj z Wellerem. Zapytaj go, czy przyjedzie. Ja nie jestem na służbie. Nie mam broni służbowej i... i uważam się za zawieszoną. Czy nie tak to sformułowałeś?

— Nie, nie tak. Chciałem cię tylko zdjąć z linii ognia — tak powiedziałem. A to coś innego. — Jęknął i chwycił się za żołądek. — Proszę, nie zostawcie mnie teraz na lodzie.



GODZINĘ PÓŹNIEJ w pokoju narad siedzieli Ann Kathrin, Weller, Rupert, Ubbo Heide, prokurator Scherer, Schrader, Reuters i Abel. Ktoś postawił na stole puszkę ze starymi herbatnikami. Ciastka kruszyły się, gdy się je nadgryzło, a gdy się je żuło, kruszyły się jeszcze bardziej, a potem kleiły do podniebienia. Ale każdy się częstował, niektórzy nawet kilka razy. Takie narady sprawiały, że ludzie musieli coś w siebie wrzucić. Cokolwiek, byle dało się to pogryźć, a potem przełknąć. Nikt nie zauważył, że okres przydatności do spożycia tych ciastek minął już w okolicach Bożego Narodzenia.

Prokurator Scherer siedział podminowany, ale milczał. Długopisem rysował ludziki w leżącym przed nim notatniku, a potem smarował coraz bardziej gęste kraty, za którymi ich zamykał, aż w końcu widać było już tylko zamalowany niebieski kwadracik. Ann Kathrin przyglądała mu się, a gdy to zauważył, poczuł się jak przyłapany na gorącym uczynku. Nie trzeba było studiować psychologii, by domyślić się, co oznaczały jego ludziki za kratkami. Najwyraźniej chciał kogoś przymknąć i to najszybciej jak się da.

Rupert był przekonany, że to Peschke kontynuuje swoją serię morderstw, i zaproponował, by aresztować go w hotelu. Był ożywiony i nie potrafił usiedzieć w miejscu. Od razu chciał przejść do działania i ciągle powtarzał, że czuje się teraz jak jednooki w królestwie ślepców.

Ann Kathrin nie zgodziła się z jego hipotezą.

— Nie mamy tu do czynienia z tym samym sprawcą.

— No, proszę cię! — przerwał jej Rupert. — On ją ogolił na całym ciele. Znowu coś tam wykonał z jej włosami. Znajdujemy ją zupełnie nagą, a jej ubranie i dowód osobisty leżą obok niej w kubie na śmieci.

Ale Ann Kathrin obstawała przy swoim.

— On by czegoś takiego nie zrobił.

— Dlaczego nie? — chciał wiedzieć Ubbo Heide.

— To nie w jego stylu. On zwykle wystawia swoje ofiary na pokaz, a nie chowa w kubkach na śmieci. Wybiera miejsca, które budzą ogólny podziw. Miejsca, które są piękne. Do których przychodzi wiele ludzi... i nie wyrzuca tak po prostu ubrań, tylko ładnie je opakuje.

— Co to ma znaczyć, że to nie w jego stylu? — zirytował się Rupert. — O czym my tu w ogóle mówimy? O stylu tańca? O stylu szermierki? Styl można zmienić. Może mu się znudziło. Skąd wiemy, co się dzieje w jego chorej głowie. W każdym razie on ma współnika. To jest ten Omonsky. Od samego początku nie wierzyłem, że facet działa w pojedynkę. Oni dopiero co to zrobili, ślady są jeszcze świeże. Nie wolno nam zwlekać. Im szybciej aresztujemy tych dwóch, tym większe prawdopodobieństwo, że im to udowodnimy.

Rupert poprosił o nakaz aresztowania dla Peschkego i Omonskiego. Ale Scherer odmówił wystąpienia w tej sprawie do sądu. Nie chciał popełnić żadnego błędu. Zezwolił Rupertowi jedynie na ostrożną obserwację.

Ubbo Heide zaprotestował.

— Obserwacja? Co to ma być? Mamy powołać nową komisję specjalną?

Ta myśl absolutnie mu się nie podobała. Nie lubił, gdy miał wokół siebie taki tłum ludzi. Jasne, że ze swoim małym zespołem raczej nie był w stanie poradzić sobie z takim śledztwem. Ale im więcej ludzi tu się pojawiało, tym trudniej było odróżnić informacje ważne od nieważnych. Nagle przestawała mieć znaczenie służbowa hierarchia, a odwieczna rywalizacja między pracownikami lokalnymi i obcymi też nie ułatwiała mu życia. Nie znosił psychologicznej gadaniny policyjnych profilerów i innych specjalistów. Najchętniej każde śledztwo prowadziłby sam ze swoim zespołem i to najlepiej w dni robocze, w czasie normalnych godzin pracy.

Rupertowi przydzielono trzech ludzi do pomocy w obserwacji. Komisarz policji Schrader zgłosił się dobrowolnie.

Ubbo Heide rozmasowywał sobie skronie i z trudem powstrzymywał ziewanie. Żeby nieco uspokoić sytuację, najpierw rzucił Ann Kathrin małego cukierka:

— Miałaś rację.

— Z czym?

— Znaleźliśmy tymczasem tamtą paczkę. Była na promie Frisia V. Ukrył ją między skrzynkami z napojami. W środku było jej ubranie i prawo jazdy.

— A wszystko porządnie wyprane i wyprasowane.

— Oczywiście. Ale mamy jeszcze jedną wskazówkę, że to nadal Fryzjer, Ann Kathrin — powiedziała rzeczowo Ubbo Heide. — Nie mamy jeszcze wyników sekcji zwłok, ale jedno już wiemy: pobrał krew Christiny Diebold. Przynajmniej dwa litry.

Ann Kathrin spojrzała na zegarek.

— Kiedy ją znaleziono? — spytała i nie czekając na odpowiedź, zadała kolejne pytanie: — Od kiedy to mamy tak szybko wyniki od patologów?

Ubbo Heide oparł palce na blacie stołu i napiął mięśnie.

— To w tym przypadku nie było konieczne.

— Dlaczego nie? Po prostu zobaczyliście, że ona jest bardzo blada i całą resztę oceniliście na oko? — syknęła zirytowana Ann Kathrin.

— Nie. Pobrana krew znajdowała się w kuble na śmieci — w puszcze po konserwie.

Ta odpowiedź ją zaszokowała. Natychmiast musiała wypić szklankę wody. Rupert uznał, że nie pozwoli tym bydlakom chodzić na wolności ani minuty dłużej. Weller od razu zapomniał o obrazach oglądanych w muzeum. I nie pamiętał nawet, że dopiero co uprawiał tak dobry seks. Było mu już tylko niedobrze.

Abel odezwał się przez zaciśnięte usta:

— Czegoś takiego nie znajduje się przecież co dzień. Temu facetowi ciągle udaje się nas zaskoczyć. Może chodzi mu o to... żeby nas zaszokować. Ja już w Lütetsburgu miałem wielką ochotę powiesić mundur na kołku.

— Ale dlaczego zrobił to z jej krwią? — zapytał Rupert. — Nie rozumiem.

— No, przecież mówię. Żeby nas zaszokować — powtórzył Abel.

— Nie — odezwała się Ann Kathrin — to nie tak. Nie wiem, co on wyprawia z krwią. Ale krwi tej dziewczyny z jakiegoś powodu nie mógł użyć. Tak samo jak nie mógł użyć jej samej. Coś było z nią nie w porządku. Dlatego wyrzucił ją do kubła na śmieci.

— Myślisz, że ona nie spełniała jego oczekiwań jako ofiara?

— Może nie pasowała mu do jego inscenizacji? Nie mam pojęcia, co się dzieje w jego głowie. Ale to odbiega od jego normalnego schematu.

— Czyli też myślisz, że Fryzjer nadal jest na wolności? — zapytał Weller, blednąc.

— Nie możemy zaprzeczyć temu, co się stało, Frank — odpowiedziała Ann Kathrin.

— Ale to by znaczyło... — Weller przełknął ślinę — ...że ja zastrzeliłem niewłaściwego człowieka.

Nikt nie odezwał się słowem. Wszyscy patrzyli przed siebie z zakłopotaniem. Nawet Rupert nie pozwolił sobie na żadną głupią odzywkę.

— Niedobrze mi — powiedział Weller.

— Będiesz rzygać? — zapytał Reuters.

— Nie — powiedział Weller — ale mdli mnie. Chyba muszę...

I zasłabł, osuwając się przy ścianie. Ann Kathrin natychmiast była przy nim. Twarz miał białą jak tynk na ścianie, o którą się opierał.

— Lekarza! — zawołał Ubbo Heide. — Natychmiast wezwać lekarza. To może być zawał.

Ale Weller już podnosił się na nogi, choć jeszcze trochę się chwiał. Machnął ręką.

— Nie, nie, już wszystko w porządku. Tylko nie lekarza. Jestem w pełni zdolny do pełnienia służby.

Wyszedł do toalety i ochlapał sobie twarz zimną wodą.

Ann Kathrin poszła za nim do męskiej toalety, położyła mu dłoń na plecach między łopatkami i zapytała:

— Frank, czy jest coś, co mogłabym dla ciebie zrobić?

— Tak, znajdziemy prawdziwego mordercę. Doprowadźmy to do końca, a potem otworzymy naszą budkę z burgerami rybnymi w Norddeich.

GUNNAR PESCHKE i Matthias Omonsky pojechali czarnym samochodem dostawczym do pewnej pieśniarki specjalizującej się w piosenkach dla dzieci, która mieszkała w tej samej dzielnicy co Ann Kathrin Klaasen. Siedzieli teraz we troje na tarasie, śmiali się, żartowali i snuli plany. Heiko Reuters zrobił zbliżenie swoim teleobiektywem i pstrykał im zdjęcia z bezpiecznej odległości. Czy to ona miała być kolejną ofiarą tej dwójki?

Rupert wyobraził sobie, że ratuje tę piękną, młodą kobietę ze szponów obu potworów. Wyjdzie na bohatera... Funkcjonariusz policji kryminalnej, który wbrew oporowi swoich przełożonych i do tego na zwolnieniu lekarskim wszystko świetnie wydedukował i ocalił życie kolejnej ofiary.

Nie pamiętał już, od jak dawna był na nogach. Żuł ziarna kawy, żeby nie zasnąć. To był trik jego dawnego kolegi:

— Co kwadrans trzeba na drobny pył rozgryźć ziarenko kawy, a potem powoli ssać ten proszek. W ten sposób nawet po czterdziestu ośmiu godzinach można być w pełni sił...

Rupert miał w kieszeni ćwierć kilo ziarnistej kawy — mieszanki ziaren z Brazylii i Ekwadoru. Jednakże nie zażywał po jednym ziarenku co kwadrans, tylko od razu wpychał sobie do ust całą garść. Niezbyt to było korzystne dla jego żołądka, ale dzięki temu nie zasypiał. Najpierw spadła na niego dziwna jasność umysłu, wręcz przenikliwość, potem czuł się, jakby był na dopalaczach, a na końcu było mu już tylko niedobrze.

Nagle jak z nicości wyłoniła się czarna chmura, która dotąd czaiła się za czterospadowym dachem domu i czekała na swoje wielkie wejście. Spadł krótki gwałtowny deszcz, trwający raptem kilka minut, po których wschodniofryzyjski wiatr popchnął chmury w kierunku Hanoweru. Tyle że Gunnar Peschke i Matthias Omonsky wraz z blond piosenkarką zniknęli z tarasu. Byli teraz gdzieś poza zasięgiem wzroku policji.

Rupert podszedł bliżej, niż wymagałaby tego roztropność, i musiał liczyć się z tym, że sąsiedzi zobaczą go podczas obserwacji. Heiko Reuters na polecenie Ruperta zakradł się nawet na klomb przed wejściem do domu i próbował teraz przez duże okno salonu robić zdjęcia wnętrza. Ale światło odbijające się od szyby nie ułatwiało zadania.

Rupert spodziewał się, że lada chwila usłyszy ze środka krzyk. Był gotowy natychmiast wedrzeć się do domu i wreszcie zakończyć ten horror.

Murarz Peter Grendel właśnie skończył pracę i wracał swoją żółtą ciężarówką do domu. Zauważył na tarasie swojej sąsiadki skradającego się fotografa, który celował wielkim obiektywem w okno. Także Rupert i Schrader wydali mu się dość podejrzani. Ale to nie byli włamywacze. Raczej obstawiał, że to podglądacze, i zastanawiał się, czy też oni przemieszczają się teraz w stadach.

Zatrzymał ciężarówkę, wystawił rękę przez okno i pokazując groźnie pięść, zawołał:

— Czy mogę wam w czymś pomóc?

Rupert zgarbiony podbiegł do żółtej ciężarówki i wyszeptał:

— Cii, nie tak głośno. To akcja policji.

Gromki śmiech Grendela sprawił, że Rupert się wzdrygnął.

— Akcja policji? To pokaż mi dokumenty, ty klaunie!

Rupert wyjął swoją odznakę, ale nie zrobiła na Grendelu żadnego wrażenia. Mężczyzna zdrwił, że coś takiego widział już na odpuszcie.

Żołądkiem Ruperta wstrząsnął skurcz. Jego jelita skręcały się w supły. Z trudem łapał powietrze. Dopiero co zdawało mu się, że zaraz zostanie bohaterem, a teraz był na najlepszej drodze, by się zbłąźnić, podczas gdy tam w środku prawdopodobnie dochodzi do morderstwa.

Teraz i Schrader podbiegł do ciężarówki. Heiko Reuters dalej próbował pstryknąć jakieś zdjęcie swoim teleobiektywem. Ale Peter Grendel miał już przy uchu komórkę.

— Wiecie co, chłopaki? Po prostu zadzwonię na komisariat w Norden. Na pewno chętnie im opowiecie waszą historię. Oni też lubią się pośmiać.

— Nie rób głupstw, Peter — odezwał się Schrader.

Teraz wreszcie Peter Grendel rozpoznał policjanta. Przed dwoma laty wykonywał naprawy w domu u rodziców Schradera.

W środku ktoś puścił głośno muzykę. Przez osiedle popłynęły dźwięki *Bi-Ba-Boogie z wanny* <sup>11</sup>. Peter Grendel znał tę piosenkę. Od razu wyczarowała uśmiech na jego twarzy. Pomyślał o swojej małej córeczce. Nie miał ochoty sterczeć tutaj ani chwili dłużej, chciał już tylko wracać do domu.

Czasem Rupert miał poczucie, że cały świat zawiązał przeciw niemu jeden wielki spisek. Dzisiaj był taki dzień.

Jeśli ci tam w środku dla zmyłki puszczają muzykę i zabijają tę piosenkarkę, to my wyjdziemy na durniów, bo stoimy pod drzwiami, zamiast wkroczyć do akcji. Ale jeśli wtargniemy do środka i okaże się, że oni tam po prostu raczą się winkiem, to wyjdziemy na jeszcze większych durniów.

Może właśnie z tego powodu dobrze jest mieć przełożonych, żeby nie podejmować takich decyzji samemu?

I postanowił dodzwonić się do Ubbo Heidego.

WELLER I ANN KATHRIN byli w drodze do Münster, żeby krewnym Christiny Diebold przekazać wiadomość o jej śmierci. Nie spodziewali się bynajmniej, że w otoczeniu rodziny znajdą jakąś wskazówkę prowadzącą do mordercy. Pod tym względem te morderstwa odróżniały się od prawie wszystkich innych z ostatnich lat. Z danych statystycznych wynikało, że sprawcę znajdowano zwykle pomiędzy krewnymi lub w ścisłym kręgu przyjaciół. Mimo to pojechali tam, bo ktoś musiał przekazać tę informację, a Ann Kathrin chciała poznać otoczenie, z którego wywodziła się ofiara.

Samochodem służbowym kierowała Ann Kathrin. Weller siedział obok niej, zatopiony w myślach i zżerany wyrzutami sumienia. Ann Kathrin uznała, że w takim stanie nie powinien prowadzić. Jest oczywiste — pomyślała — że praca to teraz dla niego jedyne sensowne rozwiązanie. Praca skieruje jego myśli na inne tory. Nic nie jest ważniejsze niż doświadczenie sukcesu, gdy przeżyło się tak straszną porażkę. Muszą dopaść to bydłę, a potem dać sobie czas i przemyśleć, jak ułożyć dalsze życie.

— W zasadzie — powiedziała — decydującym pytaniem jest... Frank, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

— Tak, oczywiście.

Zacząła od początku:

— No więc, w zasadzie decydującym pytaniem jest, co on robi z tą krwią? I dlaczego nie nadawała się do tego krew Christiny Diebold?

— Tak — odpowiedział Weller — on coś z nią wyprawia. Może ją pije.

Ann Kathrin wzdrygnęła się.

— Nie, na pewno nie mamy do czynienia z wampirem. On nie gryzie ofiar. Pobiera im krew. To

wszystko ma w sobie coś sterylnego, nie sądzisz? Coś szpitalnego. Jakby próbował nadać temu bardziej rzeczowy wymiar.

Weller podrapał się po kolanie.

— Tak, on zamienia kobiety w przedmioty.

Chętnie opowiedziałaby Ann Kathrin o swoich czasach w Münster. Wolałaby mówić o tym, a nie o śledztwie. Znał to miasto naprawdę dobrze — i to nie tylko klatki na wieży kościoła pod wezwaniem Świętego Lamberta. To właśnie tutaj w browarze Pinkus Müller pił najlepsze piwo Altbier w swoim życiu. Ann Kathrin, która tak chętnie piła poncz z Altbier w restauracji Backstube czy w Mittelhaus, na pewno by się nim zachwyciła.

— Przeżyłem w Münster szczęśliwy czas — powiedział, a jego słowa zabrzmiały jak pierwsza relacja astronauty z orbity okołoziemskiej. — Może po tej wizycie uda się nam jeszcze wpaść do Pinkusa Müllera i zjeść szynkę po westfalsku. Oni tam sami warzą piwo... ale nie jestem pewny, czy znajdziemy wolny stolik bez rezerwacji.

Ann Kathrin rzuciła mu spojrzenie pełne niedowierzania. Czy on naprawdę rozmyśla teraz o restauracjach?

— Przed knajpą Blechtrommel poznałem Renate. W środku była jakaś *jazz session*. Ale nie dostaliśmy już biletów i poszliśmy do knajpy Das Blaue Haus. To niedaleko od Pinkusa Müllera. Oczywiście nie chciałem iść z tą superbabką do knajpy, gdzie wszyscy mnie... — Nie dokończył zdania, ale po chwili dalej snuł swoją opowieść w rozmarzeniu: — Siedzieliśmy tam przy świecach i jakoś tak od razu stało się jasne, że... — Odchrząknął. — Nie, to jednak niezbyt dobry pomysł, żebym tam z tobą poszedł.

Ann Kathrin postanowiła, że się nie obrazi i nie zareaguje jak jędza, chociaż słuchając tego wszystkiego, poczuła dziwne ukłucie. Roześmiała się w nieco wymuszony sposób.

— Możesz mi spokojnie opowiadać o pięknych przeżyciach z Renate. O reszcie przecież i tak dowiaduję się na bieżąco. Między mną i Hero też nie zawsze był ten lodowaty chłód. Hero studiował tutaj kilka semestrów. Znam wszystkie te opowieści o życiu knajpianym na starym mieście. Zresztą dwa razy wyjechaliśmy do Münster na weekend. Tak, wtedy byliśmy świeżo zakochani i organizowaliśmy sobie takie obszary wolnego czasu — przeznaczonego tylko na miłość i nic innego.

— Chyba też powinniśmy zrobić coś takiego — odezwał się Weller wyraźnie skruszony.

WELLER INACZEJ wyobrażał sobie profesorski dom. Jako nieco bardziej zamożny. Wytworny. Gdy weszli do środka, uświadomił sobie, że jeszcze nigdy nie był w domu żadnego profesora. Ale to, co tu zobaczył, można było spokojnie kupić za dwie miesięczne pensje.

Pan i pani Diebold już wiedzieli. Ktoś do nich zadzwonił i poinformował o gwałtownej śmierci ich córki.

Ann Kathrin zastanawiała się, co za idiota był tak pozbawiony wrażliwości, by przekazywać taką informację przez telefon. Chciała dowiedzieć się, jak się ten ktoś nazywał, ale pani Diebold, która odebrała telefon, nie mogła już sobie tego przypomnieć.

W jej oczach zabłysła nadzieja, że informacja mogła być błędna i że ta dwójka przyjechała do nich właśnie po to, by ją sprostować.

Profesor Diebold robił wrażenie osoby opanowanej, jak gdyby to wszystko w ogóle się nie wydarzyło. Ann Kathrin znała takie reakcje krewnych ofiar. Szok dopadał ich często nawet kilka dni później.

Weszli za profesorem Dieboldem po schodach na górę, mijając obrazy wiszące na ścianie. Jego podpis, pokaźny i zamaszty, znajdował się w prawym rogu każdego z nich. Były tak zawieszony, by podpis za każdym razem znajdował się na wysokości oczu patrzącego. Nawet jeśli przy wchodzeniu po schodach nie widziało się zbyt dokładnie obrazu, to nazwisko było widoczne od razu. To nie był

przypadek, tylko bardzo świadoma inscenizacja.

Każdy obraz posiadał swoją własną lampkę, która go oświetlała. W korytarzu nie było innego źródła światła. Gdy profesor szedł przed nimi, Ann Kathrin poczuła, że pachnie terpentyną i farbami olejnymi. Przypomniało jej to Heinera Zimmermanna. Postanowiła, że jej olejny portret będzie ukończony na czas, na urodziny Wellera. Mam nadzieję, że morderca nie pokrzyżuje mi planów — pomyślała.

Gdy dotarli na górę, znaleźli się w czymś na kształt galerii. Także tutaj wisały obrazy profesora Diebolda — tym razem wielkoformatowe. To były twarze, które — jeśli się im przyjrzeć pod innym kątem — przedstawiały kobiece kształty. Również w obrazach ukazujących krajobrazy ukryte były kobiece akty.

W taki sposób chce skłonić ludzi, by dokładniej przyglądali się jego dziełom — pomyślała. Coś, co w pierwszej chwili wygląda jak góra z kilkoma kwiatami i wodospadem, w następnej chwili okazuje się kłębowiskiem ludzkich ciał. Korona tego drzewa, jeśli się lekko przykucnęło, wyglądała jak orgia. Równocześnie Ann Kathrin uświadomiła sobie, że profesor namalował tylko zarysy poszczególnych części ciała. To w jej własnej wyobraźni wszystko łączyło się w całość. On bawił się fantazją widza i chciał, by to widz doprowadził swoją wizję do końca.

Gdy teraz spoglądała z galerii w kierunku korytarza, zaczęła patrzeć na jego obrazy wyostrożonym wzrokiem. Musiała ścisnąć uda, bo przez ułamek sekundy miała wrażenie, że za chwilę będzie musiała mimowolnie popuścić. Każdy olejny obraz w korytarzu ukazywał wysypisko śmieci, a na każdym wysypisku śmieci znajdowały się ukryte członki ludzkiego ciała. Tutaj rozłożone nogi, tam jakiś wzwiedziony penis. Coś, co wyglądało jak wyrzucona pękata butelka, która leżała na jakiejś zgniecionej torbie foliowej, w zależności od perspektywy przekształcało się w akt płciowy.

Weller zapytał profesora, kiedy po raz ostatni widział córkę. Chciał poznać nazwiska i adresy jej przyjaciół. Zwykła policyjna rutyna. Ann Kathrin, która wcześniej nie słuchała rozmowy, włączyła się teraz pytaniem:

— Czy wszystkie pańskie obrazy są takie? — zapytała i wskazała na obrazy w korytarzu.

On potrząsnął głową.

— W żadnym razie. Mam o wiele szersze spektrum.

— Czy te obrazy były kiedyś wystawiane?

— Nie, ale dlaczego pani pyta? Wydają się pani znajome?

Teraz Ann Kathrin potrząsnęła głową.

— Nie, czegoś takiego jeszcze nie widziałam. Czy to takie nowoczesne malarstwo krajobrazowe? Wysypiska śmieci jako symbol...

Przerwał jej.

— Pani przecież nie przyjechała do mnie po to, by dyskutować o moich obrazach.

Ann Kathrin odchrząknęła i wygładziła rękawy.

— Pańska córka... Bardzo mi przykro, że teraz będę musiała powiedzieć to tak brutalnie... została znaleziona w kubie na śmieci. Mówiąc dokładniej, w niebieskim kontenerze na makulaturę. A pan właśnie maluje wysypiska śmieci, na których, jeśli się dokładniej przyjrzeć, ukryte są ludzkie członki.

Weller rzucił jej nierozumiejące spojrzenie. Sam nie zwrócił szczególnej uwagi na obrazy. Oczywiście dostrzegł te wysypiska śmieci, ale pomyślał tylko: „No ja bym sobie czegoś takiego nigdy nie powiesił w salonie”. Ale nie zauważył żadnego związku.

— Jeśli te obrazy jeszcze nigdy nie były wystawiane, to oznacza...

— ...że morderca musiał już kiedyś być w pańskim domu — dokończył zdanie Weller.

Równocześnie od razu nabrał wątpliwości. A może to wszystko to tylko przypadek? Próbował przypomnieć sobie mieszkania innych krewnych ofiar. Czy tam też były jakieś podejrzane obrazy lub inne

wskazówki?

Po raz pierwszy widać było po profesorze rzeczywiste emocje. Musiał się nawet przytrzymać poręczy schodów. Zachwiał się i pobladł jak kreda. Ale potem machnął ręką.

— Te obrazy są stare. Czegóż takiego już dzisiaj nie robię. Wiszą tutaj tylko dlatego, że... no tak, są po prostu częścią mojej osobowości, mojego rozwoju. Namalowałem to w czasie studiów.

— A może istnieją zdjęcia, które gdzieś zostały opublikowane?

Profesor Diebold potrząsnął głową.

Ann Kathrin zaczęła schodzić po schodach, przyglądając się podpisom na poszczególnych obrazach. Przy nazwisku za każdym razem pojawiał się rok. Wszystkie sześć obrazów powstało między rokiem 1980 a 1981.

— I jest pan pewny, że te obrazy nigdy nie były wystawione na widok publiczny? W jaki sposób sprawca mógł je poznać? Czy ma pan często gości?

— Trudno teraz będzie stwierdzić, Ann, ile osób przyszło z wizytą w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu, trzydziestu lat — wtrącił Weller. — Od kiedy pan tu mieszka?

— Przeprowadziliśmy się tutaj dopiero w 1992 roku.

— A gdzie mieszkał pan wcześniej?

— W Karlsruhe.

— I co pan tam robił?

— Na Boga, nauczalem.

— A gdzie wtedy były te obrazy?

Otworzył ramiona i wznosił ręce do góry.

— W moim atelier, bo niby gdzie indziej?

— I już wtedy miał pan studentów?

— Oczywiście, że tak.

— Czy oni odwiedzali pana w jego atelier?

— Tak, czasami. Czemu nie mieliby tego robić?

— Ilu z nich mogło zobaczyć te obrazy?

— Boże, nie mam pojęcia! Miałem wtedy klasę mistrzowską i...

— Potrzebuję wszystkich nazwisk.

Profesora przeszył dreszcz, jakby nagle zdał sobie sprawę z powagi sytuacji.

— Tak — powiedział i gorliwie pokiwał głową. — Oczywiście. Nie mam tych nazwisk, ale wszystko da się odtworzyć. W końcu studenci byli u mnie zapisani na zajęcia. Istnieje cała procedura przyjęcia...

Te szczegóły nie interesowały Ann Kathrin. Interesowało ją tylko jedno, więc powtórzyła ostro:

— Nazwiska, panie profesorze. Potrzebuję nazwisk.

Profesor sam zatelefonował do sekretariatu w Münster i podkreślił, że sprawa jest bardzo pilna. Ann Kathrin ze swojej komórki zadzwoniła do Karlsruhe.

SIEDEMDZIESIĄT MINUT PÓŹNIEJ na faks inspektoratu w Aurich zaczęły spływać listy z nazwiskami. To były setki osób i Scherer był wściekły, bo obawiał się, że przy ich sprawdzaniu nie tylko się pogubią, ale dodatkowo jeszcze zblażnią. Zawsze był przeciwnikiem podejmowania działań tylko po to, by działać.

Weller zaczął porównywać listy z nazwiskami dotychczas podejrzewanych osób. Nazwiska Meuling, Peschke i Omonsky czy Zimmermann nie znajdowały się na liście studentów ani z Karlsruhe, ani z Münster.

— Pani to nawet słyszy, jak trawa rośnie — ironizował Scherer — a nam trzeba twardych faktów.

— Trzeba brać, co wpada nam w ręce — odcięła się Ann Kathrin — a morderca czymś się

zainspirował...

Scherer roześmiał się drwiąco.

— Tak, już to przerabialiśmy, pani Klaasen. Pamięta pani? To był powód, by aresztować Meulinga, bo posiadał czasopismo z Fryzji Wschodniej, w którym było zdjęcie, które jakoby go zainspirowało.

— To nie w porządku, panie prokuratorze. Dobrze pan wie, że to nie był jedyny powód jego aresztowania, tylko jeden z elementów układanki...

— Tak, tak. W każdym razie Meuling już nie żyje. Być może powinniśmy szukać nie tyle wzorców, co samego sprawcy? Jest mi obojętne, czym on się inspirował. Chcę go dostać i tyle.

— Niech mi pan wierzy, że ja też.

Tymczasem pani Diebold zeznała do protokołu, że jej mąż urządził czasem duże przyjęcia — dla prawie stu osób. Przychodzili artyści, właściciele galerii, współpracownicy z uczelni i oczywiście także uczniowie z jego klasy mistrzowskiej.

— Prawie tego nie kontrolowaliśmy — powiedziała. — Rozsyłaliśmy zaproszenia, ale potem ktoś przyszedł, ktoś przyprowadził z sobą kogoś jeszcze i... ech! Państwo wiecie, jak to jest. Jeśli mieliśmy szczęście do dobrej pogody, to te przyjęcia odbywały się w ogrodzie. Christina przygotowywała drinki, a mąż grillował mięso. On lubi takie proste rozrywki. Zawsze pomagało nam kilku studentów, a gdy się robiło późno, to z resztą towarzystwa kontynuowaliśmy imprezę w domu.

W trakcie jednej z takich imprez, jak wnioskowała Ann Kathrin, przestępca mógł wpaść na swój pomysł, oglądając obrazy profesora. Ta myśl nie dawała jej spokoju.

GOTOWAŁ SIĘ ze złości. Co za obrzydliwa świnia z tego profesora! Śmierć córki wykorzystał bezwstydnie dla własnych celów.

We „Frankfurter Allgemeine Zeitung” został nazwany jednym z najbardziej znaczących artystów w Niemczech i ustawiony w jednym szeregu z Baselitzem i Immendorffem. „Magazyn Gwiazd” telewizji RTL zrobił z niego najznakomitszego malarza stulecia, który w swych wizjach przeczuł śmierć własnej córki. Na kanale Pro 7 puszczały wywiady z jego studentami i pokazywali obrazy z wystaw.

Nerwowo wyciągał tytoni z woreczka. Najbardziej irytujący był widok tych wszystkich mikrofonów wycelowanych w profesora Diebolda. Konferencja prasowa była zwykłą kampanią reklamową. W tle stało wielkie niedokończone jeszcze dzieło profesora, na którym z nieba kapała krew.

Opanowanym, choć nieco łamiącym się głosem odpowiadał na pytania dziennikarzy. Umiejętnie podkreślał swoją nadzwyczaj dobrą relację z córką. Co było dziwne, w ogóle nie wspominał o żonie. Być może ona dystansowała się od jego występów i robiła mu teraz w domu piekło?

Raz otarł łzę, ale nawet wtedy wyglądał zdecydowanie po męsku.

— Sam jestem ojcem dwojga dzieci i zastanawiam się, jak człowiek może sobie z czymś takim poradzić — chciał wiedzieć pewien rudowłosy dziennikarz.

Profesor spojrział w górę i na chwilę zacisnął powieki, jakby oślepiły go reflektory i tylko z trudem mógł dostrzec twarz pytającego. W rzeczywistości to była cyniczna, wyrachowana poza. Był tego pewien. Pytanie na pewno było wcześniej przygotowane i omówione z profesorem, który mógł wreszcie zacząć mówić o tym, co było dla niego o wiele ważniejsze od śmierci córki — a mianowicie o sobie samym.

I zaczął tak: ze wszystkimi złymi wydarzeniami w swoim życiu radził sobie w jeden jedyny sposób. To właśnie wtedy powstawały jego obrazy. Każdy kryzys życiowy przemieniał w nową artystyczną wizję i tak oto z najgorszych przeżyć wyrosły najlepsze, najbardziej wyraziste dzieła.

Nerwowo zaczął sobie skręcać papierosa. Najchętniej naplułby teraz profesorowi Dieboldowi w twarz. A równocześnie podziwiał go, że tak profesjonalnie to wszystko przeprowadził.



— Wszyscy jesteście siebie warci! — skwitował gniewnie.

Bo czy również Immendorf nie potrafił obrócić każdego skandalu na swoją korzyść? Czy nie był bardziej znany z powodu narkotyków i seks-skandali aniżeli z powodu obrazów? Jaki malarz trafiłby na pierwszą stronę „Bilda”. Nawet ciężka choroba przyczyniła się do wzrostu jego popularności. Bo przecież malarzowi nie może się przytrafić nic gorszego od tego, że oślepnie i nie będzie mógł panować nad pędzlem. Ale nawet z tego dramatu Immendorf potrafił jeszcze wycisnąć jakąś korzyść. Jego studenci malowali obrazy zgodnie z jego wskazówkami, a prasa bulwarowa szeroko się o tym rozpisywała.

Papieros mu nie wyszedł. Za mocno ścisnął tytoń. Musiał się mocniej zaciągnąć, by rozniecić żar, i wtedy dym zbyt gwałtownie wdarł się do płuc. Prawie go to zabolało. Mimo to nie zakaszłał, tylko przez chwilę łapał powietrze szeroko otwartymi ustami. Miał uczucie, że jest smokiem ziejącym ogniem.

Zobaczycie, że całe to wasze pajacowanie pod publiczność zblednie wobec moich dokonań! — myślał. Moje czyny zepchną was wszystkich w cień i odeślą do ostatnich rzędów. Czym jest trochę koksu i kilka dziwek wobec tego, co ja zrobiłem? Twoja martwa córka będzie miała jakiegokolwiek znaczenie tylko dlatego, że to ja ją zabiłem, profesorku.

Czuł, jak bardzo te morderstwa pomagają mu uporać się z poczuciem własnej wartości. Tak, morderstwa to była droga, dzięki której mógł pokonać kompleks niższości i poczuć się lepszy od wszystkich. Wreszcie jestem w pełni twórcą — napawał się.

Ale potrzebował jeszcze jednej kobiety. Kobiety w płomieniach. Żeby dokończyć cykl, trzeba było sięgnąć po ogień. Ten kubeł na śmieci to był zwykły wypadek przy pracy. Niestety Christina Diebold nie miała siostry bliźniaczki. Z drugiej strony sprytnie chwyt marketingowe profesora Diebolda właśnie to morderstwo uczyniły dokonaniem większym od poprzednich.

Nie namalował wcześniej Christiny Diebold. Nie pasowała mu do koncepcji, dlatego pozbył się także jej krwi. Nigdy mnie nie dopadniecie, wy durni partacze! — myślał. Mógłbym kontynuować moje dzieło jeszcze długo, gdy zakończę już cztery żywioły. A gdyby tak zabrać się potem za dyrektorów najważniejszych muzeów w Niemczech?

Ta myśl przypadła mu do gustu. Uśmiechnął się. Jakże wielu niezrozumianych i pominiętych artystów byłoby mu wdzięcznych, gdyby wreszcie położył kres ich poniżaniu.

Gdyby tylko ci ludzie nie byli tacy brzydki... W każdym razie dla zobrazowania idei ognia potrzebna mu była piękna kobieta. Zaczął przeglądać gazetę telewizyjną i już prawie zdecydował się na pewną aktorkę, ale usłyszał w sobie ostrzegawczy głos. O, nie! Tylko nie ktoś taki. Potem będą nieustannie pokazywać jej filmy w telewizji i w rezultacie ta kobieta przyćmi go sławą. I będzie jeszcze gorzej niż teraz. A więc musi to być jakaś nieznana piękność. Taka bez agenta, który potem próbowałby wycisnąć z jego dzieła wszystko, co mogłoby przysporzyć jego klientce pośmiertnej sławy.

W gazecie znalazł sporo ogłoszeń dawanych przez kobiety, które — rzekomo bez pobudek finansowych — szukały partnerów do seksu. Nie, to w żadnym wypadku nie może być prostytutka. Ona musi być czysta. Nieskalana. Odpowiednia dla jego sztuki.

— Szukam ofiary bez pobudek finansowych! — roześmiał się głośno. — No, która jest gotowa umrzeć w imię sztuki?

ANN KATHRIN KLAASEN poczuła nagły niesmak, gdy uświadomiła sobie, że Heiner Zimmermann być może nadal maluje jej akt. Nie potrafiła teraz zrozumieć, dlaczego wpadła na tak idiotyczny pomysł. Dlaczego miałyby się dać portretować nago akurat przyjacielowi Franka ze szkoły, aby podarować mu potem ten obraz na urodziny?

Co za diabeł mnie podkusił? — zastanawiała się. Jak mogła dać się tak omamić Zimmermannowi? Czy była wtedy przy zdrowych zmysłach? Być może właśnie obrazy profesora Diebolda wywołały w niej te

wątpliwości. Miała w nocy straszny sen. Heiner Zimmermann dokończył obraz bez jej udziału, a Weller wrócił do swojej Renate i wiódł z nią i z córkami szczęśliwe życie rodzinne. Oczywiście Renate nie chciała mieć w sypialni portretu swojej konkurentki i ostatecznie obraz trafił na aukcję uświetniającą imprezę w inspektoracie policji w Aurich. To było pożegnanie Ubbo Heidego, a ona miała zostać jego następczynią. Rupert licytował ten obraz oparty nonszalancko o ramę. Opowiadał jakieś świńskie żarty o Ann Kathrin. I głośno się dziwił, dlaczego ona na obrazie wychodzi z trumny. Pytał, czy to jest jakaś dotychczas mu nieznaną techniką sado-maso czy może coś dla pobudzenia nekrofilów. Wyjaśniał, że on sam zupełnie inaczej namalowałby jej portret — Ann Kathrin siedziałaby okrakiem na koniu, bo Rupert woli siodło od trumny.

A potem pojawił się w tym śnie jej nieżyjący ojciec, który natychmiast przerwał aukcję. Ganiał tam za Rupertem i resztą, jakby byli uczniami podstawówki, a on surowym nauczycielem, którego wszyscy się boją.

Z jednej strony była za to wdzięczna ojcu, ale z drugiej strony wstydziła się przed nim, chociaż już we śnie wiedziała, że to wszystko jest nierealne, bo przecież ojciec nie żyje. Wiedziała to nawet w fazie REM. Ten sen podzielał na nią jak sygnał alarmowy.

I właśnie stała przed domem Heinera Zimmermanna przy Norddeicher Strasse, dzwoniąc do drzwi. Malarz był w domu. Słyszała muzykę. To było *Satisfaction* Rolling Stonesów.

Gdy za pomocą dzwonka próbowała przebić się przez głos Micka Jaggera, zaczęła się nagle wahać. Czy to nie jest głupie z jej strony? Czy nie zachowuje się teraz jak drobnomieszczanka? Czy z tego powodu będzie się kiedyś złościć na siebie? Dlaczego nagle nabrało to dla niej takiego wielkiego znaczenia? Dlaczego to wszystko wydało się jej tak potworne...

Najchętniej zawróciłaby, ale Heiner Zimmermann już z uśmiechem otwierał drzwi.

— O, moja ulubiona modelka! Mam nadzieję, że tym razem żaden oddział do zadań specjalnych nie pokrzyżuje nam planów.

Jego nikotynowy oddech owiał jej twarz. A on od razu zorientował się po jej minie, że sprowadza ją coś poważnego i na wskroś nieprzyjemnego. Próbował jej to ułatwić, lekko jej dotykając i zapraszając do środka niemalże poddańczym gestem. Miał w sobie coś, co dawało kobietom poczucie, że są królowymi. To coś pojawiło się natychmiast i zaczęło działać.

Ann Kathrin przyjrzała się obrazom i rzeźbom. Wszystkie te kobiety wyglądały tak żywo i naturalnie, że poczuła dreszcz. Miała wrażenie, jakby ją słyszały, mogły jej odpowiedzieć, a nawet zejść z obrazów i jej dotknąć, a rzeźby sprawiały wrażenie, jakby w każdej chwili mogły się poruszyć.

Pomyślała, że już teraz musi się zacząć bronić, by nie ulec jego czarowi i nie zmienić swojej decyzji. Wokół pachniało świeżymi farbami. Jego dłonie i podwinięte rękawy zdradzały, że właśnie pracuje. Wyobraziła sobie, że przed chwilą malował jej biodra, krótkimi pociągnięciami pędzla podkreślając loki na włosach łonowych. Ta wizja zdecydowanie nie przypadła jej do gustu.

Gdy jeszcze się zastanawiała, jak powinna zacząć, on zagaił rozmowę:

— Macie nowe zwłoki... W mediach aż się gotuje.

— Hm...

Wcale nie chciała o tym mówić. Nie przyszła tutaj, by dyskutować z nim o śledztwie.

— No więc, gdybyś chciała wiedzieć, to uważam, że jest nie do przyjęcia to, co Diebold z tym robi.

— Znasz go?

I Ann Kathrin od razu rozżłościła się z powodu swojego pytania. To odwodziło ją od właściwego zamiaru. Z nim często tak było. Kierował rozmowę na temat, o którym wolał mówić.

— A kto go nie zna? Wyjątkowo przebrzydła postać w świecie sztuki. Ma całą masę stanowisk i funkcji. Bez niego i jego poparcia nie dostaniesz w tym kraju żadnej nagrody.

Ann Kathrin się zdumiała.

— Nie miałam pojęcia, że jest tak wpływowy.

Heiner Zimmermann wzruszył ramionami i zmarszczył nos.

— To on razem z jemu podobnymi zaprowadzili w Niemczech dyktaturę przeciętniaków. A teraz czerpie jeszcze korzyści z publicznego współczucia. Jego dzieła osiągną dziesięciokrotne ceny. W zasadzie powinien być wdzięczny temu mordercy.

Ta myśl zirytowała Ann Kathrin.

— Chcesz powiedzieć, że morderstwo jego córki bardziej mu pomogło, niż zaszkodziło?

Heiner Zimmermann nalał z kryształowej karafki do dwóch pękatych szklanek wschodniofryzyjskiej wody kranowej. Jedną podał Ann Kathrin, drugą łąpczywie opróżnił jednym haustem.

— Czy to się często nie zdarza? — zapytał Heiner. — Ktoś w gniewie zabija jakiegoś faceta i idzie na piętnaście lat do więzienia, a w rzeczywistości tylko oszczędził jego żonie rozvodu, a dzieciom umożliwił szybsze przejęcie spadku. Nie miał wprawdzie takich zamiarów, ale taki był efekt jego czynu. Dał po prostu upust swojej wściekłości, a inni mogą wreszcie prowadzić wolne, niezależne życie.

Ann Kathrin małymi łydkami popijała wodę ze szklanki, przechadzając się przy tym po pokoju. Szukała szkiców, na których mogłaby rozpoznać swój akt.

One znowu tu były: Gisela, kasjerka z supermarketu Combi, i Michaela z knajpy Gittis Imbiss... Ann Kathrin musiała wreszcie przejść do rzeczy. Przychodziło jej to z trudem, podobnie jak podczas dawnych rozmów z byłym mężem Hero, kiedy miała poczucie, że pan psycholog wpuszcza ją w maliny. Hero potrafił świetnie odwracać kota ogonem. Na koniec rozmowy wydawało jej się, że to z nią jest jakiś problem, a nie z nim.

Nie chciała zranić ani zdenerwować Heinera Zimmermanna. W końcu to był dobry przyjaciel Franka. Przyjaciel, którego Frankowi zazdrościła. To on w trudnej sytuacji potrafił znaleźć właściwe słowa. Lubiła go. Być może dlatego, że był tak bardzo inny od policjantów, z którymi miała do czynienia na co dzień.

Odchrząknęła.

— Czy po tym wszystkim pracowałeś jeszcze nad moim portretem? Masz jakieś szkice?

Ucieszył się.

— Ależ oczywiście. Wiedziałem, że wrócisz. Przecież nie popsujemy sobie zabawy z powodu tej idiotycznej akcji policji, prawda?

— Proszę, oddaj mi te szkice. Już nie chcę tego obrazu.

— Co proszę? Słucham?

— Dobrze mnie zrozumiałeś. Nie wiem, dlaczego w ogóle się na to zgodziłam. Pracuję jako policjantka kryminalna na naszym terenie. To wszystko może łatwo wymknąć się spod kontroli — sam widziałeś. Nagle takie obrazy stają się częścią śledztwa. Zostają upublicznione i...

Opadł ciężko na fotel, jakby obawiał się, że zaraz zemdleje. Na oparciu fotela leżała ścierka poplamiona farbami. Mimowolnie wziął ją do ręki i wytarł dłonie, a potem jeszcze usta. Wyglądał, jakby zaraz miał wpaść w histerię, jednak w końcu przemówił bardzo spokojnie, rzeczowym głosem wrażliwego terapeuty:

— To nie ty zrobiłaś błąd, Ann Kathrin, tylko twoi koledzy. Jeśli ktoś ma się tu czegoś wstydzić, to tylko oni. Działali nieprofesjonalnie, niedelikatnie i zachowywali się jak...

— To nie o to chodzi — zaprzeczyła. — Ja po prostu już tego nie chcę.

On jednak obstawał przy swoim.

— Wdarli się w twoją i moją sferę intymną. Równie dobrze mogliby wdrzeć się do waszej sypialni, w której ty i Frank podczas seksu...

— Z pewnością masz rację. Ale mimo to już tego nie chcę. Nie chcę, żeby istniały obrazy, na których można mnie zobaczyć. To nie w moim stylu, nie pasuje do mnie, to...

Zrezygnowany pokiwał głową, zastanawiając się: Czy ona wie, że to ja? Czy wykorzystuje ostatnie minuty przed moim aresztowaniem, żeby zniszczyć obrazy, bo dobrze wie, że kolorowe magazyny zapłacą za nie zawrotne kwoty? Czy boi się, że stanie się obiektem kpin opinii publicznej? Czy tak bardzo zależy jej na tej idiotycznej pracy? Czy dlatego chce to wszystko odkręcić? A może jest tylko zwykłą bigotką, która tak dobrze pasuje do Franka?

— Szkoda — powiedział — myślałem, że jesteś dalej.

— Dalej?

— Czy naprawdę czujesz swoje własne tęsknoty, czy tylko to, co powinnaś czuć? Chcesz tylko przestrzegać poprawności politycznej czy...

Przerwała jego tyradę.

— Nawet jeśli ci się to nie podoba, Heiner, chcę, żeby te wszystkie obrazy, wszystkie szkice — to wszystko — przestało istnieć. Jeśli poniosłeś wydatki, chętnie zwrócę ci pieniądze.

Wstał z fotela, wznosił ramiona do sufitu jak ktoś, kto się poddaje, i powiedział:

— Okej, okej. Możesz wszystko dostać z powrotem. Oczywiście to nic nie będzie kosztować. Ale przynajmniej obejrzyj sobie szkice, żebyś wiedziała, czego się pozbywasz. To jest część ciebie, którą potem spalisz i odrzucisz.

Wyjął jej z ręki szklankę.

— Nie smakuje ci. Przecież widzę.

Poszedł ze szklanką do misy z owocami, wyjął stamtąd cytrynę, przekroił ją i połówkę ścisnął dłonią. Krople wpadły do szklanki. Potem odwrócił się plecami do Ann Kathrin, podszedł do komody, wyjął łyżeczkę i z głośnym brzękiem zakręcił nią w szklance z wodą. Przyniósł z lodówki kostki lodu i wrzucił do szklanki.

Ponownie wręczył jej szklankę.

— Jesteś bardzo miły — powiedziała i wypila.

Kwaśna, cytrynowa, zimna woda dobrze jej zrobiła.

Pod oknami przejechało kilka ciężkich motocykli. Ann Kathrin wyraźnie rozpoznała dźwięk Harleya Davidsona Dyna i Kawasaki VN 900. Potem zatrąbiła jakaś ciężarówka.

On pobiegł na górę, by przynieść swój szkicownik. Brał trzy stopnie na raz.

Chciała pójść za nim, ale już w połowie schodów spotkali się, gdy schodził z teczką pod pachą.

— Nie wolno mi wejść na górę?

— Przecież nie interesuje cię moja sztuka. Tylko by cię to zabolalo.

— Zabolalo? Jak mam to rozumieć?

— Zabolaloby cię, gdybyś zobaczyła, jak wolne są inne kobiety.

— Myślisz, że one są bardziej wolne tylko dlatego, że pozują ci do obrazów?

Stojąc na schodach, trzymał przed sobą teczkę jak tarczę. Otworzył ją, ale tylko do połowy, jakby chciał zapobiec, by Ann Kathrin zajrzała do środka. Wyłowił trzy duże szkice formatu A2.

— Proszę bardzo, *Herr Reichsgauleiter*. Oddaję te zwyrodniałe dzieła na spalenie...

— To podłe! — przerwała mu. — Dlaczego mówisz coś takiego?

I chociaż była wściekła na Heinerja Zimmermanna, nie mogła się powstrzymać, by nie rzucić okiem na rysunki. Od razu rozpoznała siebie. I wtedy poza wściekłością poczuła coś jeszcze. To była jakaś dziwna duma. Wewnętrzne łaskotanie, jakby miało się jej za chwilę odbić. Tak radośnie podniecona bywała czasem jako mała dziewczynka, gdy wiedziała, że tatuś zaraz wróci do domu, a wcześniej zapowiedział, że będzie miał dla niej prezent. Lody, kilka cukierków, ładną chusteczkę. Lubił robić jej niespodzianki

takimi drobiazgami. Ale dla niej to były dowody miłości. Każdy cukierek mówił jej: mój tatuś o mnie myśli. Mój tatuś mnie kocha. Mój tatuś nigdy o mnie nie zapomni.

Te rysunki wyglądały inaczej, niż je zapamiętała. Na jednym wychodziła z trumny i sięgała ręką w górę, jakby chciała dotknąć czegoś na suficie. Na drugim miała na głowie koronę. Na ostatnim wyglądała dokładnie tak jak przed wdarciem się oddziału specjalnego do budynku.

— Dlaczego założyłeś mi tę koronę? — zapytała.

Zszedł dwa kroki w dół w jej kierunku, ale ona nie zrobiła mu przejścia.

— Bo wtedy na krótki czas stałaś się królową, Ann Kathrin. Teraz najwyraźniej lepiej się czujesz jako niewolnica.

— Nigdy nie byłam niewolnicą.

— Ależ byłaś. Dobrze wiesz, o czym mówię. Kto nie może być tym, kim jest naprawdę, ten jest niewolnikiem, Ann Kathrin. Nieważne, czy w swoim prawdziwym życiu nosi mundur czy czapkę błazna. Wolnym można być tylko tutaj — powiedział i popukał się w pierś.

Nagle przyszło jej do głowy pewne podejrzenie.

— Tam na górze jest jeszcze jeden mój portret.

Potrząsnął głową z kwaśnym uśmiechem.

— Nie, na pewno nie. Zaufaj mi.

— Chcę to zobaczyć. Wpuść mnie tam. Dlaczego nie pozwalasz mi wejść na górę?

— Nie wariuj, Ann. Gdybym chciał cię oszukać, zrobiłbym to bez najmniejszego problemu. Nie potrzebuję tych szkiców. Wszystko potrafię namalować z pamięci. Mógłbym cię namalować w stu różnych pozycjach, za każdym razem w innej.

— Przecież właśnie malujesz. Widzę to po twoich dłoniach. Pokaż mi obraz.

— Nie, nie mogę cię teraz wpuścić na górę. Sama się wypisałaś z tej zabawy, więc już się razem nie bawimy.

Ściskając w dłoni rysunki i swoją szklankę z wodą, chciała się precyzyjnie przemieszczać na górę, ale on zaparł się wyciągniętymi rękoma o ścianę.

— Co to ma być? Czy to jakiś rodzaj przeszukania?

Im bardziej nie chciał jej wpuścić do atelier na poddaszu, tym większą miała pewność, że maluje tam jej wielki akt.

Nie pozwoliła, aby ją zatrzymał, i pobiegła po schodach na górę. Ale to, co tam zobaczyła, otrzeźwiło ją. Wielkie, zupełnie jeszcze nienaruszone płótno czekało na pierwsze pociągnięcie pędzla artysty. Na podłodze stały proszki, płyny, wiaderka z farbą. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej, niż zapamiętała to ze swojej ostatniej wizyty.

Teraz i on przyszedł za nią.

— I co? Zadowolona?

— Co tu robisz?

— Sam mieszam farby. Jak wielcy dawni mistrzowie.

I właśnie w tej chwili pojęła, co Fryzjer robił z krwią. Przeniknęło ją to jak błyskawica. Oczywiście. On je maluje, a farby miesza z krwią.

Odwróciła się i spojrzała na Heinera Zimmermanna.

— Muszę już iść — powiedziała.

Znowu zastąpił jej drogę, tym razem nie pozwalając zejść na dół.

— Upewniłaś się, że nie kłamałem? Uwierz mi, gdybym chciał coś odtworzyć, to mam wszystko tutaj.

— I popukał się palcem wskazującym w czoło, zastanawiając się, kiedy *liquid ecstasy*, które wlał jej do wody, wreszcie zacznie działać. — Potrafię namalować wszystko, co kiedykolwiek zobaczyłem. Mam

fotograficzną, wielowymiarową pamięć. Więcej: ja nie tylko zwyczajnie pamiętam, o, nie! Potrafię zmieniać formy według uznania. Mógłbym namalować ciebie i Franka, jak on bierze cię na takie sposoby, o jakich ty jeszcze nie ośmieliłaś się zamarzyć.

Była oburzona i z niesmakiem wykrzywiła usta.

— Czemu to mówisz? Co to ma znaczyć?

— Nie mogę cię wypuścić, Ann Kathrin — powiedział i zabrzmiało to prawie tak, jakby było mu z tego powodu przykro. — Wiesz, że to ja, prawda? Zajęło ci to dużo czasu. Czy twoi koledzy też już wiedzą? Czy zaraz się tu zjawią? Czy znowu będą szturmować mój dom? Mam nadzieję, że pozwolą mi dokończyć moje dzieło. Ty sama znalazłaś w nim miejsce dla siebie.

Poczuła zawroty głowy. Kończyny stawały się coraz cięższe, a świat w jej głowie zaczynał wirować. Nie wiedziała już, czy naprawdę słyszy jego głos, czy tylko wyobraźnia płata jej figle.

— Ja... ja... — wyjąkała — ja myślałam, że jesteś przyjacielem Franka.

— Ależ jestem! — Heiner Zimmermann się roześmiał. — Dostanie ode mnie ten obraz. Będzie wart miliony. I stanie się częścią najświetniejszego cyklu w świecie. Na początku będzie mu trochę smutno, ale potem na pewno przeboleje stratę. Stanie się mężczyzną interesującym dla wielu kobiet: dla dyrektorek muzeów, właścicielek galerii, profesorek sztuki i rektorek uniwersytetów. On, przyjaciel Heinera Zimmermanna, kochanek Płonącego Anioła. Komisarz, który był tak blisko rozwiązania zagadki, że aż nie mógł dostrzec jej rozwiązania.

Ann Kathrin się zatoczyła.

— Co mi wlałeś do tej cholernej szklanki? — wrzasnęła i rzuciła nią w kierunku Heinera Zimmermanna.

Usłyszała, jak szklanka spada z brzękiem i roztrzaskuje się na kawałki, ale nie była w stanie skupić spojrzenia na miejscu, w które trafiła.

— *Liquid ecstasy*. Tylko nie mów, że nie znaleźliście tego w ciele Christiny Diebold. Podobno ta substancja po dwudziestu czterech godzinach znika z krwi. Nie jestem pewny, czy to prawda. W szkołach wieczorowych nie prowadzą kursów dokształcających na ten temat.

WELLER OGLĄDAŁ w komputerze *homepage* profesora Diebolda. Było tam kilkaset zakładek: jego obrazy, artykuły prasowe na jego temat, cytaty i opinie o nim, własne prace na temat teorii sztuki, niezliczone artykuły o Beuysie i mnóstwo zdjęć z uśmiechniętymi studentkami. Najwyraźniej pan profesor był w pełni oddany wspieraniu młodych adeptów sztuki. Nieustannie otwierał jakieś ich wystawy, przy czym Wellerowi rzuciło się w oczy, że studentki były często ładniejsze od swoich dzieł. Wśród młodych ludzi wspieranych przez profesora Diebolda mężczyźni stanowili mniej niż dziesięć procent, a pośród kobiet Wellerowi brakowało choćby jednej przyszczatej i pulchnej, ale utalentowanej młodej malarki. Czy one wszystkie musiały mieć długie włosy i rozmiar trzydzieści sześć, najwyżej trzydzieści osiem, a do tego zdumiewająco obfity biust?

A może, zastanawiał się Weller, to tylko robaczywe myśli? Patrzą na wszystko okiem kryminologa i wszędzie doszukują się przestępstwa, zasadzki, podłości.

Chciał już skończyć z tym klikaniem i otwieraniem kolejnych stron, gdy pewna publikacja obudziła jego ciekawość. Był to artykuł z gazety studenckiej. Jakiś nieopierzony dziennikarz chropowatym językiem starał się zrelacjonować powszechną radość z faktu, że słynny profesor Diebold przybędzie z Karlsruhe do Münster, żeby zacząć pracę w letnim semestrze. W reportażu można było znaleźć sporo zdjęć. Ukazywały przeprowadzkę profesora: jego przybycie na miejsce, rozładowywanie ciężarówki oraz transport mebli i wielkoformatowych obrazów, wnoszonych do budynku przez długowłosych mężczyzn. Nagle Wellerowi zaczęło się robić na przemian zimno i gorąco. Powiększył obraz, ale nie było to

potrzebne. Od razu go rozpoznał. To był Heiner Zimmermann.

Weller przypomniał sobie słowa Ann Kathrin, że morderca musiał znać te obrazy.

No jasne. Heiner Zimmermann nigdy nie studiował u profesora Diebolda. Przecież nie przyjęli go na żadne studia. Weller pamiętał ten jego dramat. Ale Zimmermann przez kilka lat zarabiał na życie, pracując jako pomocnik przy przeprowadzkach. Skarżył się wtedy Wellerowi, że to wszystko jest takie okropne, bo on jako malarz nie może mieć zgrubiałych palców. To noszenie mebli naruszało podobno motorykę jego dłoni. Bał się, że niedługo nie będzie już mógł dobrze malować. Nawet pokazywał swojemu przyjacielowi szkice, które sam uważał za nieudane, bo rzekomo jego palce przestały już być sprawne z powodu pracy fizycznej. Weller uznał wówczas, że obrazy są przepiękne i nawet kupił jeden za dwadzieścia marek — nie tylko dlatego, by wyświadczyć Heinerowi przysługę, ale również po to, by w ten sposób zdobyć punkty u swojej ówczesnej dziewczyny. Ta dziewczyna kompletnie straciła wtedy głowę, bo była przyzwyczajona, że mężczyźni kupują jej kwiaty i czekoladki. Co prawda jeden podarował jej nawet bieliznę, ale żaden nie sprezentował oryginalnej grafiki.

Spoko wodza — pomyślał Weller. Jakie to niby ma znaczenie? Powiedzmy, że Heiner widział te obrazy. Powiedzmy, że kupił także pręty z rodzaju tych, na które nadziano Mareike Henning w parku zamkowym. No i wiadomo, że zna ten park i te kwitnące krzewy. Dlaczego miałby... Nie, on po prostu nie jest aż tak ześwirowany.

Czy próbuję teraz bronić mojego starego kumpla, czy też naprawdę jest idiotyzmem konstruowanie oskarżenia z przypadkowych faktów? Równie dobrze każdy inny tragarz mebli mógł zobaczyć te obrazy, nie mówiąc o licznych studentach i gościach w domu profesora...

Weller nie zamierzał robić ze swych domysłów od razu wielkiej afery. Na razie zastanawiał się tylko, co ma z tym począć.

CZASEM — myślał Ubbo Heide — pojawiają się znaki i zdarzają cuda. Być może wszystko było zasługą Wellera. Gdy ten zastrzelił Meulinga w Groningen, zaczęto wywierać dodatkową presję także na holenderskich kolegów. I właśnie teraz Ubbo Heide otrzymał faksem na swoje biurko wyniki z badania instalacji rzeźb zatytułowanych *Siedem syren i bóg morza* autorstwa Heinera Zimmermanna.

Ubbo Heide sięgnął po telefon i zadzwonił do Wellera. Ten wydawał się dziwnie nieobecny duchem, jakby miał zamiar chorować albo ocknął się dopiero z ciężkiego kaca.

— Zbadali te figury Heinera Zimmermanna.

Weller tylko coś mruknął w odpowiedzi.

— I jak myślisz, co wyszło z badań kryminalistycznych?

Teraz Ubbo mówi pytaniami, zupełnie tak jak Rupert — pomyślał skwaszony Weller, ale nic nie powiedział.

— On faktycznie użył tych prętów. W każdym razie takie właśnie pręty znajdują się w tych figurach.

— No więc — stwierdził Weller — tym samym Heiner Zimmermann zostaje wykluczony z kręgu podejrzanych.

Ubbo Heide nieco się zająknął.

— Nie całkiem. On wprawdzie użył tych prętów, ale... ale pociął je na kawałki.

— Jak?

— Jak to zrobił, tego nie wiem. W każdym razie kupione pręty były o wiele większe od figur. On użył tylko części całych prętów, a jeśli je wszystkie położyć obok siebie, to wychodzi na to, że użył tylko cztery, a przecież zamówił dwadzieścia. W ten sposób zostało mu szesnaście prętów, które mógł wykorzystać do wyeksponowania zwłok w parku zamkowym. Chociaż tam użył tylko dwunastu...

Weller nie był już w stanie usiedzieć w skórzanym fotelu. Miał poczucie, że spodnie go palą i że pod

stopami też robi się gorąco. Skoczył na równe nogi i zaczął chodzić po biurze tam i z powrotem.

— Ubbo, ja... ja nie wiem, czy nie wsiadłem teraz do złego pociągu. Bo w końcu on i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi, kolegami z klasy i...

— No, wyrzuć to z siebie, Weller.

— To wszystko w ogóle do niego nie pasuje. Ale nie mogę zignorować faktu, że...

— Przestań już owijać w bawełnę! O co chodzi?

— On zna profesora Diebolda. Pomagał mu przy przeprowadzce z Karlsruhe do Münster. Czyli zna również te obrazy, które według Ann Kathrin stały się powodem wrzucenia zwłok Christiny Diebold do kubła na śmieci.

Każdy fakt z osobna nie był jeszcze dowodem przeciw Heinerowi Zimmermannowi. Ale zebrane razem tworzyły poważne podstawy do podejrzeń.

— Tylko bez pośpiechu — powiedział Ubbo Heide. — Już raz w tej sprawie zbyt ulegliśmy naszym pobożnym życzeniom, że oto mamy mordercę. W końcu wdarliśmy się do jego domu...

— Tak, wszyscy będziemy to jeszcze długo pamiętać — przyznał Weller. — Ale może w naszym dochodzeniu patrzymy zbyt wąsko? Jesteśmy za bardzo skupieni na kilku osobach i przez to tracimy z pola widzenia całą resztę?

— Mam fatalne przeczucia, Weller. Ten typ za chwilę złoży nam u stóp kolejną ofiarę, a my siedzimy tutaj beczynnym jak zahipnotyzowane króliki.

— Mogę dziś wieczorem wpaść do Heinera i...

— I wypić z nim piwo czy jak? — zirytował się Ubbo Heide. — Myślę, że musimy się uciec do zupełnie innych środków. Albo ostatecznie dać mu spokój.

ZANIM BYŁA W STANIE cokolwiek sobie przypomnieć, poczuła, że jest naga. Miała opuchnięty język i z trudem oddychała przez otwarte usta. Nie była w stanie kontrolować jego ruchów, opadał jej na tył gardła, gdy tylko próbowała wydać jakiś dźwięk. Bała się, że udusi się własnym językiem. Odwróciła głowę na bok w nadziei, że będzie mogła lepiej oddychać.

Wokół niej było ciemno choć oko wykol. A poza jej własnymi ruchami i biciem serca nie słychać było żadnych dźwięków.

Zaczęła ją ogarniać panika. Zadrżała, a po chwili trzęsła się już na całym ciele.

Jedna myśl zdominowała pozostałe — czy ja leżę w trumnie? Czy on mnie ogłuszył i pogrzebał żywcem?

Ręce miała szeroko rozłożone, a dłonie skrępowane. A więc nie była w trumnie, bo żadna nie ma takich wymiarów. Spróbowała przesunąć głowę jak najdalej na bok, aż wreszcie prawym policzkiem poczuła dotyk materiału, na którym leżała. To było woskowane prześcieradło — podobne do tych tanich ceratowych obrusów, którymi jej mama przykrywała drewniany blat stołu w zwykłe dni, gdy nie spodziewała się gości.

Wiedziała, że ma tylko jedną szansę, by przeżyć: musi w niej zwyciężyć komisarz policji. Nie może teraz pozwolić zrobić z siebie ofiary, chociaż jego ofiarą stała się już dawno.

Czyli to nie była trumna. Ale ten woskowany podkład, na którym leżała, przemawiał za tym, że tutaj chce ją zamordować. Spodziewał się przy tym sporego bałaganu. Potem będzie mógł to wszystko wymyć. Czy to, na czym leżała, to był worek na śmieci, w którym wyrzuci jej zwłoki?

Nie skazywał swoich ofiar na śmierć głodową — pomyślała. Zatem kiedyś tutaj przyjdzie i wtedy mój los się rozstrzygnie. Czy mam go poprosić, żeby dał mi coś do picia? Czy też muszę się liczyć z tym, że znowu poda mi jakieś gówno, które mnie znokautuje?

Ann Kathrin postanowiła, że poprosi o coś do picia. Potrzebowała płynu, by ustabilizować krążenie



oraz pomóc nerkom i wątrobie w pozbyciu się z ciała trucizny, którą ją napił.

Tak skrępowana nie była dla niego żadnym zagrożeniem. Po co miałyby ją więc ponownie oszołomić? A nawet jeśli, to przecież mógł jej coś wstrzyknąć albo zmusić do połknięcia jakichś środków.

Musiała zaryzykować. Potrzebowała energii. Próbowła podciągnąć nogi, by ułożyć się w pozycji embrionalnej, i dopiero teraz zauważyła, że także jej nogi są skrępowane. Miała większy zakres swobody nóg niż rąk, ale gdy tylko zrobiła gwałtowniejszy ruch, natychmiast linka wrzynała się jej w skórę.

Zgodnie z całą wiedzą, jaką posiadała o tego rodzaju przestępcach, mogła przypuszczać, że on będzie próbował uczynić z niej przedmiot. Będzie próbował odebrać jej osobowość, żeby w jego oczach stała się przedmiotem, rzeczą. Aby przeprowadzić swój plan, nie mógł traktować jej jak człowieka i w żadnym razie nie mógł sobie pozwolić na współczucie. Więc może to właśnie było jej szansą. W końcu dobrze się znali. Istniała między nimi relacja, do której mogła nawiązać. Nie była jakąś przypadkowo dobraną ofiarą. Jeśli więc on ją zamorduje, to tylko po to, by ukryć ślady. Przestępca usuwa świadka czy też swoją ofiarę z obawy, że policja wpadnie na jego trop.

Już dwa razy Ann Kathrin siedziała naprzeciwko mężczyźni, którzy ze łzami w oczach zapewniali, że nie są mordercami. Oni nie chcieli zabić swoich ofiar — oni byli „tylko” gwałcicielami, ale ze strachu przed policją czy utratą dobrego imienia nie mogli inaczej postąpić. Obydwaj mieli rodziny i byli szanowanymi członkami lokalnej społeczności.

Była całkiem pewna, że nie będzie próbował jej zgwałcić. Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Oszczędził tego także swoim poprzednim ofiarom.

Dlaczego umieścił ją tutaj i skrępował? Dlaczego zadał sobie trud, by ją rozebrać? O co tu właściwie chodziło?

I nagle to ciemne pomieszczenie zostało oświetlone za pomocą dwóch jaskrawych jarzeniówek wiszących dokładnie nad nią. Bezwiednie chciała osłonić oczy ręką, co oczywiście było niemożliwe. Nadal była zupełnie sama w tym pomieszczeniu. Zatem musiał mieć włącznik światła na zewnątrz. Znajdowała się w pokoju nagrań jakiegoś studia muzycznego. Poznała to po dźwiękoszczelnych ścianach. Zatem Rupert miał rację, tyle że Heiner Zimmermann na sto procent nie zlecił prac żadnemu architektowi czy firmie budowlanej. A więc po głosie czy krzyku do mnie nie trafią — pomyślała. Ale gdzie stoi ten budynek? To nie może być jego atelier przy Norddeicher Strasse. Oddział do zadań specjalnych na pewno odkryłby to pomieszczenie. Być może wtedy zachowali się nietaktownie, ale nie byli głupcami.

Ann Kathrin rozmyślała z przerażeniem o tym, jak słuszna była tamta decyzja o szturmowaniu domu. Jak bardzo byłaby teraz wdzięczna, gdyby oddział do zadań specjalnych przystąpił do akcji. Ale w duchu liczyła przypadki, kiedy przeszukanie mieszkania nie doprowadziło do odkrycia przetrzymywanych ofiar. Czy ten pedofil z Belgii Dutroux nie trzymał w wykonanej przez siebie kryjówce dwóch dziewczynek? A policja w ogóle nie zauważyła tego w czasie przeszukania, chociaż sąsiedzi słyszeli wcześniej krzyki. A jak to było w przypadku Kampusch albo w Amstetten? Przez dwadzieścia cztery lata ludzie w sąsiedztwie nie zauważyli, że na ich ulicy ktoś ma w domu specjalne pomieszczenia, by gwałcić w nich ofiary, które bez jakiegokolwiek wyroku sądowego siedziały tam zamknięte, skazane na dożywocie.

Nie mogła więc liczyć na pomoc z zewnątrz. Krzyk byłby tylko zwykłym marnotrawieniem sił.

Stanął jej przed oczami ojciec, który kiedyś często dodawał jej odwagi przed jakąś trudną klasówką, meczem koszykówki czy egzaminem na kartę pływacką. Uczepiła się tego wewnętrznego obrazu. Tak bardzo potrzebowała teraz kogoś, kto byłby od niej silniejszy. Kogoś, kto na pewno był po jej stronie, kogoś z większym doświadczeniem, kogoś nieustraszonego. Oczywiście wiedziała, że to tylko jej wyobraźnia, ale słyszała bardzo wyraźnie głos ojca:

— On nie ma w ręku wszystkich asów. Ty znasz jego karty i nie pozwól, by zajrzał w twoje.

Teraz dopiero zauważyła, że nie mówił tego ojciec. Widziała go, ale głos należał do Wellera. Ten stary gracz w skata przemawiał w wyobraźni ustami jej ojca.

Roześmiała się gorzko.

— A niby jakie mam asy? Leżę tutaj związana na tym plastikowym katafalku. Nie jestem nawet pewna, czy byłabym w stanie utrzymać się na nogach, nawet jeśli uwolniłabym się z więzów.

Teraz nie był to już głos Wellera, tylko znów głos ojca:

— Mimo wszystko masz nad nim przewagę. On jest szalony, a ty nie. Ty potrafisz myśleć jasno i logicznie, a on ma w środku otchłań, z którą nie chce się skonfrontować. Dlatego robi takie rzeczy. On nie chce czuć żadnego bólu. Czegoś szuka. Na przykład uznania i podziwu. A może chce tylko, by się go bano? Dowiedz się, co to jest, a wtedy będziesz go mogła wziąć na smycz. Będziesz mogła się nim bawić, bo stanie się marionetką na sznurkach, za które możesz pociągać. Musisz się tylko dowiedzieć, za które sznurki chwycić.

— Naprawdę w to wierzysz, tatusiu? Czy tylko tak mówisz, żeby mnie uspokoić? Przed każdą klasówką przekonywałeś mnie, że przecież jestem mądrą, zdolną dziewczynką, że nie muszę się niczego bać i chodzi tylko o to, by nauczyciele dostrzegli moją inteligencję. Ale oni często byli ślepi, tato!

Szarpnęła więzy i pojęła jasno: jeśli czegoś się nauczyła od ojca, to tego, by nigdy nie rezygnować.

*To nie hańba upaść — w końcu można znowu wstać i spróbować raz jeszcze.* Wiele razy słyszała od niego te słowa. Pojęła teraz, jak często ojciec musiał dostawać od losu w zęby. Ile kłopotów zapijał swoim schłodzonym na lód Doornkaatem?

— Ale ja nie mogę teraz tak po prostu wstać, pójść do domu, wypić sznapsa i powiedzieć: „Do cholery z tym!”. Jeśli to się szybko nie skończy, to znaczy, że ja już wypiałam ostatniego sznapsa w życiu — wtedy w Backstube, razem z moim mordercą.

A potem znowu pojawiła się postać Wellera.

— Jeśli ma się naprawdę kiepskie karty, Ann — powiedział — wtedy pozostaje tylko jedno: blefować. Dobry blef to połowa wygranej.

Dlaczego zapalił światło, a jeszcze nie wchodzi? — zastanawiała się Ann Kathrin. Czy tu jest jakieś automatyczne sterowanie światłem, czy też on obserwuje mnie teraz i napawa się moim strachem? A może tylko chce, żebym myślała, że mnie obserwuje?

Spróbowała rozejrzeć się po pokoju. Tak, dobrze się przygotował. Strzykawka, rurka, woreczek na krew. Różne rodzaje pianki do golenia i cała kolekcja maszynek. Po lewej stronie jej leżanki stało krzesło, a obok był pomocnik z różnymi kremami do twarzy, chusteczkami, wacikami, farbami do włosów. Po prawej stronie były drzwi, a obok drzwi szyba. Pewnie ze środka nie dało się wyrzeć na zewnątrz, za to stamtąd można było zaglądać do tego dźwiękoszczelnego pokoju. A może w tym drugim pomieszczeniu było po prostu ciemno? W każdym razie za tą szybą nic nie było widać. Ale wyczuwała tam jego obecność.

Potem drzwi się otworzyły — powoli, ze skrzypieniem. Dobrze jej zrobiło, kiedy usłyszała ten odgłos. Serce waliło jej jak szalone.

I jeszcze raz dobiegł ją głos Wellera:

— Trzeba blefować, Ann, koniecznie blefować.

Heiner Zimmermann splótł w warkocz swoje długie włosy, a na czoło założył przepaskę w białobłękitne paski. Dopiero co wziął prysznic, ale też zdążył wypalić jeden ze swoich mocnych skrętów z czarnego tytoniu. Ann Kathrin rejestrowała te szczegóły w sposób niezwykle intensywny. Wiedziała, że teraz gra o wysoką stawkę, ale w pełni zdała się na swoją intuicję. Uśmiechnęła się do niego, jakby wszystko było jedną wielką zgrywą. I rzeczywiście w pierwszej chwili go zaskoczyła. Stał przed nią, prostując splecione ręce, aż zatrzeszczały mu stawy w palcach.

— No już, Heiner, wystarczy. Udał ci się występ. To był naprawdę świetny żart. Przez chwilę zbiłeś mnie z tropu. Ale i tak nikt ci nie uwierzy, że to ty jesteś Fryzjerem...

Zmienił się na twarzy. Spodziewał się wszystkiego — rozpaczy, próśb. Ale nie tego.

— Naprawdę mnie nastraszyłeś. Ale nikomu o tym nie powiem. To byłby dopiero wstyd! Tak, tak, odrobiłam moją lekcję. Zdumiewające, jak łatwo można zwabić w pułapkę komisarza policji. To mi się już z pewnością więcej nie zdarzy. Nauczyłam się od ciebie więcej niż od kogokolwiek innego w całym moim życiu. Bardzo mi się przyda ta lekcja. Jeszcze nieraz może mnie uchronić przed kłopotami.

— Myślisz, że to wszystko jest udawane? — zapytał i zacisnął pięści. Jego szczęka zaczęła poruszać się nerwowo.

— No już przestań — powiedziała — żarty się skończyły. Zaczynają mnie boleć nadgarstki.

— To ja jestem człowiekiem, którego nazywacie Fryzjerem! — wrzasnął.

Bąbelki śliny oderwały się od jego ust i upadły na brzuch Ann Kathrin jak przelotny deszczyk nad morzem.

Jeszcze raz zmusiła się do śmiechu.

— Frank wykończył Fryzjera w Groningen.

— A jak Christina Diebold trafiła do kubła na śmieci?

— Nie mam pojęcia. Ktoś był pewnie wściekły na profesora albo kręciła z jednym z tych typów, przed którymi ostrzegali ją rodzice. Świat jest pełen psychopatów. Zwłoki w kubie nie mają nic wspólnego z tymi trzema morderstwami. A to, co tu ze mną wyprawiasz, to są żarty. Teraz mnie wypuść i zrób mi coś do picia. Jestem głodna, chce mi się pić i muszę wracać do domu.

Widziała, że jego umysł intensywnie pracuje. Zakiełkowała w niej nadzieja. Czy udało się zbić go z tropu? Czy wykorzysta okazję, by się teraz wycofać? Ale on zaczął krzyczeć:

— Co ty sobie wyobrażasz, głupia krowo? Myślisz, że potrafisz mnie oszukać? Myślisz, że jestem świrem, co? Niepoczytalnym gościem? Myślisz, że dam się nabrać na tę gównianą gadkę i tak po prostu teraz cię wypuszczę?

— Nie, wcale tak nie myślę. Ale to zostanie między nami, bo chyba nie sądzisz, że marzę o tym, by Frank się dowiedział, jak tutaj leżałam? Wystarczy już to, co moi koledzy z pracy zobaczyli w twoim atelier. Wystąpię ze służby w policji i razem z Frankiem otworzymy kiosk z rybnymi burgerami w Norddeich.

Uśmiechnął się.

— Ach tak, ten wasz kiosk...

To dobry kierunek — pomyślała Ann Kathrin. Muszę z nim rozmawiać o Franku. Wtedy nie będzie potrafił mnie zabić. Skieruję rozmowę na zupełnie zwyczajne sprawy. Takie morderstwo nie jest przecież częścią normalnego, powszedniego życia.

— Chętnie znowu przyslibyśmy do ciebie na kurs malowania. Myślę, że we Franku też obudziłeś pasję. W tej chwili najbardziej lubi malować bułki z rybą albo wędkarzy. Ale...

Zapadł się w siebie. Miał pusty wzrok. Gdybym tylko wiedziała, jaki film właśnie ogląda — pomyślała. Czuła się teraz o wiele lepiej niż wcześniej. Miała wrażenie, że odzyskuje kontrolę nad sytuacją. Rosła w niej pewność, że obojętnie jakie on ma plany, ona i tak potrafi je pokrzyżować.

*Masz nad nim przewagę. On jest szalony, a ty nie. Ty potrafisz myśleć jasno i logicznie.*

Podszedł do niej bardzo drobnymi kroczkami, niemalże powłócząc nogami, jak w zwolnionym tempie. Jak ktoś, kto znajduje się pod działaniem silnych leków.

Wziął jej prawą rękę i zaczął rozluźniać więzy.

Dasz radę — pomyślała Ann Kathrin. Dasz radę. Wyjdiesz z tego. Z wolnymi rękami będziesz mogła walczyć.

Wprawdzie wciąż jeszcze była zamoczona narkotykiem, który jej podał, ale poczuła, że do żył uderza jej adrenalina. Jestem świetnie wyszkolona w judo i karate — powtarzała sobie. W duchu już trafiała prawą pięścią w jego kość nosową, lewą zadawała cios w skroń, a potem chwyciła go za gardło.

Musiał być dobry w wiązaniu węzłów, bo jej prawa ręka była już wolna. To pewnie był węzeł żeglarski. Im mocniej się ciągnęło, tym bardziej się zaciskały, ale można je też było rozwiązać jednym sprytnym ruchem.

Okrzyknął jej leżankę i przeszedł na drugą stronę, odsunął pomocnik na długość ramienia i zaczął rozwiązywać więzy na lewej ręce. Potem podał jej pachnący kokosem krem.

— Posmaruj sobie tym nadgarstki — powiedział. — Masz na nich szorstką skórę. Nie powinnaś się tyle ruszać, gdy jesteś związana.

Piękne dzięki, oczywiście będę o tym pamiętać, ty cholerny gnojku — pomyślała. Otworzyła pojemnik i zaczęła grzecznie smarować sobie ręce. On pochylił się nad jej prawą stopą, by i tam rozwiązać węzeł. Zastanawiała się, co przemawia przeciwko temu, by od razu jednym ciosem złamała mu kark. A może powinna odczekać, aż będzie miała obie stopy wolne? Wahała się o chwilę za długo. Zobaczył jej odbicie w szybie, jak się podnosi i bierze zamach. Uchylił się, odskoczył od leżanki, wy dobył mały damski pistolet Beretta kaliber 22 i wycelował w pierś Ann Kathrin. Mlaskając, potrząsnął głową, jakby mówił do niegrzecznego dziecka:

— Tak właśnie myślałem, że niegrzeczna z ciebie dziewczynka. Byłoby mi żal, gdybym musiał zrobić dziurę w twoim pięknym ciele, bo wtedy i ty przestałabyś się nadawać jako materiał na moje kolejne dzieło sztuki. Tak czy owak używam cię tylko w zastępstwie.

— Naprawdę? — parsknęła. — A co było nie tak z Christiną Diebold?

— Nic nie pojęłaś — powiedział. — Zupełnie nic. Ona się broniła. Jej skóra była zniszczona. Ja nie maluję niczego, co jest brzydkie. Tylko niszczenie czegoś cudownie pięknego ma sens jako proces artystyczny.

Siedziała wyprostowana na woskowanym prześcieradle. Szeroko rozłożone nogi nadal miała skrepowane. Zaczęła rozwiązywać sobie supły na kostkach, ale nie była tak sprawna jak on. Nie znała się na tych żeglarskich węzłach.

Pozwolił jej na to, ale nadal trzymał wycelowany w nią pistolet. Gdy już uwolniła obydwie nogi, ześliznęła się z leżanki i stanęła przed nim wyprostowana. Szukała czegoś, czym mogłaby się okryć. Wyciągnęła rękę po prześcieradło z leżanki, ale on potrząsnął głową.

— Nie, nie. Zostań tak. I ręce za plecy!

Zrobiła, jak jej rozkazał, i czekała na kolejną okazję. W każdym razie była teraz dużo bliżej życia niż wcześniej. Nie leżała związana, tylko stała. Miała wolne nogi.

Skrepował jej ręce za plecami szczególnie mocnym węzłem, a potem lufą swojej broni popchnął przed siebie przez drzwi do pomieszczenia za szklaną szybą.

To rzeczywiście było studio nagrań. Dwa komputery, mikser, ze dwa tuziny guzików i pokręteł.

— Czy jakiś zespół ma tu próby? — zapytała.

Roześmiał się.

— Ten dom należał kiedyś do Roswithy Keller i jej koszmarnie głupiego męża, który miał na imię August. Był aranżerem i zarabiał na życie, klejąc tutaj składanki muzyki ludowej i różnych innych kiczowatych przebojów.

Zakiełkowała w niej nadzieja. Jeśli ten dom należał do innych ludzi, to może oni tutaj kiedyś przyjdą. Jakby zgadując, o czym myśli, i jakby chcąc odebrać jej ostatnią iskierkę nadziei, mówił dalej:

— Ona niestety umarła trzy lata temu. Pół roku po rozwodzie. W końcu była wolna. On jej zostawił ten dom i część majątku. A mnie ustanowiła spadkobiercą.

— Czy powinnam znać tę hojną ciocię? — zapytała Ann Kathrin.

— Widziałaś jej obraz. Podobał ci się.

Do cholery — pomyślała Ann Kathrin. Do jasnej cholery! On wcale nie jest biednym malarzem, który musi zarabiać na życie, prowadząc kursy w szkole ludowej czy podczas weekendowych zajęć. On w ogóle nie musi sprzedawać swoich dzieł. Posiada ten dom i pieniądze Roswithy Keller. To właśnie z tego miejsca prowadził swoje akcje. Zrobiliśmy błąd w dochodzeniu. Powinniśmy byli sprawdzić w księgach wieczystych. Na pewno ten dom jest zapisany na jego nazwisko. Ale ponieważ Frank dobrze go znał i wiedział, gdzie mieszka, nikt nie zadał sobie trudu, żeby poszukać innych miejsc zamieszkania. Mieliśmy ten dom przy Norddeicher Strasse i dom jego matki... Oddział do zadań specjalnych był u właściwego człowieka, ale w niewłaściwym miejscu.

Być może nawet nie zgłosił tego budynku jako miejsca swojego drugiego zamieszkania. Bo i po co? A nawet jeśli, to policja przecież i tak nie pokwapiła się do urzędu meldunkowego.

Ze złości łzy napłynęły jej do oczu.

Zaprowadził ją piwnicznymi schodami na górę. To był nowoczesny dom z dużymi, jasnymi pomieszczeniami. Lekkie żółte zasłony w oknach chroniły wewnątrz przed ciekawskimi spojrzzeniami, ale przepuszczały złote światło słoneczne.

Na ścianach wisiały obrazy. Jego obrazy.

Mareike Henning jako latający elf pośród krzaków rododendronów i azalii w parku zamkowym Lütetsburg. Ten obraz podzielał na Ann Kathrin jak wstrząs — taki był piękny. Ten elf zdawał się żywy, wręcz radosny. Nie miał w sobie nic z koszmaru śmierci — miał raczej rys nieśmiertelności.

— Wymieszałem farby z jej krwią — odezwał się i zabrzmiało to jak triumf — ona w całości stała się dziełem sztuki. Jest zarówno przedmiotem, jak i częścią obrazu.

Obraz sięgał od podłogi aż po sufit i był szerszy niż otwór drzwi. Mimo swojego kiepskiego położenia Ann Kathrin zastanawiała się, w jaki sposób wniósł go tutaj. Prawdopodobnie namalował obraz na miejscu.

Reszta ściany udekorowana była szkicami — przygotowaniami do projektu. Wszystko można tu było zobaczyć. Pręty i plan ich umieszczenia w ciele. I nawet kolory płatków. Tego wszystkiego nie przyczepił tak po prostu do ściany, lecz starannie włożył w ramki. A te ramki były ponumerowane, opatrzone wyjaśnieniami i podpisami, umieszczone w kolejności chronologicznej. To było... przygotowanie do wystawy! W pomieszczeniu nie było mebli — tylko zasłony i obrazy.

Przyglądał się jej z napięciem. Czekał na jej reakcję. Była teraz czymś w rodzaju przedpremierowej publiczności.

— Co mam o tym myśleć? — zapytała. — Otwarcie wystawy za dwa tygodnie czy jak?

Roześmiał się.

— Coś w tym stylu. Najpierw muszę dokończyć moje dzieło, a ty masz zaszczyt mi w tym pomóc.

Popchnął ją przed sobą do następnego pomieszczenia. Także tutaj były tylko zasłony i obrazy. Ale w każdym kącie, jak wspomnienie Josepha Beuysa i jego instalacji z tłuszczu, znajdował się piasek. Dobre dwa cetnary piasku usypanego na kupce. Piasek z Norderney z wydmy obok restauracji Weisse Düne.

A nad sztuczną wydumą wisiał obraz, równie duży jak poprzednie dzieło. Verena Glück jakby wynurzała się z piasku, jakby wychodziła na powierzchnię z wnętrza ziemi. Jej włosy splątane były z krzewami rokitnika.

Obraz otaczały szkice. Musiał to zaplanować dużo, dużo wcześniej. Jakby troszcząc się o poprawne interpretacje swojego dzieła, zaopatrzył rysunki w daty i numery.

Cały czas trzymał wycelowaną w nią broń, ale zauważyła, że jego uwaga słabnie. Lufa nie zawsze i nie

w każdej sekundzie była w nią skierowana. Jeśli teraz strzeli — myślała, kula wbije się w parkiet. Ale wystarczy mu ułamek sekundy, żeby znowu skierować pistolet na nią. I właśnie tak zrobił.

Wystarczy mi jedna szansa — myślała. Tylko jedna. Drobną nieuwagą z jego strony. Pierwszy kopniak wykona w stronę broni, a drugi w jego krtań. Jakkolwiek by patrzeć, jej ruchów nie krępowało teraz ubranie. Zaczęła postrzegać swoją nagość jako atut. A mimo to oddałaby wiele, by móc się ubrać.

— I jak się czujesz, gdy to widzisz? — zapytał.

— Odczuwam litość — powiedziała. — Litość dla tego chorego mózgu, który wymyśla takie rzeczy i odczuwa przymus, by je urzeczywistnić.

Wymierzył jej siarczysty policzek.

— Ale z ciebie prymityw — zadrwił. — Nie zauważyłaś, że bierzesz udział w czymś wzniosłym?

— Ludzie, którzy to zobaczą — powiedziała — nie upadną w pokorze na kolana.

— Ależ tak, oczywiście, że upadną. Historia sztuki zostanie napisana na nowo. Na koniec tego stulecia nie będzie bardziej znaczącego malarza ode mnie.

On naprawdę w to wierzy — pomyślała.

— Nie jesteś wcale godna, żeby to oglądać. Inni daliby sobie uciąć rękę, by móc to zobaczyć. Kiedy moje dzieło się dopełni, wtedy to miejsce stanie się najbardziej znanym muzeum Europy.

— A gdzie my w ogóle jesteśmy? — zapytała.

— W Dornumersiel.

Roześmiała się.

— No jasne. Stanie się najśłynniejszym muzeum w świecie. Tak o nim będą kiedyś mówić. Powiedzą: on wystawiał w Londynie, Tokio, Paryżu i Dornumersiel. Och, przepraszam. Dornumersiel powinno się oczywiście znaleźć na pierwszym miejscu.

No, dalej, uderz mnie — myślała. Spoliczkuj mnie jeszcze raz. Podejdź bliżej. Za pierwszym razem mnie zaskoczyłeś. Teraz jestem już przygotowana.

— Branża turystyczna będzie mi wdzięczna. Zjadą tu setki tysięcy ludzi, by zobaczyć moje obrazy. Powstaną hotele, restauracje będą zarabiać...

Próbowała go sprowokować.

— Obawiam się, że niestety wyjdą z tego nici. Możesz zapomnieć o tym swoim muzeum. To po prostu jest nieprzemyślane.

— Nieprzemyślane? Co masz na myśli? Sam to stworzyłem. Ta wystawa jest w całości taka, jak sobie to wyobrażam. Żaden marszand ani inny dupek z dyplomem wyższej uczelni nie będzie mi tu psuł szyków. Musi być tak, jak ja to sobie wyobraziłem. Wszystko się tutaj zgadza, światło i...

— Ale to przecież zupełnie bez znaczenia. Twoje dzieła wylądują po prostu w przechowalni dowodów rzeczowych.

Zamarł, bo nagle zrozumiał, że w tym, co powiedziała, może być trochę prawdy. A ona wręcz z rozkoszą w głosie ciągnęła:

— Te obrazki na zawsze pozostaną w posiadaniu policji. Jeśli rekwirujemy kokainę, to przecież ona nie trafia potem na rynek i nie jest w sprzedaży. Jest częścią śmieci, które służą jako dowody w procesach karnych. Twoje obrazy i szkice będą wiodły smętne życie obok kijów bejsbolowych, sfałszowanych czeków, skradzionej broni wojskowej i zarekwirowanych noży sprężynowych. Założę się, że najpierw zostaną zwinięte w rulon. Nie mamy za wiele miejsca na takie monstrualne przedmioty.

— Ale tego nie wolno robić! — zaryczał.

— Taa... — powiedziała — rozumiem, że cię to denerwuje, ale właśnie tak się stanie.

— Ale te obrazy należą do mnie! Własność prywatna znajduje się pod szczególną ochroną państwa!

Wreszcie Ann Kathrin zyskała przewagę. Postawiła lewą stopę przed prawą i przybrała luźną pozę,

jakby właśnie stała z nim przy barze i popijała poncz.

— No jasne — powiedziała — to zawsze jest niezwykle pomysłowe, gdy przestępcy powołują się na prawo, które sami naruszyli. A w rzeczywistości sprawa jest prosta: odebrałeś ludziom życie, a teraz ludzie odbierają ci twoje obrazy. Ten cały dom pójdzie pod młotek, jeśli w ogóle ktoś go kupi i będzie chciał tu mieszkać. Wielu ludziom będzie się on wydawał zbyt okropny.

— A kto chce sprzedawać ten dom? Jest spleacony i...

— Twój proces będzie drogi. Do tego dojdą roszczenia sądowe. Odszkodowania dla krewnych i tak dalej... Najpierw oczywiście sąd zabierze się za twój majątek ruchomy, ale potem bardzo szybko zostaną zlicytowane nieruchomości. Zawsze tak jest.

Ponownie wziął zamach, żeby ją uderzyć. Z wściekłości już nawet nie zważał, czy zrani jej skórę.

Nie uchyliła się, a wręcz skoczyła naprzeciw i uderzyła go kolanem między nogi. Zgiął się w pół i zawył. Pistolet potoczył się po podłodze i wpadł do kąta z piaskiem.

Ann Kathrin kopnęła dwa razy. Za pierwszym razem próbowała trafić go w wątrobę, za drugim razem w skroń. Nie udało jej się dokładnie wycelować, ale już za pierwszym razem trafiła go mocno w tors, a za drugim razem trzasnęła piętą w potylicę.

Upadł na podłogę i zaczął się czołgać w stronę pistoletu.

Skoczyła i była szybsza od niego, ale jak miała podnieść broń ze związanymi rękami? Kopnęła ją po prostu jak futbolówkę w drugi kąt pokoju. A potem spróbowała skoczyć mu na dłonie, żeby połamać palce, ale udało mu się chwycić ją za stopę, wykręcić i doprowadzić ją do upadku.

Upadając, nie mogła podeprzeć się ręką. Ból przeszył jej ciało jak mroczna błyskawica. Miała poczucie, jakby paliło ją wszystko, aż po końce włosów.

Teraz on przebiegł obok niej do swojej Beretty, podniósł ją i rozwścieczony skierował pistolet ku jej głowie. Oddychał ciężko. Minęła chwila, zanim znowu złapał oddech.

Nastąpiło teraz coś na kształt przerwy między rundami, ale bynajmniej nie było to zawieszenie broni.

— Teraz leżysz tam bez ruchu — odezwał się — bo myślisz, że wystarczy jeden fałszywy ruch i cię zabiję. Błąd. I tak cię zabiję. Ale jeśli twoje ciało nie będzie teraz bez zarzutu, to będziesz miała na sumieniu jeszcze jedną kobietę. Wstań, żebym mógł cię obejrzeć.

Ann Kathrin leżała dalej na podłodze, nie poruszywszy się. Stopą odwrócił ją na plecy.

— Jeśli to coś na twojej twarzy zsinieje, możemy o wszystkim zapomnieć. Wtedy nie skończysz jako dzieło sztuki, tylko wylądujesz na wysypisku.

Chwycił ją za włosy i pociągnął po podłodze do następnego pokoju. Do Carolin Haase. Syrenki z koroną na głowie.

— A co masz zamiar zrobić ze mną? — zapytała Ann Kathrin. — Wolno mi się dowiedzieć wcześniej, czy to tajemnica?

Po tym pytaniu znowu wpadł w wielkoduszny nastrój. Pozwolił, by wstała i samodzielnie poszła po schodach na piętro.

Szkice były już gotowe. Latarnia morska w Pilsum otoczona kręgiem ognia — widziana z morza, widziana od strony lądu i z lotu ptaka.

Wiedziała — pomyślała. Położone wysoko miejsce we Fryzji Wschodniej: wiatrak, czubek kościelnej wieży albo taki symbol jak latarnia morska w Pilsum.

— Nie uda ci się — powiedziała. — Od dawna wiemy, kto jest mordercą. Twoje aresztowanie to tylko kwestia czasu.

Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Pokiwał głową.

— Zajęło wam to wiele tygodni i założę się, że będę mógł w spokoju dokończyć pokaz czwartego żywiołu.

— Tak — powiedziała — być może. Ale nie wyjdiesz z tego cało.

— Ale ja wcale nie chcę uciec. Czy ty tego nie pojmujesz? Marzenie mojego życia spełni się dopiero po moim aresztowaniu. Po wyroku. Po procesie. To wszystko jest częścią mojego planu.

— Jak mam to rozumieć? Nie masz w ogóle zamiaru uciekać?

— Oczywiście, że nie. Nie jestem przecież przestępcą, który wstydzi się swoich czynów. Będę pracował, jak długo się da, a kiedy poddamie mnie swojej sprawiedliwej karze, będę siedział w jakimś żalonym więzieniu. Ale wszystkie obrazy będą tu, u góry. — Palcem wskazał swoje czoło. — Wtedy mogę malować w spokoju. Jak długo zechcę. I mogę trwać w zasłużonym upojeniu.

— W więzieniu nie ma najlepszego wikt.

— Ach, Ann Kathrin, kiedy mam moje farby i moje obrazy, to na języku czuję to, co maluję, a nie to, co jem. Czuję zapach farb, a dzięki nim tworzy się cała reszta. Kara śmierci została zniesiona. Cóż może mi się przydarzyć? Pozbędę się wszelkich trosk. Będzie jak w raju.

— Nikt ci nie da farb ani płótna do malowania. Będziesz musiał wykonywać ogłupiające prace.

Roześmiał się, a to, co mówił, brzmiało przekonująco.

— O, nie! Nie masz pojęcia, jak wielka jest ludzka chciwość. Moje obrazy będą warte miliony. Każdy obraz, który pozwolą mi namalować w więzieniu, uczyni ich bogaczami. Jeśli państwo będzie na tyle głupie, by odebrać mi możliwość malowania, pozbawi się gigantycznych wpływów. A nawet wtedy zostaną mi jeszcze strażnicy. Nigdy nie lekceważ ludzkiej chciwości! Będą mnie błagać i skamleć, żebym wreszcie coś namalował. Ważne będą zupełnie inne pytania, niż myślisz. Kto jest właścicielem obrazów? Co się stanie z pieniędzmi?

— Jako więzień będziesz miał prawo tylko do kieszonkowego.

— Ale mnie pieniądze zupełnie nie obchodzą, Ann Kathrin. Jeśli ja będę właścicielem obrazów, to każdy z nich oddam jakiejś organizacji charytatywnej. Będą mi za to wdzięczni całą wieczność. O tak, zostanę wielkim dobroczyńcą ludzkości. Będę wspierał Amnesty International, może Greenpeace. Projekty nawadniające w Somalii. Być może jeden, dwa moje obrazy wystarczą, by wybudować na Ukrainie szpital dziecięcy i sfinansować roczną pracę całego personelu. Po jakimś czasie moje przerażające czyny będą inaczej postrzegane. Z pomocą tych zarobionych pieniędzy uratuję setki, tysiące ludzi. Będę w stanie zaradzić klęsce głodu na świecie. Jest mnóstwo sensownych projektów organizacji pozarządowych, tylko one są niedofinansowane.

— Nie — powiedziała — zawsze pozostaniesz tym, kim jesteś. Chorym mordercą.

Wziął zamach, ścisnął pięść, ale tym razem nie uderzył.

— Tak, pani komisarz? To bardzo dziwna i niesprawiedliwa ocena. Być może na początku ludzie tak będą to widzieć, ale potem pojawią się zupełnie inne pytania. Kto jest mordercą? Czy ten, kto pozwala, aby setki ludzi umierały z głodu, a sam idzie do restauracji na stek, czy ten, kto zabija cztery osoby, by stać się sławnym i zyskać moc ocalenia wielu? Ilu ocalonych ludzi zrównoważy jedno zniszczone życie? Dziesięciu? Stu?

Próbowała uporządkować myśli, by zaryzykować kolejny atak.

— Właśnie tak — powiedział. — Stawiam bardzo egzystencjalne pytania. Nigdy nie zadowalałem się powierzchownymi ocenami. Stawianie pytań o sedno spraw to istota prawdziwej sztuki. Bo sztuka, która jest tylko piękna i którą można sobie powiesić na ścianie, jest niczym. Sztuka musi być prowokacją. Musi zmuszać ludzi do podejmowania decyzji. Musi polaryzować.

— Gdzie są moje ubrania? — zapytała Ann Kathrin. — Chcę się ubrać, zanim dalej będę z tobą rozmawiać.

Uśmiechnął się łagodnie.

— Już je wyprałem, wyprasowałem i zapakowałem w małą paczuszkę. Trochę szkoda, bo gumka



w twoich majtkach się urwała, a z przodu w prawej skarpetce zrobiła się mała dziurka. Zacerowałem ją, żeby potem nie mówili, patrzcie tylko, jak ta komisarz chodziła ubrana.

WELLER UZNAŁ za coś niezwykłego, że Ann Kathrin nie zostawiła mu żadnej wiadomości. Być może znowu ruszyła w drogę na poszukiwanie mordercy ojca. Albo odwiedzała swojego syna Eike. Już dawno matka z synem mieli w planie wspólne spędzenie dnia.

Poczuł się głupio, gdy zaczął ścigać ją telefonicznie, ale przecież mieli dzisiaj wieczorem coś wspólnie ugotować. Nie odebrała komórki, co sprawiło, że Weller mocno się zaniepokoił.

Razem z Ubbo Heidem pojechali do domu Heinera Zimmermanna przy Norddeicher Strasse. Zimmermann nie otworzył i też nie odbierał komórki. Teraz Weller naprawdę zaczął się robić nerwowy.

Odwiedził w Sande matkę Zimmermanna. Była tam pod opieką pielęgniarek i oświadczyła, że od dwóch dni nie widziała syna.

— Z pewnością jednak znowu przyjedzie — powiedziała. Dokładnie wiedziała kiedy. — Jutro po południu na kawę o piętnastej. Jest zawsze punktualnie.

Nie, nie wie, gdzie jej syn w tej chwili przebywa. Pewnie w atelier. Przecież ciągle maluje te swoje obrazy, których nikt nie chce kupić.

RUPERT STAŁ TAM z dość głupią miną. Nie napisał żadnego raportu z obserwacji piosenkarki w Dzielnicy Zbożowej. Był świadkiem, jak Gunnar Peschke i Matthias Omonsky pożegnali się wesoło przed drzwiami, a potem wsiedli do taksówki, podczas gdy piosenkarka wróciła do swojego domu, nie doświadczywszy wcześniej żadnej krzywdy.

GDY WELLER PRZYJECHAŁ na Distelkamp 13 przed drzwiami stał Eike. Pytał, co jest z jego mamą, bo umówiła się z nim, ale nie przyszła.

Teraz Weller już wiedział, że powinien naprawdę zacząć się martwić.

HEINER ZIMMERMANN nalał wody do wanny i sprawdzał teraz, czy nie jest za gorąca dla skóry Ann Kathrin. Woda pachniała olejkiem z arniki. Siedział na kłapie sedesu, trzymając w dłoniach pistolet, jakby się nim bawił, podczas gdy Ann Kathrin wchodziła do wanny. Przyglądał się jej. Wtarł jej w twarz chłodzący żel, by zapobiec opuchnięciom. Nie chciał tracić czasu. Najchętniej zakończyłby swoje dzieło już dzisiejszej nocy.

Wszystko było gotowe. Zapalarka. Benzyna. W garażu stało zaparkowane bmw X 3, które odziedziczył po Roswicie Keller.

— Nie będziesz już sprawiać kłopotów, prawda? — zapytał.

Potrząsnęła głową.

— Okej. Więc powiem ci dokładnie, co dalej. Teraz ogolisz sobie nogi i cipkę. A potem pofarbujesz włosy na czerwono. — Chwilę się zastanawiał. — A może uważasz, że będzie lepiej wyglądać, jeśli na czerwono pofarbujesz sobie też włosy łonowe, jakby płomienie wydobywały się z pramatki?

— Tak — powiedziała — uważam, że to dobry pomysł. Dokładnie tak bym zrobiła.

Zdziwił się. Chciała go nabrać? Czy to miał być żart, czy ona naprawdę zaczęła z nim współpracować?

— Czy mogę sobie ogolić nogi tutaj w wodzie? — zapytała. — Zawsze tak robię.

Było mu to obojętne. Zadowolony, że nie marudzi, podał jej przybory do golenia.

Najpierw nałożyła piankę na prawą nogę, a potem powoli i starannie zaczęła przesuwać po niej ostrzem maszynki do golenia. Nagle dziwnie się wygięła.

— Tam jest takie jedno miejsce — powiedziała — nie mogę sięgnąć.

Natychmiast wstał z deski klozetowej, by pospieszyć jej z pomocą. Wziął od niej jednorazową maszynkę do golenia i przyłożył ostrze do łydki. W tej samej chwili trafiła go golenią w twarz. Broń wypadła mu z ręki i wpadła z pluskiem do wanny. Jej nogi wystrzeliły z wody — ścisnęła mu głowę nogami i wciągnęła ją pod wodę.

Zaczął się miotać. Przez chwilę Ann Kathrin poczuła impuls, by go w ten sposób udusić — tutaj między jej udami, z głową pod wodą. Nie miał żadnych szans. To nie potrwałoby długo. Już krzyczał i grube bańki powietrza z bulgotem wypływały na powierzchnię.

Ale potem, gdy jego ciało znieruchomiało, wypuściła go. W obydwu nogach miała skurcz. Odepchnęła od siebie ciężkie ciało. Mężczyzna osunął się na podłogę.

Ann Kathrin potrzebowała krótkiej chwili, by wydostać się z wanny. Wszystko ją bolało. Mimo to chciało jej się teraz krzyczeć z radości.

Wzięła do ręki pistolet i owinęła się w ręcznik kąpielowy. Heiner Zimmermann nie ruszał się.

Pochyliła się nad nim. Czy go zabiła?

Zaczęła masaż serca i zrobiła mu oddychanie usta-usta. Nie minęło wiele czasu, a znowu zaczął łąpać powietrze.

Wyciągnęła go z łazienki przez korytarz do drzwi wejściowych. Jego ciało szorowało ciężko po podłodze.

Potrzebowała telefonu. Ale czegoś takiego najwyraźniej nie było w całym domu.

Drzwi były zamknięte na klucz i zabezpieczone od środka łańcuchem. Łańcuch nie stanowił problemu, ale Ann Kathrin nie znalazła klucza. Zdecydowała się na inne rozwiązanie. Odsunęła na bok jedną z zasłon, otworzyła okno i wydostała się na zewnątrz. A potem zaczęła tak wrzeszczeć, że jej głos niósł się przez okoliczne przydomowe klomby:

— Nazywam się Ann Kathrin Klaasen! Jestem nadkomisarzem policji z Aurich, komisariat numer jeden. Proszę zadzwonić na telefon alarmowy policji! Proszę zadzwonić pod numer sto dziesięć! Mam tutaj czterokrotnego mordercę!

W domu naprzeciwno ktoś natychmiast opuścił rolety. W sąsiednim budynku pewien świeżo poślubiony urzędnik przygotowywał właśnie grilla na imprezę w ogrodzie. Usłyszał głos Ann Kathrin i już wiedział, co powinien zrobić.

- 
1. Gunnar Peschke — autentyczna postać, redaktor telewizyjny i członek zespołu muzycznego Bettiny Göschl, piosenkarki dziecięcej, a prywatnie żony autora. (Wszystkie przypisy w tekście pochodzą od tłumaczki). [↵](#)
  2. Altbier (dosłownie „stare piwo”) — tradycyjne ciemne piwo wytwarzane w Westfalii. [↵](#)
  3. Książka dla dzieci (niemiecki tytuł: Anna im Land Verkehrtherum) autorstwa Klause-Petera Wolfa i Bettiny Göschl. [↵](#)
  4. Holger Bloem — znany dziennikarz pracujący w gazecie „Ostfriesischer Kurier”. [↵](#)
  5. Książka Piraten-Jenny und Käpt’n Rotbart autorstwa Klause-Petera Wolfa i Bettiny Göschl. [↵](#)
  6. Restauracja Backstube, a właściwie Alte Backstube, zajmuje historyczny budynek dawnej piekarni. We wnętrzu restauracji, w której często odbywają się koncerty i imprezy kulturalne, znajduje się również Izba Wilhelma Buscha nawiązująca do niemieckiego twórcy ilustrowanych książek dla dzieci. W tej restauracyjnej sali na ścianach wiszą ilustracje z książek Wilhelma Buscha. [↵](#)
  7. Tyka z wiechą (niem. Pricke) — pływający znak nawigacyjny przypominający małe drzewko, który ustawia się dla oznaczenia prawej granicy szlaku żeglownego. [↵](#)
  8. Mowa o skandalu bankowym, gdy pracownik banku HSBC, Hervé Falciani, ujawnił tajne konta prominentnych klientów z całego świata. [↵](#)
  9. Chodzi straszdyło koło drogi (niem. Der Plumpsack geht herum) to tradycyjna melodia znana wszystkim dzieciom w Niemczech, przy której bawią się, wykonując określone ruchy. Dzieci śpiewają piosenkę w grupie, a za ich plecami chodzi jedno dziecko, które musi złapać „ofiara”. W tym sensie zabawa przypomina polską piosenkę Stary niedźwiedź mocno śpi. [↵](#)
  10. Matthias Omonsky — kolejna autentyczna postać, producent filmowy z Wiesbaden, współpracujący z Bettiną Göschl przy produkcji jej piosenek dla dzieci. [↵](#)
  11. Bi-Ba-Badewannenboogie — piosenka dla dzieci autorstwa Bettiny Göschl. [↵](#)